

Świętokrzyskie

Środowisko ❖ Dziedzictwo kulturowe ❖ Edukacja regionalna

Kielce, listopad 2015 r.

nr 16 (20)

ISSN 1895-2895



W numerze

- ❖ *O Studium Teatralnym Byrskich*
- ❖ *Pierwszy przewodnik turystyczny po Polsce*
- ❖ *Koleje Filmowe*
- ❖ *Danuta Hanna Sobczak-Michałowska*



Jakub Wujek, Ewangelie y epistoły tak Niedzielne iako y Świąt wszystkich, które w Kościele Katolickim według Rzymskiego porządku przez cały rok czytają, Kraków, 1616
Drzeworyt ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza.

Wesołych Świąt

SBC Świętokrzyska **B**iblioteka **C**yfrowa



<http://sbc.wbp.kielce.pl>

PRZYSTAN
Kulturalna

<http://przystan.wbp.kielce.pl>

Spotkajmy się
na Przystani Kulturalnej!

Parnas

blog literacki

www.wirtualnyparnas.blogspot.com

www.wbp.kielce.pl



dołącz do nas na Facebooku

W numerze:



Z notatnika bibliotekarza na budowie (fragmenty)	3
Pierwsza średnia szkoła aktorska Byrskich w Kielcach	9
Piotr Szczerski (1953–2015)	18
Raport z odchodzącego miasta	20
Gorejące drzewo	33
Panorama zbrodni	45
Pisarze powinni mieć pojemne kosze	51
Pierwszy Przewodnik turystyczny po Polsce oraz Praktyczny poradnik dla podróżujących	60
Danuta Hanna Sobczak-Michałowska. Od natury do poetyckiej syntezy	67
Garnizony wojska polskiego w regionie świętokrzyskim. Garnizon Pińczów	72
Czwartacy	77
„Bez chłopów Polska na niepodległość się nie wybije...”	83
Dziedzictwo kulturowe Bodzentyna	87
Z dziejów budownictwa wodnego w województwie kieleckim w latach 1945–1975	91
Żelazne symbole drewnianego krzyża w Samsonowie	94
Dzieje kopca i pomnika Tadeusza Kościuszki w Busku-Zdroju	99
Relikty drewnianej konstrukcji z czasów Staropolskiego Okręgu Przemysłowego odkryte w Samsonowie	101
Zabytkowa chatupa w Kołomani	103
Pamiątkowa tablica poświęcona twórcom Zespołu Wielkopieczowego w Samsonowie	106
Zapomniani wyzwolicieli	109
Z okupacyjnych wspomnień	114
Koleje filmowe	116
Miasta i miasteczka Ziemi Kieleckiej 100 lat temu	121
O panach i chłopach	123
Człowiek renesansu – Stanisław Rachalewski	124

Na okładce: Biblioteka jesienią, fot. ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. W. Gombrowicza w Kielcach

Wydawca

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA



Dyrektor: Andrzej Dąbrowski

25-033 Kielce
ul. ks. P. Ściegiennego 13
Tel. 41 344 70 74
fax: 41 344 59 21
sekretariat@wbp-kielce.pl
www.wbp.kielce.pl

Redakcja

Korekta

Skład

Nakład

Andrzej Dąbrowski
Jerzy Osiecki

Andrzej Dąbrowski
Jerzy Osiecki

Mariusz Stec

500 egz.

Druk

Drukarnia Jawist 25-512 Kielce,
ul. Warszawska 209,
tel. 41 332 24 83

© Copyright by WBP
im. W. Gombrowicza w Kielcach

ISSN 1895-2895



Kolejny, dwudziesty z kolei (mały jubileusz!) numer naszego pisma obejmuje różnorodną tematykę, gdyż różne są zainteresowania i kompetencje autorów zamieszczonych w nim artykułów. Mamy już dosyć ustabilizowaną grupę Czytelników, którzy dzielą się z nami swoimi uwagami oraz sugestiami dotyczącymi tematyki kolejnych zeszytów.

Tym razem wydarzył się nam w wydawnictwie mały „przechył” w kierunku literatury, teatru i sztuki. Blisko połowa tekstów dotyczy tej właśnie tematyki. Kielce zapisały się na trwałe w dziejach teatru w Polsce. To swoisty fenomen; tutaj w latach 1955–1958 funkcjonowało niepowtarzalne ogólnopolskie Studium Teatralne Ireny i Tadeusza Byrskich. Idea szkoły teatralnej oraz jego realizacja w naszym mieście nie powtórzyła się już w Polsce nigdy. Kontynuacja projektu kieleckiego trwać nie mogła, gdyż po Byrskich wyciągnęły się ręce większych od naszego ośrodków kulturalnych w kraju. Odsyłamy do interesującego artykułu Aliny Bielawskiej, będącego efektem teatralnych zainteresowań Autorki.

Tematy literackie, to efekt fascynacji naszych autorów literaturą zarówno tą regionalną, jak i uniwersalną (teksty Zofii Korzeńskiej, Stanisława Rogali, Zbigniewa Masternaka). Z kolei Krzysztof Myśliński, nieustrudzony, jak sam o sobie pisze, antologista, odnajduje w archiwum Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wyjątkowe, nostalgicznie piękne czarno-białe fotografie Jana Siudowskiego, prezentujące fragmenty Kielc, jakich już nie ma: to stare, urzekające w swej prostocie i ubóstwie zaułki i podwórka. Tak zapewne przed wielu laty wyglądała spora część Klerykowa (*Szyfowe prace*), czy Łżawca (*Promień*) w utworach Stefana Żeromskiego, a także dostownie Kielce (*W Kielcach*) w pamięci i twórczości Adolfa Dygasińskiego. Te zdjęcia dowodzą skali ogromnych zmian, jakie się dokonały i wciąż dokonują w krajobrazie naszych miast.

W Regionie Świętokrzyskim pracowało (i pracuje nadal) wielu znakomitych twórców, także malarzy i rzeźbiarzy. Do najwybitniejszych, choć nieco zapomnianych, należała Danuta Sobczak Michałowska, kielczanka z wyboru, malarka i rzeźbiarka zarazem. O jej bogatym życiu i twórczości przeczytać można w tekście Anny Myślińskiej.

Jak zwykle – są w naszym nowym zeszycie artykuły dotyczące dziejów (w tym także militarnych) ziemi świętokrzyskiej, oraz wspomnienia i relacje z przeszłości. Prezentujemy kilka tekstów, odnoszących się do interesujących obiektów, czy jednostkowych wydarzeń; to niby detale, ale jakże wiele wnoszące do naszej znajomości regionalnej etnografii i narodowych tradycji (Samsonów, Kołomań, Janaszów, Busko). Dowiedziecie się także Państwo, to bardzo interesujące! – ile prawdy i nieprawdy o naszym regionie zmieściło się w pierwszym polskim przewodniku krajoznawczym z połowy XIX wieku.

Czy będzie to zajmująca lektura na zbliżające się Boże Narodzenie? Oby! Życzymy naszym Czytelnikom w tym Świątecznym Czasie spokoju, radości i rodzinnego ciepła. A w Nowym 2016 Roku – spełnienia życiowych planów i marzeń.

Redakcja

Z notatnika bibliotekarza na budowie (fragmenty)

Andrzej Dąbrowski

Rok 2005 był dla Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej szczególny. Po wielu zabiegach, dyskusjach, dowodach dobrej woli u jednych i jej braku u innych dopełniła się decyzja o przekazaniu przez miasto Kielce nieruchomości na przyszłą siedzibę regionalnej księżnicy. Było to uwierczenie licznych moich próśb, rozmów, dyskusji. W tym samym roku przeprowadziliśmy przygotowania do złożenia wniosku o środki finansowe z funduszy Unii Europejskiej. Wniosek zyskał akceptację, a w grudniu gotowa była umowa gwarantująca bibliotece jako beneficjentowi projektu większość pieniędzy niezbędnych do budowy własnej siedziby.

W roku 2015 r. minęło dziesięć lat od tamtych wydarzeń. Od siedmiu lat biblioteka funkcjonuje w nowej siedzibie, która pozwoliła nam stworzyć zupełnie nową ofertę. Zaakceptowali ją czytelnicy. Licznie odwiedzają zarówno bibliotekę tradycyjną jak i wirtualną. Każdego dnia biblioteczne wypożyczalnie i czytelnie odwiedza około tysiąca osób. Rocznie udostępniamy setki tysięcy materiałów bibliotecznych. Organizujemy spotkania literackie, warsztaty, szkolenia, debaty, biblioteczne lekcje i konkursy dla młodzieży. Bibliotekę wirtualną, w której zgromadziliśmy ponad trzydzieści tysięcy zbiorów odwiedza rocznie pięćset tysięcy osób. Kontynuujemy proces digitalizacji i powiększania cyfrowego zasobu bibliotecznego.

W trakcie prac związanych ze stworzeniem nowej siedziby dla biblioteki zapisywałem niektóre istotne fakty w swoim notatniku. Poniżej publikuję część moich zapisów dokumentujących fragment historii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

30 marca 2003 r.

Żeby powstała siedziba biblioteki, potrzebne jest miejsce, którego WBP nie ma. Myślę o tym intensywnie, rozmawiam z wieloma osobami, „biegam” po mieście i oglądam budynki, co to być może nadawałyby się do przebudowy. Przy tej okazji słucham licznych opowieści o długiej historii planów i zamiarów zbudowania siedziby Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Ktoś mówi o dawnym pomysłu wykorzystania terenu przy ul. IX Wieków Kielc, ktoś inny przypomina sobie stare koszary przy Bartosza Głowackiego. Poważniej rozważam przejęcie od samorządu województwa zespołu budynków powięziennych przy ulicy Zamkowej. Przeprowadzamy wizję na terenie obiektu przy udziale Janusza Cedro – wojewódzkiego

konserwatora zabytków. Koncepcja konserwatorska idzie w kierunku zburzenia nadbudowanych pięter w osiemnastowiecznych stajniach i wozowniach Pałacu Biskupiego oraz wszelkich elementów zamkniętych teren więzienny – murów i wieżyczek strażniczych. Budynkom przywróciłibyśmy pierwotną architekturę, zagwarantowali szacunek dla miejsca straceń więzionych tu po II wojnie światowej żołnierzy polskiego podziemia. Niestety, obiekt byłby zbyt mały, a teren nie dawał żadnych szans na rozbudowę, nie wspominając o czymś tak istotnym, jak parking dla pracowników i czytelników, o zawilgoceniu murów, o wielu trudnościach z przywróceniem obiektom dobrego stanu technicznego. Jak znaleźć miejsce dla siedziby dużej biblioteki w śródmieściu dwustutysięcznego miasta? Pomogły mi stare, dobre i liczne kontakty z ludźmi ze środowiska oświatowego. Ktoś podsuwa informację o zamiarze władz miasta dokonania likwidacji Zespołu Szkół Zawodowych nr 4 mieszczącego się przy ulicy Ściegiennego. Jeszcze tego samego dnia umawiam się na rozmowę z Andrzejem Sygutem – wiceprezydentem Kielc. Proponuję, by budynek po zlikwidowanej szkole przekazano na siedzibę WBP. Widzę, że jest trochę zaskoczony, chwilę się zastanawia, mówi o licznych zainteresowanych nieruchomością, mimo to uznaje mój pomysł za dobry. Twierdzi, że można by przekonywać prezydenta Wojciecha Lubawskiego do takiego rozwiązania.

Zaraz po rozmowie umawiam się z marszałkiem województwa Franciszkiem Wołodźko w pilnej sprawie na rano następnego dnia. Informuję go o pomysłach, proszę o pomoc w jego urzeczywistnianiu. Otrzymuję obietnicę przeprowadzenia rozmowy na ten temat z prezydentem Kielc i złożenia oficjalnego wniosku w sprawie przekazania nieruchomości na siedzibę biblioteki. Wołodźko zapytał mnie, czy efektem przejęcia i adaptacji budynku będzie wyprowadzenie biblioteki ze wszystkich wynajmowanych lokali. Obiecałem, że tak się stanie.

15 kwietnia 2003 r.

Zdecydowałem się wybrać do ZSZ nr 4. Zaraz po wejściu spotykam panią, która okazuje się być kierownikiem szkolnej administracji. Postanawiam zachować anonimowość, choć wyjaśniam, że obiekt interesuje mnie jako ewentualnego przyszłego gospodarza. Otrzymuję zgodę na zapoznanie

się z rozkładem pomieszczeń, przeglądam starą dokumentację, coś kopiuję, by móc spokojnie popatrzeć na wielkość i funkcje poszczególnych sal i korytarzy. Szkolny układ architektoniczny nie wyklucza dostosowania do funkcji bibliotecznych – rozważamy to w gronie bibliotekarskim. Pewnie lepiej wybudować bardziej zwartą siedzibę od początku. Marszałek Wołodźko nie obiecuje więcej niż kilka (5– 6 milionów złotych).

18 grudnia 2003 r.

Cały niemal rok zabiegam o nieruchomość przy Ściegiennego. Marszałek czyni to w imieniu samorządu województwa. Rozmawiam także z prezydentem miasta, który jakby trochę nie wierzy w nasze zdolności uczynienia budynku ładnym, godnym siedziby biblioteki regionalnej. Mówi o swoich zobowiązaniach wobec innych podmiotów, ale deklaruje wolę pomagania. Realna jest możliwość umieszczenia przy Ściegiennego sądu administracyjnego. Rozmowy, rozmowy, rozmowy... Dziennikarze, radni, ludzie kultury...

W końcu przeważa szalę nowa okoliczność. Projektowany stadion piłkarski musi mieć parking, ale brakuje terenu odpowiedniej wielkości. Teren może przekazać samorząd województwa. Dochodzi do zamiany, czego efektem jest oddanie nieruchomości po ZSZ nr 4 na potrzeby naszej biblioteki. Jednak ustne porozumienie marszałka z prezydentem wymaga zgody radnych kieleckich.

5 lutego 2004 r.

Rano czytam w *Słowie Ludu*, że radni miejscy nie wyrazili zgody na przekazanie nieruchomości przy Ściegiennego 13 na siedzibę WBP. Nie wiem dlaczego? Zdaje się, że nie mieli poważnych argumentów. Wcześniej wielu z nich w rozmowach ze mną deklarowało poparcie uchwały.

Jakiś czas temu jeden z radnych zapytał mnie, czy sądzę, że biblioteki są jeszcze potrzebne. Odpowiedziałem, że do naszej biblioteki kartę czytelnika pobrało jakieś 18000 ludzi, więc skąd te wątpliwości. Czy zapytałby o sens istnienia piłkarskiego klubu „Korona”, który miałby tylu statych kibiców?

Na 26 lutego zwołano kolejne posiedzenie rady miasta.

26 lutego 2004 r.

Po uznaniu przez komisję ds. mienia komunalnego, że przekazanie nieruchomości przy Ściegiennego będzie decyzją właściwą, prezydent Lubawski zgłosił ponownie wniosek o jej akceptację przez radnych. W posiedzeniu komisji uczestniczyłem wraz z przedstawicielami samorządu województwa. Dziś wybrałem się do ratusza na 10.00. Przesunięto godzinę rozpoczęcia posiedzenia rady miasta – radni obradowali w swoich

klubach. Efektem obrad rajców lewicowych był wniosek o skreślenie z porządku obrad sprawy przekazania nieruchomości dla naszej biblioteki. Wcześniej kilku z nich obiecywało poparcie naszych zabiegów. W całej tej sprawie – zdaje się – ważne są osobiste ambicje. Wyszedłem z posiedzenia rady analizując zachowania radnych. Stworzyło się lobby „antybiblioteczne”. Chcą coś ugrać absolwenci I Liceum Ogólnokształcącego. Niektórzy proponują przejęcie części terenu z salą gimnastyczną. Poznałem ten kuriozalny pomysł i oprostowałem. Świadczy on o braku wyobraźni jego twórców. Oznaczałoby to zabranie części budynku i organizowanie rozgrywek sportowych w bibliotece. Cudowne. Wymyślili to absolwenci I LO. 80 lat po śmierci Stefana Żeromskiego dobrze byłoby być przekonanym o nieaktualności jego krytycznych ocen Kielc i kielczan. W kontekście moich bojów o siedzibę biblioteki wydają się one być ciągle aktualne.

27 lutego 2004 r.

Mam (chwilowy) spadek motywacji do działania. Biorę zaległy urlop i wyjeżdżam. Czytam zaległą publicystykę. Immanuel Kant napisał kiedyś, że „oświecenie to wyjście człowieka z niepełnoletności, która objawia się brakiem zdolności do postępowania się swym własnym rozumem bez obcego kierownictwa”. Wielki filozof uznał, że jesteśmy winni takiego stanu rzeczy wtedy, kiedy nie brakuje nam rozumu, ale woli do postępowania się nim.

5 marca 2004 r.

W zabiegach o przyszłą siedzibę WBP pomagają mi entuzjastycznie nastawione do projektu dziennikarki z kieleckich gazet i Radia Kielce.

11 marca 2004 r.

Okolo 19.00 dowiedziałem się z kieleckich mediów, że rada miasta zaaprobowwała wniosek prezydenta w sprawie przekazania nieruchomości przy Ściegiennego – jednak pod warunkiem odcięcia jej części i przekazania I Liceum.

Przed 20.00 zatelefonowałem na numer komórkowy wiceprezydenta Syguta. Był w sali obrad rady miasta. Potwierdził tę dobrą wiadomość. „Masz działkę” – powiedział nieco ściszonego głosem.

12 marca 2004 r.

Radość w siedzibie WBP przy Rynku. Niektórzy kserują notatkę z *Gazety Wyborczej* zatytułowaną „Biblioteka ma siedzibę”. Nie jest to jeszcze siedziba, ale Biblioteka czekała na konkretną decyzję prawie sześćdziesiąt lat. Wiele wskazuje na to, że będziemy mieli nowy adres.

13 marca 2004 r.

Długa podróż na konferencję do Zielonej Góry. W tym mieście udało się wybudować w latach siedemdziesiątych gmach biblioteki według projektu, który miał być również wykorzystany w Kielcach. Mieszczą się w nim dwie biblioteki wojewódzkie – publiczna i pedagogiczna.

30 czerwca 2004 r.

Z opóźnieniem spowodowanym pracami geodezyjnymi, czyli odcinaniem kawałka działki dla I LO, przejmujemy nieruchomość na podstawie umowy użyczenia. Pozwoli nam to szybciej przygotować projekt inwestycji, a przede wszystkim zinwentaryzować stan techniczny podniszczonego budynku.

22 listopada 2004 r.

Po kolejnym przetargu uruchamiamy prace projektowe nowej siedziby. Zadania podejmują się architekci z firmy *Team*. Do współpracy staram się włączyć bibliotekarzy – zwłaszcza z Działu Metodyki, Szkoleń i Analiz oraz kierowników innych działów, ale najbardziej angażuje się Jagoda Zielińska. Wspólnie musimy przemyśleć funkcjonowanie biblioteki w istniejącym budynku, być może po rozbudowie.

11 stycznia 2005 r.

Uczestniczyłem dziś w podpisaniu notarialnego aktu darowizny, którym Gmina Kielce przekazała Województwu Świętokrzyskiemu nieruchomość przy Ściegiennego 13 dla potrzeb naszej biblioteki. Wracam z biura notarialnego z przekonaniem, że zdarzyło się coś bardzo ważnego.

25 lutego 2005 r.

W polskim pejzażu bibliotecznym pojawiła się młodziężowa biblioteka książkowo-filmowo-muzyczna, z Internetem, programami edukacyjnymi i grami komputerowymi. „Przyniosła” tę formę bibliotekarską Fundacja Bertelsmanna – z jakichś (?) powodów do Wrocławia i Olsztyna. My stworzymy ją sobie sami, zanim osiadziemy w nowej siedzibie. Zbiorów multimedialnych nie stworzy się z dnia na dzień, więc trzeba zacząć wcześniej. Niezłym miejscem jest lokal na osiedlu Barwinek.

27 kwietnia 2005 r.

Myślenie o siedzibie WBP nie zwalnia z zabiegów o jej rozwój, o informatyzację, która po przeprowadzce nie dokona się z dnia na dzień. Minione dwa lata pod tym względem wypadają całkiem nieźle. Udało się uporządkować istotne sprawy organizacyjne,

finansowe i kadrowe. Czasem wywołuje to sporo emocji, ale akceptowanie zmian nie musi być powszechne. Niektórzy potrzebują więcej czasu na ich zrozumienie, a jeszcze inni oceniają wszystko, w czym uczestniczą, według prostego kryterium: zyskuję czy tracę.

Najważniejsze są uwieńczone sukcesem zabiegi o nieruchomość przeznaczoną na przyszłą siedzibę, zaawansowane w 90% prace projektowe, rozbudowa systemu informatycznego o 40 stacji, wymiana części wyposażenia, utworzenie czytelní informatycznej i pracowni digitalizacji zbiorów, podjęcie prac przy cyfryzacji zbiorów regionalnych (także w ramach umowy podpisanej z Biblioteką Narodową), nowy sprzęt do fotografowania.

Ponadto udało się uporządkować szczególnie nabrzmiałe sprawy roszczeń do starych zbiorów zgromadzonych w latach czterdziestych po reformie rolnej PKWN. Zakończony został proces ze spadkobiercami Łuniewskich z Gnojna (większość zbiorów zwrócono, niektóre wykupiono), a najważniejsze było podpisanie ugody z rodziną Deskurów, co pozwoliło nam zachować zbiory z Sancygniowa. Uzyskanie akceptacji Samorządu Województwa będzie skutkowało przekazaniem Bibliotece pieniędzy na ten cel przed końcem czerwca bieżącego roku.

Zwiększyliśmy zakupy książek do 8000 woluminów rocznie. Uruchomiliśmy cykliczne wystawy prac plastycznych i fotografii w małej galerii na osiedlu Barwinek. Do szczególnie cennych zbiorów dołączyliśmy zakupiony na aukcji list Stefana Żeromskiego, a niebawem wzbogacimy je o szesnastowieczny „Herbarz...” Marcina Siennika.

26 maja 2005 r.

Finał prac przygotowawczych do przebudowy budynku – siedziby WBP. Biblioteka stała się właścicielką nieruchomości przy ul. Ściegiennego na początku maja. Do projektu potrzebna była jej wartość. Wynajęta przez Bibliotekę firma wyceniła teren i budynek ostrożnie na 2 800 000 złotych.

Przygotowaliśmy kompletny wniosek o dofinansowanie projektu ze środków Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego. Liczy ponad dwieście stron bez wielu tomów załączników. Potrzebne pieniądze to prawie 12 milionów złotych. Czy powiedzie się nam w ostrej konkurencji z innymi projektami? Zdecydują o tym oceny merytoryczne i gremia samorządowe reprezentujące różne jednostki z regionu świętokrzyskiego.

Na decyzję przyjdzie trochę poczekać.

15 października 2005 r.

Wniosek o dofinansowanie realizacji projektu siedziby WBP przechodzi, choć okrojony o kilkaset tysięcy, co oznacza, że będziemy mogli zrobić mniej

niż planowaliśmy. Jednak jesteśmy blisko otrzymania dużej kwoty – ponad 11 milionów złotych.

Teraz musimy podjąć ważne decyzje związane z organizacją inwestycji – przygotowaniem zamówień publicznych i prowadzeniem prac budowlanych.

Chciałem przekazać prowadzenie projektu samorządowi województwa, zwłaszcza w fazie budowlanej. Jednak moi zwierzchnicy byli innego zdania. Będziemy więc sami prowadzić sprawę źródeł finansowania, zabiegać o prefinansowanie przez Bank Gospodarstwa Krajowego, powoływać pracowników do kierowania budową i do nadzoru inwestorskiego, wyłaniać wykonawcę robót w przetargu bądź przetargach, rozliczać prace budowlane, a potem wyposażać budynek i przenosić zbiory biblioteczne. Czekają nas ogromnie dużo pracy.

30 grudnia 2005 r.

Po kilku miesiącach proceduralnych zmaganiach wniosek Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej zaakceptowali prawnicy wojewody świętokrzyskiego. Tuż przed końcem roku otrzymałem zawiadomienie, że umowa na środki z Unii Europejskiej może być podpisana.

Przeczytałem uważnie treść dokumentu opatrzonego pięcioma czy sześcioma pieczęciami i tu zostałem zaskoczony. Do podpisania umowy wymagane jest podpisanie przed notariuszem „zobowiązania o dobrowolnym poddaniu się egzekucji” środków finansowych, gdyby nie zostały one wykorzystane zgodnie z przeznaczeniem. Biblioteka nie ma przychodów ze świadczonych usług. Zatem odkładamy podpisanie umowy.

Zarząd Województwa pozostawia problem Bibliotece, skoro ma osobowość prawną. Idę do notariusza, by uzgodnić podpisanie oświadczenia. Tu dowiaduję się, że koszt prostej operacji liczony będzie od kwoty ponad jedenastu milionów, co powoduje konieczność wniesienia opłaty w wysokości jedenaście tysięcy złotych. Negocjuję. W końcu ustalamy opłatę na poziomie czterech tysięcy.

10 lutego 2006 r.

Od miesiąca „walczymy” z kolejną przeszkodą. Okazało się, że urzędnicy poziomu wykonawczego w Świętokrzyskim Urzędzie Wojewódzkim nie uznają pojęcia „aportu rzeczowego” wniesionego przez wnioskodawcę. Nie wiedzą, jak rozliczać aport, boją się podjąć decyzję wykraczającą poza schemat wydeptanej urzędniczej ścieżki. Mam wrażenie, że jestem tu intruzem. Moja propozycja rozwiązania problemu zostaje niemal wyśmiana. Pryskają nastroj mitej współpracy z urzędem już na początku realizacji projektu. Oświadczam więc, że zaprezentowane stanowisko należy uznać za wypowiedzenie podpisanej przez wojewodę umowy. Sugeruję zasięgnięcie opinii Ministerstwa Rozwoju Regionalnego.

15 maja 2006 r.

Korespondujemy i negocjujemy już kilka miesięcy. Urząd zadaje „jakieś” pytania Ministerstwu i otrzymuje „jakieś” odpowiedzi. Szukam pisma zawierającego wyjaśnienia Ministerstwa, które rok wcześniej przestano gdzieś w Polskę. Odnajduję je w Gdańsku w tamtejszym urzędzie wojewódzkim.

W końcu ku niezadowoleniu dyrektora wydziału w ŚUW piszę sam do Ministerstwa pismo i zadaję kilka pytań. Otrzymuję odpowiedź, że rozwiązanie proponowane przez nas w styczniu jest możliwe do zastosowania. Ministerstwo uznaje, że wniesienie aportu rzeczowego wycenionego przez niezależną firmę uprawnioną do takich czynności może być podstawą do jednorazowego wypłacenia Bibliotece 75% jego wartości. Nikt z urzędu nie powiedział: „miliście rację”. Ale sprawy zaczęły się toczyć wartko.

25 lipca 2006 r.

Po kilku miesiącach kończymy mozolny cykl przetargowy. Dla Biblioteki jest to zupełnie nowe doświadczenie. Chcemy wybrać firmę, która gwarantuje solidne wykonanie prac. Kilka przedsiębiorstw walczy z sobą, ale komisja dopatrzyła się szeregu uchybień w niektórych złożonych ofertach. Każda firma sprawdza wnikliwie dokumenty konkurencji, analizuje i w końcu dwukrotnie trafiamy na rozprawy arbitrażowe w Urzędzie Zamówień Publicznych. Wygrywamy obydwie spory i mamy satysfakcję, że postępujemy zgodnie z procedurami, a duża firma budowlana płaci około sześć tysięcy złotych opłat procesowych.

26 sierpnia 2006 r.

W obecności dziennikarzy podpisujemy umowę na wykonanie prac budowlanych z Przedsiębiorstwem „Mitex” S.A. reprezentowanym przez dyrektora Zajączkowskiego. To jest dla mnie moment szczególny.

28 sierpnia 2006 r.

Sprawy budowy poprowadzi inżynier Grzegorz Żółciński. Dziś przekazaliśmy „Mitexowi” teren budowy. Ruszają z początkiem września.

14 listopada 2006 r.

Wartko idą prace wyburzeniowe i murarskie. Przed zimą staną ściany dobudowywanej części budynku.

Obserwuję wybory samorządowe. Wszak nie jest bez znaczenia, kto będzie decydował o środkach samorządowych na dokończenie projektu, zwłaszcza na wyposażenie obiektu – siedziby naszej Biblioteki.

17 stycznia 2007 r.

Prace trwają już kilka miesięcy. Ich zakres jest bardzo duży: wyburzenia i demontaż – z istniejącego budynku pozostają tylko ściany zewnętrzne; także jego rozbudowa o kilkaset metrów kwadratowych, odwadnianie terenu o powierzchni jednego hektara, wykonanie izolacji ścian zewnętrznych, ich ocieplenia i nowych elewacji, wyposażenie obiektu we wszelkie nowe instalacje – od wodnych i kanalizacyjnych po systemy okablowania strukturalnego, przeciwpożarowe, monitoringu etc.

Na wykonanie całości „Mitek” ma czas do października. Zawarliśmy umowę ryczałtową na wykonanie całości prac w określonym czasie. Raz w tygodniu spotykamy się w gronie pięciu osób bezpośrednio uczestniczących w przedsięwzięciu: inżynierowie Grzegorz Żółciński – odpowiedzialny za nadzór budowlany ze strony Biblioteki jako inwestora, Waldemar Kiniorski – nadzorujący prace z zakresu instalacji wodnych, wentylacyjnych, klimatyzacyjnych, Piotr Baran odpowiedzialny za prace przy instalacjach nisko- i wysokoprądowych, prowadząca dokumentację Joanna Wojtyna oraz ja – odpowiedzialny za realizację całości projektu.

Już teraz ustalamy sposoby zapewnienia usług telekomunikacyjnych, przygotowanie pomieszczeń do instalowania regatów w magazynach, analizujemy wyniki ekspertyzy, która spowoduje zwiększenie pierwotnie planowanego zakresu prac.

29 stycznia 2007 r.

Składamy kolejny wniosek o refundację wydatków inwestycyjnych do Wydziału Zarządzania Funduszami Europejskimi Urzędu Wojewódzkiego.

Procedury opanowaliśmy tak dobrze, że nasze wnioski są akceptowane bez poprawek i w ciągu trzech tygodni otrzymujemy pieniądze na konto WBP.

Wszystko musi być rozliczone zgodnie z miesięcznym harmonogramem płatności, odbioru robót, przygotowane w postaci kompletu dokumentów, policzone z taką dokładnością, by nie wystąpił problem choćby jednego grosza w zaokrągleniu kwot. Już tego doświadczyliśmy. Taka różnica może spowodować „straszne” skutki w postaci dodatkowej wymiany pism, zwrócenia wniosku i długiego czekania.

No i należy pamiętać, by wszystkie dokumenty były podpisane atramentem niebieskiego koloru.

11 kwietnia 2007 r.

Choć prace przebiegają sprawnie, to jednak powraca kwestia robót dodatkowych (izolacyjnych), co wywołuje oczekiwania wykonawcy na dodatkowe kwoty, poza określonymi w umowie. Wykonano sporo robót wykończeniowych, pokrycia dachowe, roboty ziemne.

7 maja 2007 r.

W kwietniu wykonano to, co zaplanowano: roboty dachowe, prace przy elewacji budynku, instalację grzewczą. Nowy problem to przygotowanie optymalnego wariantu dostępu do internetu. Rozmawialiśmy o tym na dzisiejszym spotkaniu. Poza Telekomunikacją Polską brak zainteresowania innych firm tego rodzaju usługami, albo brak możliwości technicznych. Wracamy do potrzeby wykonania ogrodzenia, które ze względu na konieczność ograniczenia wydatkowanych pieniędzy zostało pierwotnie wykreślone z projektu. Przygotowujemy się do przeprowadzenia dodatkowego przetargu na wykonanie kilkuset metrów bieżących płotu.

21 maja 2007 r.

Przetarg na wykonanie ogrodzenia nie cieszy się zainteresowaniem. Brakuje firmy, która fachowo wykonałaby pracę.

Na początku sierpnia część pomieszczeń nowej siedziby będzie przygotowana do wyposażania.

18 czerwca 2007 r.

Wykonawca zapewnia, że mimo problemów z wykonaniem w większym zakresie izolacji poziomej budynek zostanie oddany do użytku w terminie. Oznacza to, że w końcu października przejmujemy własną siedzibę...

26 czerwca 2007 r.

Następuje nagły zwrot w stanowisku wykonawcy. Uznaje, że bez dodatkowych kilkuset tysięcy złotych nie będzie mógł dokończyć robót w terminie. W długiej i trudnej rozmowie z dyrektorem W. trzymam się konsekwentnie ustaleń z podpisanej umowy ryczałtowej. Ostatecznie zapada decyzja, że prace zostaną wykonane, a wykonawca rozważy skierowanie sprawy na drogę sądową.

24 września 2007 r.

Rusza biblioteczna kotłownia, sprawdzamy działanie systemu grzewczego. Kotłownia prezentuje się bardzo nowocześnie.

W ciągu kilku dni rozpoczynamy odbiory innych instalacji. Przygotowujemy zakupy sprzętu przeciwpożarowego.

15 października 2007 r.

Prowadzimy tak zwany odbiór końcowy robót budowlanych. Do przejścia budynku zostało dziewięć dni. Potem intensywne wyposażanie i przenoszenie biblioteki z dotychczasowych lokali. Zakupy sprzętu

trwają. W budżecie mamy zapewnione dodatkowe środki finansowe obiecane przez marszałka Adama Jarubasa. Po raz kolejny ćwiczymy procedury przetargowe. Z radością odbieramy wyposażenie od dostawców.

24 października 2007 r.

Podpisujemy protokół odbioru końcowego robót budowlanych. Mamy własną siedzibę przy Ściegiennego 13.

28 grudnia 2007 r.

Przenieśliśmy „centralę” naszej biblioteki z Rynku do siedziby przy Ściegiennego. Mamy już większość wyposażenia. Organizacją transportu zajmuje się Janusz Wijas – kierownik administracji. Dobrze przebiegło przygotowanie transportu i przewiezienie najcenniejszych zbiorów pod kierunkiem Bożeny Piaseckiej – opiekującej się cennymi starodrukami.

Pierwszy raz stanąłem za przeszkloną ścianą swojego nowego pokoju. Wieczorem, kiedy pokój jest oświetlony, przechodnie oglądają jego wnętrze, a przy okazji mnie, bo za sprawą pomysłu projektanta stałem się częścią architektury – ożywionej, bardziej przyciągającej wzrok. To bardzo przebiegłe – użyć dyrektora do zainteresowania mieszkańców biblioteką, wykorzystując możliwość podglądania wnętrza. A może chodziło o transparentność stanowiska dyrektora w czasach większej podejrzliwości.

20 lipca 2009 r.

Po roku funkcjonowania biblioteki pod nowym adresem mamy powody do zadowolenia. Zaakceptowali nas czytelnicy. Tylko w okresie sześciu miesięcy bieżącego roku prawie piętnaście tysięcy osób otrzymało naszą legitymację. Dziennie z różnych bibliotecznych usług korzysta od tysiąca do dwóch tysięcy osób.

W listopadzie ubiegłego roku uruchomiliśmy Świętokrzyską Bibliotekę Cyfrową, jedyną w Regionie bibliotekę wirtualną. Udostępniamy w niej, stale powiększając ich liczbę, najciekawsze zbiory regionalne.

Większość moich współpracowników pracuje z zapałem, chce współtworzyć dobrą jakość bibliotecznej oferty. To daje efekty, zyskuje świetne oceny czytelników, którzy najlepiej czują, poza dyrekcją być może, kto pracuje dla nich. Odczuwam ogromną wdzięczność dla moich koleżanek i kolegów, z którymi udało mi się wzajemnie zrozumieć i tworzyć nowe oblicze biblioteki, nawet kosztem własnego komfortu.

Wbrew przekonaniu pewnego dziennikarza, który konsekwentnie powtarzał, że projekt siedziby WBP przy ulicy Ściegiennego nie ma szans powodzenia – zrobiliśmy to. Kiedy pytałem, dlaczego tak twierdzi, odpowiadał, jako zawsze najlepiej poinformowany: „Bo wiem, że nie”. On także osiągnął sukces. Doceniła jego dziennikarstwo redakcja poważnego tygodnika,

w którym regularnie publikuje. Niestety, o kieleckich sprawach już nie pisuje, bo przeprowadził się do stolicy.

P.S.

31 sierpnia 2011 r.

Minęły trzy lata od uruchomienia biblioteki w nowej siedzibie. Przywykliśmy do tego miejsca, pozostawiając bez żalu dawne lokale biblioteczne. Nie tęsknimy za kamienicą przy Rynku i wypożyczalnią w budynku Urzędu Wojewódzkiego. Nową siedzibę polubili czytelnicy. Stałych bywalców poprosiliśmy o ocenę naszych starań w anonimowej ankiecie. Ponad 90% spośród nich oceniło dobrze lub bardzo dobrze poziom oferowanych przez nas usług.

Od dwóch lat patronuje nam Witold Gombrowicz. Jego żona Rita, strażniczka jego spuścizny przyjechała, by odstąpić popiersie pisarza przed budynkiem biblioteki. Popiersie wykonał Józef Opala. Bibliotekę Gombrowicza odwiedza coraz więcej czytelników. W 2010 roku wypożyczało nasze zbiory 24 500 osób, o 10 000 więcej niż w roku 2007, tj. przed przeprowadzką. Z bibliotecznych statystyk wynika, że liczba odwiedzających wypożyczalnię, czytelnie i korzystających z informacji w tym samym czasie zwiększyła się o 200 000 rocznie (do 380 000).

Uruchomiona przez WBP Świętokrzyska Biblioteka Cyfrowa zgromadziła na swoich dyskach ponad 11 500 jednostek inwentarzowych prasy i wydawnictw zwartych związanych z regionem, a odwiedziło ją prawie 765 000 osób z Polski i kilkunastu innych krajów.

Organizujemy rocznie 150–170 różnych form współpracy z czytelnikami i bibliotekarzami: spotkań literackich, konkursów, lekcji bibliotecznych, szkoleń.

Współpracujemy ze stowarzyszeniami, instytucjami kultury, szkołami, przedszkolami, domami pomocy społecznej. Mamy spore grono przyjaciół, którzy regularnie nas odwiedzają.

Wydajemy kwartalnik *Świętokrzyskie*, poświęcony historii regionu, wychowaniu patriotycznemu, edukacji regionalnej. Pomagamy twórcom w publikacji tekstów literackich i opracowań.

Liczba wpisywanych do inwentarza jednostek wzrosła z kilku do kilkunastu tysięcy rocznie. To wynik istotnego wzrostu wydatków na zakup zbiorów (w 2010 roku wydaliśmy na ten cel 500 000 złotych).

Bywa, że jesteśmy zmęczeni. Widzę to patrząc na twarze koleżanek obsługujących czytelników. Mimo to z radością mówią o liczbie osób, które znów przyszły nas odwiedzić, poszukując książki, filmu, pomocy w wyszukaniu potrzebnych informacji. Takich bibliotecznych odwiedzin jest codziennie 1200–1500. To one są źródłem naszej bibliotekarskiej satysfakcji.

Pomysł stworzenia w teatrze studiów mających na celu wyedukowanie nowych sił aktorskich tkwił w Byrskich od dawna – jeszcze w czasach ich edukacji, szczególnie Tadeusza Byrskiego, będącego pod wrażeniem i wpływem dokonań mistrza Juliusza Osterwy, z którym przemierzył swoisty szlak przez Polskę – z Warszawy na Litwę do Wilna w latach 20. ubiegłego stulecia. Po wojnie towarzyszyła mu niezmordowanie żona Irena, którą poznał w teatrze żywego słowa na początku lat 30. Idea kształcenia dla teatru właśnie w teatrze, a nie gdzie indziej, lecz w o b e c n o ś c i powstawania dzieł teatralnych *hic et nunc*, narodziła się już w czasach młodości, kiedy ich samych kształtowano, kietkowano latami, aby zacząć się rozwijać zaraz po wojnie w teatrach, gdzie przyszło im pracować: w Opolu i w Toruniu. Szczęśliwy dla Kielc traf sprawił, że przybyli tu w 1952 r. Studium Teatralne powołali do życia w 1955 r. – po trzech sezonach pracy w Państwowym Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Irena Byrska, wykorzystując bytność w Warszawie w Ministerstwie Kultury i Sztuki, przedstawiła projekt Studium, następnie błyskawicznie, na niedużej kartce – odwrocie jakiegoś maszynopisu – skreśliła główne założenia i koszty, które okazała Włodzimierzowi Sokorskiemu. Trzyletnie Studium Teatralne zostało zatwierdzone na mocy zarządzenia Ministerstwa Kultury i Sztuki nr 226 z 20 grudnia 1955 r.¹ Informacja zamieszczona w „Przekroju” brzmiała:

„Uwaga, młodzi i zdolni! Pierwsza w Polsce państwowa średnia szkoła aktorska powstała przy Teatrze im. Żeromskiego w Kielcach. Okres trwania nauki wynosi 3 lata, wiek dla kobiet od 16–25 lat, dla mężczyzn od 18–30 lat. Szkoła jest koedukacyjna, internat obowiązkowy, nauka i utrzymanie w internacie – na koszt państwa. Egzaminów wstępnych odbędą się z końcem lipca i w sierpniu, kandydaci muszą mieć ukończone 9 klas”².

Z relacji żyjących słuchaczy – absolwentów Studium Teatralnego przy Państwowym Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach wynika, że wstępne rozmowy odbywały się latem, w miesiącach wakacyjnych 1955 r. Chętnych było wielu – ok. 300 osób. (Z. Osiński podał liczbę 434 osób). Po wstępnej rozmowie-wywiadzie, prowadzonej przez Irenę Byrską, z sentymentem wspominaną m. in. przez Bolesława Idziaka, jednego z dwóch – obok

Janusza Zlamala najstarszego kandydata – czekało się na decyzję i właściwy egzamin. Po ok. miesiącu – dwóch zaproszono ok. 40 finalistów na 3 dni do Kielc na ostre egzamin. Dopiero na podstawie wstępnej eliminacji kandydat został wpisany na listę uczestnika konkursowego egzaminu do Studium Teatralnego. W związku z tym konieczna była obecność kandydata od 16 września wieczorem, bowiem w dniach: 17, 18, 19 września 1955 r. w gmachu teatru miał się odbyć egzamin. Zaświadczenie tej treści zostało przestane dla okazania w miejscu pracy lub w szkole, w celu uzyskania zezwolenia na wyjazd do Kielc. Kierownictwo Studium Teatralnego dotaczyło także do zawiadomienia o zakwalifikowaniu do ostatecznego konkursowego egzaminu: regulamin szkoły, wykaz dokumentów i kwestionariusz. (informacje z dokumentów udostępnionych mi przez Henryka Marka Dąbrowskiego – absolwenta Studium). W regulaminie egzaminu określono dokładnie, co należy przygotować dobrze na pamięć: 4 utwory wierszem (ewentualnie fragmenty), 1 utwór prozą (lub fragment utworu). Utwory te powinny być z różnych epok i o różnym charakterze (co najmniej 3 z literatury polskiej, 2 mogą to być dobre przekłady), 2 piosenki albo pieśni (także na pamięć), drukowane teksty literackie przygotowanego materiału i nuty. Polecono przeczytać *Antygonę* Sofoklesa i *Lekarza mimo woli* Moliera. Trzeba było przywieźć także kostium gimnastyczny – szorty albo krótkie spodenki, koszulkę trykotową i miękkie pantofle. Na egzaminie wymagano też posiadanie papieru kancelaryjnego, pióra, papieru rysunkowego, ołówka, kredek, farb szkolnych i pędzelka. Przedstawiona lista wyraźnie dowodziła, że egzamin konkursowy miał być poważnym sprawdzianem umiejętności, wiedzy teoretycznej oraz praktycznej. We wspomnieniach Jarosława Strzemia z 10 grudnia 2013 r. wyłonił się taki oto obraz: „Egzaminy do Studium były dwuetapowe. Najpierw rozmowa-wywiad, przez który przeszło podobno 200–300 osób z całej Polski. Po bodajże miesiącu około 40 finalistów było zaproszonych na 3 dni do Kielc na ostre egzamin. Było tam wszystko: wiersz, proza, scenki aktorskie, zajęcia ruchowe, jakieś tańce, dalsze rozmowy, dyskusje itp. Byliśmy pod lupą, bo wszyscy mieszkali i jedli w teatrze, egzamin/zajęcia trwały od rana do wieczora. Z tej gromady przyjęto 24 osoby, 16 mężczyzn i 8 kobiet. (Ukończyło w sumie 17 osób). Ja byłem jedynym kielczaninem w Studium i do tego najmłodszym (niecałe 17 lat!). Do dziś nie mogę pojąć, jakimi kryteriami kierowali się p.p. Byrscy przy przyjmowaniu. Przede wszystkim wiek kandydatów.

¹ Napisał o tym Zbigniew Osiński w książce „Nazywał nas bratnim teatrem”. *Artystyczna przyjaźń Ireny i Tadeusza Byrskich z Jerzym Grotowskim. Słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2005.

² „Przekrój” nr 537 z 22 lipca 1955 r., s. 11.

Przyjęto ludzi od 17 do 29 lat, na wspólne mieszkanie w teatrze, intensywne zajęcia przez trzy lata i bardzo mało czasu na życie prywatne. Była też niestychana różnorodność środowiskowa, wykształceniowa i doświadczeniowa. Byliśmy, pod każdym względem, niestychanie zróżnicowaną grupą ludzi. To stwarzało różnego rodzaju napięcia, a czasem poważne konflikty. Dzisiaj, po tylu (60!!!) latach, po prostu w głowie mi się nie mieści, jak to było możliwe...”

Oficjalne kierownictwo pozostawało w rękach Ireny Byrskiej, choć – zdaniem profesora Z. Osińskiego – oboje małżonkowie je założyli, współtworzyli i co najbardziej godne podkreślenia, formowali jego kształt na co dzień. Byli zdania, że kształcenie aktorów powinno się zaczynać właśnie w tym studium, natomiast wyższa szkoła teatralna miałaby za zadanie edukację reżyserów, dyrektorów i organizatorów kultury już po średniej szkole teatralnej i trzyletniej pracy w teatrze.

Uroczyste otwarcie roku szkolnego w Studium Teatralnym odbyło się 19 listopada w Państwowym Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Wykłady i zajęcia w pierwszym dniu nauki poświęcone były twórczości Stefana Żeromskiego – z okazji 30. rocznicy śmierci pisarza. Fragmenty wygłoszonych w tym dniu wystąpień zamieściło „Słowo Tygodnia” (dodatek społeczno-kulturalny „Słowa Ludu”) z 26 listopada 1955 r. w numerze 36 (178). Nie mogło być lepszej daty dla tej

ważnej inauguracji jak właśnie nawiązanie do patrona teatru, w którym Studium Teatralne znalazło siedzibę oraz do miejsca – Kielc i Ziemi Kieleckiej, najbliższej sercu Ojczyzny dla tego wybitnego pisarza – gorącego patrioty. I jeszcze 30. rocznica śmierci pisarza – data otwarcia Studium w takim kontekście pozostanie w pamięci rozpoczynających naukę młodych ludzi, łącząc się dla nich niewątpliwie z osobistym sukcesem i ważnym momentem w ich życiu. Już w tym fakcie upatrywać należy idee pedagogicznego działania legendarnych Byrskich, ich niezwykłego zmysłu organizacyjnego i wychowawczego. Te zapowiadane w „Słowie Tygodnia” fragmenty to dwa obszernie teksty: Jerzego Andrzejewskiego – „Przed laty trzydziestu...” i Ireny Jarosz – „Moje spotkania z Żeromskim”. Jerzy Andrzejewski wyraził wzruszenie, jakie go ogarnia na myśl, że właśnie tutaj, w miejscu tak mocno i wszechstronnie związanym z dzieciństwem i wczesną młodością wielkiego pisarza, przypadł mu zaszczyt mówienia o Nim, który swymi dziełami wciąż pomiędzy nami żyje i niezmiennie stanowi wysoki ideał twórczego powołania i sumienia. I wyznanie: „Stefan Żeromski był moją wielką miłością młodości. Kochałem go tak, jak tylko we wczesnych latach potrafi się kochać: ślepo, zachłannie, a równocześnie z poczuciem uwielbienia, które pomiędzy kochanym a kochającym wyznacza dystans dla pokory i czci tak potrzebnych młodym sercom. Kiedy umarł Żeromski, byłem uczniem klasy szóstej, co odpowiada obecnie

klasie dziewiątej, i śmierć jego stała się dla mnie bolesnym przeżyciem osobistym”. Dalej mowa o fascynacji twórczością Żeromskiego: *Międzymorzem*, *Przedwiośnią*, po którym miała być kolejna część pt. *Wiosna*, *Przepióreczką* – premierowy afisz przez wiele lat przechowywał troskliwie w biurku i parokrotnie był widzem tej sztuki w teatrze Eugeniusza Poredy na Karowej, w teatrze Słowackiego w Krakowie, kiedy to ogarnął go po prostu czar – ten sam, co na premierze warszawskiej, kiedy był młodym chłopcem, *Popiołami* i zdaniem: „Ogary poszły w las...” brzmiącym jak magiczne zaklęcie. Jerzy Andrzejewski był na Zamku, w mieszkaniu Pisarza, gdzie wystawione były zwłoki. Swoje wystąpienie zakończył pięknym, wzruszającym opisem pogrzebu i też, których nie udało mu się ukryć w małym dworku w Ciekotach pod Kielcami, poznaniem piękna zakątków Kielecczyny, takich jak: Leszczyny, Wola, Radostowa, Diabelski Kamień,



Stuchacze Studium w parku kieleckim.
od lewej: Włodzimierz Tympański, Eugeniusz
Korezawski, Barbara Nikielka, osoba
nieznana, Joanna Ravić, Marek
Dąbrowski, Jerzy Kozłowski, Andrzej
Antkowiak, Krystyna Walezak,
kiedzą: Barbara Chrypiak (Pochorecka)
Jarosław Strzemien

wąwóz mąchocki. Ten, w którym Marcinek – wieziony z Klerykowa do Gawronek – rzucił matce na kolana pęk dzikiego bzu. Wykłady i zajęcia w pierwszym dniu nauki poświęcone były twórczości Stefana Żeromskiego. Stuchacze Studium Teatralnego studiowali – według założeń Byrskich – będąc w teatrze, obserwując działania i pracę profesjonalistów, stuchając wykładów wybitnych specjalistów w dziedzinie literatury, kultury, sztuki teatru, tańca, muzyki i plastyki. Wyjeżdżali do największych ośrodków kultury artystycznej i nauki (Kraków, Warszawa), aby tam spotykać najwybitniejszych artystów, ludzi nauki i sztuki, oglądać wybitne przedstawienia – wszystko to dla twórczego rozwoju. Te kontakty stanowiły bardzo ważną część programu edukacyjnego młodzieży, którą Byrscy w taki sposób pragnęli otworzyć i rozświetlić blaskiem wielkich, prawdziwych luminarzy. Nie pomijali też miejscowych specjalistów i znawców potrzebnych – ich zdaniem – teatrowi i szeroko pojmowanej kulturze. W Kielcach takich nie brakowało: Aleksandra Dobrowolska – kustosz ówczesnego Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, prowadząca przedmiot „historia kultury”, z entuzjazmem, wręcz z uwielbieniem, wspominana przez byłych stuchaczy Studium, później założycielka trzech muzeów biograficznych: Muzeum Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku (1958 r.), Jana Kochanowskiego w Czarnolesie (1961 r.), Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego w Kielcach (1965 r.), Świętosław Krawczyński – z wykształcenia prawnik, z zamiłowania humanista, muzyk, kompozytor, autor słynnego *Raptularza świętokrzyskiego*, ksiądz Kazimierz Kuc – wykładowca w kieleckim Seminarium Duchownym, profesor teologii, Mirosław Niziurski – kompozytor, muzykolog, później profesor i rektor Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach, Rajmund Ertel i Adam Miętus – wybitni poligłoci, wykształceni klasycznie, o wysokiej kulturze osobistej, uczyli francuskiego, niemieckiego, będąc także profesorami w I Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Program nauczania obejmował jeszcze: dykcję, wiersz, grę aktorską indywidualną, grę aktorską zespołową, ćwiczenie pamięci, język rosyjski, taniec, balet, gimnastykę, szermierkę, umuzykalnienie, sprawy porządkowe, warsztaty. Ważne kwestie dotyczą repertuaru, w jakim grali stuchacze kieleckiego Studium Teatralnego. W programie *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego (własność Marka Dąbrowskiego, absolwenta Studium Teatralnego w Kielcach) czytamy m.in.:

„Dotychczasowe inscenizacje opracowane w Studium Teatralnym w latach 1955–1958

WARSZTAT AKTORA. Teksty: Szekspira, Goethego, Stanisławskiego, Brechta i Jaracza.

LIRYKA GRECKA. Utwory Pindara i Safony oraz kilka oryginalnych melodii antycznych opracowanych przez dr. Witkowskiego.

ARYSTOFANES – POKÓJ. Przekład prof. St. Srebrnego.

KRYSTYNA BERWIŃSKA – OCALENIE ANTYGONY.

JÓZEF BIEDER – DZIEJE TRISTANA I IZOLDY. Tekst opracowany dramaturgicznie przez Stuchaczy pod kierunkiem Ireny Byrskiej.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI – WESELE (fragmenty)”.
Ta lista okazała się niepełna. Pierwszym spektaklem stuchaczy Studium, nie wykazanym w przedstawionym programie, był *Byczek Fernando* Munro Leafa w se-

zonie 1955/56 w przekładzie i opracowaniu tekstu Ireny Tuwim, w inscenizacji i wykonaniu stuchaczy Studium. Opracowania muzycznego dokonał Świętosław Krawczyński, nauka i opracowanie tańca – Rena Hryniewicz i Stanisław Czarnocki. Premiera odbyła się 4 marca 1956 r.

W sezonie 1956/57 *Wieczór liryki greckiej* – widowisko przygotowane przez stuchaczy pod kierunkiem Tadeusza Byrskiego i Leona Witkowskiego oraz „Pokój” Arystofanesa w inscenizacji stuchaczy pod kierunkiem Ireny Byrskiej, scenografia pod kierunkiem Zygmunta Kaczora oraz przygotowanie teoretyczne i opracowanie muzyczne pod kierunkiem Adama Miętusa, partię muzyczną na oboju wykonał Tomasz Wyrzycki. Obsadę stanowili stuchacze Studium Teatralnego, a premiera tego widowiska odbyła się 17 września 1956 r. Spektakl antyczny bardzo się podobał, jako uzupełnienie nauki i podsumowanie pracy nad sztuką antyczną, szczególnie helleńską.

Kolejne dzieło to *Gdyby Adam był Polakiem*. Teatrzyk *Zielona Gęś* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w opracowaniu tekstu i wykonaniu stuchaczy. Wykorzystano muzykę jazzową na trąbce i perkusji. Premiera odbyła się 26 listopada 1956 r. Następną pozycją – *Pieśni z rynku* Pawła Hertzta towarzyszyły *Ocaleniu Antygony* Krystyny Berwińskiej. Stuchacze opracowali tekst, kostiumy, scenografię i zagrali w tym przedstawieniu – wszystko pod kierunkiem Ireny Byrskiej. W roli Antygony wystąpiły: Danuta Lipińska, Barbara Nikielska, Regina Redlińska; Hajmona: Włodzimierz Tympalski, Rafał Czachur; Kreona: Zenon Jakubiec, Andrzej Antkowiak oraz w pozostałych rolach inni stuchacze Studium Teatralnego. Premiera miała miejsce 17 stycznia 1957 r.

„Pod koniec pracy w pierwszym roku studium zdecydowaliśmy, aby do ćwiczeń nad dialogiem dramatu współczesnego użyć tekstu *Ocalenia Antygony* dla tych właśnie cech, jakie przy pierwszym zetknięciu z książką rzuciły mi się w oczy. Etiuda rozrosła się w robocię. Nadeszły wstrząsające wypadki, zagadnienia poruszone w dramacie, stały się aktualne jak reportaż. To co sami odczytaliśmy, postanowiliśmy powiedzieć ze sceny najbliższym przyjaciółom naszego teatru, to jest tym, którzy przychodzą, aby razem z nami szukać, wątpić i mieć nadzieję”. [I. Byrska]

W końcowym fragmencie uzasadnienia I. Byrska dała wyraz postawie wobec wydarzeń czerwca 1956 r. mówiąc o obowiązku teatru, który winien przekazywać prawdę widzom, swoim najbliższym przyjaciółom, aby razem z twórcami szukali, wątpili i mieli nadzieję. Nie



Inscenizacja *Tristana i Izoldy* w wykonaniu słuchaczy Studium



Barbara Chrypiak – Izolda, Marek Dąbrowski – Tristan.
Fot. ze zb. Marka Dąbrowskiego

można było piękniej powiedzieć o roli, celu, zadaniach teatru. Etyka w połączeniu z estetyką dała artystyczną pełnię!

W sezonie 1956/57 znalazły się jeszcze *Dzieje Tristana i Izoldy* Josepha Bediera w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Przedstawienie zostało oparte na źródłach z XI, XII i XIII w. Opracowania tekstu i inscenizacji dokonali słuchacze Studium Teatralnego pod kierunkiem Ireny Byrskiej. Rena Hryniewicz przygotowała choreografię, Liliana Jankowska i Antoni Tośta – scenografię i kostiumy, Zygmunt Szczepański i Mirosław Niziurski – muzykę. Premiera odbyła się 30 czerwca 1957 r.

W sezonie 1957/58, zatem w trzecim roku nauki, podjęto pracę nad tragedią *Romeo i Julia* według Williama Shakespeare'a do muzyki Sergiusza Prokofiewa i baletu pod tym samym tytułem. Słuchacze Studium Teatralnego przygotowali ten montaż literacko-muzyczny pod kierunkiem Tadeusza Byrskiego. Wojewódzką Orkiestrą Symfoniczną w Kielcach dyrygował Henryk Gostomski. Premiera odbyła się 10 kwietnia 1958 r. W roli Romea wystąpił Rafał Czachur, w roli Julii – Barbara Nikielska, Pani Capuletti – Zofia Żelewska, Tybalta – Zenon Jakubiec i Jerzy Kozłowski oraz inni. W krótkim czasie, bo już po 17. dniach, odbyła się kolejna premiera – *Wesela* (fragmentów) Stanisława Wyspiańskiego. Widowisko zostało opracowane i wykonane przez słuchaczy Studium Teatralnego pod kierunkiem Tadeusza Byrskiego. Podkreślić należy imponujące tempo pracy i niezwykłą sprawność organizacyjną, słuchacze i ich kierownik musieli bowiem przygotowywać równolegle dwa przedstawienia, a ponieważ obchodzono uroczyste Rok Wyspiańskiego w Teatrze im. Stefana Żeromskiego, Irena i Tadeusz Byrscy wyreżyserowali jeszcze z zawodowym zespołem kieleckim *Powrót Odysa* w tym samym czasie (premiera 24 maja 1958 r.) oraz przygotowali inne przedsięwzięcia w Klubie Teatralnym. W programie *Wesela* (fragmentów) podano Zespół Słuchaczy Studium Te-

atralnego. Zastosowano kolejność alfabetyczną: Andrzej Antkowiak, Maciej Borniński, Barbara Chrypiak, Franciszek Czachur, Zbigniew Czeski, Henryk (później jako Marek) Dąbrowski, Bolestaw Idziak, Zenon Jakubiec, Bogdan Kiziukiewicz, Jerzy Kozłowski, Barbara Nikielska, Regina Redlińska, Mirosław Smolarek, Jarosław Strzemień, Włodzimierz Tympalski, Janusz Złamał, Zofia Żelewska. Zabrakło w programie (własność Marka Dąbrowskiego) Wojciecha Szostaka, który zagrał w „Weselu” trzy role: Pana Młodego, Księdza i Rycerza³.

Drugie, jeszcze większe przeżycie – to fragment *Studium o Hamlecie* – nieznane raczej szerszemu ogółowi. (Stanisław Wyspiański był znawcą teatru szekspirowskiego!) Trudny tekst – dzięki zastudze Woszczerowicza i Gogolewskiego – zagrany, nie tylko odczytany, stał się uroczą, bezpośrednią rozmową z widownią.

Dokonując analizy propozycji repertuarowych, stwierdzić należy, że kierownictwo Studium słusznie zadbało o połączenie praktyki z teorią, wprowadzając teksty zarówno wybitnych twórców – klasyków literatury dramatycznej (Szekspir, Goethe, Brecht), jak i teoretyków teatru, łączyących teorię z praktyką teatralną (Stanisławski, Brecht, Jaracz). Kolejne pozycje programu: 2–4 wskazują na sięganie do źródeł teatru – zatem do starożytnej Grecji, kolebki sztuki teatru w kręgu europejskiej kultury. *Dzieje Tristana i Izoldy* Józefa Bediera – to z kolei arcydzieło średniowiecznej dramaturgii francuskiej, a *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego – arcydzieło dramaturgii polskiej, najwybitniejszy arcy polski dramat, stawiany na pierwszym miejscu w dziejach polskiej

³ Patrz: „Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach 1944/45–1994/95”. Zestawienie bibliograficzne. Premiery. Obsady. Recenzje. Opracował Grzegorz Cuper. Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Kielcach, Kielce 1995, s. 47.

dramaturgii. A więc były to najlepsze wzory dla studiującej w Kielcach młodzieży. *Wesele* (fragmenty) było widowiskiem opracowanym przez słuchaczy pod kierunkiem Tadeusza Byrskiego dla uczczenia Roku Wyspiańskiego w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach obok innych inicjatyw, które zostały przedstawione w starannie wydanym programie. Włączono do obchodów także: Klub Teatralny, który 11 listopada 1957 r. zainaugurował Rok Wyspiańskiego czytaniem *Wesela* przez aktorów teatru, 27 listopada odbył się wieczór poezji Wyspiańskiego, podczas którego *Studium o Hamlecie* i liryki recytowali: Halina Kossobudzka, Jacek Woszczerowicz i Ignacy Gogolewski. Zapowiedziano też przygotowanie odczytu profesora Kazimierza Wyki – „Historyzm Wyspiańskiego”. Zespół radomski wystąpił 21 grudnia 1957 r. z premierą *Cyda* P. Corneille’a – S. Wyspiańskiego w reżyserii Zdzisława Karczewskiego, w oprawie scenograficznej Jana Golki, z ilustracją muzyczną Mirosława Niziurskiego. Z kolei zespół kielecki przygotował *Powrót Odysa* S. Wyspiańskiego w inscenizacji i reżyserii Ireny i Tadeusza Byrskich, ze scenografią Stanisława Byrskiego (brata Tadeusza), z muzyką Zbigniewa Turskiego. W takim oto klimacie artystyczno-naukowym młodzież Studium Teatralnego przygotowała fragmenty *Wesela*.

Informacja w programie określa datę prezentacji widowiska: maj 1958 r. Można sądzić, że było to przedstawienie na zakończenie nauki w Studium Teatralnym, ponieważ 6 lipca 1958 r. dyrekcja Teatru im. Stefana Żeromskiego i kierownictwo Studium Teatralnego prosi o przybycie na uroczystość wręczenia dyplomów pierwszemu rocznikowi słuchaczy⁴. Wybór

tego arcydzieła na zakończenie studiów dla pierwszego rocznika słuchaczy Studium Teatralnego w Kielcach jest ze wszelkich miar uzasadniony: najpierw autorytetem jego twórcy, wartościami historyczno-literackimi i artystycznymi dzieła, następnie wpojona przez Redutę miłośnią zarówno dla autora, jak i jego twórczości artystycznej, której uległ Tadeusz Byrski w czasach młodości i studiów.

Byrscy – zdaniem wychowanków Studium – byli wymagający, przestrzegali w rygorystyczny sposób dyscypliny nauki i pracy, a co najważniejsze – uczyli nie tylko sztuki teatru, ale także, a może przede wszystkim, rzemiosła, łącząc teorię z szeroko pojętą praktyką i użytecznością. Kształtowali dusze, intelekt, nie zaniedbując praktycznych umiejętności, przygotowując słuchaczy niemal wszechstronnie – do pracy i dalszego życia. A uczyli także przez własny przykład, postępowanie, pracowitość, systematyczność, samodyscyplinę, przestrzeganie przyjętych zasad, wysokie morale. Byli nie tylko artystami – byli dobrymi, mądrymi, przyzwoitymi, uczciwymi ludźmi i obywatelami. Nienaganni pod każdym względem, może trochę naiwni i zbyt ufni, kochający teatr i ludzi teatru, pracę – ponad siły, mądrzy, wykształceni i życzliwi. Byli prawdziwymi autorytetami dla młodzieży. Taki, z większości wypowiedzi, wyłania się ich obraz. Byrscy już wtedy prowadzili wychowanie estetyczne – dla teatru i przez teatr. Temu przecież służyło powołanie i prowadzenie Studium Teatralnego. Byrscy działali wszem i wobec – tak jak działał sam teatr od swoich początków: uczył – wychowując i wychowywał – ucząc, także bawiąc – w najszerszym i najszlachetniejszym rozumieniu! Ich komplementarność w działaniu, w pracy twórczej i w życiu osobistym, rodzinnym dawała niepowtarzalne, niewymierne wyniki – jak komplementarność Kobiety i Mężczyzny, w dodatku o artystycznej duszy w każdym z nich. Jan Güntner określił ich jako jednego człowieka w dwóch osobach⁵.

Kieleckie Studium Teatralne ukończyło 18 absolwentów, część z nich została w Kielcach (na dłużej lub krócej), część opuściła kielecki teatr razem z Byrskimi, udając się do Poznania lub innych miast – do wybranych teatrów. Jak napisała Joanna Rawik, która z przyczyn osobistych opuściła Kielce po 1,5-letniej edukacji, w książce *Muzyka życia*⁶, wspominając krótki kontrakt z Teatrem Ziemi Łódzkiej: *Zaangażowałam się bez najmniejszego trudu, żadne tam castingi czy podobne głupoty. Uczelnia Byrskich była dostateczną rękojmnią, nawet nie musiałam przedstawiać zaświadczenia. Bolesław Idziak – absolwent Studium w liście, pisanym 19 marca 2014 r., stwierdził: *Przyjście do Kielc było początkiem nie tylko mojej edukacji, ale również wychowania, życia dla teatru, umiejętności przebywania w świecie sztuki. To dzięki pp. Byrskim nauczyłem się (...) widzieć, słyszeć, rozumieć to, z czym mam do czynienia. Dzisiaj widzę, jak**



⁵ „Teatr Byrskich” refleksje, dokumenty, wspomnienia (wybór). Oficyna Wydawnicza Domu Środowisk Twórczych, Kielce 1992, s. 66.

⁶ J. Rawik, *Muzyka życia* Wydawnictwo „Studio Emka”, Warszawa 2013, s. 64.



Antygona

musieli ciężko nade mną pracować, żeby coś wydobyć. Może im się to udało. Co do mnie – Oni postawili mnie na dobry fundament, na którym do dzisiaj stoję. Warto przytoczyć w tym miejscu wspomnienia i oceny Joanny Rawik (w Studium – Janina Szamota) z książki *Muzyka życia*, wiele mówiące o atmosferze, egzaminach, pracy, wysiłkach Byrskich jako artystów i pedagogów:

*Pojechałam do Kielc, gdzie odbywały się na razie rozmowy wstępne. Zostałam zakwalifikowana do egzaminów. Dręczyły mnie wątpliwości, ale chyba w głębi jestestwa byłam przekonana, że powinnam się znaleźć w tej uczelni. (...) Oczekiwałam egzaminu jesienią. Kandydatów było sporo, a miejsc dla dziewczyn tylko osiem. Wątpliwości należy mieć zawsze. (...) Wtedy jednak, młoda i atrakcyjna, wierzyłam, że moja przyszłość rozegra się w uczelni Byrskich. Ba! Studium teatralne to przecież zdobycie uprawnień profesjonalnych. Znajdę się w teatrze, który w ostatnich latach stał mi się naprawdę bliski. Pragnęłam być aktorką, trudno było wyobrazić sobie inne życie. (...) Uczelnia Byrskich była darem losu. (...) W ślicznym, zabytkowym budynku teatru imienia Stefana Żeromskiego, schludnym i przytulnym, panowała niezwykła atmosfera. Młodzieży zjechało nas koło setki. Organizacja doskonała, bezszmerowa. Pierwszego dnia odbył się egzamin ze śpiewu. Zaśpiewałam przy własnym akompaniamencie fortepianu rumuński szlagier „Marinica”, oczywiście w oryginale. (...) Po egzaminie ze śpiewu stwierdzić można, że – używając terminu sportowego – objęłam prowadzenie. Finalne sceny dramatyczne odbyły się ostatniego dnia egzaminów. Zaprezentowałam Rachelę z *Wesela* Wyspiańskiego w scenie z Poetą – „Idę za panem jak cień...”. Z marnym partnerem: wyglądał obiecująco, gorzej gdy się odezwał. Został przyjęty. (...) Ostatni był egzamin z rysunku. Mój najstarszy punkt. Miałam kłopoty z narysowaniem prostego dzbanka! Pomagali mi scenografowie, którzy stanowili część komisji, a byłam zdecydowaną faworytką. O naszych losach dowiemy się listownie,*

*ale i tak było raczej wiadomo, kto zostanie przyjęty*⁷. W opinii wybitnej pieśniarki w Studium, które określiła wyjątkową uczelnią, panował niegroźny reżim. Dalej napisała: *Na pożegnanie pani profesor Byrska wyraziła swoje szczere ubolewanie. – Wielka szkoda, zapowiadałaś się na nową Eichlerównę. Nie był to na pewno czas stracony, chociaż przerwałam studia dokładnie w połowie. Nauczyłam się naprawdę dużo. Zorganizowano nam specjalne pokazy niemieckich filmów ekspresjonistycznych. Gabinet doktora Caligari,*

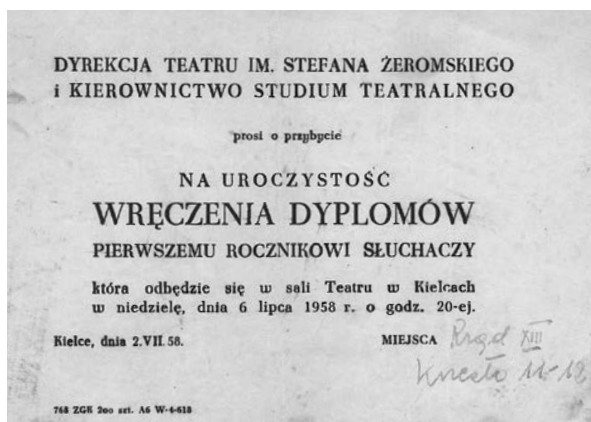
*Nosferatu, symfonia grozy zrobiły na mnie kolosalne wrażenie, czegoś podobnego nie znam. Sami szyliśmy kostiumy, lepiliśmy maski – tu zabawna sprawa: każda maska była podobna do swojego autora! Dziwne zjawisko, przecież nikt nie zamierzał zrobić swojego autoportretu*⁸.

Głównymi wykładawcami byli Irena i Tadeusz Byrscy. Ona – z wykształcenia inżynier rolnik, miała za sobą kilka ról teatralnych przed wojną. On – jak wiadomo – miał długi staż w Reducie Juliusza Osterwy i swoje talenty objawił głównie w teatrze Polskiego Radia w Wilnie, do którego zaprosił początkującego wtedy poetę, Czesława Miłosza. W tym „kieleckim” czasie Czesław Miłosz był na czarnej liście, a u Byrskich funkcjonował w rozmowach jako Czesław, bliski przyjaciel jeszcze z czasów wileńskich właśnie. Autorka wymienia nieustające zajęcia rozmaitego kalibru – na przykład udział w niedzielnych herbatkach przy kominku w salonie teatru, gdzie podejmowani byli, obok miejscowych aktorów, liczni goście z Krakowa, z Torunia, z Warszawy. Wielkim atutem i siłą, wzorem dla młodzieży był znakomity poziom teatru Byrskich, do którego zjeżdżali nie tylko wybitni profesorowie oraz twórcy literatury, teatru i sztuki, ale także liczni krytycy z całego kraju. Szczególny rozgłos i ogromne zainteresowanie zyskała *Pluskwa* Włodzimierza Majakowskiego – według autorki – był to znakomity spektakl. „Mówiono nawet, że ten spektakl wyprzedził odwilż 56 roku. *Ojciec* Augusta Strindberga – w reżyserii i głównej roli Zdzisława Karczewskiego – gromadził tłumy”.

Joanna Rawik była gwiazdą niedzielnych herbatek, śpiewała, akompaniując sobie na fisharmonii, która specjalnie dla niej została ustawiona w salonie. Stałym bywalcem tych kominków był Jerzy Gombrowicz, młodszy brat pisarza, dziennikarz

⁷ Tamże, s. 52–54.

⁸ Tamże, s. 58.



Anons w prasie kieleckiej o uroczystości wręczenia dyplomów słuchaczom Studium

radomskiej edycji „Życia Warszawy”, piszący także recenzje teatralne ze sztuk granych na radomskiej scenie. Według opinii autorki – „szalenie przystojny i sympatyczny”, a także znakomici profesorowie Studium: Władysław Tatarkiewicz, sławny, wielki filozof i Stefan Srebrny z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wybitny tłumacz i znawca teatru starogreckiego. Kierownikiem literackim kieleckiego teatru był wówczas znakomity poeta Jerzy Zagórski, z którym wtedy młoda słuchaczka Studium się zaprzyjaźniła.

Pod koniec sezonu teatralnego 1957/58, wraz ze zbliżającym się finałem nauki w Studium, zaczęły pojawiać się na łamach kieleckiej oraz ogólnopolskiej prasy pytania i wątpliwości dotyczące dalszych losów absolwentów oraz samego Studium. Autor, podpisany MARKUS, napisał w *Ekspresie Wieczornym* „Można śmiało stwierdzić, że pedagogiczny eksperyment Byrskich udał się w całej pełni. Studium opuszczają pełnowartościowi, przygotowani do trudnej pracy scenicznej aktorzy”. Obszerne i wnikliwe podsumowanie Studium, wyjaśniając wiele dyskusyjnych, niejasnych, spornych kwestii, dokonała Aleksandra Dobrowolska, silnie związana z przedsięwzięciem Byrskich. Pani Aleksandra Dobrowolska była kierownikiem naukowym w Studium i miała zajęcia teoretyczne z historii sztuki, teatru, dramatu i kultury. Na zakończenie napisała o naszym mieście: „Kielce, wbrew niektórym nieprzyjaznym opiniom, posiadają świetną publiczność teatralną, która nie boi się trudnych sztuk, rozumie teatr coraz pełniej, o czym świadczą oklaski dane dekoracji w III akcie *Odysa*, zna i lubi swoich aktorów. W skali ogólnopolskiej zajęła piąte miejsce, jeśli chodzi o frekwencję w teatrze”. Gorący, jednocześnie mądry, merytorycznie uzasadniony i wyważony apel Aleksandry Dobrowolskiej, zamieszczony w publikacji pt. PIĘĆ MINUT PRZED DWUNASTĄ został pogrzebany informacją, tuż pod nim, grubo podkreślonym tytułem „Z ostatniej chwili” – nomen omen w czarnej ramce i czarnym drukiem: „POZNAŃ PAP. Wobec rezygnacji Romana Sykały

ze stanowiska dyrektora i kierownika artystycznego Państwowych Teatrów Dramatycznych w Poznaniu, stanowisko to zostało powierzone od nowego sezonu dotychczasowemu dyrektorowi Teatru im. Żeromskiego w Kielcach – Tadeuszowi Byrskiemu.

Dyr. Byrski przy współpracy Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Poznania zamierza prowadzić również Studium Dramatyczne na wzór istniejącego Studium przy teatrze kieleckim.

Kielce okazały się niegodnym, niewdzięcznym miastem? Tadeusz Byrski sprawował funkcję dyrektora i kierownika artystycznego od 2 grudnia 1952 r. do 30 września 1958 r.

Irena Byrska była kierownikiem Studium Teatralnego od 13 lipca 1955 r. do 30 czerwca 1958 r.⁹ Dyrekcję Teatru im. Stefana Żeromskiego i kierownictwo Studium Teatralnego czekało jeszcze arcyważne wydarzenie – egzamin dyplomowy i uroczystość wręczenia dyplomów pierwszemu rocznikowi słuchaczy. Przystąpiło do niego 17 słuchaczy z 24 przyjętych drogą eliminacji. Studium Teatralne ukończyło 18 słuchaczy: 4 dziewczyny i 14 chłopców.

Z 18 absolwentów w Kielcach pozostało niemało, bo 8 osób: Z. Czeski, B. Idziak, Z. Jakubiec, który jeszcze do Kielc powrócił, B. Nikielska, R. Redlińska, która też do Kielc powróciła, M. Smolarek, J. Strzemień, W. Szostak. Byrscy do Poznania zabrali wszystkich nie mogli (zdanie B. Idziaka). Ci, którzy z nimi pojechali – poza kilkoma aktorami z zespołu zawodowego (Anną Ciepielewską i Stanisławem Niwińskim) – to: A. Antkowiak, M. Borniński, M. Dąbrowski, Z. Żelewska. Pozostali zasilili inne teatry na terenie całej Polski. Kilku z nich podążyło w niedługim czasie do Gorzowa, gdzie dyrekcję objęła Irena Byrska.

W sezonie 1958/59, kiedy to dyrektorem teatru został Czesław Jagielski, kierownictwo artystyczne od 1 października 1958 r. do 31 grudnia 1958 r. było w rękach Ireny Byrskiej. Absolwenci Studium – jako już pełnoprawni aktorzy – wzbogacili staty zespół aktorski, grając w sztukach realizowanych jeszcze przez Byrskich.

Kierownikiem artystycznym od 1 stycznia 1959 r. jest już Halina Gryglaszewska, a Irena Byrska – takie można odnieść wrażenie – otacza opieką swoich absolwentów, angażując ich do ważnych ról w spektaklach, które – jak widać – mnożą się w imponującej liczbie i w niestękanie krótkim czasie. Pracowitość niebywala! Jak napisze w swoich wspomnieniach Jarosław Strzemień: „Oboje byli piekielnie pracowici, co cenili u innych”¹⁰.

Byrskich żatowali nie tylko absolwenci Studium Teatralnego i bezpośredni ich współpracownicy, ale ci wszyscy, którzy mieli z nimi jakikolwiek, nawet krótki, kontakt, nie pomijając widzów kieleckiego teatru. Byrscy bardzo zmienili, bardzo ożywili lokalne środowisko kulturalne. Wnieśli życie do miasta

⁹ Patrz: cytowane wyżej opracowanie Grzegorza Cupera, s. 143.

¹⁰ Internet: 8 kwietnia 2015 22:08.

i to twórcze życie. Rozstawili Kielce. Zrobili bardzo dużo dla miasta i dla Studium Teatralnego w Kielcach: uczyli, jak występować na scenie, jak operować mimiką, gestem, zwracali uwagę na dykcję i ruch, uczyli też kaligrafii, ćwicząc ręczne pismo. Propagowali inną polszczyznę, bogatą, operującą pięknym językiem. Polecali Sienkiewicza jako mistrza słowa polskiego, także Żeromskiego, ale już w mniejszym stopniu. Cenne były dla nich zasady regionalizmu, folklor Kielecczyny. Instruowali także amatorski ruch teatralny.

Stuchacze Studium, jak wynika ze wspomnień kielczan, „...stanowili grupę pod względem sposobu bycia i ubioru – coś w rodzaju bohemy artystycznej. Wprowadzali specyficzny klimat, wyróżniali się także odwagą, śmiałością, pewnego rodzaju rozmachem w porównaniu z kielczanami. Byli kolorowi, oryginalni. Kiedy się pojawiali na terenie miasta, ulica i inne miejsca nabierały barw. Byrscy pomagali w organizowaniu, w reżyserowaniu także amatorskich przedstawień teatralnych poza Kielcami – w terenie, m.in. w Starachowicach. W pracy, pełnej energii i ogromnej aktywności życiowej oraz artystycznej.

Dr hab. Janusz Detka, profesor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, zapytany o Byrskich, powiedział o spotkaniu z Ireną Byrską, chyba w roku 1987 mówiła o stuchaczach: „Moje kochane dzieci”. To była ta wyróżniająca ją cecha – czułość, jaką okazywała ludziom – już wtedy ponad 80-letnia staruszka w opinii mojego rozmówcy.

Po trzyletniej edukacji nastąpiło zwieńczenie wysiłków, zaproszenie na uroczystość wręczenia dyplomów pierwszemu rocznikowi Studium Teatralnego w Kielcach 6 lipca 1958 r. z zaznaczeniem nawet miejsc (sic!), które zostały zarezerwowane dla absolwentów i gości. Byrscy byli – jak widać – doskonałymi organizatorami, ludźmi niezwykle pracowitymi: „Oboje byli obłudnie pracowici, co cenili u innych” – to słowa cytowanego już wcześniej Jarosława Strzemia. Tę opinię potwierdzili wszyscy, z którymi rozmawiałam. O tej ich cesze mówią najlepiej przedstawione mi dokumenty dotyczące: organizacji dwuetapowych egzaminów wstępnych, zawiadomienia o zakwalifikowaniu i przyjęciu, wykazy niezbędnych rzeczy, w które winien być zaopatrzony stuchacz Studium Teatralnego, a nawet takich, które nie będą mu potrzebne. Dokładna, precyzyjnie określona, pełna informacja na samym wstępie! Także sprecyzowane wymagania w stosunku do przyszłych podopiecznych, którym zapewniono dobre warunki bytowe: wyżywienie, internat i to najważniejsze – umiejętności i wiedzę podczas trwającej trzy lata bezpłatnej nauki. Dawano wiele i wymagano wiele. Niektórym nie odpowiadała ostra dyscyplina i systematyczna

kontrola – wszak prawie wszyscy byli pełnoletni, czuli się dorosłymi. Trudno było podporządkować się nakazom i zakazom. Dlatego niektórzy – ci, którym to nie odpowiadało, musieli opuścić mury kieleckiego przybytku Melpomeny po krótszym lub dłuższym pobycie, jak Eugeniusz Korczarowski, zwany Żeńką – przekorny, konfliktowy, od samego początku nie akceptujący surowej dyscypliny w Studium, a wraz z nim lojalna Janina Szamota (później Joanna Rawik), wierna swojej młodszej miłości, czego potem – jak napisała – żałowała.

Sądzić można, że Byrscy wykazywali wiele dobrej woli, zrozumienia w stosunku do „młodych gniewnych”, ale nie rezygnowali ze swoich wymagań, stawiając na dyscyplinę. Starali się pomagać, rozmawiać, wyjaśniać, nie szczędząc czasu ani sił. Zorganizowali nawet dodatkowo możliwość dla ewentualnych petentów, sygnalizując zapaloną lampką – na korytarzu ostatniego piętra gmachu teatru, gdzie mieszkali – gotowość przyjęcia każdego, kto chciał z nimi rozmawiać na każdy temat i o każdej porze!. Ta gotowość i oddanie wszystkich sił, całych siebie, dla realizacji wytyczonych zadań i edukacji przyjętej do Studium młodzieży jest prawdziwie imponująca, rzadko spotykana, doceniona w pełni już z perspektywy czasu. Byli studenci – stuchacze Studium podkreślali także w swoich wspomnieniowych wypowiedziach niezwykłą umiejętność pedagogiczną prowadzenia przez Byrskich tak zróżnicowanej intelektualnie, środowiskowo, wiekowo koedukacyjnej grupy. Sami byli rodzicami, bardzo oddanymi swoim dzieciom, całej trójce: Agnieszce, Krzysztofowi, Katarzynie, i to pozwalało im z pewnością na głębsze zrozumienie i wniknięcie w dusze wychowanków. „Chcieli, by zespół był nieomal rodzajem rodziny” (Jarosław Strzemia). Inny wychowanek wielokrotnie podkreślał niespotykaną zdolność tworzenia przez Byrskich domowej atmosfery, klimatu rodzinnego domu w teatrze (Bolesław Idziak). Fakt bycia małżonkami, rodzicami i równocześnie artystami, pedagogami, opiekunami i wychowawcami tworzył fenomenalny *t a n d e m* – silnie oddziałujący na młodzież, aktorów oraz pracowników kieleckiej i radomskiej sceny. „Odnosiło się wrażenie, że jest pięć Pań Byrskich. A siły miała też za pięcioro. Ja myślę, że Jej jest to dane od Boga, ta wielokrotniona ilość energii” – Regina Redlińska¹¹. Jak to robili, że znajdowali czas na wszystko? Byrscy doskonale się uzupełniali, byli oryginalni i nietuzinkowi pod wieloma względami – od ubiorów do poglądów, postaw w pracy i w życiu. Irena Byrska – znakomita organizatorka i reżyser, bardzo inteligentna, z poczuciem humoru, dowcipna, często uroczą, mająca ogromne wymagania. To ona oficjalnie kierowała Studium Teatralnym. Tadeusz Byrski – wybitny

¹¹ Teatr Byrskich, refleksje, dokumenty, wspomnienia (wybór), Oficyna Wydawnicza Domu Środowisk Twórczych, Kielce 1992, s. 74.

intelekt, nie tolerował głupoty i nieuczciwości. Odpowiedzialny, punktualny, surowy, wymagający. Człowiek uroczy, dowcipny, czasami wybuchowy. Był dyrektorem Państwowego Teatru im. Stefana Żeromskiego na obu scenach – w Kielcach i w Radomiu. Tak to oficjalnie się przedstawiało, bo zarówno Irena Byrska, jak i Tadeusz Byrski byli też aktorami, reżyserami, organizatorami życia teatralnego i więcej – kulturalnego w Kielcach i w regionie, wspomagali się wzajemnie i wprost fenomenalnie ze sobą współpracowali. Chciałoby się powiedzieć: idealne małżeństwo w życiu i w pracy artystycznej – bardzo szeroko pojętej!

Niezwykle interesujący wizerunek pp. Byrskich stworzył – już z perspektywy czasowej (po prawie 60 latach!), a także przestrzennej, jako Professor of Theatre na Central Connecticut University, w stanie Connecticut (USA), Jarosław Strzemień, najmłodszy słuchacz i absolwent Studium Teatralnego w Kielcach¹²:

„Pani Ireny Byrskiej trochę się baliśmy. Podpadnięcie jej często kończyło się wydaleniem ze szkoły, o czym przekonało się kilka osób. Stuszenie czy niestuszenie, nie będę w to teraz wchodził...

Metody pedagogiczne pani Byrskiej były czasem dyktatorskie, z innej epoki i miały często mocny element emocjonalny, a miała do czynienia przecież z dorosłymi (w większości) ludźmi!!!

Z drugiej strony była świetnym organizatorem, miała dobry gust do urządzania wnętrz, osobiście i codziennie doglądała wszystkie aspekty stołówki, pracowała od świtu do nocy. To była GOSPODYNI całą gębą, była wszakże absolwentką szkoły gospodarstwa wiejskiego, chyba w Warszawie, nazwy nie pamiętam (o tym jest więcej w świetnej książce Zbigniewa Osińskiego). Była dobrą aktorką charakterystyczną, ale grała bardzo rzadko.

Była jeszcze lepszą reżyserką! Pamiętam jej dwa wybitne przedstawienia w Kielcach – ŚLUBY PANIEŃSKIE Fredry i UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA Żeromskiego. Szereg słynnych przedstawień współreżyserowała z mężem.

Pan Tadeusz Byrski nie zajmował się sprawami codziennymi Studia. Jego priorytetem był teatr. Był jednak bardzo zaangażowany w sprawę Studium, ale z pewnym dystansem. Głównie był liderem w sprawach akademickich i intelektualnych, chociaż oficjalnie kierownikiem akademickim była pani Aleksandra Dobrowolska (urocza i bardzo lubiana). Pan Byrski to był intelekt wysokiego lotu, przy tym bardzo był naturalny, świetny mówca i z ogromnym poczuciem humoru. Był uroczy w sytuacjach nieoficjalnych, przy kawie lub kieliszku dobrego likieru. Pani Irena również... (słynne herbatki przy kominku, na które chodziłem jeszcze jako licealista). Miał małą tolerancję dla głupoty i chamstwa i przy ich objawach czasem puszczały mu nerwy... Był



Słuchacze Studium w parku kieleckim. Od lewej Marek Dąbrowski, Zofia Żelewska, Wojciech Szostak, Jerzy Kozłowski.
Fot. ze zb. Marka Dąbrowskiego

nieomal uwielbiany przez nas, co odzwierciedlał jak go nazywaliśmy (oczywiście za jego plecami): PUCHATEK.

Oboje byli ludźmi o niezłomnych zasadach, wybitnie inteligentni, obłądnie pracowici, jednym słowem – z misją. Przy tym musieli mieć duże talenty dyplomatyczne, żeby to wszystko zrobić NIE BĘDĄC W PARTII i nie chowając swojego szczerego katolicyzmu pod dywan. Przeciwnie, w każdą niedzielę cała rodzina maszerowała, w swoich zwracających uwagę ubraniach, do katedry na mszę! ”.

Niewielu z absolwentów Studium odniosło znaczące sukcesy, ale jednak byli tacy: „Do tych ze znaczącymi osiągnięciami należy zaliczyć: Andrzeja Antkowiaka (najzdolniejszy, grał w T. Współczesnym w Warszawie, ale zapił się na śmierć, dostownie...), Marka Dąbrowskiego (grał sporo duże role, głównie u Zygmunta Hübnera i Tadeusza Łomnickiego, w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, wycofał się z zawodu wiele lat temu, szkoda... mógłby dojść do czołówki), Krystynę Walczak (jedna z najzdolniejszych, odeszła tuż przed dyplomem, zagrała wspaniale u boku legendarnej Ireny Eichlerówny w Narodowym w *Tatuowanej róży* Williamsa, wyemigrowała do USA, zmarła w zeszłym roku Zbigniewa Czeskiego ze... Starachowic (bardzo muzykalny, niezły tancerz, miał duże osiągnięcia jako reżyser w teatrach muzycznych, przez kilka lat prowadził Teatr Muzyczny w Chorzowie), Wojciecha Szostaka (przez wiele lat w Teatrze Horzycy w Toruniu, może do dziś..., wyjątkowo oryginalny talent, bardzo inteligentny i wrażliwy, w Studium miał pewne problemy psychologiczne...). Może kogoś pominąłem, uzupełnię to następnym razem”[J. Strzemień].

¹² Internet – 31 maja 2014.

Piotr Szczerski (1953-2015)

Andrzej Dąbrowski

Urodził się w Krakowie, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz reżyserię dramatu w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Początkowo związany był z krakowskimi teatrami studenckim. W 1974 roku założył teatr „Judasz”, a od 1979 roku prowadził w Akademii Górniczo-Hutniczej teatr „Fantastron”. Reaktywował także „Teatr 38” i kierował nim do 1992 roku. W latach 1992–2014 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru im. S. Żeromskiego w Kielcach. Wyreżyserował tu kilkadziesiąt spektakli, m.in. „Seans” Bogusława Schaeffera (1992), „Miłość na Krymie” Sławomira Mrożka (1994), „Próby” Bogusława Schaeffera (1996), „Spotkajmy się w Jerozolimie” Andrzeja Lenartowskiego (1996), „Ballady i romanse” Adama Mickiewicza (1998), „Skąpiec” Moliera (1999), „Drugie zabicie psa” Marka Hłaski (2000),

„Król Lear” Wiliama Szekspira (2001), „Iwona Księżniczka Burgunda” Witolda Gombrowicza (2004), „Trzy jednoaktówki” Samuela Becketta (2006), „Wdowy” Sławomira Mrożka (2007), „Mały Książę” Antoine’a de Saint Exupéry’ego (2009), „Jakiś i Pupcze” Hanocha Levina (2014). Ostatnim wyreżyserowanym dramatem był „Kordian” Juliusza Słowackiego. Tym spektaklem pożegnał się z kielecką publicznością, choć premiery sam nie obejrzał złożony ciężką chorobą. W okresie jego dykcji zespół kieleckiego teatru był wielokrotnie nagradzany i honorowany. Przedstawienia tu realizowane były prezentowane i doceniane podczas krajowych i międzynarodowych festiwali teatralnych.

Premiery w Teatrze im. S. Żeromskiego były okazją do spotkań i rozmów z Piotrem o obej-



Próba do spektaklu „Mały Książę” Antoine de Saint-Exupéry, od lewej: Ewelina Gronowska, Piotr Szczerski, Dagna Dywicka; fot. Maciej Żórawiecki, z archiwum Teatru

rzanych spektaklach, o teatrze kieleckim i jego problemach. Były to też okazje do spotkań ze znakomitymi aktorami i wybitnymi autorami zapraszany przez dyrektora, m.in. ze Stawomirem Mrożkiem. Piotr zawsze miał czas dla widzów. Lubił kontakt z ludźmi przychodzącymi do teatru. Miał także swoich krytyków. Bolały go krytyczne oceny, zwłaszcza te uproszczone, nie wnikające zbyt głęboko w strukturę dzieła teatralnego. Przez ponad dwadzieścia lat mieliśmy przyjemność współtworzyć jako widzowie Teatr Piotra Szczerskiego.

W 2009 roku spełnił nasze specjalne biblioteczne życzenie wznawiając „Trans-Atlantyk” Witolda Gombrowicza z okazji nadania jego imienia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Było to świetne przedstawienie. Obejrzeliśmy je wspólnie z żoną pisarza Ritą Gombrowicz, która przyjechała z Paryża na nasze zaproszenie.

Piotr Szczerski walczył z chorobą kilka lat, ale ciągle pracował, reżyserował, organizował. Zmarł przed kilkoma miesiącami. Pożegnaliśmy go na Cmentarzu Starym w Kielcach.



Piotr Szczerski, fot. Michał Andrysiak



Mateusz Rzeźniczak, odtwórca roli Kordiana i Piotr Szczerski; fot. Małgorzata Iwanicka, z archiwum Teatru

Podobno Habent sua fata libelli. A ludzie, miejsca, przedmioty? Te losy bywają różne.

A miasta...? Złociste kopuły antycznej Jerozolimy, opuszczone miasta Majów i Inków, ruiny Ur i Babilonu, Knossos i Pompeje. Wiemy, że były i że były wspaniałe. Ale jakie były, jak wyglądały, jakie miały place, ulice i domy. Nawet cesarski Rzym. Czy milionowe miasto składało się z ruin, jakie znamy obecnie? A równie wielki i ludny Londyn sprzed wielkiego pożaru w 1666 r., a Paryż sprzed wielkiego kaprysu Napoleona III, który w miejscu średniowiecznego ciasnego miasta stworzył nowoczesną metropolię z Polami Elizejskimi o niespotykanej wówczas rozległości. Jeszcze Wiktor Hugo próbował opisać średniowieczny Paryż w *Katedrze Panny Marii* z całym bogactwem (i okropieństwem) zatłoczonego i bujnego średniowiecznego życia. A teraz Katedra Naszej Pani sterczy tam pośrodku, jak panna młoda zawstydzona niemodną suknią. Z dawnego Londynu zostały dwie uliczki i barokowa katedra. Wiemy, jak wyglądał. Trochę wiemy. Skrzętni i kochający grafikę Anglicy wiele po sobie pozostawili. No, i jest Karol Dickens, chociaż to raczej Londyn od najgorszej strony. O Pompejach opowiadają archeolodzy i same Pompeje – w malarskich i mozaikowych wystrojach patrycjuszowskich domów. Po Grekach nie zostało nawet tyle.

A stary Kraków? Jak on właściwie wyglądał? Jak u Kraszewskiego *W Krakowie za Łokietka* lub w *Strzemieńczyku* czy może raczej jak w *Historii żółtej cizemiki*? Czy da się słowem opisać (zapisać) miasto? Adam Jarzębski, skądinąd znakomity XVII-wieczny muzyk i kompozytor, swoje miasto opisał jednak nie dźwiękami, a wierszem w *Gościńcu abo Opisanu Warszawy*. A i tak, kiedy po koszarze drugie wojny światowej zrujnowaną stolicą odbudowano, to przecież bardziej według obrazów weneccjanina Bernarda Canaletto, niż chropawych rymów Jarzębskiego. Bo też obraz sugestywniej i precyzyjniej niż słowo „opisuje” miasto (choć pewnie nie jego mieszkańców). Ale ilu było tych malarzy miast, tych wedytystów, tak świetnych jak Canaletto, Guardi, Hubert Robert czy Jan Chrzyciciel Piranesi (ale ten przedstawiał raczej miasta „niemożliwe”). W Polsce, poza Warszawą, jeszcze Kraków miał swojego wiernego wedytystę Aleksandra Gryglewskiego. Ale nie małe miasteczka. Te, tylko wśród wielkich malarzy holenderskich budziły rzetelne zainteresowanie.

Szczęśliwe to grody, których synami byli kronikarze z heroicznego okresu polskiej fotografii. Warszawa miała Karola Beyera i Maksymiliana Fajansa (tamto miasto nieco później sugestywnie opisywał Bolesław Prus), Kraków Ignacego Kriegera, Wilno Jana Bułhaka. A Kielce? A jakże, miały Władysława Krajewskiego, ale konia z rzędem temu, kto widział więcej, niż tych kilka fotografii z kieleckimi widokami z trzeciej ćwierci XIX w., które zachowały się do dzisiaj. Kieleckie albumy, zwłaszcza drukowane (zatem liczniejsze i łatwiej dostępne) – skądże? Jeden tylko *Kalendarz kielecki na rok 1868*, niezbyt wielka tekturowa karta z miniaturowymi fotografiami najważniejszych wówczas kieleckich gmachów. No, owszem, z drukarni, ale znam tylko jeden, okrutnie zniszczony egzemplarz w warszawskiej Bibliotece Uniwersyteckiej. A przecież – jak Prus Beyerowską Warszawę, tak Kielce Krajewskiego opisał Stefan Żeromski w *Syzyfowych pracach* (o czym „Świętokrzyskie” pisało ze dwa lata temu). Pięknie byłoby zestawzić słowo i obraz.

Kielce nie Kraków, Wilno nie Warszawa, więc może nie warto ich było dokumentować? Nie Kraków i nie Warszawa, ale dokumentować zmieniające się, właściwie dopiero co naprawdę rodzące się po wiekach letargu, nowoczesne, stołeczne (na regionalną, gubernialną, wojewódzką miarę) Kielce – musiały być fascynujące. Miasto jest czymś żywym. Jakoś się rodzi (choć czasem umiera w dzieciństwie), jakoś się rozwija: marnie (jak choćby imponująco założony Jeruzal, zamrożony w swojej renesansowej niemowlęcej formie wokół potężnego rynku – a piszą o nim, bo powszechnie znany jest z popularnego serialu „Ranczo”) lub imponująco (jak jeszcze od Jeruzala starsze, a wegetujące przez stulecia wsie Łódka, a może Łódzia, i Katowicy [tak zostawić – KM]; te, później nawet niż Kielce, bo bliżej połowy XIX wieku, wystartowały w wyścigu do wielkości). Wizualny zapis rozwoju miasta jest czymś fascynującym. A suma obrazowych przekazów – taki idealny album z jego wizerunkami – mądrze nazywa się ikonografią miasta. Tym jest taki zapis cenniejszy, im więcej tam miejsc, domów, drobiazgów już nieistniejących. Jedne niszczą kataklizmy, inne czas, zmieniające się mody, upływ czasu, zmiana ludzkich potrzeb.

Kielce zaczynały swoje drugie, życie dwa razy. Raz po wielkim pożarze w maju 1800 r., po którym

z trzeciorzędnego, drewnianego, na poły rolniczego miasteczka skupionego wokół rynku, właściwie nic nie pozostało. Drugi raz – i wówczas już naprawdę – w 1816 r., kiedy z jakże skromnej codzienności wydzwignięte zostały niespodziewanie do roli miasta wojewódzkiego. Chcielibyśmy wiedzieć – i widzieć – jak wtedy wyglądały. W 1826 r. Ferdynand Chotomski, człowiek wielu zainteresowań, wędrując po ziemiach polskich, naszkicował w swoim zeszycie kilka kieleckich panoram. I tyle (będzie je można w końcu roku obejrzeć na wystawie w Muzeum Historii Kielc). Bolesnie mało jest widoków z Kielc z tamtych czasów. Nawet międzywojenne miasto nie znalazło swojego kronikarza, chociaż nieco starych fotografii (i bardzo niewiele wiarygodnych przedstawień malarskich) zachowało się z początków XX w. Fotografowali: Władysław Kisterski-Spalski, Edmund Massalski, sporadycznie Zygmunt Bertermann, Stanisław Sanecki, wyjątkowo Tadeusz Przykowski. Nawet z lat 50. i 60. zeszłego stulecia brak okazalszego zapisu miasta na emulsji fotograficznej. Owszem, bracia Prausowie, Stanisław i Ryszard, wielokrotnie miasto malowali i rysowali, ale sercem i wyobraźnią, nie okiem – to miasto sarmacko malownicze, z rynkiem często wspanialszym niż w Sandomierzu i szlacheckimi saniami wjeżdżającymi do centrum.

A tych Kielc – z końca XIX w., z międzywojnia, a nawet z pierwszych dziesiątek lat powojennych, właściwie już nie ma. Czy jest czego żałować? Raczej nie. Ale nie ma też tamtego prowincjonalnego klimatu, detali, zapuszczonych podwórek. Ich też na ma co żałować – ale chciałoby się mieć jakiś dokument minionego miasta. Więc cieszymy się z tego, co się zachowało. W najbogatszym zespole dawniejszej fotografii dokumentalnej – archiwum Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Kielcach, a trochę w Muzeum Historii Kielc, Muzeum Narodowym w Kielcach, no i „po ludziach”, uzbierałoby się ze trzy setki interesujących fotografii od lat 30. do 70. XX w. Bo wtedy Kielce gwałtownie się zmieniły. I na odtarzu tej zmiany prawdziwie „stare” Kielce złożyły głowę. Te Kielce od Żeromskiego, a raczej z *Szyfówkich prac*.

Wybrałem dwadzieścia kilka fotografii pokazujących agonię pewnej ulicy z przyległościami. Kwartal zabudowy w samym centrum miasta, pomiędzy Leśną a Piotrkowską, przecięty brukowanym przesmykiem ulicy Przejazd – Bóg wie czemu przez mieszkańców i wielu kielczan nazywanej Koszykową lub Koszykami. Jej los przesądziła konieczność rozbudowy gmachu magistratu, a później jakoś poszło. Stały tam domy dla nas już anonimowe, bez historii, bez twarzy, marne, zapuszczone, dawniej niemożliwie przeludnione, z ciasnymi podwóreczkami, wciśniętymi pomiędzy wąskie długie oficyny, na których często klecono jeszcze jakieś nadbudówki, szopy czy jak nazwać te najczęściej skrajnie nędzne „pomieszkania”. Te fotografie

nie są zapisem żywego miejsca, nie są próbą reporterskiego opisu życia ludzi, bo w chwili ich powstania, w 1971 roku, ani życia, ani ludzi już tam właściwie nie było. To dokumentacja przed i śródrozbiórkowa. Myślę, że dzisiaj w całości zaskakująca. Ciekawa. Przejmująca. Niezapomniana. Odpychająca. Pociągająca. Wstydliva. I Piękna. Tyle że jej piękno jest zasługą autora – Jana Siudowskiego (tylko jedno, wykonał inny znany kielecki fotografik – Henryk Pieczuł).

Oczywiście, że zmanipulowałem ten wybór. Jest taki, jak chciałem żeby był, czyli jak wyżej. Odrzuciłem te, które mi nie pasowały. Prawo antologisty. Zdjęcia nie są opisane. Autora już znamy. Te domy stały pomiędzy Leśną i Piotrkowską. Tuż po powstaniu fotografii zostały rozebrane. To wystarczy.

Wszystkie fotografie pochodzą ze wspomnianego archiwum Świętokrzyskiego Konserwatora Zabytków – za ich udostępnienie do przygotowywanej w Muzeum Historii Kielc wystawy szczerze dziękujemy.

























Leśna 15, fot. Henryk Pieczul 1975 r.

Rilkanaście lat temu zobaczyłam w „Civitas Christiana” w Kielcach wystawę malarstwa Ottona Grynkiewicza. Wywarła na mnie niezapomniane wrażenie. Kiedy teraz po latach otrzymałam od tegoż Autora trzy tomy jego poezji, ilustrowanych jego obrazami, a także folderki z wystaw jego obrazów, natychmiast wynurzyły mi się z pamięci tamte wrażenia. Również obecnie te ekspresywne obrazy przykuwają moją uwagę i zadziwiają. Są osobliwie piękne i wyzwają jakieś ludzkie ciepło, budzą po prostu bratnią miłość do człowieka, choć równocześnie i smutek wynikający z przeżyć, z okrucieństwa doznanych cierpień, ale też nadzieję. Pokazują prawdę człowieczeństwa i ludzką dolę. Dolę ludzi biednych, spracowanych, dotkniętych przez tragiczne wydarzenia historyczne.



Otto Grynkiewicz

Takie też wrażenie wywarła na mnie poezja Grynkiewicza. Są to wiersze ciepłe, głęboko ludzkie, wyzwające wzruszenie, piękne stylistycznie, wyrażone bogatym językiem, równocześnie cechujące się umiarem, naturalną, nie udziwnioną metaforą.

Można je podzielić na dwa zasadnicze działy tematyczne:

1) wiersze ukazujące przeżycia z dzieciństwa i wieku dorastania – o skrajnie sprzecznych doznaniach, bo: a). doznaniach szczęścia dzieciństwa i b). doznaniach tragedii życia spowodowanej zsyłką na Sybir w wieku 11 lat. 2) wiersze o doświadczeniach z okresu dojrzałego i jesieni życia – też mające różnorodną skalę przeżyć.

Sam Autor klasyfikuje swoją twórczość również według kryterium czasowego. Pierwszy tom tych liryków nosi znamienity tytuł: „Przypomnienia dalekie i bliskie” (2004), a tytuły dwóch następnych także dowodzą znaczenia czasu: „Łatanie porwanego czasu” (2011) oraz „Po drodze zbierane – wiersze i malarstwo” (2014). Po drodze życia, czyli w czasie.

A więc liryki poświęcone dzieciństwu to albo przywoływanie wspomnień z czasu rodzinnego szczęścia u dziadków w Kozłownikach, w zubożałym zaścianku szlacheckim na Podlasiu; albo – druga grupa wierszy, liczniejsza, jakby bolesne przeciwstawienie tamtych pierwszych – to wspomnienia okresu zsyłki na Sybir i katorżniczej pracy podmiotu lirycznego tych utworów. Jest nim niewątpliwie sam autor, który na początku zsyłki miał zaledwie 11, a pod jej koniec 15 lat. W swej twórczości malarskiej i poetyckiej rozpamiętuje tamte przeżycia. Ten chłopiec pracował przez 4 lata ponad siły w syberyjskim klimacie przy wyrębie drzew w tajdze i wraz z matką i siostrą znosił głód, mrozy, dokuczliwość insektów. Oprócz biedy i wstrząsająco ciężkich warunków bytowych cierpieł oni tęsknotę za rodzinnym krajem, za wolnością, trawiła ich rozpacz z powodu losu ojca, uwięzionego przez NKWD.

Jest też liczna grupa wierszy, w których poeta przywołuje z nostalgią wspomnienia dawnej wsi wraz z jej wyglądem, z kulturą ludową, obyczajami, z zachowaniami wynikłymi z sytuacji materialnej chłopów. Są to utwory poetyckie o tematyce chłopskiej, jakby etnograficzne.

Wiersze związane z okresem późniejszym mają różną tematykę, bardziej współczesną, dotyczą spraw narodowych (np. patriotyzmu), życia społecznego, kulturalnego, rodzinnego (np. liryki odnoszące się do żony, córki, wnuczki). Sporo ciekawych wierszy z tego działu tematycznego Autor poświęca sztuce, tzn. własnej poezji i malarstwu. Te liryki można nazwać autotematycznymi, bo to jest poeta dużej samoświadomości twórczej. Szerzej o tym jednak za chwilę.

Przyjrzyjmy się bliżej pierwszej grupie tematycznej tej poezji, poczynając od tomu 1, *Przypomnienia dalekie i bliskie*, niejako debiutanckiego, choć autor publikował swoje wiersze znacznie wcześniej w prasie ogólnokrajowej i regionalnej. Znany poeta Wiktor Woroszyński, krajan Grynkiewicza, też spod Grodna, nawrócony z komunizmu już po „wydarzeniach węgierskich” w 1956 r., zachęcał go jeszcze w latach 60. XX w. do twórczości poetyckiej, widząc u niego zadatki talentu. Ale Grynkiewicz długo się wahał, zanim podjął tę dziedzinę twórczości. Najwidoczniej stawiał sobie duże wymagania w tym zakresie i zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności za słowo poetyckie.

Do pierwszej grupy zaliczymy więc wspomniane wiersze o dzieciństwie podmiotu lirycznego, o środowisku, w którym żył. Poeta w całej twórczości często rozmyśla nad okresem dzieciństwa, którego istota tak silnie jest zakodowana w każdym człowieku, że i w starości się w nas odzywa, zwłaszcza w starości. Poeta pisze: *wiem | przeszedł lata zielone – | różowe też mam za sobą... | W jakim kolorze | kupić lody | dla starego dziecka* („Dzień dziecka”).

Już od pierwszego wiersza, „Gorejące drzewo”, z tomu 1. spostrzegamy, że jest to poezja niebanalna, że autor ma wiele do przekazania i że potrafi sprostać wymaganiom sztuki poetyckiej. Nie tylko zadziwia dużym bogactwem treściowym, niezwykłą inwencją twórczą, ale też wyczuciem smaku, dużą znajomością środków poetyckich, sprawnością języka, jednym słowem, wykazuje się wielką dojrzałością poetycką.

W wierszu tym czytamy: „Gorejące drzewo | zatliło się od szczapki smolnej | [...] Na ścianach kuchni | chybotaty cienie | rycerzy wojowników | pięknych księżniczek – | szli do ataku kosynierzy | cwałowała husaria | szumiły skrzydła białych orłów. | W kuchni dziadkowego domu | łopotały zwycięskie sztandary. | Od szczapki smolnej | zatliło się drzewo – nadal gorejące”.

Jak widzimy, jest to wiersz biały (bezrymowy), na pozór prosty, a jednak obraz całości zdumiewa poetyckością, bo przesuwają się w nim całe szeregi figur i wyobrażonych scen. Jest to artystyczna relacja z zapamiętanej z dzieciństwa wizji palącego się łuczywa w domu dziadków. Podmiot liryczny – dziecko – widzi w swej wyobraźni to niezwykle zjawisko *gorejącego drzewa* jako serię szybko rozwijających się odston. Wszystkie elementy są w ruchu – niestychany dynamizm. I tak je po latach jako poeta przedstawia. Dla niego był to widok fascynujący. Kształty płomieni przypominały mu znane postacie z baśni lub zdarzenia historyczne. Już wtedy ujawnia się bujna fantazja przyszłego malarza i poety. Autor wykorzystuje tu biblijny symbol Mojżeszowego gorejącego drzewa i podkreśla w puencie, że czuje je w sobie jako – *nadal gorejące*. Co oznacza? Czy jest symbolem tylko trwale palącej się w nim wyobraźni, czy też jeszcze czegoś ponadto – wiary, tradycji kulturowej, a może miłości i gorliwości życiowej, która podsyca w nim chęć

tworzenia? Struktura tego wiersza jest kłamrowa. Zapis owej klamry, czyli początku i końca wiersza niby ten sam, ale kolejność słów w finale – odwrócona i mocno nacechowana znaczeniowo.

Warto jeszcze przyrzeć się pięknemu wierszowi „Tam”:

Tam pachnie niebem i słońcem praśnym

W zakolu cienia kamień kruszeje.

Zmurszałe belki leżą omszałe

w zieleni chwastów.

A trupioszara strzecha

zgarbiona

w łachach żebraczych

okienko-oko – stomą przykrywa.

Kawałkiem szyby w mroku sepleni

skargą-nieskargą

Tak dogorywa,

[...]

Ptęlegnujemy w sobie zazwyczaj jakieś drogie nam miejsce, przeważnie są to rodzinne strony, rodzinny dom, rodzinny krajobraz – jakieś magiczne „tam”, czyli miejsce, do którego kierujemy nasze wspomnienia, nasze odniesienia całego życia. Wiersz Grynkiewicza ma ciekawie zastosowaną personifikację. Bohaterką wiersza jest umierająca chata – jako staruszka-żebraczka. Budzi ona współczucie niczym człowiek, ale przede wszystkim czujemy razem z podmiotem żal, że ją traci. On pragnie ją zatrzymać. Jest to chęć naturalna w sytuacji odchodzenia kogoś bliskiego: „I ciągle żywe moje nadzieje | że to nieprawda | że moja chata ciągle przytulna | ciągle istnieje | i pachnie mlekiem | oraz praśnym chlebem”. Wiersz wyzwala żal, że odchodzi jakaś epoka. Literacko – to jakby tren, lamentacja.

Utwór ów rozbudza ponadto w naszej świadomości jakiś mit: chatę-mit, przeszłość-mit, dzieciństwo-mit, pamięć-mit. I tu się nasuwa na myśl: „pamięć i tożsamość”, dzieciństwo-tożsamość, i cała głębia filozofii Jana Pawła II. Czy wiersz Grynkiewicza ukazuje tylko tożsamość podmiotu lirycznego, czyli osobistą tożsamość twórcy? Chyba zgodnie z zasadą skojarzeń ma wymowę znacznie szerszą, ogólniejszą. Wszyscy skądś pochodzimy, z czegoś wyrosliśmy: z jakiejś ziemi, z jakiejś epoki, z jakiejś kultury, tradycji. Każdy ma taką swoją chatę-mit, gniazdo-mit. Tym symbolem-pamięcią może być też piętro kamienicy, ulica, podwórko miejskie, a może dwór albo pałac... Nieważny status społeczny, bo bieg do wieczności kończymy wszyscy na tych samych prawach. I wyraziste wspomnienia dzieciństwa jako mitu też ogarniają każdego z nas, mają moc zawładnąć każdym. Wiersz bez przesadnego sentymentalizmu rozbudza w nas drzemającą tęsknotę za swoimi korzeniami. Jest ona silniejsza od nas. Każdy chyba jej ulega, nawet tak silny człowiek, jak Jan Paweł

II wielokrotnie wracał myślą i uczuciem do swojej małej ojczyzny. (Możemy o tym szerzej przeczytać w referacie ks. Mariana Dudy pt. *Miłość do „małej ojczyzny” w myśli i przykładzie życia Jana Pawła II*, wygłoszonym na sympozjum w Wadowicach 19 maja 2009 r. – www.biblioteka-wadowice.pl).

Wiersz Grynkiewicza pisany jest nie tylko z formalnej perspektywy czasu, lecz z tęsknoty za minionym szczęśliwym światem, nie tylko światem osobistym, ale też za epoką, która odchodzi, za aurą kulturową, która się zmienia, za tradycją. Zamieszczony obok wiersza obraz Grynkiewicza „Ogród rzeźb”, przedstawiający szereg figur ludowych, czy raczej stylizowanych na ludowe (świętki ludowe i wieśniacy: chłop z kosą, kobiety z maselnicą i z miotłami), wzmacnia jego wymowę. Wiersz wraz z obrazem przywołują z nostalgią ten wiejski klimat ciepła i szczęścia.

Porównywalnych merytorycznie wierszy u Grynkiewicza jest we wszystkich trzech tomach wiele. Podobnym duchem tchnie liryk „Pod strzechą”. Marzy się w nim Poecie:

[...]

Żeby wiatr szumiął, a woda sptywała:
nad strychem czarów i skarbów baśniowych,
nad majerankiem, szatwią i dziewanną,
nad kwiatem lipy i miętą pieprzową,
nad cząbrem wonnym i innymi ziołami,
co w noc Kupały tajemnie zerwano,
a w Boże Ciało wodą poświęcono.

[...]

Pod strzechą chaty szumy i zapachy
snują się, ścielą – ścielą się i snują.

Tam pamięć tęskni – losem naznaczona –
na strychu, w kącie, w kopce siana leży
przez lata długie, w szumy i zapachy
dzieciństwa mego trwale zanurzona.

Znowu jest tu coś z mitu i baśni. Mit dawnej wsi. Jest to piękny wiersz: nostalgiczny, ale i refleksyjny, przeniknięty myślą egzystencjalną, filozofią: „Tam pamięć tęskni – losem naznaczona”.

Pod względem formy w wierszu „Pod strzechą” następuje zmiana stylistyki. W przeciwieństwie do paru pierwszych wierszy, raczej nowoczesnych, ten utwór jawi się nam niemal w starym stylu. Z taką treścią tylko taka poetyka harmonizuje. Tradycyjna. Rytmiczna: regularny 11-zgłoskowiec, ze statą średniówką. Rymy zachowane śladowo – nie natrętnie ścisłe, raczej nowoczesne. Tradycyjnie natomiast zastosowane są melodyjne, retoryczne powtórzenia wyrazów i zwrotów oraz wyliczenia, np. *nad strychem czarów; nad majerankiem, szatwią i dziewanną; nad kwiatem lipy i miętą pieprzową; nad cząbrem...*

W liryku „Takie święto” również pojawiają się elementy mitu i baśni, jednak użyte w innym sensie. Wiersz poświęcony jest wywodzącemu się z pogań-

stwa obrzędowi, tzw. nocy Kupały, czyli obrzędowi sobótki, w chrześcijaństwie przekształconemu w noc świętojańską (z 23 na 24 czerwca). Poetów zawsze fascynowały te dziwne obrzędowości folkloru pogańskiego, połączone ze zwyczajami opartymi na chrześcijaństwie, bogate w różne formy (żywe jeszcze w XX w. takie obrzędy i zabawy, jak wianki, sobótki, wróżby itp.). Pamiętamy zwłaszcza „Noc świętojańską o Sobótce” Kochanowskiego. Grynkiewicz w swoim liryku też malowniczo je przedstawia, ale wprowadza nowy rys: [...] *Jest takie święto, prawie zapomniane, | [...] A jego święci | w noc przesilenia palą ogniska z kwiatów paproci | nad brzegiem wody. | Wianków szukają w krzakach jałowca | i jako żertwy ofiarne kładą na toń głęboką. | [...] A potem święci | w stosie ofiarnym z kwiatów paproci | w płomieniach tańczą, by się odrodzić | i, z nową mocą wziąć we władanie wszystko-nie wszystko || Jest takie święto, prawie zapomniane.* Te wersy kojarzą się nam nie tylko z tańcem zabawy, ale też z tańcem śmierci i z całą martyrologią polską przywoływaną raz po raz przez Grynkiewicza w jego obrazach i wierszach (*żertwy ofiarne, w stosie ofiarnym, w płomieniach tańczą*).

Autor posługuje się tu rymami nietradycyjnymi, nieścisłymi i niepełnymi, niebanalnymi. Te „zgrzyty” rymów podkreślają bolesny wydźwięk utworu. Nie jest to wiersz ściśle metryczny, tzn. oparty na systemie powtarzających się równomiernie elementów (akcenty, sylaby), ale ma swoistą rytmikę zdaniową. Kompozycja refrenowa: strofy wiersza zaczynają się powtarzaną frazą (anafora): „Jest takie święto, prawie zapomniane”, utwór również kończy się tym zwrotem. Zbliżony jest zatem do pieśni, być może celowo, aby oddać hołd wielkiemu poecie, Janowi Kochanowskiemu. Jego wymowa jednak w dzisiejszych czasach jest inna niż była w dawnych wiekach, bo doświadczenia poetów są inne. To też rodzaj elegii czy trenu, ale żegnającego nie jedną osobę, lecz męczeńskie pokolenie.

Oprócz wierszy baśniowo-mitycznych uwagę przyciąga inna problematyka w poezji Grynkiewicza. Niebanalne w naszych czasach wydają się jego liryki o tradycyjnej tematyce, niemal nostalgicznie przywołujące przeszłość: jej obyczaje, obrzędy, kulturę materialną i duchową, nastroje, upodobania. To one są tak miłe sercu starszych ludzi, a u młodzieży budzą zaniepokojenie i zdziwienie przeszłością. Nazwałam je umownie – etnograficznymi, dotyczącymi kultury wsi. Dla zobrazowania przybliżmy parę z nich. Będą to wiersze przywołujące wspomnienie dzieciństwa autora, spędzanego głównie u dziadków w środowisku wiejskim. Będzie to chata dziadków, jej wygląd, i wiejskie realia z nią związane, „gdzie moje dzieciństwo ugrzęzło” – stwierdza Poeta. Tego typu wierszy jest sporo, np. liryk „Babci” z t. *Przypomnienia dalekie i bliskie*. Jest to obraz alegoryczny. Warto mu się przyjrzeć w całości:

Miałaś uprawnienia
do błogostawienia chleba.
Krzyżem znaczyłaś duże bochny,
Kładłaś na pachnącym tataraku
w piecu rozżarzonym.

Płynął aromat pola zżętego
i sitowia nad sadzawką,
gdzie skrzek, kijanki,
i karaski złociste,
gdzie słońce błyskało
srebrnymi łuskami,
gdzie moje dzieciństwo
w starym domu ugrzęzło.

Jednak w dzieży na dnie,
trochę ciasta zostało.

Na nowy zaczyn Panie

Twórca przywołuje tu czynność, a właściwie ceremonię pieczenia chleba. Chleb to podstawa naszego bytu. Na wsi podchodziło się do niego jak do świętości. Zresztą nie bez powodu w wierze Chrystusowej chleb staje się bytem mistycznym, „chlebem życia”, czyli obietnicą zbawienia (KKK 103; 1333n i in.). Ale wiersz oprócz nawiązania do sakralnych znaczeń, których jest alegorią, oprócz błogostawienia chleba i chlebem, zawiera wiele ciekawych elementów z kultury wsi, dotyczących czynności pieczenia chleba i narzędzi oraz składników do tego potrzebnych, jak, dzieża, zaczyn, tataraki, piec rozżarzony i inne rekwizyty, inne obyczaje. Są to elementy charakterystyczne, nieodrodne od dawnej wsi. To jest typowy folklor przedwojennej wsi, a ściśle – wsi kresowej. Z tym obrzędem pieczenia chleba wiąże się ogólna atmosfera wiersza. Środkowa jego część: piękny obraz pól i wsi to chęć utrwalenia takiego krajobrazu, takiego piękna i nastroju z niego płynącego, takiego przeżycia szczęścia.

Pod względem stylistyczno-wersyfikacyjnym całą uwagę Poeta koncentruje na wyobrażeniach poetyckich i głębokiej symbolice. Puenta wraca do myśli inicjalnej. Zaskakuje też epitet ‘przaśny’, który odnosi się raz do chleba, drugi raz do słońca. Jest to wiersz wolny (nie oparty na stałych elementach rytmotwórczych, sylabo-akcentowych) i biały, czyli bezrymowy, jak wiele innych jego wierszy z tego okresu. Utwór również ma strukturę klamrową. Zaczyna się i kończy motywem pieczenia chleba. Klamrą tutaj jest myśl, a nie formuła słowna (klamra semantyczna).

Piękną ekspozycją autentycznego folkloru jest omawiany wiersz „Pod strzechą”: *Łan żyta zżęto, młócono cepami*, *„Pod kalenicą strzechy starej | chaty | pęczki ziół polnych w aromatach wiszą, | od złego chronią, domowników leczą | z chorób wszelakich oraz przypadłości. | Pod kalenicą: w koszyku z wikliny |*

suchy ser biały żółte zęby tamie, | I stony okorek, jak wisielec dynda, | gniazdo jaskółki, to zaczarowany..

A jak wyglądał folklor wiejskich zabaw dziecięcych? Jak się bawiły dzieci na wsi? To tym ciekawsze, że rzadko opisywane w literaturze. Oto poetycka jego wizja – barwna, metaforyczna i psychologicznie pogłębiona, według wiersza „Sposób na zabawę”: *Szukałem sposobu na dobrą zabawę. | Patrzyłem w słońce – przemykało bokiem, | ale mrugało zachęcająco. | [...] Zaglądałem do studni głębokiej; | rozmawiała ze mną dudniącym echem | podziemnego świata. | Właziłem w topuchy, jak w uszy słońca | obwisłe rosą na moich ramionach || [...] Tak, tak... było to dawno temu.*

Z tomu 2. takim etnograficznym obrazkiem jest wiersz „Miestowe buty dziadka”, który przypomina nam wyniki z biedy chłopski obyczaj chodzenia boso i noszenia butów na ramieniu, a zakładania ich tuż przed kościołem lub miastem. Jeszcze do lat pięćdziesiątych XX w., a może gdzieś i dłużej, to był powszechny zwyczaj na wsi. A że wiersz jest po prostu ładny, więc go przeczytajmy:

Po kościelnej drodze szedłeś,
po miedzach w polu,
na skróty.
Żarliwie wdeptywałeś swoje stopy
w błoto, piasek.
Podwinięte nogawki portek...
Na ramieniu buty,
co od święta tylko,
na niedzielę,
miastowe, z innego świata.

Przed kościołem
wciskałeś te brudne nogi,
– grzeszne od trudu trwania –
i sztywno stąpałeś,
zamaskowany
juchtem i glancem,
przed oblicze Pana

Kolejny wiersz o tematyce też etnograficznej to „Łapcie dziadka”: *Na lipie rosą łapcie – | lipowe. | Wystarczy tylko sięgnąć, | zedrzeć korę, | wymoczyć, | w słońcu tylko | na równe paseczki wysuszyć. || Wzór masz od pradziadków – | z noskiem zadartym. | I plecionkę znasz od wieków: | zwartą, miękką, | do stopy przyległą. | Onucka biała, na krzyż opleciona... | Już możesz iść... || Zedrą się na pewno, | ale na lipie są nowe. || Dawniej chodzono tak | do końca świata. | Twojego świata.*

Pewien szczegół życia duchowego utrwała wiersz „Komoda prababci”: *W komodzie prababci leży liścik | z kwiatem rozmarynu – niezwykle wymowny | rekwizyt epoki.* Ta romantyczna nutka dowodzi wrażliwości Poety, który jeszcze zwraca uwagę na takie niuanse.

Inny wiersz to „Siewcy”. Jego tematyka i obrazowanie jakże są nam znane z tradycji literackiej: *Chłop sieje zboże w ziemię zaoraną. | Trójgestem ręki trud swój błogostawi, | gdy dłonią twardą pot z czoła ociera | i z płachty lnianej rzuca w rolę ziarno. | Idzie dostojnie po spieczonej grudzie, | miarowym krokiem stawia bosc stopy. || Tak siaty dziady i ojce, tak w trudzie | i znoju siaty nasze, polskie chłopy. || Siali przez wieki siewcy Pana Boga, | On im dzierzawił, i ziarno, i pola, | i dzierzawiona była życia droga... | i dola.* Trudno tu nie wspomnieć o obrazie tegoż Autora – *Siewca*, który się sam nasuwa na myśl.

Sporo jest u Grynkiewicza wierszy utrwalających polską tradycję, polskie obyczaje, tak bliskie naszemu sercu. Ktoś słusznie powiedział, że wszyscy jesteśmy ze wsi, bo jeśli nawet ktoś dosłownie nie jest z niej z urodzenia, to z doświadczenia zna wieś i uczuciowo jest z nią związany przez przyrodę, przez krajobraz, no i – literaturę. Nasza kultura literacka ukształtowała się na wsi. Kochanowski, Rej, Potocki, Mickiewicz, Norwid itd. itd. A bliżej nam czasowo wyróżnia się znaczący w kraju i na świecie nurt polskiej literatury chłopskiej – Morton, Nowak, Myśliwski, Kawalec, Redliński i in. To ważna kontynuacja polskiej tradycji literackiej. Grynkiewicz ze swoją liryką rzeczowo przylega do tej wielkiej tradycji epickiej.

Ze wspomnieniami nieco późniejszego okresu dzieciństwa wiąże się główny cykl twórczości Grynkiewicza, tzn. cykl tematyki sybirackiej. Jednym z pierwszych wierszy tego bloku poetyckiego jest liryk „Tak było” z t. *Przypomnienia dalekie i bliskie*. To wiersz o wywóźce na Sybir.

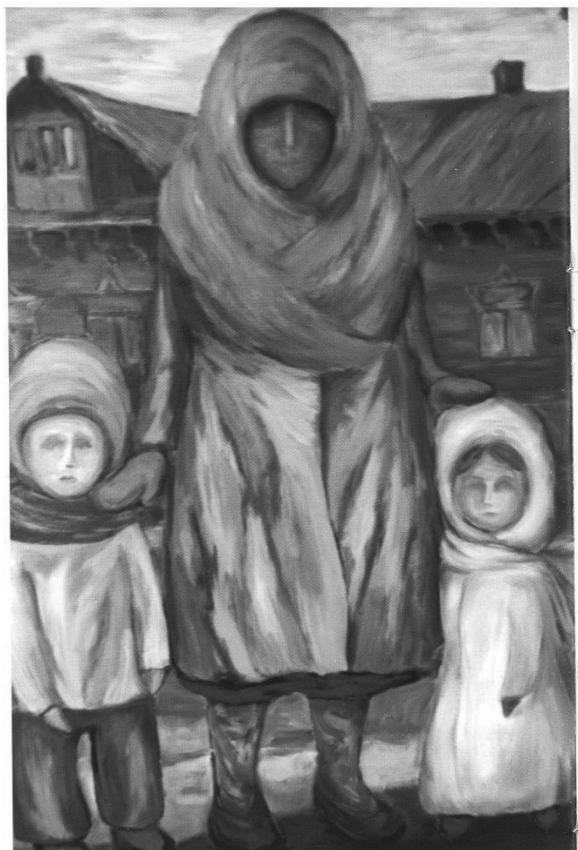
Był czterdziesty pierwszy.
Lato.
W nocy przyszli,
od wschodu z dziadkowego sadu.
Szytki wynurzały się wachlarzem
i osaczyły dom.

Wycięli nas do korzeni [...]

Wyraźną cechą wiersza jest skrajna prostota. Przy tak bolesnej treści, przy takiej tematyce, wyrostej z osobistych przeżyć, raziłby styl ozdobny, z bogactwem metaforyki. Mamy tu więc: lakoniczną relację, prostotę, skróty myślowe.

Wierszowi towarzyszy malarskie dzieło tego Twórcy, przejmujący obraz „Na Sybir”, który swoją czerwienią „wykrzycza” ból, nie mówiąc już o przerażającej wymowie wyglądu ludzi i ich postaw. Szczególną uwagę zwraca symbolicznie wielka postać żołdaka stojącego z bronią nad tą zbitą masą umniejszonych, bo poniżonych, styranizowanych zesańców.

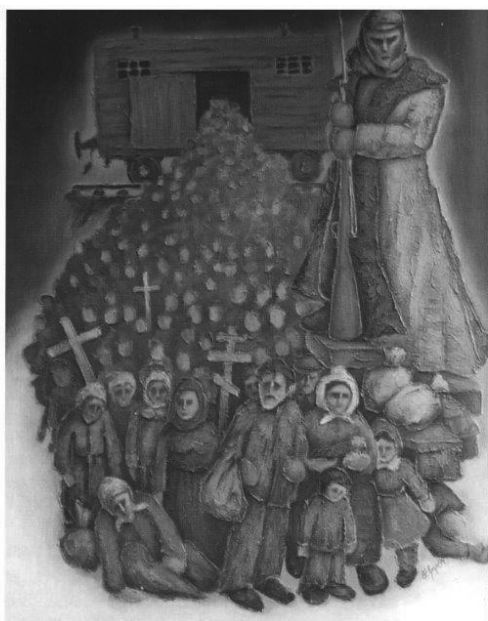
Często, jak np. w pięknym i jakże głębokim wierszu „Miś” z tomu 2, *Łatanie porwanego czasu*, wątek szczęśliwości dzieciństwa splata się silnie z wątkiem



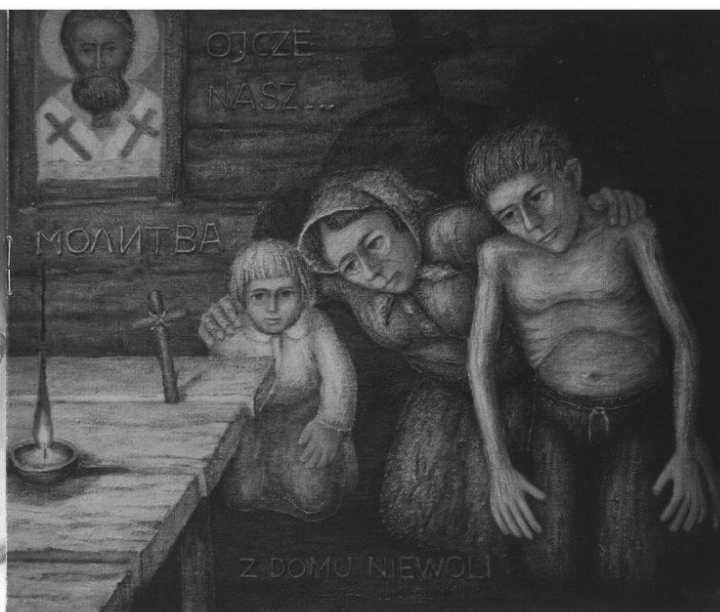
O. Grynkiewicz, Wspomnienie dzieciństwa

martyrologii: *Kiedyś miałem pluszowego misia | przytulał się do mnie i zasypiał [...] potem rzucono go przy | transsyberyjskiej drodze | [...] Leżał nieborak wśród traw wysokich | Na pewno znalazła go niedźwiedzica | i przyjęła jak swego.* W cudowny klimat udanego dzieciństwa wkracza brutalna rzeczywistość zsytki tego dziecka na Sybir, gdzie będzie miał nie radosne sny przy misiu, lecz głodowe sny o chlebie. W wierszu „Sen o chlebie” przejmująco pisze: *[...] Dziś miałem dobry sen | Z dużego bochenka | wątplymi palcami | kęs chleba wyrwałem | i jadłem do syta. | Do syta.* Po wielu latach od chwili cierpień stać już Autora na artystyczny dystans w tym liryku i malarskie ujęcie realiów. Jest to poetycki obraz o walorach malarskich: *Stół z desek sosnowych | na nim leżą ręce drobne | wątplę piąstki ściśnięte | w oczekiwaniu.* Jakaż głęboka wymowa tego utworu.

W kolejnych wierszach mamy obraz tej groźnej a pięknej krainy i osobliwy opis życia w niej bohatera. Poeta wielokrotnie wykazuje sprzeczności tych syberyjskich doznań. Np. w wierszu „W stepie szerokim” w finałowych wersach pisze: *Chłopiec, co nie był o nic oskarżony, | gonit myślami pędzące burzany, | cieszył się śpiewał wolnością natchniony | w stepie szerokim | w stepie uwięziony.* Ból, tragizm a równocześnie zachwyt nad pięknem tego terytorium Północy wciąż wracają we wspomnieniach podmiotu lirycznego, a właściwie na stałe tkwią w jego świadomości. *Stateś na brzegu | strachem-zachwytem | obezwładniony* – wspomina w wierszu „Ob”. – *Co zobaczyłeś?*



Na Sybir, 1994 r.



Modlitwa, 1996 r.

O. Grynkiewicz, Na Sybir, Modlitwa

| rzekę Sybiru | jak toczy wody | mułem skłębione, |
| jak Niemnów sto, | lub Wiśł ojczystych | złęczonych
w jedno. Podmiot ma świadomość swej obsesyjności
tych syberyjskich wspomnień: *Przez wszystkie lata, |
mułem skłębiony | Ob, będzie toczyć | obraz Sybiru.*

Ten Sybir i jego rzeka Ob toczą się przez całe
życie podmiotu Poety.

Jeszcze boleśniesz wspomnienie jest w wierszu
„Pamiętam”: *Widzę tylko ich szare twarze | okolone
wiankiem szronu | [...] Tylko twarze. | W rozkołysanej
czarnej przestrzeni – z oczami co patrzą szalonym
zduśnieniem, | z ustami w niemy bezgłośnym krzyku
| twarze dzieci, kobiet i starców || na zewnątrz wycie
wiatru, | rytmiczne dudnienie kół || i chrapliwy głos
parowozu | [...].* Pragnie się tych wspomnień, tej
obsesji, pozbyć, co wyraża w wierszu „Obrazek przy
tęczynie”: *O Panie Niebieski – wiem – zapomnieć
trzeba, | i zapewniam Ciebie, że się bardzo staram.* Ale
równocześnie Poeta zdaje sobie sprawę, że to nie-
możliwe; ta obsesja: *do końca życia. | W snach
będzie męczyć, | jawą władnie...* („Ob”). Wiersze
Grynkiewicza dzięki szczerości doznań, prostocie
poetyckiej relacji podmiotu nie są sentymentalne
i clikliwe. Są wstrząsające i równocześnie rzewne,
dlatego nas dogłębnie wzruszają. Przeczytajmy
jeszcze w całości „Pamięć Sybiru”:

Cieniem się kładziesz na moich oczach,
bruzdę wyryłeś na moim czole –
Jesteś udręką na myśli roztozczach
i ostrym cierniem, co kłuje boli.
W czasach chłopięcych wzięłeś mnie w ramiona
i ciągle trzymasz... aż życia dokonam.

Z krajobrazem i z syberyjskim klimatem (chodzi
o osobliwości atmosferyczne) zawsze już będą się temu
Twórcy kojarzyć pewne widoki i zjawiska przyrody,
które z natury są piękne, ale dla duszy bolesne, np. „
[...] Patrząc na biel śniegu w ogrodzie | przypominam
śnieg niegdysiejszy – | tropami zwierząt znaczone:
| zająca bielaka, siwej popielicy | białej kuropatwy,
polarnego lisa | cichym lotem syberyjskiej sowy |
białej jak duch ośnieżonej tajgi. | I wtedy, na śniegu
w ogrodzie | kładą się szare cienie, które nie podlegają
topnieniu” („Patrząc na śnieg”).

Na uwagę zasługuje wiersz „Golgota”, stylizowany
na pieśń, o trochę innej tematyce, bo już nie jest
to doświadczenie osobiste podmiotu lirycznego, ale
hołd złożony nienazwanym z imienia ofiarom zbrodni
totalitaryzmu, których jest Legion. Ten metaforyczny
Legion zamordowanych Poeta porównuje z ofiarą
krzyżową Chrystusa.

Legionie tych, co nieśli krzyż
z ofiarą krwawą, tak jak On
w apelu stań,
bo mogił twych
bez liku jest,
co kryje śnieg,
ostania las –
nie znamy ich.
W pamięci trwaj.

Nadejście zmar –
twych-wstania czas.

Martyrologia polskiego narodu u Grynkiewicza jest
dominującą tematyką nie tylko w jego malarstwie,
ale i w poezji. Jeśli nie liczbowo przeważa ten

cykl utworów u tego Autora, to na pewno ciężarem znaczeniowym, rangą, siłą wyrazu.

Znamienny i wyrazisty pod względem wymowy wydaje się wiersz z późniejszego okresu twórczości z t. *Po drodze zbierane „Procesje”*. To wiersz-alegoria, parada symboli o bogatym znaczeniu. Święty pochód ziół i kwiatków, przyrównany do sakralnych procesji, np. Bożego Ciąta: *Na kotkach w płocie płyną feretrony | złocistych dzbanków, saganków, tadyszek, dotem kobierzec: wszędobylski mniszek w słoneczne plamki i puch umajony. | Sunie procesja po steczce wiośnianej, | co szlak wyznacza świętego pochodu, | a w niej najświętsze, to, w głębi ogrodu | pod baldachimem strzechy słomianej – | chata na zrzęb, w sosnowym ornacie | okienkiem błyska, niczym monstracyją.* W ten święty pochód szczęścia wkracza Złoto (wojna to symbol wszelkiego Zła): *[...] Przyszła Złowroga też steczką żwirową | [...] przeszła krokiem kata | depcąc co święte – procesują nową; | butem stalowym wschodniego sołdata.* Ten obraz: *świętego pochodu szczęścia* obsesyjnie się powtarza w całej twórczości, tkwi w każdej chwili życia Autora – także w starości.

„Przypominanie – zapominanie” (z t. 1) to wiersz jakby samooceniający te liryki wspomnieniowe. Wobec dużej roli tak tematycznej, jak i artystycznej tych utworów w całej poezji Gryniewicz – przytoczmy go w obszernym fragmencie:

[...]

Szukam konkretnych punktów zaczepienia.

Nie ma ich we mnie tylko poza mną

i trzeba wielkiego wysiłku aby je pozierać

i scalić w karty z czytelnymi znakami.

Ruszam w pogon za tym co nie ucieka

tylko jest półprzeźroczyste niedookreślone.

W dalekich przypomnieniach szukam

sensu zapomnienia

Bywa czasem

że smużka światła przetnie mrok zamkniętego czasu

jakby ostrzem diamentowym

wtedy w dalekim przypomnieniu znajduję

dobroć zapomniania.

W dalekich przypomnieniach szukam | sensu zapomnienia. To ciekawe psychologicznie uzasadnienie twórczości. Autor nie chce utrwalić tych przeżyć, chce o nich zapomnieć, chce się wyzbyć ich ciężaru. W rozmowie telefonicznej (1 III, 2015) powiedział do mnie, że nie pamięta szczegółów swoich przeżyć, pisze „wrażeniami przeżyć”. Ale w naszym, czytelnicznym, odbiorze te „wrażenia” dają poczucie pewnej całości przeżyć. Wynikają one z autentyzmu i szczerości. Te fragmenty składają się na taki obraz przeżyć bohatera lirycznego, który syntetyzuje się w potężną i wstrząsającą odstonę martyrologii narodu. Kiedy się czyta wiersze tego Poety, ma się wrażenie, że się czyta opowieść o jego życiu. Każdy z tych wierszy jest mocny i bogaty

w treść, każdy wnosi jakiś nowy element przeżyć, jakieś wspomnienie – wzruszenie, a czasem koszmar. To, co podmiot liryczny wyraża, jest tak realistyczne, tak wiarygodne, prawdziwe, że suma tych wyznań stanowi potężny akt cierpienia i tworzy niezwykły literacki pamiętnik – pamiętnik poetycki. Składają się na niego, nazwijmy je, martyro-liryki, których treść w swej prostocie i szczerości przeżyć nie tylko dorównuje zapisom pamiętnika (jako gatunku literackiego), ale je pod pewnym względem przewyższa dzięki swej zwartości, dzięki metaforze, dzięki wyrazistości ukazujących przeżyć. Czytelnik z tych wrywków przeżyć, z tych poetyckich migawek ukazujących cierpienia podmiotu autorskiego – niekiedy też innych podmiotów cierpiących – tworzy sobie bolesny realny obraz całości. Jego wiersze to dzieje człowieka XX i XXI wieku, los człowieka potomka Adama i Ewy. Ta malarsko-poetycka autobiografia jest multibiografią Polaków. (Kiedy oglądałam w TV film *Syberiańska polska* z 2013 r., miałam wrażenie, że jego twórcy korzystali w dużej mierze z obrazowania poezji Gryniewicz – ona bowiem wcześniej była opublikowana).

Poza cyklem wierszy o tej węzłowej wymowie, dotyczących martyrologii osobistej i narodowej – dwubiegunowych wspomnień syberyjskich, bardzo bolesnych, ale też często i nostalgicznych – jedną z ważniejszych grup tematycznych stanowią utwory o wymowie społecznej, a zwłaszcza patriotycznej.

Wiersz „Guzik szczerozłoty”, utrzymany w konwencji gawędy, przesączony jest nutą gorzkiej ironii. Jest to pewnego rodzaju sąd nad czasami poety, i równocześnie nawiązanie do tradycji literackiej. Tytułowy epitet ‘szczerozłoty’ przywodzi na myśl znany wiersz Lenartowicza „Kubek szczerozłoty”. Po motyw złotego kubka, traktowanego jako symbol czegoś wymarzonego, szczęśliwego, ale nierealnego, sięgali tacy poeci, jak Konopnicka, Pawlikowska-Jasnorzewska, ks. Jan Twardowski. Wszyscy ci poeci wyrażali żal za czymś, ból, gorycz losu. Ironia w wierszu Gryniewicz odnosi się do historii Polski, a konkretnie do lat 30. XX w. Przypomina chętnie hasła ówczesnego rządu polskiego, który zakładał, że armia nasza w razie



O. Gryniewicz – XXX.jpg

napadu wroga nie odda ani guzika. Rzeczywistość aliści okazała się boleśnie inna.

Patrzac jednakże z dalszej perspektywy czasowej, dostrzegamy głębszy sens tych bojowych i patriotycznych hasel, może i buńczucznych, z okresu dwudziestolecia, a właściwie sięgających czasów powstań w XVIII czy XIX wieku. Dzięki takim założeniom, dzięki takiemu nastawieniu przetrwała idea i chęć walki o niepodległość i niezależność Polski do naszych dni. A wydawało się, że zmasowana siła zła już ją na zawsze uśmierci, Polacy zostaną całkiem zindoktrynowani i pogodzą się z sytuacją. Jednak jest inaczej. W czasie II wojny światowej, mimo klęski wrześniowej 1939 r. i mimo dalszych niepomysłnych losów Polski, żołnierze polscy bohatersko walczyli na całym świecie, wierząc, że to za Polskę, że ją odzyskają, „odbiją”. I choć nas zdradzili rzekomi sprzymierzeńcy, choć Polaków wykorzystywano, lekceważono, choć dokonano podboju pod pozorem wyzwolenia, to jednak idea wolnej Polski przetrwała dziesiątki lat, przynajmniej u dużej części Polaków, jak u tej biblijnej „Reszty”, która zawsze stawiała się zaczynem działalności w kierunku dobra wspólnego, narodowego, w kierunku niezależności czy to politycznej, ekonomicznej, czy kulturowej lub innej. Niewątpliwie przyczyniła się do tego uchwalona przed uśmierceniem polskiego państwa *Konstytucja 3 Maja*. Ale niełatwo jest trwać w *nadziei wbrew nadziei*. Siłą rzeczy wszyscy okresami ulegamy złym nastrojom, wynikającym z coraz gorszej rzeczywistości, także ideowej i moralnej w kraju. Wielu z nas z goryczą, często wyrażaną poprzez ironię, podchodzi do tych bolesnych doświadczeń. Zwłaszcza wrażliwość artystów wychwytuje te bolesne tony.

Okazuje się, że Gryniewicz nie tylko w poezji wyrażał swoje refleksje patriotyczne. Jak pisze prof. Janusz Gajda z UMCS w *Obliczach patriotyzmu*, tj. w komentarzu do katalogu z 2004 r., wydanego w Puławach przez Galerię Sztuki JAG – nasz Twórca podejmował tematy patriotyzmu najpierw w malarstwie. Oprócz takich zagadnień, jak symbole narodowe, martyrologia narodu, umiowanie krajobrazu polskiego, w tym architektury swojego regionu (patriotyzm lokalny w najlepszym znaczeniu), w swoich obrazach wyrażał również ironię i pokpiwanie „z przywar narodowych, w tym naiwnie manifestowanego i pojmowanego patriotyzmu” (np. płótna „Różdżkarz” i „Szarża”). Z wiersza „Guzik szczerzoty” Gryniewicza można wyczytać oprócz gorzkiej ironii także żal za żołnierskimi ideałami: „*W czas jesiennej stoty, | gdy płaczą deszcze i płaczą wspomnienia: | żołnierza września guzik opromienia – żołnierski honor – | ten skarb szczerzoty*”. Z wierszem koresponduje umieszczony na sąsiedniej stronie obraz „Szarża”, wymieniony przez prof. Gajdę wśród płócien o ironicznym zabarwieniu.

W wierszu „Opowiadanie trzech mędrców” z t. 2, *Łatanie porwanego czasu*, Poeta podsumowuje te bolesne doświadczenia polskiego żołnierza i uchodźcy-tułacza, losy Polaków w świecie, następująco: „*Nasze*

nogi grzęzły w pyłach pobojowisk, | potykaliśmy się o miecze, zardzewiałe bagnety, | o roztrzaskane płyty Dekalogu. | Rwaliśmy szaty o druty kolczaste | obozów i tagrów, | o rumowiska miast | i spalonych wiosek”.

Wierszy patriotycznych u Gryniewicza jest sporo. Uwagę zwraca liryk szczególny, bo poświęcony ojcu – Ojcu Poety, ale też ojcom wielu z jego pokolenia. „*Ballada o ojcu żołnierzu*” (t. 2): *[...] W trzech wojnach z juchtu buty | z honorem Bogu i Ojczyźnie | dart w bolszewickiej, o Zaolzie | i w tej na krwawych wrzosowiskach. || Nam swoim dzieciom się nie zwierzał | na zapytania machał ręką [...]*

Trudno tu pominąć przejmujący prawdą faktów wiersz z t. 3, *Po drodze zbierane*, | „*Kochany dziadunio* (Opowiadanie wnuczka wierszem napisane)”, w którym m.in. czytamy: *Mój dobry dziadunio... || Był dobrym rolnikiem | [...] Mój wierny dziadunio... | kochał kraj rodzinny | mówił „po prostemu” | zaśpiewem kresowym. | Wielbił Piłsudskiego. | Nad Niemnem w dwudziestym | gonił bolszewików; | tam otrzymał medal | za honor i męstwo. | Więc oni | w czterdziestym | jego | rozstrzelali*.

Swoją żywą miłość do ojczyzny wyraża również w wierszu „Defilada pamięci – w 1920” z t. 3: *Na czele | On na Kasztance | Za nim jego szwadrony | Na sztandarach | Bóg Honor Ojczyzna | Na proporcach | Krew z pól bitewnych | Radzymina i Niemna. || Jadą chłopcy malowani | Do Panteonu Sławy | Z Dziadkiem na Kasztance | W defiladzie zwycięstwa | W defiladzie pamięci*. Trudno, żeby Autor nie był zafascynowany tradycją i legendą Piłsudskiego, skoro ten narodowy bohater był idolem patriotycznym jego dziadka i ojca.

W tomie 1. jest też wiersz „W moim kraju”, w którym Autor porusza bardzo bolesną aktualną sytuację społeczno-gospodarczą Polski: *W wielu domach mojego kraju | zapadają się podłogi, | chwieją się stopy na chudych nogach – | ściany nie mają siły | utrzymać świętych obrazków [...]* | *Na wielu podwórkach, w kubłach | ludzie wygrzebują przeżycie; [...] i służą za śmieszny temat | w rysunkach sytych satyryków. [...]* | *Po ulicach miast i wiosek | snują się cienie proletariatu | i dwudziestu jeden marzeń | W moim kraju powoli umiera | etos wielkiego zwycięstwa*.

Równie bolesną sytuację społeczną rysuje wiersz „Monolog Kloszarda” (z t. 2). Bohater wiersza, bezdomny, przemawia do drugiego bezdomnego śpiącego pod murem na ulicy: *Wiem, że szukasz więzi – wśród mienia na wózku, | między butelkami napoju nadziei | widzę grzbiety książek kilku filozofów. | Jesteś wykształcony – szukasz odpowiedzi | na proste pytania naszej egzystencji. | Czy znajdziesz?, wątpię... życząc powodzenia...*

To są wstrząsające obrazy, i niestety oglądane na co dzień w naszej rzeczywistości. Te wiersze świadczą o dużej wrażliwości Poety na ludzki los, na sprawy bytowe kraju. A troska o dobro ludzi to jedno z oblicz patriotyzmu, który nasz Autor szeroko pojmuje i głęboko przeżywa. Dlatego jego twórczość tak malarska, jak i poetycka ma duże znaczenie, wysoką rangę. Porusza sprawy

wielkie, ważne: narodowe, społeczne, egzystencjalne w szerokim znaczeniu. Na odwrotnej stronie wiersza „W moim kraju” jest obraz Grynkiewicza zatytułowany *Taniec z chochołem*. Wydaje się, że Poeta świadomie nawiązuje do problematyki narodowo-społecznej *Wesela* Wyspiańskiego, podkreślając, że tamte trudne sprawy nadal są nie rozwiązane i złośliwy chochoł nimi nadal kręci, usypiając, a może odwołując od nich ludzi, którym się powierza odpowiedzialność za ich naprawę. Trzeba zwrócić też uwagę na to, że samo sięganie po tę samą tematykę, co czołowi nasi pisarze, świadczy o randze tej twórczości, o wrażliwości społecznej i narodowej Poety. O jego patriotyzmie, co jest obecnie ważne, bo w dzisiejszych czasach wielu przyjęło lansowaną przez wysokich funkcjonariuszy państwowych zasadę, że „polskość to nienormalność”. Tylko człowiek niezależny wewnętrznie potrafi się zdobyć na samodzielne myślenie i rozumowanie oparte na własnych doświadczeniach i faktach dziejących się dokoła. Grynkiewicz jako twórca żywo tkwi w sprawach bytowych, ludzkich, ma oczy otwarte na wszystko, co się wokół niego dzieje. Sam zresztą o tym mówi w alegorycznym wierszu „Sen” (z t. 1), który obrazuje jego życiową postawę: *Chodziłem po polach | po miedzach byliną porośniętych || [...] Latąłem nad wodą od nieba do nieba | [...] Siadałem na dachu słomianym, co kłuta | [...] Zaglądałem w oczodoły okienek pod strzechą [...] – w ciemność zapomnianą. || Szukałem, szukałem... Czego ja szukałem?* Metaforyczny sens tego wiersza jest dość wyraźny: że poetycki bohater-bocian, a literacki podmiot, szukał w swoim życiu człowieka, prawdy i samego siebie w tym wszystkim.

W różnorodnej tematyce twórczości Grynkiewicza ważne miejsce zajmują wiersze religijne, a jest ich sporo, zwłaszcza w t. 3, *Po drodze zbierane*. Są rozważania, modlitwy, a z czasem też coraz częściej się będą pojawiać w tej poezji motywy eschatologiczne – wieczności. *Chodzą po strofach wierszy słowa | w ciągłym trudzie poszukiwania Boga* – pisze w wierszu „Anioł poezji” o liryce ks. Twardowskiego, ale zapewne i z myślą o sobie. Wiersz „Anioły” jest modlitwą poetycką, w której wprost wyznaje: *Tak życie człeka zaanienione | życzeniem Twoim Ojcie nasz i Panie, | tak serca nasze w pokorze wierne, | pod Twoim są potężnym władaniem*. W wierszu „Ikona” pisze: [...] *To tylko tempera | na kawałku deski. Tylko?* Wymowna jest ta puenta. Bardzo piękny liryk „W ciszy kościoła” (t. 2) to refleksyjna rozmowa podmiotu z Chrystusem. W zakończeniu czytamy: *Ciszę przemawiasz Panie | Lotnym pyłkiem westchnieniem | Cieniem światła co zgasty | I mam nadzieję – szeptem | Mojej cichej modlitwy*.

W liryku „Do Tam” (z t. 3) rozważa sens i cel ludzkiego życia: *Jestem pasażerem | w zadanym czasie | i trasę wytyczoną | do przesiadki w Tam*. A w „Przyzwoleniu” (z t. 3) przekonuje, jak nienazwany przez niego Bóg w nas działa: *Człowieku... | wystarczy czujna świadomość | i przyzwolenie. | Wtedy | przeniknie przez barierę | obojętności | i egoizmu | i pychy niewzruszonych zasad | [...] Takie są Jego przymioty*.

Niekiedy tematyka religijna łączy się ściśle z doświadczeniami sybirskimi, z martyrologią. W wierszu „Żrebak” m. in. czytamy: [...] *Prawostawny Bóg | wypędzony z cerkwi | błąkał się po okolicy | krył się po katach | w ikonostasach ubogich chatup || Miał baczenie na chłopca*.

Grynkiewicz staje przed Bogiem też jako twórca. Wiersz bez tytułu: *Artysta jest łasy na uznanie (inic)* kończy się modlitwą: *Mój Boże, | Ty widzisz jego zmagania | nawet o krótką chwilę zaistnienia w stadzie. | Bądź pobłażliwy dla swoich niesformnych, | kolorowych owieczek*. Głębokie wzruszenie budzi wiersz relacja-sповідь „Ja jestem drogą i prawdą i życiem” (t. 3). Podobne treścią są wiersze: „Wyznanie”, „O łaskę wiary”, „O wiarę czystą”. Jest w nich rozmowa z Bogiem, spowiedź, ukorzenie się... W wierszu-modlitwie „Wybacz mi Panie” podmiot oskarża siebie: *byłem zadufany swoim czytaniem, | byłem wojowniczy wśród ludu | [...] I napętniony pychą. | Wybacz mi Panie. | Może teraz zobaczę twoje | jaśniejące miłością oblicze [...]*. W „Pragnieniu” (t. 3) wyraża wieczne dumania wielu ludzi: [...] *Pragnę zrozumieć cel wędrówki | z przepustką, jaką otrzymałem – między ziemskimi niebytami. || Pragnę niezmiennie dziwność świata | i los | i przemijanie nasze, | choć w części pojąć dobry Stwórco. | A przecież wiem, | że z pobłażaniem patrzysz | na uporczywe dociekania, | przed progiem wielkiej tajemnicy*.

Warto zatrzymać się też nad grupą wierszy o tematyce filozoficzno-kulturowo-moralnej, np. nad wierszem „Nadzieja” (t. 2), w którym Grynkiewicz podejmuje poetycki dialog z Czesławem Miłoszem w sprawie jego tomiku „TO”. Obaj poeci zastanawiają się nad ludzką nieokreśloną potencjalnością, nad zjawiskiem duchowym, jakąś osobliwością świadomości, której się nie da pojąć ani zdefiniować. Miłoszowi na jego: *Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur, | i zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom* – Grynkiewicz odpowiada: *TO jest w nas. Mamy nadzieję, | że cały cud świata, | murem odgradzony | jest do poznania. | Tylko jak? | Może, jak się stopimy w jedno? Stopimy się w jedno – myślimy – ale z kim? Chyba ze Stwórcą*. Bo tylko wtedy będziemy mogli pojąć tajemnicę świata i siebie samych. Przez fakt, że Grynkiewicz ten filozoficzny dialog podjął, wpisał się w szereg poetów poszukujących głębi duchowej i intelektualnej. A nie jest to rzecz powszechna w świecie poezji.

Wiersz „Opowiadanie trzech mędrców”, oprócz tego, że jest w nim wiele aluzji do losu Polaków w czasie II wojny światowej, to jest też alegorią naszej współczesnej cywilizacji, naszej sytuacji egzystencjalno-moralnej – walki Dobra ze Złem. Puenta wiersza świadczy, że nasz Poeta wierzy w zwycięstwo Dobra: *My, trzej mędrcy | – znawcy Dobra i Zła | wędrujemy do stajenki, już | przeszło dwa | tysiące lat! Składamy hołd | Zwycięzcy. | Bo wiemy...*

Tematy moralne podejmuje Twórca w licznych wierszach, czasem podchodzi do tych spraw saty-

rycznie, np. w wierszu „Stragan z uczuciami” (t. 2). Ironia i gorycz z powodu ludzkich wad, ułomności, podłości itp. – to główne wrażenie podczas lektury tego typu wierszy.

Naszą uwagę przyciąga niezwykła samoświadomość poczyniń artystycznych i poszukująca postawa Twórcy. Autor pragnie zrozumieć głębszy sens sztuki i twórczości, ma wyraźną potrzebę obserwowania tego egzystencjalnego zjawiska i wypowiadania się na ten temat. Najwyraźniej szuka własnego sposobu uprawiania malarstwa i poezji. Widać to dobitnie w cyklu wierszy tzw. autotematycznych. Przykładem jest utwór „Piękny obrazek z malarskiego pleneru – Włódkowi B.”, w którym pokazuje, niemal warsztatowo, jak powstaje obraz: Podmiot idzie w plener, patrzy okiem malarza i już „widzi” obraz, zanim go namaluje: *kadrujesz obrazy – pisze – Stawiasz sztalugi. | Obraz jest już w tobie. Oto: Wierzba rozsnuła szarosiwe włosy, | zamiata nimi pół nieba, pół tąki. | Nad płotem strzecha chaty | w ugrach i brząkach* itd. To równocześnie obraz malarski i poetycki, niby realistyczny, ale wydaje się jakby wyrastał ponad ten styl, bo cały jest metaforą, ma szerszą wymowę niż dosłowny widok elementów namalowanych, przenika go rozumowa penetracja i samowiedza twórcza Autora. Jest to patrzenie jakby z boku na rzeczywistość i transponowanie wrażeń. Świadomość ludzkiej zdolności widzenia i tworzenia piękna i zdumiewanie się tym zjawiskiem.

Już w 1. tomie jest kilka tego typu utworów. Odnoszą się one nie tylko do poezji, ale i do malarstwa. Świadczą o dużej wiedzy teoretycznej z tych dziedzin sztuki, ale i o jego przemyśleniach osobistych. Twórca świadomie chce wystąpić jako poeta-malarz. Doskonale zdaje sobie sprawę, że malarstwo i poezja uzupełniają się, ale też są do siebie pod pewnym względem podobne, mają wspólny cel i wspólne założenia, ten sam sens tworzenia: wyrazić siebie, wyrażać piękno i prawdę życia, prawdę o człowieku. Tej prawdy o człowieku, jak widzimy, Grynkiewicz się doszukuje wszędzie. Jego autoanaliza twórczości jest bardzo klarowna, prosta, ale równocześnie głęboka. Np.

Jak namalować wiersz
akwareli słowem,
co piękny,
barwny obraz zastąpi.
W suche, czy mokre uderzyć kolorem
słowa –
z palety słów,
co w jedno stopi
poezję wiersza z akwareli plamą,
rysunku kreską
i świetlistą gamą.
Bo piękno wiersza jest akwarelowe,
gdy napisany –
wielobarwnym słowem
(*Jak akwarelę*)

Jeszcze częściej na temat swej twórczości wypowiada się nasz Autor w 2. tomie swojej poezji, w *Łataniu porwanego czasu*. Już pierwsze cztery utwory są autotematyczne. Jest w nich jednakże sporo głębokiej refleksji i na inne tematy. Np. w wierszu „Dziwne” Poeta stwierdza: *Nie mieliśmy czasu, ani chęci, | do zbierania danych, | o sobie samych. | Płynęliśmy | a wiatry z różnych stron | wytyczały jeden kierunek. | Tylko przez sekundę, | najwyżej dwie | zdawało nam się, że coś wiemy. | Nadal patrzymy, jak się przesuwamy | między ziemią a niebem.* Jest tu zatem zaduma i nad historią oraz losami pokolenia, i nad przemijaniem. Nad tym egzystencjalnym problemem zamyśla się Autor wielokrotnie. W wierszu „Pragnę” (t. 2) zauważa: *Płynę łódeczką o wątych żaglach |... a czas przynagla. | Kolejne zwrotki kończą się tym samym stwierdzeniem, powtarzanym jako refren, ale nieco zmodyfikowany:... bo czas popędza;...a czas pogania;...bo czas ucieka.* W tym samym wierszu wyznaje: *Pragnę zaśpiewać ptaków śpiewaniem, | pozdrawiać życie zorzą co płonie* itd. Równie gorące pragnienie wyraża w wierszu „Zwykłe słowa”: *„Gdy w słowa zwykłe, pospolite, | zakłęcia duszy tęsknej włożyć, | by w wierszu były złotolite [...] || To cud się stanie dobry Boże – | pieśnią zakwitnie szary dzień [...] || O takim cudzie Panie | marzę skrycie.* O takim cudzie marzyli zawsze wszyscy poeci, a Słowacki uwiecznił to marzenie w słowach: *aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa.* Grynkiewiczowi dzięki tej samoświadomości twórczej i czujności nad słowem udaje się powiedzieć bardzo wiele.

W tomie 2. kilkakrotnie jeszcze pojawiają się wiersze odnoszące się do poezji i malarstwa, czyli autotematyczne, np.: „Widok z okna”, „Anioł Poezji” (poświęcony ks. Twarowskiemu), „Byłem – jestem”, w którym podmiot liryczny mówi: *„Mogłem tam być ptakiem śpiewającym | z piórami do notowania wersów | [...] I baśń też była w lotnej wyobraźni, a w zakończeniu stwierdza: Teraz jestem wiatrem z zachodu; | przesiewam zgliszczą | w poszukiwaniu wersów | niespełnionych.* Wymowne.

A w wierszu „Jesteś we mnie...” (inic.) czytamy: *Jesteś we mnie i w Sobie cały. | Jestem w sobie i w Tobie cały. [...] Wypraszam Panie Twoje łaski, | Byś mnie wystroił w kolor, w blaski, | W meandry sztuki, zawitości | Zachwytów twórczych i mądrości. | Chcę głosić ludziom: pędzłem, wierszem, | Zauroczenia me najszczerze. || Szczęściem być, kroplą, dobry Panie | w Twojej miłości oceanie.* W liryku „Wiosenny deszcz” powiada: *Moja myśl tukiem tęczy | sięga za kilka horyzontów, | które przekroczyłem wędrując | drogami zadanego losu.*

Rolą krytyka zatem jest tu tylko zebranie tych myśli Poety i przytoczenie ich. One same za siebie mówią, o co Autorowi chodzi, i są dowodem jego świadomości twórczej, jego przemyślanego celu tworzenia.

Spójrzmy jeszcze na parę przykładów. W trzecim tomie, *Po drodze zbierane. Wiersze i malarstwo*, Poeta jeszcze częściej wypowiada się na temat swojego

stosunku do twórczości artystycznej i jej roli w życiu człowieka. Widzimy, że pod wpływem presji poczucia odpowiedzialności za dar życia i talentu pragnie intensywnie spłacać społeczeństwu niejako „dług” i chce służyć swoją sztuką. W liryku „Autoportret” wyznaje: *Będą osądzać, | jakie dateś świadectwo | swojego życia*. Wierszy autotematycznych w 3. tomie jest kilkanaście, w tym parę poświęca wybitnym twórcom: J. M. Rymkiewiczowi „Czad” (*[...] Tlenek węgla i tlenek poezji czyli czad | Podobnie mroczy człeka – poeta na to wpadł || Poeta wiersza czadem tumani człowieka | Nakaże miauknąć – miauknie, zaszczekać – zaszczeka [...] I tak poezją mistrza człowiek skołowany | Nie wie czy już zwariował czy jest zakochany | [...] Ma ubaw stary pisarz sprawca zamroczenia | Prestidigitator słowa w opisach istnienia*); Bolesławowi Leśmianowi w „Do leśnego Leśmiana” (*[...] Więc wszedł w te wrota, gdzie zwidły bezdenne | gdzie szat rozkwitów i jagody plenne; | zamroc zieleni otoczyła głowę, | a duchy leśne nastroiły mowę | w wyrazy nowe, treściwe, pojemne. || Przeto już mogłeś natchniony Leśmianie | zanurzyć słowa w poezyjne granie: | opisać dziewczę, szkapinę i wołkę, | chłopca Bajdałę, pokrakę Dusiołkę | i innych – leśnym, pięknym wierszowaniem*); Ks. Janowi Twardowskiemu w „W nawiązaniu” (*Księżę Janie, Poeto | nasycasz wiersze poezją miłości | do wszystkiego co boskie i ludzkie | [...] Przemawiasz do nas: | przez szarość dębu, srebrzystość brzozy, | przez krzaki ciemistej tarniny | i głos przepiórki co «pora żąć» woła. | Stutą księdza poety | więziesz naszą wrażliwość | z boskim sacrum | danego nam świata*); Konstantemu I. Gałczyńskiemu, wiersz: **** Zielonooki Konstanty (Zielonooki Konstanty | z zieloną czupryną | w zielonym surducie | z gwiazdą w butonierce | po zielonym niebie | w zaczarowanej dorożce. | Dokąd pędzisz | ldefonsie?)*. Jak widzimy z fragmentów wierszy, Gryniewicz znakomicie uchwycił charakterystyczne cechy tych mistrzów poetyckiego słowa, pastiszując ich styl. Natomiast w liryku „Są takie wiersze” chyba nie miał na myśli kogoś jednego:

Poeto zbratany z aniołami,
sięgasz w głąb swojej duszy,
do kopalni uczuć i tajemnych pragnień,
do pokładów szlachetnego kruszcu.

Jak w biedaszybie
drążysz chodniki bez zabezpieczeń,
pragniesz tąpnięcia górotworu,
by w osypisku podświadomości
odstąpił się diament bez skazy.
Jak się odstąpi
(przecież czasem się odstania)
oszlifujesz go w wielu płaszczyznach
i oprawisz wierszem.
Szlachetnym blaskiem
tęczowych barw zaświeci
i stanie się brylantem.

Są takie wiersze
o bezcennym blasku.

Jest to zapewne jego uogólnione pojmowanie wielkiej poezji, ale na podstawie własnego doświadczenia twórczego.

Podsumowując, zauważam, że w każdym utworze jest coś szczególnego, są jakieś zaskakujące elementy prawdy i piękna. Tematyka Gryniewicza jest znacznie bogatsza niż zdążyłam ją tu zaprezentować. Ale szczegółowe wnikanie w nią to już rola samych czytelników, z których każdy może na co innego zwrócić uwagę, czym innym się zachwycić lub co innego go wstrząsnie, chociaż są momenty w tej niezwyklej liryce, które wszystkich nas poruszają.

Nie można tu abstrahować od malarstwa Gryniewicza. Jego obrazy są poetyckie, tak jak poezja jest malarska. W jego malarstwie jest dużo metafory. Czy nie więcej niż w poezji? Obrazy nie są abstrakcyjne, są figuratywne, „opowiadają” w sposób swoisty, niepowtarzalny o ludzkim losie i sprawach wewnętrznych ludzi, o ich stanie ducha, ich przeżyciach. Są uogólnieniem ludzkiego losu czasów Artysty. Równocześnie wyrażają i stanowią piękno samo w sobie. Ich podstawowym kryterium jest właśnie piękno, dlatego są niezwykłymi dziełami sztuki. A w szczegółach to piękno czego? – pytamy siebie. Piękno myśli, piękno wyrażanego sensu, ale i piękno kompozycji elementów malarskich i wykorzystanie ich funkcji artystycznych. Piękno duchowe i estetyczne duszy. W poezji biegłość posługiwania się słowem, wykorzystywanie bogactwa jego możliwości. O poezji mówimy też, że słowa odpowiednio skomponowane „dziwią się sobie”, w malarstwie *dziwią się sobie* światło, kolory, kształty, ich rozmieszczenie – kompozycja. A w sumie – wyraz, czyli ton, sens i po prostu... piękno.

Postacie w malarstwie Gryniewicza mają niezwykłą siłę wyrazu. Malarz wykorzystał nawet proporcje ciała ludzkiego do ich ekspresji. Te nietypowe figury ludzkie, pochylone, utrudzone, często przymałe wzrostem, krępe, o wydatnych stopach i dłoniach są niezwykle ekspresywne. Postacie o nadzwyczajnej sile wyrazu. Rzucają się w oczy ich bose wielkie stopy, ich masywne ręce. One mówią o ich losie, ich pracy, ich biedzie. Nawet kiedy te postacie leżą, są wyraziste, np. „Muzy”, „Hypnos i Tanatos”, „Sen” (wyraz oczu). Często to są postacie jakby z mitów. Tak jak i w jego poezji. Tworzy postacie-symbole, np. postać siewcy, dobosza, grajków itp. O twórczości Gryniewicza pisała ciepło w 2010 r. Agnieszka Dziarmaga¹.

Trudno było ująć w jednym eseju wszystko, co zawiera poezja Ottona Gryniewicza: określić wszystkie problemy, ukazać wszystkie jego możliwości artystyczne, przywołać wszystkie choćby tylko najważniejsze i najpiękniejsze wiersze. Dokonałam zaledwie zarysu charakterystyki tej poezji. Samej tematyce sybirackiej, której Gryniewicz

¹ „Niedziela” Edycja kielecka, 2010 nr 52, s.

poświęca tak wiele wierszy, należy się osobny esej. Mam nadzieję, że tego zadania podejmą się wkrótce młodzi adepci krytyki literackiej. Ja pragnęłam tu tylko zwrócić uwagę na kilka spraw, które mnie w poezji Grynkiewicza szczególnie poruszyły: na jej wartości moralne i historyczne oraz estetyczne. Na jej piękno duchowe i niezwykły urok artystyczny.

W przedstawionym tekście starałam się ukazać obraz poezji (a migawkowo także malarstwa) Ottona Grynkiewicza. Pragnęłam pokazać najważniejsze problemy, które nurtowały i nurtują Poetę. Wiele z nich jest bólem powszechną naszych współczesnych pokoleń. Dlatego ta poezja – a jest to dobra poezja – ma takie znaczenie.

Te wiersze chwytają za serce swoją zawartością treściową, swoją niezwykłą tematyką i czasem rzewną nutą, nostalgią, nie mówiąc o krzyku bolesnych uczuć, które wybrzmiewają z niektórych obrazów i wierszy. Ich uczuciowa nuta może się wydać w naszych czasach nieco staroświecka, lecz nie przekracza ona granicy w kierunku sentymentalnej cikliwości; ten ton z lekka uczuciowy przydaje wierszom wyjątkowej wartości. W naszej dobie bowiem staliśmy się raczej oschli, nawet drętwi uczuciowo, brak nam jest na szerszą skalę właśnie głębszej uczuciowości i wrażliwości. Nie chodzi o neurotyczną emocjonalność, która niestety zastępuje głębię prawdziwej miłości: miłości siebie, bliźniego, Boga, Ojczyzny. Wpajano nam od lat dystans uczuciowy, co przerodziło się w oziębłość, a często w nieczułość, obojętność na problemy drugiego człowieka, także na jego cierpienie. Tak jak w każdej sprawie najlepszy jest umiar, złoty środek, a tego trzeba się uczyć. Okazywanie swoich uczuć oraz odczytywanie uczuć innych i reakcja na nie to – jak się okazuje – także sprawa kultury literackiej czy kultury sztuk plastycznych, muzycznych, to sprawa nawet całych nurtów, nastawień i mody w tych dziedzinach, bo sztuka wiąże się ściśle z życiem. Jej prądy i kierunki świadczą o postawach etycznych, o egzystencjalnej atmosferze epoki i w konsekwencji o losie ludzi.

Nasze życie wewnętrzne decyduje o relacjach wzajemnych z ludźmi i o zachowaniach w stosunku do drugiego człowieka. I to jest domena twórczości Grynkiewicza. Oprócz wprost rewelacyjnych wierszy, dotyczących zsyłki na Syberię, prezentuje on całe bogactwo tematów z życia ludzi współczesnych: miłość do Ojczyzny, do najbliższych, do przyrody, żywe zainteresowanie sprawami społecznymi i warunkami życia ludzi wokół siebie. Wiersze ukazują z jednej strony świat piękny, szczęśliwy, a z drugiej strony groźny i bolesny, choć też przecież piękny. Wskazują na szlachetne wartości i dobro, których w gruncie rzeczy człowiek zawsze pragnie.

Chcę tu mocno podkreślić, że jego wiersze dowodzą nie tylko talentu, ale też dużego wyrobienia poetyckiego, dużej znajomości starej i nowej poezji, dużej sprawności językowej. Nawet tak pobieżna analiza tych wierszy wykazuje, że Grynkiewicz to poeta w pełni dojrzały

artystycznie. Jego liryki są ciekawe i bogate stylistycznie, zaskakują różnorodnością formy, bogactwem środków literackich. Poeta postępuje się sprawnie różnymi sposobami dykcji poetyckiej. Stylistykę poszczególnych wierszy Grynkiewicza, jak każdy dobry twórca, dostosowuje do treści utworów. Jak bardzo Autor wyczuwa i wie, kiedy i jaką zastosować formę, jaki język, widzieliśmy choćby w cytowanym utworze „Tak było”, wierszu o wywózce na Sybir, o skrajnie ascetycznym wyrazie.

Widzimy też elastyczność Autora na polu stosowania się do modeli poezji. Wprawdzie w wywiadzie przeprowadzonym z nim przez Agnieszkę Sadowską² stwierdza, że preferuje starą, melodyjną wersyfikację (mówi: *Używam starych nutek*), ale widzimy, że już od początku 1. tomu swoich wierszy z łatwością postępuje się wierszem białym, nie opartym na stałym rytmie i rymie, wierszem niemelodyjnym, a więc nowoczesnym. Nie ma jednak u niego żadnej ekstrawagancji w tych wierszach, żadnych uduźwień; nie ma wymyślnych metafor, bo te, które są, czasem bardzo ciekawe, w sposób naturalny wypytywają z treści. Raczej nie ma tam gier językowych, żadnej lingwobawy. Autor dba o jasność przekazu, o prostotę. Podobnie jest w jego wierszach „tradycyjnych”. Do obydwóch modeli poezji podchodzi z dystansem i umiarem. Kiedy czasami tworzy wiersze rymowane i stosuje formy rytmiczne, to nie powtarza epigońsko przestarzałej i oklepanej wersyfikacji, lecz stara się ją modyfikować, wносить coś własnego, coś nowego. Zawsze pisze własnym językiem, włada własną dykcją poetycką.

Ta poezja nas urzeka, tak jak i jego malarstwo, nie tylko dlatego, że jest piękna estetycznie, ale jest głęboko ludzka. Ukazuje prawdę ludzkiego losu w czasie, kiedy przyszło żyć Poecie, ale ukazuje też prawdę ogólnoludzką wszechczasów – prawdę ludzkich uczuć: szczęścia i bólu. Poezja, zwłaszcza liryczna, jest z natury bardziej autentyczna niż proza (oprócz pamiętnikarskiej) nie tylko dlatego, że podmiot liryczny występuje w 1. osobie gramatycznej, wnosząc tym większą wiarygodność, ale też dlatego że liryka siłą swego działania psychicznego wyzwala szczerość. Ona tchnie szczerością, a więc wyraża wewnętrzną prawdę przeżyć, poglądów, uczuć, a często i faktów. Grynkiewicz w obydwu dziedzinach sztuki prezentuje własny styl, ale przede wszystkim własne widzenie świata.

W dodatku ta poezja ilustrowana obrazami Autora, wielkiego artysty-malarza, wybitnego kreatora swego świata mityczno-baśniowego, nabiera wartości spotęgowanej. Wiemy, że mity i baśnie to odwieczne źródła ludzkiej siły duchowej i moralnej, ludzkich nie tylko natchnień twórczych, ale pobudek do rozwoju osobowego. Wszak baśń to gatunek, w którym mimo zagrażającego strasznego Zła w świecie – zwycięża zawsze Dobro. A baśń poetycka i malarska dane czytelnikowi razem to dla niego samo szczęście z delektowania się pięknem.

² *Używam starych nutek*, „MAGAZYN Słowa Ludu” 2005, nr 2373/K, s. 10.

Stanisław Leon Popek, pisarz mieszkający w Nałęczowie, należy do wybitnych znawców psychiki człowieka i w tym zakresie dokonał wiele dobrego na rzecz tej dyscypliny naukowej, szczególnie psychologii twórczości artystycznej i sztuki. Obok działalności naukowej i wychowawczej, jego pasją artystyczną jest malarstwo uprawiane od 50 lat i twórczość literacka; opublikował 13 tomów wierszy i cztery tomy prozy.



Profesor Stanisław Leon Popek

W utworach prozatorskich Stanisław L. Popek sięgał, w miarę jak się one ukazywały, do tej samej problematyki, chcąc „ogarnąć” niejako ogrom zbrodni, których dokonano na Polakach mieszkających na Kresach. Bohaterowie, przeżywając swoje współczesne problemy, nierzadko odwołują się do swojej młodości z okresu zamieszkiwania w Polsce Wschodniej. Szczególnie należy wskazać na opowiadania; *Sny z wieży milczenia*, *Trzy obrazy*, *Sztubak*, *Rozdarte drzewo*. Akcja tych powrotów (dziejących się na Lubelszczyźnie, Wołyniu, Podlasiu) obfituje w sytuacje dramatyczne (zabijanie pozornych „wrogów” – Polaków, palenie wiosek na południowej Hrubieszowszczyźnie i Zamojszczyźnie), a zdarzenia

przywoływane są z perspektywy współczesnej w formie wspomnień. Narrator wprowadza kolejnych bohaterów (w czasie współczesnym spotyka dawnych znajomych, kolegów, byłych partyzantów, członków rodziny) dla wyjaśnienia wojennych tajemnic, niespodziewanych przypadków z tamtego czasu, nieetycznych zachowań lub dla zwykłego powspominania. I już w tych opowiadaniach pojawiają się szczególnie negatywni bohaterowie (mordercy – rezuny, pozorni dowódcy oddziałów ukraińskich, np. Bulba), a przestrzeń utworów zagęszcza się wioskami i miasteczkami polskimi i ukraińskimi, lokalnymi rzekami, jarami, wąwozami, a także miejscami krwawych potyczek i bitew (Sokal, Bereść, Horodle), które w powieściach stają się głównym miejscem akcji, a bohaterowie – nierzadko głównymi zbrodniarzami. Powoli świat w prozie pisarza staje się miejscem okrucieństwa, zbrodni, bestialstwa, bez względu na kogo zrzućmy odpowiedzialność za to: na Żydów, Ukraińców czy Polaków. Zdaniem narratora prawda o tamtym czasie jest bardzo trudna do ujawnienia, możemy tylko odstańać jej poszczególne fragmenty, bardziej lub mniej okrutne zdarzenia, „przypominać sobie, wspominać”. Ale czynić to musimy.

Pośród tych zdarzeń najbardziej niezrozumiałe są zbrodnie wobec dzieci. Dzieci we wcześniejszych narracjach Stanisława L. Popka występowały już wielokrotnie. Ich tragiczne doświadczenia nie były w niczym łżejsze czy mniejsze niż doświadczenia rodziców lub starszego rodzeństwa. Wszyscy jednakowo przeżywali okrutne poniżenia, zbrodnie... wszyscy razem...

W nowo wydanym mini utworze Stanisława L. Popka – *Naznaczony Syberią*, narrator w centrum swojej opowieści stawia dwóch braci: Bohdana i Stefana Siwińskich. Bohdana spotkał przed laty dość przypadkowo podczas studiów w Katowicach i został jego przyjacielem. Powoli, obserwując współmieszkańca akademika, zaprzyjaźnia się z nim, wnika w jego tajemnice życiowych doświadczeń, jego koszmarne sny. Nie ukrywa formy wspomnień, wręcz odwrotnie – często przywołuje konkretne miejscowości (Lublin, Zamość, Leśna Podlaska – miejsca pracy autora-narratora, Pińsk, Korytyno – miejsce urodzenia autora-narratora, Lwów – związany z Albertem Mejerem z *Dwunastu skrzypiec*, i inne). Informuje:

W międzyczasie – i to dość szybko – zaprzyjaźniłem się z Siwym, czyli Bohdanem. Staliśmy się nierozłącznymi nie tylko w tym wspólnym pokoju, ale także na zajęciach teoretycznych i praktycznych w studium, a również w czasie wypraw na miasto...¹.

Wprowadzony bohater, po dokładnym przedstawieniu narratora głównego, przejmuje funkcję drugiego narratora (wewnętrznego) i opowiada swoje przeżycia od dzieciństwa (miał siedem lat, jego brat Stefan pięć), aresztowanie całej rodziny 29 września 1939 roku (ojca Rosjanie wywieźli samochodem i zginął prawdopodobnie w Katyniu), wywózkę w *bydłym pociągu* do Workuty (*powtarzał się dawny, z czasów zaborów, proceder wywożenia ludzi na Sybir*, s. 24), na północną Syberię, tragiczną śmierć matki, powrót do sierocińca na Ukrainie, potem przyjazd „pierwszym transportem do Polski. Był to transport Czerwonego Krzyża...”, (s. 46). Ostatecznie przyjazd do spalonej Warszawy pod opiekę ciotki Weroniki. Teraz opowiada swoje *koszmarne sny (...) Syberię...* s. 17.

Narrator pierwszy ujawnia się wielokrotnie podczas relacji drugiego opowiadacza, rekonstruuje niektóre jego doświadczenia, dla jasności i precyzji wspomnienia wybiega w przyszłość i podtrzymuje elementy fatyczne swojej narracji, a chwilami nawet myśli i słowa, nie kryjąc tego (np. „powiedział mniej więcej tak”). Nierzadko dopowiada informacje naukowe o gułagach, o wywóźce 1,5 mln. Polaków w kłęb Rosji „na nieludzka ziemię”, warunkach życia na niej i masowej śmierci, ze wskazaniem na źródła.

W narracji dominuje opis zła: warunków transportu dzieci i dorosłych, nieludzkiej pracy przy wyrębie lasu, warunków zamieszkania, kradzieży, gwałtów i przemocy, wreszcie masowej śmierci. Oto warunki podróży skazanych na wywóz:

Gdy znaleźliśmy się w bydłym wagonie z kilkoma ławami pod boki i stół na podłodze i tylko w najcięższym okresie syberyjskiej zimy ogrzewanym blaszanym piecem, to właśnie te jej cechy (matki dzieci, St.R.), drobnej, szczupłej, ale zarazem niezwykle twardej kobiety, spowodowały, że po miesiącu jazdy i postojów przedostaliśmy się na wschodnią część Uralu, o kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Workuty. Nie pozwoliła, aby w drodze pociągiem do Uhty zabrat nas tyfus ani masowe zapalenia płuc, które zbierały okrutne żniwo wśród dzieci, osób starszych i chorych (s. 19).

Bydłe wagony były brudne, stół na podłodze stara, stęchła i pomieszana ze zwierzęcymi odchodami. W każdym wagonie zgrupowano po kilkadziesiąt osób. Były to przeważnie kobiety z dziećmi i starsi wiekiem mężczyźni, gdyż takich jak mój ojciec oddzielono na dworcu kolejowym i skierowano do innego transportu.

Część osób rozlokowała się na przysściennych ławach, ale większość siedziała bezpośrednio na stół, trzymając na kolanach, bądź na podotku matę, ciągle

plączące dzieci. Początkowo wśród dorosłych częściej było słychać szepty czy pomrukiwanie słów modlitwy niż próby nawiązania jakiegokolwiek rozmowy. Lęk i powszechny paraliż, zaskoczenie gwałtowną zmianą losu tych ludzi, nawykłych do stabilizacji, wytwarzały specyficzną atmosferę traumatycznego zahamowania (s. 23–24)

Wyżywienie, dwa razy dziennie, było fatalne, ale było, gdyż wszyscy, w tym w większości kobiety, niekiedy z podrośniętymi dziećmi, jak my ze Stefankiem, pracowali przy wyrębie potężnych drzew szpilkowych w tajdze. Trzeba było drzewo podciąć ręczną, ciesielską piłą, obalić albo – jak mówiono u nas na Polesiu – spuścić, a następnie oczyścić z gałęzi i niekiedy obkorować, czyli oczyścić z kory za pomocą specjalnej topaty, pociąć na odpowiednie długości. Tak przygotowane kłody, mężczyźni za pomocą niewielkich, mechatycznych koników wyciągali poza teren wycinkowy. Postępowali się przy tym bardzo mocnymi, prymitywnymi saniami oraz drągami. Praca była ciężka i niebezpieczna. Zdarzały się przypadki okaleczenia, a nawet śmierci (s. 29).

Do pracy takiej przymuszane były dzieci:

Dzieci, takie jak my ze Stefankiem, zajmowały się ściąganiem obciętych gałęzi i paleniem w olbrzymich ogniskach. Zaletą takich czynności było to, że w zimie, w czasie solidnych mrozów można było się ogrzać.

Trzeba także dodać, że zaradni Poleszacy gromadzili we własnym zakresie różną żywność (s. 29).

Najtragicznijszym przeżyciem dla chłopców była śmierć matki:

W tym tragicznym dniu, pod wieczór, Stefanek wyciągał świeżo obcięte gałęzie, a obok ścinano dorodną jodłę syberyjską. Jodła, padając, odbiła się od innego drzewa, zmieniając kierunek i miejsce upadku. Trafiła w ten punkt, w którym Stefanek wyciągał gałęzie. Drzewo padało prosto na niego i w tym momencie mama odrzuciła Stefanka o kilka kroków w bok. Niestety, jedna z grubych, nadłamanych gałęzi dosięgła jej głowy i uderzyła w puls, tak mocno, że czapka uszatka potoczyła się kilka metrów dalej. Mama leżąc, zamachała tylko rękami i zamarta. Jakaś kobieta najpierw podniosła ze śniegu Stefanka, a następnie chciała to samo uczynić z mamą. Mama jednak nie drgnęła. Kobieta przyłożyła palec do jej szyi i powiedziała tylko dwa słowa: – nie żyje!

Rzuciłem się na jej ciało, a za chwilę uczynił to samo Stefanek... Wołaliśmy – szlochając – mamó wstań! Mamó nie odchodź! Nie zostawiaj nas!

Po pewnym czasie poczułem, bo patrzeć przez tży nie mogłem, że ktoś ściąga i zabiera jej walonki, czapkę i rękawice i wreszcie waciane spodnie... Zacząłem krzyczeć: nie! nie! nie! (s. 35)

(...) za pomocą narzędzia do obkorowywania drzew (...) zacząłem kopać dół. Ziemię wybierałem znalezionym

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania i sygnalizują je bezpośrednio w tekście numerem strony.

starym wiadrzem i aluminiową miską. Początkowo praca szła mi sprawnie, bo ziemia wiecznie zamarznięta w tym miejscu odtajała, ale było to tylko na głębokość trzydziestu centymetrów. Im głębiej, tym zmarzlina stawiała się coraz bardziej zbitą skałą.

Stefanek przez cały czas znosił gałęzie i wrzucał do nowego ogniska. Dzięki świerkowej i jodłowej jedlinie ogień wybuchał coraz silniej, oświetlając, a równocześnie ogrzewając najbliższą przestrzeń. Noc nad polanką, rozjaśniona płonącym ogniskiem miała kolor ciemnego popiołu, a im dalej w głąb rosnących drzew, przestrzeń stawiała się granatowa i czarna.

Pracowałem bez wytchnienia. Mimo mrozu było mi tak gorąco, że zrzuciłem z siebie kufajkę, a nawet futrzane rękawice. Ziemia stawiała się coraz bardziej twarda. Momentami natrafiałem na korzenie drzew, a także kamienie. Wiedziałem jednak, że muszę kopać coraz głębiej, gdyż z płytkiej mogiły ciało zostanie wygrzebane i pożarte przez dzikie zwierzęta... (s. 37)

Po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że oto przychodzi chwila ostatecznego pożegnania. Rzuciłem się na ciało, a to samo uczynił także Stefanek. Ciało było jednak sztywne, zimne i tak, jak gdyby nie naszej mamy, która przez te wszystkie lata była najbardziej ciepłą i opiekuńczą dla nas istotą. Ten znak nieobecności jej ciepła i więzi z nami uświadomił mi, że oto odejście człowieka do innego świata jest czymś ostatecznym.

Zsunęliśmy ciało do wykopanego dołu, a następnie zwyczajem Poleszuków odmówiliśmy modlitwę „Wieczne odpoczywanie daj Jej, Nasz Panie...” i zaczęliśmy zasypywać zwłoki zgromadzoną ziemią. Ziemi i odłamków kamieni, które utożyliśmy na wierzchu kopczyka, było tak dużo, że mogiła stała się wyraźnym wywyższeniem na tej białej, śnieżno-lodowej płaszczyźnie (...).

Na drugi dzień, kobiety z naszego baraku wykonały brzozyowy krzyż. Ten grób zapoczątkował polskie cmentarzysko w tamtym rejonie uralskiej tajgi... (s. 39).

Zdarzenie to może robić okrutne wrażenie na każdym czytelniku. Lecz w narracji, poza okropnościami, pojawiają się też opisy piękna. Narrator Bohdan snuje taki opis Polesia, na którym wychowywał się z rodziną. Przez moment przyjrzymy się jego urokowi:

Cały obszar spływu wodnego Prypeci, Horynia, Stuczy, Piny, Szczary, Stochodu, Styru, Jesiotdy i dziesiątków inny pomniejszych dopływów, odprowadzający wody z jezior i rozlewisk do Dniestru, przeplata tę krainę, może najbardziej pierwotną w sercu Europy. Na tej tajemniczej ziemi, poprzecinanej setkami leniwych rzek, pokrytej trzęsawiskami i mokradłami, porostej sitowiem, wonnym tatarakiem, gąszczami wiklin i wierzb, a na podwyższonym, piaszczystym terenie borami mieszanymi (dęby, brzozy, olchy) i iglastymi – żyją od wieków ludzie o specyficznej psychice. Surowy klimat i burzliwy los tej dość ubogiej rolniczo ziemi ukształtował Poleszuków jako ludzi surowych, nieufnych, skrytych, a zarazem niezwykle odpornych na ból, trudy dnia codziennego, nawet głód (s. 19).

Może jeszcze jeden przykład:

Okolica była i pełna ryb – przeróżnych gatunków, lasy i obrzeża torfowisk i moczarów były bogate w czarne jagody i maliny. O każdej porze brać myśliwska Polesia polowała na niezliczone zgrupowania dzikich kaczek i gęsi, leśną zwierzynę. Na hałach, pławach i tęgach stały stogi siana, na zimę, a od wiosny wyrastała na obrzeżach jezior i rzeczek oścista, nieraz stona trawa, jako podstawa żywienia bydła. W każdej chwili było świeże mleko, masło i ser, no i ziemniaki...

Wyptywaliśmy z ojcem czołnem albo płaską krypą na spokojne wody, aby obserwować wodorosty w granatowo-brunatnej, a niekiedy zielonej toni, aby podziwiać bujne szuwary i zrywające się w popłochu stada kaczek, aby podpatrywać niemal nieruchome nabrzeżne drzewa i łoża, odbite w lustrze spokojnej tafli wody (s. 20–21).

Wspomnienia z okresu dzieciństwa podkreślają szczególnie urok tej ziemi. Opis niesie wiele kolorów, jest bardzo plastyczny (pamiętajmy, że pierwszy narrator, którego możemy utożsamiać z autorem: wskazuje na swoją żonę – Panią Różę Popek, syna Artura, wreszcie na siebie – Stanisława jako pisarza, s. 56, 58), jest malarzem, w którego dorobku jest ponad 50 wystaw obrazów w kraju i za granicą.

Wiele napisano już o zbrodniach wobec Polaków, również wobec dzieci. Przypominanie publikacji (nawet tych najważniejszych), wyliczanie ich dzisiaj przy licznych omówieniach i opracowaniach mogłoby być potraktowane jako nieprzyzwoitość, ale okazuje się, że współcześni pisarze ciągle odkrywają nowe jej obszary. Tak się dzieje w przypadku prozy Stanisława L. Popka. Nie dajmy się zwieść autobiograficznej perspektywie narracji, że jest to proza tylko kreacyjna (odbiegająca od prawdy historycznej), gdyż psychologizm obydwu narratorów, forma wspomnieniowa narracji, wzbudzanie emocji (nawet okrutnych), partie relacji reportażowych obnażają ją, kieruje w stronę prawdy i reportażu.

Na zakończenie chyba można powiedzieć, że w *Naznaczonym Syberią* narrator dopełnia panoramy okrucieństwa tego świata, uczynionego na Polakach w potowie ubiegłego wieku. Niewielka objętość *Naznaczonego Syberią* (58 stron podzielonych na szereg krótkich fragmentów), nasączona jest wieloma szczegółami. Ten fakt potwierdza tezę o „zagęszczaniu” współczesnej prozy. Dobrze się też stało, że w opowiadaniu tego pisarza okrucieństwu życia Polaków na Wschodzie autor przeciwstawia piękne opisy Polesia, w ten sposób nieco łagodząc doświadczenie wojny, pokazuje, że jednak ludzie są w stanie przeciwstawić się przemocy i śmierci.

Poezja Stanisława Rogali z cyklu „Wschodni wiatr” wydaje nam się dobrym suplementem do Jego tekstu o twórczości profesora Popka. Trafnie też oddaje atmosferę listopadowych dni.

Redakcja

JAREMA

Ten Wschodni wiatr
pomieszał i twoje szyki
– ot, zachichotał sobie.

(Przyniósł na Święty Krzyż
ciało Jaremy Wiśniowieckiego,
w klasztornej krypcie ułożył
dla zachwyty turystów)

A tak pędziłeś Kozaków
broniąc polskich Kresów.
Smoleńsk, Ochwatów,
Zbaraż, Konstantynów
strach, poptoch i krew
zostawały za tobą...
– Młocie kozacki!
Czy od ciebie nabyli
krwiożerczych manier na Lachy?

Pod Piławcem diabeł wskazał złą drogę,
pod Pawłoczką śmiercią zaraził.
Zmogła cię żołnierska choroba
a Gryzelda tu przywlekła,
w drewnianej skrzyni porzuciła
bez konia, butawy, nawet szabli,
którą uchwyciłbyś w rękę
drżącą wzdłuż ciała
by na Pohańców ruszyć

Wróg cię nie dopadł,
ogień nie strawił,
– potomku Gedymina.

A jednak ciało zniknęło...
może nad Kresy
Wschodni wiatr je zabrat?

– u nas pozostali
tylko turyści
i jakieś blade truchło.

„Kielecka Łączka”

wyznaczona białą-czerwoną taśmą
Polakom pomordowanym przez UB
w latach 1945-1956

W naszym kraju wiele łączek,
na których kwiaty wyrastają
z krasnych lic dziewczyn
a łodygi i pnie
z kości bohaterów.
Wraz z oddanymi sługami
pozostawił je Wschodni Wiatr,
kiedy przestraszył się Wielkiej Idei
Ojczyzny i wiernych jej Synów.

W moim zielonym mieście
„Łączkę” śmierci
urządził na bagnach rozlewiska Silnicy,
abyśmy ich zmaltretowane i zamęczone ciała,
jeżeli krzyżujące usta nie zachłysną się wodą,
jeżeli przerażone oczy nie wypłyną na wierzch,
jeżeli wyciągnięte o pomoc ręce
nie spotkają się z obojętnością,
jeżeli...
kości nie wymieszają się
z kośćmi ojców na cmentarzu Piaski,
abyśmy szybko zapomnieli
o tej gęstej od liści wodzie,
o tym bagnie nad brzegiem
o tej wiklinie gęsto porastającej
o tych ciężkich kamieniach
rozrzuconych nieprzypadkowo
o tych stertach śmieci
o tej ziemi narzuconej metrami
o tym...
że tu leżą niewinni a wierni

Tylko
została im Biała-Czerwona Szarfa
wyznaczająca miejsce niechcianego spoczynku,
którą harcerze w ukryciu zamocowali
na drewnianych kołkach
i deska z napisem
MIEJSCE PAMIĘCI
NARODOWEJ
„KIELECKA ŁĄCZKA”

budowlana biała-czerwona taśma
dostąpiła wielkiego zaszczytu
ogradzając ich nieśmiertelne groby
jak niewypały!

(Może po uroczystościach
już nie porośnie na nich trawa?)

Stanisław Rogala
Wschodni wiatr

Ten Wschodni wiatr
porywał w objęcia historii
naszych dziadków, ojców,
braci, synów, przyjaciół,
nawet wrogów

Zygmunta Szczęsnego-Felińskiego
Różę Zestańców
Adama Szymańskiego,
Ludwika Wolskiego
Władka Sebytę, Zygmunta Rumla...
ilu innych...
długo by zasiedlać
jego sumienie duchami

Z pomocą zielonych ludzików
przenosił przez rzeki krwi,
lasu pełne wisielców
nad pagórkami mógł
po bezdrożach
porozrzucić

Ten Wschodni wiatr
porywał nasze matki, siostry,
żony i kochanki
by ścieliły łoża
jego podmuchom

Między renifery
białe niedźwiedzie
i okrutne wyjce
zapędzał
dla postrachu innych

Kazał budować nędzne chaty
pałace z lodu i śniegu
własnym ciepłem ogrzewać północ
wyznaczać ścieżyny
i szerokie gościńce

Pędził nimi, gnał co sił
bez opamiętania
ku przerażeniu
ku zapomnieniu
do zubożenia

Ten Wschodni wiatr
zachichotał
i gnał coraz dalej
w zakamarki historii

co raz
zawiewał tumanami
ku naszej ojczyźnie
aż do zachodniego horyzontu
wyrывая z jej szeregów
ludzi czci i wiary
to znów na lata
pozostawiał pośród nas
zakapturzonych i obtudzonych
do granic zdziwienia
i ostatecznego zniecierpliwienia

teraz
tak trudno go zrozumieć
i zapomnieć
– uciszyć w sobie.

Ikona losu polskiego Dziecka
(wg opowieści Andrzeja Solaka)

Zbyszkowi Unoldowi z Huszyny

Siedmioletni Zbyszek
został sam z dwoma braciszkami.
Upowcy zarżnęli ojca i matkę
za polskie nauczanie.

Andrzejek, prowadzony za rękę,
płakał na odgłosy niemieckiej kanonady.
Najmłodszy wybuchął śmiechem,
gdy przyciskał go do piersi, by uspokoić.

Wschodni Wiatr mógł ich zdradzić,
należało uciszyć braciszków.
Hans i Iwan szperali po krzakach,
wiatr zagłuszał pospieszne kroczki.

Dobry anioł szczęśliwie prowadził
ku ocaleniu w Kowlu,
gdzie miała czekać ciocia
uratowana z innej rzezi.

Hans zauważył ich
gdy przeskakiwali tory.
Wskazał Iwanowi Laszków...
zagdakała długa seria...

Andrzejek potknął się
i znieruchomiał między szynami.
Należało chociaż ratować żywego...
Zbyszek biegł przyciskając braciszka...

Wschodni Wiatr nie stał

Okaleczeni...

Krzesimir nie zna
ojca ani matki,
nie ma domu,
a były pałace
muzykę tylko
porwał w duszy

Bogumiła uciekła
z ojcem i matką
reszta tam została
nawet szkoła –
teraz zarośnięte podwórko
z bramką do małej piteczki

Wizyta Stacha u ojca
wprawiła go w drzenie
nie miał pozwolenia na gości
ani przydziatu
na dwie kartki więcej

Malwina ocalała,
bo sąsiadka
wyrzuciła ją przez okno
zawiniętą w koc
gdy załomotali do drzwi
– pomylili piętra

U Leona nad ranem
pojawia się matka
rozpięta na wrótni
z widłami w tonie
– nie śpi, płacze tylko

i tak dalej
i dalej
i dalej
bez szczęśliwego końca
dla historii i Wiatru
majaki ciągle przy nich

P kondycji polskiej prozy, wartości nagród literackich i znaczeniu futbolowej metafory ze Zbigniewem Masternakiem rozmawia Paweł Jaskulski

16 lipca 2014 roku. Spotykamy się kilka dni po finale Mistrzostw Świata w Brazylii. Reprezentacja Polskich Pisarzy, której Masternak jest kapitanem, wróciła właśnie z tarczą z turnieju piłkarskiego w Berlinie.

Paweł Jaskulski: Kto oprócz pana występuje w szeregach Reprezentacji Polskich Pisarzy?

Zbigniew Masternak: Łącznie przewinęło się osiemdziesiąt osób, m.in. Wojciech Kuczok, Daniel Odiya, Jan Grzegorzczak. To już takie znane nazwiska. Grają ludzie w różnym przedziale wiekowym: od dwudziestu pięciu do czterdziestu kilku lat. Młodszych przedstawicieli reprezentuje prozaik Andrzej Muszyński. W zeszłym roku wydał, osadzoną w chłopskim nurcie literatury, książkę *Miedza*. Ja jestem kapitanem i jednym z najlepszych strzelców. Gramy głównie mecze międzynarodowe. Mamy za sobą spotkania z Włochami, Ukrainą, Niemcami, Szwecją, Anglią. Potem skutkuje to tym, że nie musimy już tak długo czekać na przekłady, co jest bardzo praktycznym efektem istnienia Reprezentacji.

Być może życie literackie przenosi się do tego typu organizacji. Coraz rzadziej bowiem pisarze polemizują, odpowiadają sobie w tekstach. Zdarzają się wyjątki w prasie kulturalnej, ale ciągle mówimy o zjawisku niszowym. Kilka lat temu Justyna Sobolewska pisząc tekst pt. *Polska literatura specjalnej troski*, chciała pewną dyskusję sprowokować. Pan się odniósł do tego artykułu i wyraził krytyczne opinie o twórcach lansowanych przez mainstreamowe media. Mam na myśli Jerzego Pilcha, Andrzeja Stasiuka i Manuelę Gretkowską. Co dokładnie jest słabego w ich twórczości?

Stasiuk jest z nich najlepszy. Chociaż ostatnio poszedł w kierunku utatwionym. Taką literaturę jaką tworzy obecnie, teoretycznie może pisać każdy, kto wyruszył w podróż i zdobył jakieś doświadczenia. Czego nota bene dowodem jest moja najnowsza powieść *Nędzole*. Tylko że w moim wypadku mamy do czynienia raczej z prozą fabularną niż dziennikową, jak jest właśnie u Stasiuka. Jego nowe rzeczy są mniejszej rangi niż pierwsze książki, tj. *Biały kruk* czy *Mury Hebronu*, ale generalnie nie są słabymi utworami. Bardzo przecenianym pisarzem jest natomiast Jerzy Pilch. Podkreślam, że nie mówię tego na zasadzie jakiegokolwiek zawiści. Nie równam Pilcha do siebie. Ja równam Pilcha do Niemców,



Piękna i bestia – Z. Masternak z żoną Renatą

Ukraińców i Rosjan. Na przykład znam świetnie język rosyjski, więc mogę czytać dzieła w oryginale. Dzięki temu widzę, jak wciąż wiele naszym pisarzom brakuje do Sorokina czy Pilewina. Podobnie dzieje się w piłce nożnej. Lubię tłumaczyć różne kwestie za pomocą metafory futbolowej. Dostrzegam, że dany zawodnik nie nadaje się do Bundesligi. Mało tego, on się nie nadaje nawet do drugiej ligi niemieckiej. A dzieje się tak dlatego, że on po prostu nie umie grać w piłkę. Potrafi wykonywać jedynie sztuczki, ale te nie są decydujące, nie tworzą futbolu. Jacek Dehnel obraził się kiedyś na mnie, ponieważ nazwałem go Chomontkiem polskiej literatury. Wiesz, kim jest Janusz Chomontek?

Nie.

Taki genialny polski zongler. Kiedyś Maradona (inny genialny technik, ale też mistrz świata i wicemistrz) zaprosił go na pojedynek zonglerski. Chomontek zmiażdżył go w podbijaniu piłki, czyli okazał się teoretycznie lepszy od Maradony. Tylko co z tego, skoro na boisku umiejętności dryblerskie nie sprawdzają się. W piłce chodzi o strzelanie bramek, tak samo dla mnie proza powinna prowadzić do jakiegoś celu. Myślę teraz głównie o poziomie fabuły. Świetna technika (np. Jacka Dehnela), nieprzełożona na normalną grę, jest do niczego. Identyczna sytuacja występuje u Pilcha; talent felietonisty niekoniecznie sprawdza się w prozie. Obaj powinni przestać zonglować, a zacząć grać.

Błędem Pilcha jest chyba również jego najważniejszy temat, czyli alkohol. Jego twórczość na tym wyrosła.

Tak. To jest materiał na jedną książkę, a nie na aż tak wiele. Oczywiście dostrzegam własne mankamenty, ale mówię też szczerze o innych. Niektórych moje opinie rażą. I właśnie pani Justyna Sobolewska obraziła się na mój zarzut. Jeszcze może słowo o Oldze Tokarczuk – autorce skupiającej się znowuż na psychologizowaniu itd. U niej także sama opowieść schodzi na dalszy plan.

A może to krytycy uczą złego gustu?

Krytycy są realnym mankamentem najnowszej literatury polskiej. Odgrywają oni bardzo negatywną rolę. Mianowicie, nie czytają książek. Wyobraźmy sobie taką sytuację: podczas realizacji programu dla TVP Kultura o jednej z moich książek facet z telewizji mówi tak: „w sumie to nie przeczytałem, ale wiesz, właściwie to od pięciu lat żadnej książki nie przeczytałem”. Jeżeli on rekomenduje daną książkę, to jaki ja mam mieć szacunek do recenzji pisanych tylko na podstawie obwoluty, którą de facto niekiedy przygotowuje sam autor? Obwoluta jest miejscem, gdzie książkę się reklamuje. Czasem reklama będzie niezgodna ze stanem faktycznym, czyli tym co książka sobą reprezentuje. Wobec tego czytelnik recenzji ma mylny ogląd sytuacji. W efekcie pisarz nie dostaje kopniaka od krytyka. Dodam, że nie obrażam się na negatywne recenzje, jeżeli są konstruktywne. Znowu metafora futbolowa: trener udowodnił mi, że źle ustawiam stopę przy kopnięciu piłki. Próbuję inaczej i piłka rzeczywiście leci dalej. Nie mam wtedy żadnego problemu z powiedzeniem: „Aha, masz rację”. Gdy ktoś kto gra gorzej ode mnie, próbuje być moim trenerem, nie mogę go słuchać. Teoretycznie na krytyków nie powinienem narzekać, bo na czterdzieści kilka omówień powieści *Nędzole* tylko jedna była dosyć wstrząsająca. Zarzut młodego recenzenta był dosyć absurdalny. Bowiem to, co ja traktuję jako rolę dokumentacyjną literatury (bardzo ważną dla mnie), autor odczytał jako minus. Wytknął mi, że napisałem, to o czym wszyscy wiemy. A właśnie taki był mój cel. W *Nędzalach* zawarłem mnóstwo konkretności. Bliżej mi do reportażu niż do prozy wymyślonej, pisanej zza biurka. Wspomnę tylko takich twórców jak Franz Kafka czy Fernando Pessoa. Wolę prozę spod znaku Hemingwaya i Hłaski. Być może nie mam tyle wyobraźni, aby wymyślić całą historię za biurkiem. Problem polega na tym, że taką recenzję może napisać – nie obrażając nikogo – każdy Kazik z Otmuchowa, tzn. każdy kto pojechał do Paryża albo Marsylii. „Podoba mi się ta książka, bo przeżyłem tę samą historię. Ten Arab też dał mi z główki”. Mnie chodziło jednak o uzyskanie efektu „drugiego dna”. To dno ma być wartością w szczególności dla krytyki.

Nawiązałem do około stu osiemdziesięciu utworów literatury francuskiej, które są zupełnie nieczytelne dla polskich krytyków nieznających języka francuskiego, ale większość tych dzieł została przecież przetłumaczona na język polski. Dla wielu recenzentów nawiązanie do *Tajemnic Paryża* Eugeniusza Sue jest zupełnie nieczytelne. Kolejna nierozpoznana książka to *Rok w Prowansji* Petera Mayle’a, do której odnoszę się, pisząc o Prowansji. Z kolei kiedy mój bohater mówi: „Merde, merde” robię ukłon w stronę serii książek Stephena Clarke’a pt. *Merde!*. Wszystkie te utwory tworzą obraz Francji. Podkreślam, że interteksty nie są dla mnie najważniejsze. Uważam jednak, że nieobecność ich identyfikacji w tekstach krytycznych świadczy o braku kompetencji ze strony autorów. A często przecież zostawiałem wyraźny ślad obecności innego dzieła, aby łatwiej było odszukać te tropy.

Wobec tego kto zamiast Pilcha, Grotkowskiej, Stasiuka uczciwie zasłużył na promocję swojej twórczości?



Ukraina – konferencja prasowa.

Pisarz musi mieć wizję. Wielkim prozaikiem pozostaje Wiesław Myśliwski. Zaznaczam, że nie dlatego, iż uważa się go za przedstawiciela nurtu chłopskiego. Te etykiety nie mają dla mnie znaczenia. Śmieszają mnie konkursy na najlepszy wiersz klerikalny, powieść gejowską etc. Podobnie myślę o konkursie poezji dla osób niepełnosprawnych. Książka zawsze będzie dobra lub słaba. Literatura nie jest demokratyczna, dlatego nie może jej pomóc żadna podwórka ani proteza. Ponadto błędem jest zastanawianie się polskością, przez którą rzekomo nie chcą nas tłumaczyć na świecie. Pisarze dzisiaj nie mają jaj. Być może są tak stłamszeni walką o przetrwanie, elementarne wydatki, że osiągnięcie poziomu Tomasza Manna, Prusa, Sienkiewicza nigdy nie będzie możliwe. Jedyńm człowiekiem, który jeszcze taką wielką wizję literatury ma, jest Myśliwski. Liczyłem, że takiej analizy społecznej dokona Michał Witkowski, ale poszedł teraz w dziwnym dla mnie happeningowym kierunku. Po wydaniu dobrej książki *Lala* potencjalnego władcę dusz widziałem w osobie



LAF Zwierzyniec. Autor z synem

Jacka Dehnela. Poćwiczył tam sobie technikę pisarską na przeszłości, opisał swoją babcię itd. Późniejsze *Rynek w Smyrnie* czy *Balzakiana* już nie dotyczyły niczego ważnego. Zostały same fajerwerki literackie. Nie znajdziemy istotnej problematyki do poruszania, której przyzwyczaił nas np. Gombrowicz. Dorocie Mastowskiej brakuje intelektualnego zaplecza.

Za bardzo zdolnego pisarza uchodził Mirosław Nahacz.

Tak, ale też nie do końca. On pisał książki w stylu stasiukowym. Nahacz był dobrym autorem w klimacie Marka Hłaski. Pamiętajmy jednak, że jest to poziom, do którego nie tak trudno się zbliżyć. Karol Malszewski napisał sześć lub siedem lat temu o mojej twórczości coś takiego, że „może Gombrowiczem nie będzie, ale do Hłaski już blisko”. Niektórzy krytycy zarzucają Hłasce grafomanię. Prozę Hłaski uznają za nobilitujący punkt odniesienia, który następnie trzeba koniecznie przeskoczyć. Nie mówię od razu o Gombrowiczu, bo mnie akurat jako twórcy bliżej do opowiadania niż genialnych dywagacji spod znaku jego *Dzienników*. Mamy właściwie wysyp kilku naprawdę dobrych, współczesnych polskich prozaików, lecz wieszczą można stworzyć, dopiero łącząc talenty tych paru pisarzy. Twórcy uciekają obecnie od ważnych tematów. Przypomnę historię Kai Malanowskiej – autorki książki *Patrz na mnie Klara*, nominowanej do Nike. Narzekąta ona publicznie na swoje niskie honorarium z tym, że ta książka jest na poziomie bloga trzydziestoparoletniej, sfrustrowanej, zawiedzionej życiem kobiety. Książka o depresji, czyli dotykająca tematyki już wielokrotnie przerobionej ze znacznie lepszym skutkiem. Dlaczego nie jesteśmy współczesnymi wieszczami? Unikamy tematów ważnych dla większości ludzi. Statystyczny Polak chętnie ogląda telenowe, seriale, ponieważ odnajduje w prezentowanych wydarzeniach osiemdziesiąt procent dotyczących go problemów. Wartościowa literatura w rozumieniu Polaka przeniosła się do produkcji telewizyjnych. Sumarycznie rzecz biorąc, najnowsza proza nie odzwierciedla rzeczywistości.



Dortmund

Krzysztof Varga skomentował niedawno odwołanie przez Marcina Świetlickiego udziału w osiemnastej edycji Nagrody Nike. Varga postawił tezę, że odmowa Świetlickiego wywołała skandal środowiskowy (niewielki, ale zawsze), lecz „literatura potrzebuje skandali, skandal jest kroplówką umierającej literatury”.

Kto dostał Nike w 2004, 2006 i 2008 roku?

Nie pamiętam.

Masz odpowiedź, czy Nike jest ważna. Ja też nie pamiętam. Wydaje się, że ktoś kto dostaje Nike, jest już prawie noblistą. To nieprawda. W rzeczywistości Nike nie ma żadnego znaczenia. Wprawdzie sto tysięcy złotych może się przydać na pół mieszkania, a laureat może się ewentualnie podzielić z krytykami, którzy go nominowali. Mówię o realiach. Tak samo jest z Noblem. Gdy pierwszego Nobla w dziedzinie literatury otrzymał Sully Prudhomme, pokonał samego Lwa Tołstoja. Oczywiście, ja czytam książki pisarzy, którzy dostają Nike. Czytam od Barańczaka po Kuczoka. Z tych dwóch wolę Barańczaka. Z Kuczokiem nawet się kiedyś przyjaźniliśmy, ale przestaliśmy, chyba jest zazdrosny, że dużo lepiej gram od niego w piłkę. W Polsce nadawanie nagród literackich wiąże się z wprost beczelnym koniunkturalizmem. Trochę się z tego nabijam. Dostałem kilka nagród i za każdym razem wiedziałem, że tę nagrodę dostanę. Jedną z nagród kosztowała mnie czternaście kieliszków Żubrówki. Dlatego nie dziwię się postawie Świetlickiego. Nike dostają ludzie ze środowiska „Gazety Wyborczej”, np. Joanna Bator była niegdyś dziennikarką tego dziennika. Najbardziej denerwuje mnie w polskiej lewicy to, że słowa nie idą w parze z czynami. Sławomir Sierakowski z frazesem feministycznym na ustach podejrzanie długo nic nie mówił o roli pewnej Bułgarki w jego życiu. Choć dodam, że na samą „Gazetę Wyborczą” nie mogę narzekać. Gdy przeanalizowałem swoje archiwum, okazało się,



Prezentacja książki *Jezus na prezydenta*

że publicyści „Gazety Wyborczej” pisali o mnie najwięcej, przy czym przeważały oceny pozytywne. Wydawnictwo „Czarne” Andrzeja Stasiuka i Moniki Sznajderman ma bliski związek z „Wyborczą”, więc może liczyć na jedną lub dwie nominacje w siódemce, żeby wydawnictwo mogło prosperować. Cały czas mówię o dziwnych, pozaliterackich układach. Podobna sytuacja jest z Nagrodą Kościelskich powiązaną z krakowskim Znakiem. Analogicznie, ludzie wydający książki w tym wydawnictwie otrzymują Nagrodę Kościelskich. Znowu moja ulubiona futbolowa metafora: klub Śląsk Wrocław organizuje plebiscyt na najlepszego polskiego piłkarza, a nagrodę otrzymuje zawodnik Śląska Wrocław. Tak wyglądają kulisy przyznawania nagród literackich w naszym kraju. W wypadku Nike wyjątkowa sytuacja zaszła w 2011 roku, kiedy nagrodę wręczono Marianowi Pilotowi za powieść *Pióropusz*. Laureat napisał niezłą książkę, ale w jury zasiadło wielu jego dobrych znajomych. Nagroda towarzyska. Nic więcej.

„Skandalista” Świetlicki to poeta. Pan przed laty wydał tomik pt. *Mroczny krajobraz*. Wraca pan czasem do poezji?

Wykpiłem ten etap w powieści *Niech żyje wolność*, chociaż uważam swój epizod poetycki za fajny. Niedawno redagowałem nawet tomik puławskiego poety Ryszarda Smolaka. Skądinąd interesująca postać; Smolak jeździ na wózku inwalidzkim, zasiada w Radzie Miasta Puławy. Napisałem dla niego postowie. Myślę, że potrafiłbym dalej pisać wiersze. Po prostu teraz metafory poetyckie przydają mi się bardziej w prozie. Nawet gdy pisałem *haiku*, tworzyłem krótkie opowiadania.

Czy pomimo autobiograficznego, konkretnego kontekstu pańskiej prozy, sam akt twórczy jest pozarozumowy? Tadeusz Konwicki wspominał kiedyś, że żona i córki nigdy nie widziały go przy pisaniu.

Gram na kilku frontach: literatura, film, rodzina, piłka nożna, spotkania autorskie (w pierwszym półroczu 2014 roku miałem ich około osiemdziesięciu). Tych frontów różnorodnej działalności cały czas przybywa, więc na samą literaturę muszę znaleźć odpowiedni moment. Często piszę w pociągach. Nie lubię tracić czasu w podróży, zwłaszcza kiedy jadę do miejscowości takich jak Dzierżonów przez dziesięć godzin. Nigdy natomiast nie wywołałem w sobie natchnienia na siłę. Staram się pisać codziennie. Po piłkarskim miesiącu w moim życiu przyszedł czas na książkę piątą pod roboczym tytułem *Pisarz*, opowiadającą o życiu pisarzy w Polsce. Podejrzewam, że Reprezentacja Polskich Pisarzy rozpadnie się po jej wydaniu. Opiszę bowiem autentyczne przygody kolegów po fachu, których poznałem. Będzie bardzo groteskowo, przy czym nic nie zostanie zmyślone. Od dawna książki na taki temat nie było. Przypominam sobie tylko przemilczanego *Jaszczyra* Sławomira Shutego. Są oczywiście teksty, które trzeba napisać bardzo szybko. Pracuję teraz nad polemiką z Myśliwskim dla „Znaku”. Stawiam tezę, że literatura chłopska ciągle ma się nieźle, on z kolei odcina się od tego nurtu. Czasem pisuję recenzje książek, przypadających mi do gustu. Gromadzę te teksty w tomie autorskich szkiców pod znowu roboczym tytułem *Uwagi o polskiej prozie i poezji współczesnej*. Niekiedy recenzję na półtora strony piszę przez miesiąc. Ani systematyczność, ani nic innego nie zastąpi tego dziwnego stanu natchnienia, kiedy masz wizję i wiesz, co chcesz zrobić. Pisanie często polega na żmudnym gromadzeniu notatek, które w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach trafiają do kosza. Pisarze powinni mieć bardzo pojemne kosze. Zazwyczaj kończę teksty rozpoczęte już jakiś czas temu, później zestawiam gotowe fragmenty. Zastanawiam się, co można ze sobą skomponować. Udaje mi się to w momencie przebłytku, będącym czymś więcej niż zwykłym życiem. Poprawianie literówek, przedstawianie zdań stanowi zwyczajną robotę jak pieczenie czy gotowanie. Natchnienie pochodzi z innego świata.

Czy spotkania autorskie przekładają się jakoś na pańską twórczość?

Życie wokół kultury – jak na przykład spotkania autorskie – jest bardziej dochodowe niż sama literatura. Główna część moich dochodów pochodzi właśnie z takich spotkań. Oprócz zaplecza finansowego są one dla mnie bardzo ważne, ponieważ jestem wtedy blisko prawdziwego życia. Mogę zebrać mnóstwo materiału literackiego w busie, w którym babcie wracają z targu z kurczakami trzymanymi w klatkach. Lubię przyjeżdżać

do Kielc, gdzie można usłyszeć niesamowite historie na dworcu busów. Pewnego razu zaafierowana pani rozmawia przez telefon i mówi: „No co, najadła się trutki na szczury, to wylądowała na intensywnej terapii”. Może ktoś chciał otruć teściową, a może ktoś zjadł truciznę przez przypadek? W takich momentach nie czuję się pisarzem za biurkiem. Spotkań autorskich nie jest mi w stanie odebrać żaden minister, żadna Kazimiera Szczuka; nikt z kim wszedłem w konflikt. W innej sytuacji zostałbym wyrzucony z pracy. Ostatnio polemizowałem z Januszem Piechocińskim na festiwalu Karuzeli Cooltury! Minister wygłosił, doktrynerskim językiem, tezę, że kultura powinna finansować się sama. Odpowiedziałem: „W jaki sposób biblioteka np. w gminie Nowy Korczyn ma sama się utrzymać? Czy panie bibliotekarki mają prowadzić też dom rozpusty, targ z rybami i hostel?” Piechociński jest jednak tak sprawnym demagogiem, że jakoś z tego wybrnął. Na pytanie czy pisarze powinni otrzymywać stypendia, odpowiedział: „Przecież Reymont nie dostawał stypendiów. Pracował na kolei, a Nobla dostał”. Piechociński sobie mnie dobrze zapamiętał, więc gdybym piastował jakieś stanowisko w Ministerstwie Kultury, natychmiast bym je stracił. Spotkań autorskich na szczęście nie może mi odebrać. Ze Szczuką z kolei było początkowo dobrze, ale ona później poszła w niezrozumiałym dla mnie kierunku totalnej głupoty spod znaku teleturnieju *Najstabsze ogniwo*. Spotkaliśmy się na jakimś festiwalu, na którym podeszła do mnie i powiedziała: „A to pan jest tym pisarzem chłopskim”. Znała mnie bardzo dobrze, ten fakt jednak jej nie przeszkodził udawać, że widzimy się pierwszy raz w życiu. Moja replika była więc ostra: „A to pani sprzątała w tym hotelu w Sopocie, w którym nocowałem niedawno”. Jestem synem chłopskim, więc mój sposób myślenia jest także chłopski, w efekcie nie mogę przyzwolić na pewne rzeczy. Uczestniczyłem w dyskusji m.in. ze Szczuką, Agnieszką Holland. Głośno było wówczas o sprawie śmierci Krzysztofa Olewnika. Szczuka powiedziała coś takiego: „Bardzo dobrze się stało, że Olewnik zginął. Niech jego rodzice zobaczą, co to znaczy mordować niewinne zwierzątka”. Przed opuszczeniem sali pozostało mi jedynie wypowiedzieć gorzkie słowa na jej temat. Dodam, że oprócz mnie nikt nie zareagował. Granice społecznej tolerancji zanadto się rozszerzyły.

Pański plan literacki imponuje świadomością i konceptem. Jak sądzę, ta literatura żywi się wszystkim, łączy refleksję osobistą z krytyką społeczną. Woli pan syntezę od fragmentu?

W jednej z recenzji powieści *Niech żyje wolność* autorka napisała, że gdybym skupił się na pisaniu opowiadań, prawdopodobnie byłbym mistrzem krótkiej formy. Polscy wydawcy zmuszają beletrystów do pisania powieści, a nie opowiadań. Ja miałem koncepcję pisarstwa fragmentarycznego, bo tak działa ludzka



Drużyna polskich pisarzy

pamięć. Nie myślimy ciągiem powieściowym, nie nosimy w głowie idealnej struktury powieściowej. Dlatego niektóre wątki moich powieści już nigdy nie wracają w kolejnych częściach. Przez to niektórzy krytycy zarzucali mojemu pisarstwu chaos. Myślę jednak, że fragment zawsze będzie częścią większej całości, ale niekoniecznie wszystkie wątki muszą automatycznie wracać. Tak nie działa ludzka pamięć. Podobnie zresztą jest w życiu, kiedy poznajemy ludzi w przedziale pociągu, aby nigdy już ich nie spotkać.

Odniosłem wrażenie, że zależy panu na podważaniu realizmu w swoich z gruntu realistycznych powieściach.

Żeby dzieło literackie nie zamieniło się w reportaż, musi mieć w sobie coś więcej. Szukam sytuacji, w których odnajduję metafizykę. Skrajną sytuację opisałem w *Nędzolach*. Po wydaniu pierwszej książki miałem kłopoty z wójtem, gminą, lokalnymi policjantami, sottysem, księdzem. W mniej więcej w tym czasie jechałem pociągiem z Kielc do Wrocławia. Byłem kompletnie rozbity. Myślałem o tym, ile ciekawych rzeczy mógłbym robić, a postawiłem na literaturę. Wyciągnąłem otówek, żeby pisać dalej. Otówek okazał się złamany. Myślę sobie: „to jest znak. Mam sobie dać spokój z pisaniem. Zaczynam normalnie żyć”. Nagle, wchodzi do przedziału człowiek wyglądający jak Jezus i kładzie mi długopis na notesie. Wyszedł. Później wrócił, okazało się, że jest głuchoniemy, a za długopis chce pieniądze. Nie wyobrażam sobie znaku od Boga w formie zstępujących na ziemię aniołów. Dla mnie ta prosta historia z pociągu ma drugie dno.

Kanon literatury polskiej tworzą głównie dzieła polonocentryczne. Czy ten fakt świadczy o sile naszego piśmiennictwa, czy raczej należy upatrywać w nim naszej kulturowej słabości?

Kiedyś poznałem pisarza Grzegorza Musiała. Napisał wiele bardzo dobrych, kontrowersyjnych książek; w kontrowersyjności wiódł prym przed Witkowskim. De facto jest od niego dużo mądrzejszy. Skłócił się ze środowiskiem literackim, ale jako



Dzień drugi

dobrze sytuowanemu lekarzowi niezbyt mu zależy na znajomościach. Jego książki nie doczekają się jednak wielu przekładów. Taki stan rzeczy tłumaczył mi polskością, która wypełnia nasze utwory. A ja sobie myślę, że możemy jesteśmy zbyt stabi, aby nas tłumaczyć. Książek polskich autorów nie ma w zagranicznych księgarniach. Wyjątek stanowią utwory Sapkowskiego, Miłosza, Szymborskiej. Znajdziemy natomiast dzieła piętnastu współczesnych pisarzy węgierskich. Zwróćmy uwagę na fakt, że Węgrzy piszą o sprawach zakorzenionych w tradycji ich kraju. Nie uciekają w uniwersa europejskie. Może jesteśmy źle promowani, a może po prostu tworzymy kiepską literaturę? Nie istnieje bowiem na świecie żaden antypolski spiszek. Rozmawiałem z pisarzem Radkiem Knappem, piszącym w języku niemieckim, na ten temat. On wyraźnie powiedział, że nasze utwory nie są tłumaczone w Niemczech, Austrii z powodu słabej konstrukcji fabularnej i przynudzenia.

Pańskie książki są jednak przekładane.

I to na takie dziwne języki jak wietnamski, bułgarski, ale też hiszpański, tylko że w Wenezueli. Wietnam jest bardzo wiejskim krajem. Podczas rozmowy z tłumaczem usłyszałem, że Polacy są Azjatami Europy, a Wietnamczycy Polakami Azji. Oba państwa mają też swoich wielkich braci: Chiny oraz Rosję. W Wietnamie miałem największy nakład – sto osiemdziesiąt tysięcy egzemplarzy, podczas gdy w Polsce nakład wyniósł osiemnaście tysięcy. Mentalnie jesteśmy bardzo blisko. Na marginesie, Wietnamczycy zawieźli moje książki do bibliotek w Australii. Można sprawdzić w Internecie. Pisarza cieszy, kiedy jego książki żyją własnym życiem, po wietnamsku w Brisbane.

Zostańmy przy polskości. W XXI wieku trzeba jej szukać na prowincji, a może w miastach, do których ludzie nieustannie stamtąd wyjeżdżają? W wierszu Odjazd napisał pan: „Drzewo objawienia przygniotło mnie swoimi ciężkimi konarami”. To drzewo było właśnie obrazem przejścia ze wsi do miasta.

To wszystko rozmywa się. Powstaje pytanie, czy jest sens powstrzymać ten proces? Kiedy wyje-

dżatem z Piórkowa, panowały tam zasady: „Chłop na zagrodzie równy wojewodzie. Nie sprzedajemy ziemi rodzinnej” itd. Te hasła jakoś we mnie zostały. Nie palę się do sprzedaży swojego rodzinnego domu. Przy okazji ostatniego turnieju piłkarskiego w Berlinie dziennikarze „Przeglądu Sportowego” dziwili się, jak mogę bratać się z Niemcami. Jeden z oponentów zarzucił mi nawet, że jestem za młody, aby znać historię. Historię znam akurat bardzo dobrze. Wiedza o zaszłościach historycznych nie przeszkadza mi, w obecnej sytuacji, wyprzeć bolesne wspomnienia. Najfajniejszym rozwiązaniem byłoby upowszechnienie kosmopolityzmu, a z drugiej strony pozostanie przy tradycyjnych wartościach, jak w Wielkiej Brytanii, gdzie poszczególne państwa zachowały swoją tożsamość.

Mówił pan o wielu odniesieniach intertekstualnych do literatury francuskiej w swojej najnowszej powieści *Nędzole*. Chcę zapytać o inne odniesienie, o *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza. Dzieło wieszczu pełni ważną funkcję w rozwoju fabularnym wydarzeń, ale, co najważniejsze, bohater szczegółowo analizuje przekaz ideowy z XIX wieku: „I umęczono naród polski, i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: Zabraliśmy i pochowaliśmy Wolność”. Romantyzm jawi się tutaj epoką wciąż żywą, twórczą, inspirującą. Nie przedstawił go pan jako martwy znak. Wręcz przeciwnie, udało się chyba ów znak zaktualizować.

Zaskakująco żywe są międzynarodowe stereotypy. Reprezentacja Polskich Pisarzy ma teraz regularny kontakt z Niemcami, Ukraińcami, Izraelczykami. Wydawało mi się, że grupy artystów powinny cechować się większym dystansem do kultury, tożsamości narodowej etc. Graliśmy mecz z Niemcami we Lwowie. Najostrzej grali, zarówno po naszej stronie, jak i stronie przeciwników, autorzy książek dla dzieci. Niemiec co jakiś czas rzucał pewne drobne przekleństwo, a Polak był pewien, że chodzi o bardzo obraźliwe słowo. W pewnym momencie doszło między nimi do regularnej bijatyki. Na wspomnianych przeze mnie turniejach w Berlinie i Frankfurtzie Niemcy przegrali z nami dwa razy. Odczuli te porażki bardzo dotkliwie. Jeszcze dzisiaj dostałem e-maila od organizatora o następującej treści: „te zwycięstwa były lekarstwem dla polskiej duszy”. My cieszymy się po prostu ze zwycięstw i progresu, który one oznaczają. Podobnie ambicjonalnie potraktowała porażkę z nami Reprezentacja Polskich Dziennikarzy. Jak wyjeżdżałem do Francji, wzięłem do siebie dewizę Bobkowskiego z *Z dziennika podróży*: „kto objechał Francję, zwiedził całą Europę”. Romantyzm był pewnym etapem, a mieliśmy przecież średniowiecznego Galla Anonima, króla Sobieskiego, Marysieńkę, Henryka Walezego. Jeśli chodzi o próby zawarcia sojuszu, Francja była zawsze ważnym krajem dla Polski. Taka lepsza, bogatsza siostra. Jako emigranci jesteśmy we Francji traktowani na równi z uchodźcami



Wywiad

z krajów arabskich. Paradoksalnie, Niemcy lubią nas o wiele bardziej. Być może przyczynili się do tego swoją grą Lewandowski, Błaszczykowski i Piszczek. Nie żartuję. Kilkadziesiąt bramek Lewandowskiego pomogło w zwalczaniu złego wizerunku Polaka skuteczniej niż literatura. We Francji romantyzm był dla mnie stereotypem, jaki chciałem zbadać. Wszystko okazało się żywe. Przyjeżdża taki Polański (tak mówią na Polaka we Francji) i nie ma szans na cokolwiek. Oprócz Polańskiego jeszcze Andrzej Seweryn zaistniał w świadomości Francuzów. Na palcach jednej ręki można policzyć Polaków, którym udało się przebić do kodu kultury francuskiej. Polak-emigrant mierzy się we Francji ze stereotypami. Kończy się to – jak w *Nędzalach* – sikaniem na pomnik Mickiewicza. W takich chwilach mamy tego wzorca romantycznego dość. Czujemy się znowu oszukani.

A chciałby pan trochę powieszczyć? Wyobraża pan sobie siebie w roli literackiego przewodnika narodu?

Nie przekreślam siebie jako pisarza, który napisze arcydzieło. Nigdy nie jestem zadowolony ze swojej prozy. Chociaż reżyser Andrzej Barański wystął do mnie e-maila: „Panie Zbyszku, po «Nędzalach» jest pan bliżej niż dalej pełni”. Ucieszyłem się, ponieważ on się bardzo obawiał, że, gdy przestanę pisać o swoim naturalnym środowisku świętokrzyskich opłotków, polegnę. Mam jeszcze dużo do poprawienia, ale zaplanowałem sobie dziewięćdziesiąt lat życia. Miejmy nadzieję, że dostanę tyle czasu na stworzenie arcydzieła. *Księstwo* jest eksperymentem przeprowadzonym na pisarzu i człowieku. Dostrzegam własny postęp na podstawie kolejnych książek. Czy stworzę epopeję, w której odbije się nasza rzeczywistość? Czas pokaże, na razie za mało wody upłynęło, żeby tak skonstatować. Istotne są dla mnie dwa wielkie cykle literatury światowej: egotyczny, w *poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta oraz społeczny, *Komedia ludzka* Balzaca. *Księstwo* ma łączyć zalety obu cykli. Jeżeli uda mi się dorównać intensywnością pisarstwa wspomnianym autorom, być może mam szansę

na stworzenie epopei. Trzeba pamiętać, że postrzeganie roli pisarza znacznie się zmieniło. Ta zmiana blokuje powstanie takiej osoby jak Mickiewicz. Dzisiaj idolką jest Doda. Stąd próby kreacji pisarzy wchodzących w nowe role, np. Michała Witkowskiego, który nazywa się „projektantką mody”. Chciałbym być kimś takim jak Stefan Żeromski, wykonawcą pracy u podstaw. Na spotkaniach autorskich powtarzam młodym ludziom, że można wyruszyć w świat i robić swoje bez układów, bez „pleców”. Na spotkaniach w małych miejscowościach chcę natchnąć młodzież do spróbowania znalezienia pracy, która będzie ich hobby. Ludzie już w wieku nastoletnim powinni myśleć o swojej szansie. Tadeusz Żyśka (właściciel wydawnictwa, które wydało moją pierwszą powieść *Niech żyje wolność*) kupił ode mnie jej maszynopis w Kazimierzu Dolnym. Handlowałem tam książkami, a on przebywał akurat na urlopie. Powieść spodobała mu się, więc ją wydał. Zapytałem, dlaczego nie zareagował na maszynopis wystany do wydawnictwa pocztą. Odpowiedział, że spośród paru tysięcy przysyłanych w ciągu miesiąca propozycji czyta raptem dwie. Należy szukać innych możliwości kontaktu z ludźmi, którzy mogą realnie pomóc. Prowincjonalny kamikaze powinien pamiętać, że trzeba walczyć o siebie nawet z pękniętym żebrem. Wracając do wątku Żeromskiego, najgorsze jest to, że sami pisarze nie wierzą w jakiekolwiek przewodnictwo. Na jednym ze spotkań dyskutowałem z łódzkim poetą Piotrem Macierzyńskim. Kiedy usłyszał moje poglądy dotyczące współczesnej roli pisarza, ostro mnie skrytykował. Koniec końców wyrzucił mnie ze znajomych na Facebooku. Według niego zaprezentowałem zupełnie archaiczne myślenie. Mnie natomiast niepokoją jego poglądy. Dlaczego człowiek piszący (zapewne więc myślący) nie chce stanąć w szranki z ludźmi pokroju Joli Rutowicz? A ona jako celebrytka miała, przez swoje pięć minut, możliwość kształtowania ludzkich gustów.

Otóż to, Konwicki powiedział niedawno, że niedługo wszyscy zostaną pisarzami. Obecnie literatura rozrywkowa jest jeszcze chyba skutecznym medium docierania do szerszego grona odbiorców. Sporą popularność osiągnęły kryminały Zygmunta Miłoszewskiego.

Jeżeli mielibyśmy walczyć o rząd dusz, wbrew pozorom nie czuję zagrożenia. Wprawdzie nakłady powieści Miłoszewskiego czy Krajewskiego są dużo większe niż moje, ale z kolei ich dokonania nie dorównują jeszcze osiągnięciom Jo Nesbø, Camilla Läckberg. Akcja terrorystyczna w ostatniej powieści Miłoszewskiego *Bezcenny* jakoś do mnie nie przemówiła. Nasi autorzy kryminałów wciąż pozostają dwie klasy niżej od twórców skandynawskich. Taka literatura jest potrzebna do czytania, ale osobiście jednak ciągle oczekuję na wieszczka, który zagarnie rząd dusz i odda ducha naszych czasów. Napisze po prostu współczesną *Lalkę*. Znowu wracamy



Karlovy Vary

do kwestii sterowania rynkiem. Lansowanie kryminału przez „Politykę”, „Gazetę Wyborczą” nie jest do końca czystą rozgrywką promocyjną. Raymonde’a Chandlera stawia się w kanonie literatury. Gilbert Keith Chesterton – kolejny świetny pisarz. Ale... Gdybym miał wybrać literaturę wartościowszą, wskazałbym science fiction spod znaku Philipa Dicka czy Lema. Oni napisali naprawdę genialne rzeczy, które kiedyś lekceważyłem. Okazuje się, że tych twórców można porównywać z da Vincim. Lem wymyślił mnóstwo pojęć, używanych w dzisiejszej kosmonautyce. Chociaż Steven Spielberg jest koniunkturalistą, uchwycił w *Raporcie mniejszości* na podstawie opowiadania Dicka genialną myśl; coś co napędza ludzkość. Kryminał ludzkości raczej nie napędzi, a literatura science fiction ma takie możliwości. Da Vinci wymyślił pierwszy helikopter, tak samo twórcy science fiction mogą dać kopa przyszłości. Mogą wskazać kierunek rozwoju inżynierom.

Jednym z frontów pańskiej działalności jest współpraca z filmowcami. Jak podsumuje pan status najnowszego kina polskiego?

Stabością polskiego kina jest brak kontynuacji po dobrym debiucie lub głośnym filmie. Lista nazwisk „reżyserów jednego dzieła” jest dosyć długa. Przypomnę *Wymyk* Grega Zglińskiego (dla którego piszę obecnie scenariusz), *Pręgi* Magdaleny Piekorz, *Rezerwat* Łukasza Palkowskiego. Dopóki nie padnie drugi, trzeci filmowy „strzał” w dziesiątkę, reżyser nie zaistnieje w świadomości widzów. Chodzi o coś, co udało się Polańskiemu.

Ale czy wina w tej sytuacji leży wyłącznie po stronie reżyserów?

Nie mają jaj. Boją się zaryzykować, dlatego decydują się na próbę przekucia sukcesu tymczasowego w sukces komercyjny. Rozpoczynają dochodową pracę w serialach. Czasem na zarabianie srebrników dają się skusić nawet twórcy niezależni, tacy jak bracia Matwiejczukowie. Starszy z nich, Dominik, nakręcił bardzo dobrą komedię pt. *Krótką histeria czasu*. Takie

przejście kończy się zazwyczaj totalnym rozdarciem. Obecnie Matwiejczukowie, zdaje się, kręcą tylko seriale.

Pańska przygoda z filmem cały czas trwa,



Festival w Karlovych Varach

ale najgłośniejszym tytułem, z którym jest pan bezpośrednio związany, pozostaje *Księżstwo* (2011) w reżyserii Andrzeja Barańskiego. Jak z perspektywy czasu ocenia pan recepcję tego ważnego, zaangażowanego społecznie dzieła?

Recenzje *Księżstwa* były skrajne. Redaktor nowojorskiego periodyku stwierdził, że był to film dziesięciolecia w kinie europejskim. Była świetna recenzja w „Variety Review”, najważniejszym piśmie filmowym na świecie. Polscy recenzenci odnosili się początkowo do filmu chłodno. Zmienili zdanie dopiero po festiwalu w Karlovych Varach, gdzie obraz przyjęto znakomicie. Po *Księżstwie* nie chciałem rozmieniać się na drobne. Dlatego nie zgodziłem się na zmiany, jakie zaproponował producent Kazimierz Rozwątka w tekście mojego scenariusza pt. *Transfer*, który jest dramatem obyczajowym o środowisku piłkarskim. Rozwątka chciał na jego podstawie wyprodukować głupią komedijkę. Nie mogłem się zgodzić nawet za duże pieniądze. Wolę poczekać na Zanussiego, Zglińskiego, Barańskiego. *Księżstwo* pozostanie w historii filmu polskiego jako ważne kino społeczne. Nie mogłem się degradować. Sądzę, że *Księżstwo* zostało skrzywdzone, pominięte przez nowobogackich, którzy wolą zapomnieć o swoich wiejskich korzeniach. Być może znowu chodziło o pewne zakulisowe rozgrywki. Może zaszkodził sobie sam Barański, który rok wcześniej przewodniczył gdyńskiemu jury. Zadzwo- nił do mnie wówczas producent jednego z filmów pominiętych w Gdyni i powiedział: „Ty znasz tego chu... Barańskiego? Powiedz mu, że go zajm...”. Moim zdaniem Barański w złym momencie dał się namówić na szefostwo w komisji festiwalu w Gdyni. Zderzenie filmowego półświatka z ludźmi pokroju Barańskiego przynosi niekiedy optakane skutki.

A jak układała się współpraca na linii: pisarz-reżyser?

Barański pytał mnie o wiele szczegółów. Scenariusz napisał sam, chociaż wiele dialogów przepisał w skali 1:1, więc *Księstwo* jest wierną adaptacją powieści. Pamiętam też wesole sytuacje. Barański z Petryckim przyjechali na miejsce szukać źródła na szczycie góry, gdzie miał strzelać sobie w kolano jeden z bohaterów. Traf chciał, że pośród kilkudziesięciu autochtonów trafili na nierdzennego mieszkańca wioski. Napotkany człowiek wyprowadził ich gdzieś daleko, ale źródła nie znalazł. Nie znał dostatecznie świętokrzyskich terenów. Później reżyser już mnie pytał o takie szczegóły.

Jak pan zareagował na tragiczne zakończenie filmu?

Początkowo zdenerwowałem się. Potem zacząłem patrzeć na śmierć mojego bohatera inaczej. On musiał się zmienić. Aby skończyć z miotaniem się między różnymi rzeczami powinien przeistoczyć się, zginąć mentalnie. Ja również umarłem metaforycznie. Przejawia się to na przykład tym, że przestałem mówić gwarą. Jeszcze kilka lat temu toczyłem – prowadzone gwarą – rozmowy telefoniczne z bratem. Rozmawialiśmy niejako w ukryciu. Od dłuższego czasu mówimy ze sobą poprawną polszczyzną.

Obejrzałem *Księstwo* ze swoimi znajomymi. Ich głównym zarzutem było rzekome wypaczenie świata polskiej wsi.

Absolutnie nie zgadzam się. Gdzieś w prowincjonalnej bibliotece znalazłem niedawno na półce książek niechcianych zbiór felietonów Tadeusza Boya-Żeleńskiego pt. *Reflektorem w mrok*. W jednym z tekstów Boy relacjonuje premierę *Wesela* Wyspiańskiego. Żeleński nabija się trochę z autora dramatu, opisując wyimaginowaną scenkę z biegającym po Krakowie Wyspiańskim, który dopisuje na plakatach anonujących *Wesele* nazwiska pierwowzorów postaci, np. Lucjana Rydla, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Stanisława Przybyszewskiego itd. Współcześni czytelnicy traktują ten dramat jako dokument historyczny, który doczekał się opastych tomów opracowań. Dla Boya-Żeleńskiego *Wesele* było relacją z rzeczywistego wesela. Na tej samej zasadzie dla mnie rzeczywistością jest świat *Księstwa*, w którym opisałem swoich autentycznych sąsiadów, prawdziwe przygody. Gdy ktoś usiłuje mnie przekonać, że wypisałem bzdury, po prostu mnie obraża. A przecież i tak pominąłem niektóre fakty. Pamiętam taką przygodę: dyskoteka, godzina trzecia nad ranem. Pod dyskotekę podjeżdża kombajn, parkuje obok samochodów. Ukurzony żniwiarz po prostu zjechał z pola, aby wypić kilka piw i potańczyć z dziewczynami. Wychodzi o godzinie piątej. Po chwili



Pitka w grze

stwierdza, że skradziono mu kombajn. Proszę sobie wyobrazić taką scenę w *Księstwie*. Ktoś pomyśli: groteska, absurd spod znaku Gombrowicza, Ionesco, Rolanda Topora razem wziętych. Ale tak było naprawdę.

Ciekawe jakie będzie podejście czytelników do autentyzmu Nędzoli.

To następny problem. Zaczynają się już nawet dyskusje na forach o nowej książce Masternaka. Książka weszła między ludzi. Zobaczymy, jak zareagują polscy czytelnicy przebywający na emigracji. Może powiedzą: „Ok, to prawdziwy obraz życia na obczyźnie, ale po co o tym pisać?”. Wiesz coś na temat mniejszości Uzbeków w Kazachstanie?

Nie

Ale jakiegoś Polaka przebywającego na emigracji znasz?

Tak.

No właśnie. Dzisiaj prawie wszyscy znamy kogoś takiego, więc nie jest to temat Uzbeków w Kazachstanie. Pytanie: dlaczego o tym nie piszemy? Emigracja towarzyszy ludzkości od zarania dziejów. Emigracja zmienia całe kultury. W ciągu ostatnich dziesięciu lat cywilizacja niemiecka bardzo się zmieniła. Wystarczy popatrzeć na reprezentację Niemiec w piłce nożnej. Grają w niej Hindusi, Turcy, Polacy, Albańczycy. Niemcy na napływie ludności wiele zyskały i doskonale rozumieją ten fakt. Warto jednak sobie postawić pytanie, jak emigranci na obczyźnie się czują? Zauważyłem, że w ogóle nie chcą o tym mówić. Miałem mieć spotkanie w Kilonii, z którego ostatecznie wycofał się właściciel lokalu, ponieważ obawiał się zrujnowania pomieszczenia przez Polaków, co już wcześniej się wydarzyło. Spotkanie w Wiedniu konkurencyjna polska grupa zagłuszyła imprezą discopolową. Nasza emigracja zarobkowa buntuje się przeciwko tej książce.

Pierwszy Przewodnik turystyczny po Polsce oraz Praktyczny poradnik dla podróżujących

A w nich „garść” informacji o ziemi świętokrzyskiej

Elżbieta Stec

Okolo 200 lat temu (1821 r.) ukazał się w Warszawie *Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczypospolitej Krakowskiej* obejmujący opisanie miast znaczniejszych oraz ich okolic, jako też pałaców, ogrodów i wiejskich mieszkań znakomitszych, wykaz wszystkich traktów pocztowych, urzędzenia, taxi i stacje pocztowe, tabele porównania monet, wag i miar polskich z pogranicznymi, zgoła to wszystko, co podróżującym po Polsce użytecznym stać się może; z załączeniem planu Warszawy, karty drożnej pocztowej Królestwa Polskiego i dziesięciu rycin znaczniejsze gmachy lub piękne w kraju okolice wystawiających. (Warszawa: W Drukarni N. Glucksberga, 1821, 124 s., 10 il.)

Autorem *Przewodnika* jest Józef Wawrzyniec Maciej Onufry, hrabia, Krasiński (ur. 10.08.1783 r. w Zegrzu – zm. 10 lub 14.10.1845 r. w Krakowie).



Józef Wawrzyniec Krasiński.

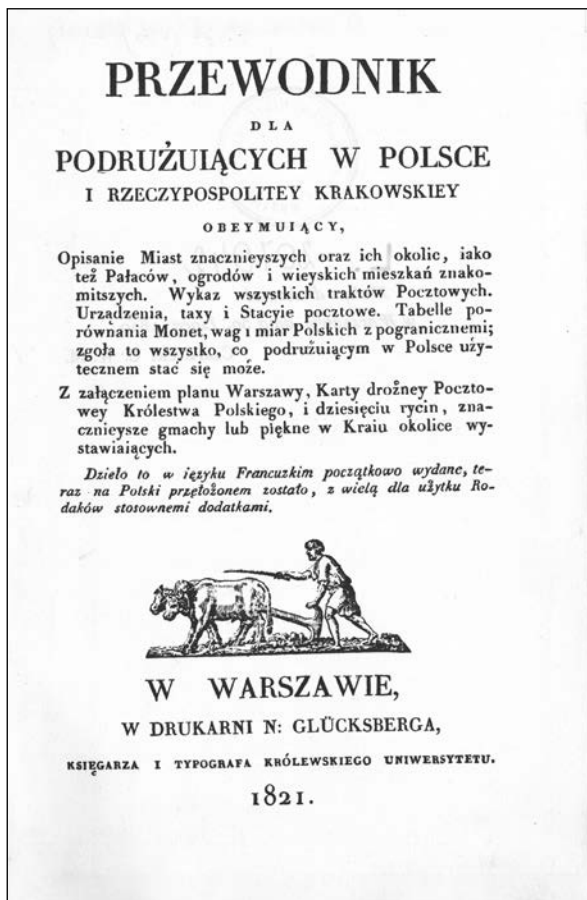
Pochodził z zamożnej rodziny, był synem Kazimierza Krasińskiego (oboźnego królewskiego) i Anny z Ossolińskich. Rodzina pieczętowała się herbem „Ślepowron”. Nauki pobierał w domu. Od 1806 r. służył w Polskim Wojsku, brał udział w wojnie w 1812 r. Niezwykle aktywny, pogodny, towarzyski został w 1816 r. członkiem Dyrekcji

Teatrów Warszawskich. W 1820 r. otrzymał tytuł hrabiowski. Od 1829 r. był senatorem-kasztelanem, następnie ochmistrem dworu polskiego cara Mikołaja I. Posiadał dwie rezydencje – zimową w Warszawie przy ul. Mazowieckiej i letnią w majątku Radziejowice. Otrzymał wiele odznaczeń, a wśród nich do najważniejszych należał Order Świętego Stanisława I Klasy, nadany przez Mikołaja I. W 1809 r. ożenił się z Emilią Ossolińską. Z tego związku urodziło się czworo dzieci: trzech synów i córka.

Jako miłośnik teatru, zbudował w Radziejowicach salę widowiskową, w której wystawiał sztuki z udziałem zaprzyjaźnionych osób, a także pisał scenariusze niektórych przedstawień. Do radziejowickiego, amatorskiego teatru zjeżdżali ziemianie i mieszcianie z okolicy. Józef Krasiński pisał też pamiętnik od 1790 r. do 1830, którego rękopis objął 16 woluminów. Po jego śmierci dr Franciszek Reuttowicz sporządził wyciąg z pamiętnika i wydał w jednym tomie w 1877 r. w Poznaniu, w drukarni J.I. Kraszewskiego. Obszerny rękopis *Pamiętnika* spłonął w Warszawie podczas II wojny światowej.

Drugą pasją Józefa hr. Krasińskiego były podróże, geografia i topografia. Sam często jeździł i chętnie gościł w swoich pałacach różnych podróżników, rozmawiał z nimi na temat wrażeń z wojaży zagranicznych i po Polsce. Efektem tych zainteresowań jest prezentowany tu *Przewodnik dla podróżujących po Polsce i Rzeczypospolitej Krakowskiej*... uznany za pierwszy przewodnik turystyczny po ziemiach polskich. Został wydany najpierw w języku francuskim w 1820 r., następnie w języku polskim w 1821 r. i po rosyjsku w 1822 r.

We wstępie do *Przewodnika* autor ubolewa nad tym, że: „Polska między wszystkimi krajami Europy tak mało obudza ciekawości w cudzoziemcach ku poznaniu jej we względzie jeograficznych wiadomości, iż w wydawanych tego rodzaju opisanach prawie za opuszczoną i zapomnianą uważać ją można”. Narzeka, że informacje pojawiające się w relacjach cudzoziemców z ich pobytu w Polsce są bardzo powierzchowne, nierzetelne, a nawet zdarzają się złośliwe i świadczą o nieznajomości polskich pięknych, pełnych zabytków miast oraz pałaców, ogrodów i dworów poza miastami. Dlatego postanowił, wzorując się na innych krajach, stworzyć przewodnik pokazujący najatrakcyjniejsze



Przewodnik J. W. Krasińskiego

miejsowości i ich zabytki oraz podać pożyteczne w podróżach informacje.

J. Krasiński rozpoczął swój *Przewodnik* dokładnym opisem Wolnego Miasta Krakowa informując, że według spisu z 1819 r. miasto liczy 24.870 mieszkańców. Następnie scharakteryzował położenie miasta, wymieniał ważniejsze budynki nowe i zabytkowe oraz kościoły, domy gościnne i zajezdne. Omówił ważniejsze ulice, instytucje „użyteczne” i naukowe. Zamieścił też rozdział „Spacery i okolice”, zaczynając od Ogrodu Botanicznego, a kończąc na Ojcowie. Nie pominął informacji o ważniejszych fabrykach i rękodzielniach w Krakowie. Podał również nazwiska uczciwych bankierów i kupców. Dbając o rozrywki podróżnych, zamieścił adresy – teatru oraz lokali, w których można potańczyć.

Po prezentacji Krakowa, jako miasta bardzo atrakcyjnego, wymieniał 15 traktów (ważniejszych dróg) prowadzących przez Królestwo Polskie wraz z odległościami między miejscowościami posiadającymi placówki pocztowe, które organizowały przewóz podróżnych pojazdami konnymi (powozami, karetami, dyliżansami itp.). Odległości są podane w milach (1 mila = 8.534,31 m.)

Trakty i drogi prezentowane w *Przewodniku*:

Droga do Warszawy [z Krakowa] – 45 mil

Tu następuje dokładny opis Warszawy.

Droga z Warszawy do Kalisza – 31,1/4 mil

- Droga z Warszawy do Poznania – 18,3/4 mil
 Trakt z Warszawy do Wrocławia – 52 mile
 Trakt z Piotrkowa do Częstochowy – 13 mil
 Trakt z Częstochowy do Krakowa – 18 mil
 Trakt z Warszawy do Płocka – 16, 3/4 mil
 Trakt z Warszawy do Torunia – 29, 1/2 mil
 Trakt z Warszawy do Brześcia Litewskiego (z możliwością połączenia do Petersburga) – 30 mil
 10. Trakt z Warszawy do Kowna (z możliwością połączenia do Petersburga) – 60,1/2 mil
 11. Trakt z Warszawy do Lublina – 24,1/2 mile
 12. Trakt z Lublina do Krakowa – 38 mil
 13. Trakt do Kielc ze Stopnicy – 7 mil
 14. Trakt z Warszawy do Zamościa – 50,1/2 mil
 15. Trakt z Warszawy do Dubna (w Rosji) – 61,1/4 mil.

Nazwy – droga i trakt świadczyły o stopniu ich utwardzenia, na niekorzyść drogi.

Dla nas interesujący jest opis połączeń częściowo przebiegających przez Ziemię Świętokrzyską: „Droga z Krakowa do Warszawy”, „Trakt z Lublina do Krakowa” oraz w całości „Trakt ze Stopnicy do Kielc”.

Autor informuje, że są dwie drogi prowadzące z Krakowa do Warszawy: „Pierwsza, najkrótsza i najwięcej przez podróżnych używana jest na Końskie i Nowe Miasto, druga o 15 mil dalsza, na Lublin i Puławę, która przez piękny, ludniejszy, żyzniejszy i bogaty tak w płody ziemi, jako też piękną naturę [prowadzi teren]”.

Pierwsza droga z Krakowa do Warszawy, z odległościami między

placówkami pocztowymi:

- Iwanowice – 3 mile
- Gotcza – 2,1/2
- Żarnowiec – 2,1/2
- Sieńsko – 3
- Oksza (Oksa) – 2
- Małogoszcz – 2
- Łopuszno – 3
- Radoszyce – 3
- Końskie – 3
- Opoczno – 3
- Drzewica – 3
- Nowe Miasto – 3
- Mogielnica – 2
- Stara Wieś – 2
- Tarczyn – 3
- Raszyn – 3
- Warszawa – 2

Ogółem mil – 45

Łatwo można zauważyć, że trasa z Krakowa do Warszawy omijała Kielce, ponieważ nie było wówczas połączenia drogowego Kielc z Warszawą. Dopiero w 1834 r. uruchomiono trakt z Krakowa do Warszawy przez Kielce. Trzeba tu dodać, że we wszystkich wymienionych miejscowościach, z wyjątkiem Oksy, działały placówki pocztowe, w których zmieniano konie i robiono planowane przerwy w podróży. W Oksie pocztę otwarto dwa lata po ukazaniu się *Przewodnika*, w 1823 r. a wcześniej była stacja przepręgowa koni. Odległości pomiędzy miejscowościami z placówkami pocztowymi wynosiły średnio 2-3 mile. Niektóre miejscowości z drogi Kraków – Warszawa, leżące na Ziemi Świętokrzyskiej, zostały pokrótce opisane przez J. Kasińskiego:

Żarnowiec – „małe miasteczko, ma dość wygodny dom zajezdny, ruiny zamku, w którym mieszkała żona Kazimierza Wielkiego, gdy się z mężem rozłączyła, spoglądać się dają”.

Małogoszcz – „miasteczko, ma dwa wygodne zajezdne domy na rynku; ruiny kilku kościołów i domów opodal miasta, świadczą o jego dawnej wielkości”.

Końskie – „miasto dość duże, wiele murowanych mające domów i kościół gotyckiej budowy. Fabryki tutejsze żelaza, broni, pojazdów i bryczek stawne są w całej Polsce, prowadzi handel znaczny; tutaj podróżny może się zaopatrzyć we wszelkie do dalszej podróży produkty i sprawunki. Dwa są wygodne zajezdne domy, jeden murowany na rynku, a drugi na Warszawskim Przedmieściu, naprzeciwko żydowskiej bóżnicy”.

Trakt z Lublina do Krakowa również częściowo prowadził przez region świętokrzyski. Wymienione są placówki pocztowe i odległości między nimi:

- Betzyce – 3 mile
- Urzędów – 2
- Rachów – 3
- Ożarów – 2
- Opatów – 3
- Iwaniska – 2
- Staszów – 3
- Stopnica – 3,1/2



- Nowe Miasto Korczyn – 3,1/2
- Koszyce – 3,1/2
- Brzysk – 2
- Przecławice – 2,1/2
- Iwanowice – 2,1/2
- Kraków – 3

Ogółem: 38 mil

Tu także są informacje o kilku miejscowościach w naszym regionie, chociaż bardzo lakoniczne:

Opatów – „spore miasteczko, całe prawie drewniane, w nim Żydzi i Węgrzyni, których tu wiele się znajduje, znaczny handel wina prowadzą. Kościół kolegialny jest jeden z bardzo starodawnych w Polsce kościołów. W rynku dobra oberża”.

Iwaniska – „miasteczko mało znakomite, z dobrą oberżą”.

Staszów – „piękne miasteczko murowane i utrzymane porządnie. Jest w nim Kościół Luterski dla części miejscowych i w okolicy będących wyznania tego mieszkańców. Dwie dobre w rynku oberże, huta żelazna i hamernia do wyrabiania miedzi, na przedmieściu”.

Stopnica [Stopnica] – „miasteczko, w którym się rozdziela Trakt pocztowy dla udania się do Kielc”.

Trakt do Kielc ze Stopnicy, z placówkami pocztowymi:

- Chmielnik – 3 mile
- Kielce – 4

Ogółem 7 mil”

O Chmielniku autor nie napisał ani jednego zdania. Natomiast opis Kielc świadczy o tym, że J. Kasiński nie dbał o rzetelność podawanych informacji. Może wystąpiły też błędy drukarskie, jednak niektóre pomyłki są rażące.

Kielce – „miasto stoleczne województwa krakowskiego, które podług ostatniego obrachunku, liczy oprócz górników i Garnizonu 5.000 mieszkańców. Fundowane było w roku 1773 [!] przez biskupa



Dyliżanse podróżne z XIX w.

krakowskiego Gedeona, leży w miejscu urozmaiconym wielu odmianami, lecz będąc otoczone górami wysokimi, nie może mieć korzystnego widoku.

Kościoty i budowy znakomitsze

Kościół Kollegialny jeden z bardzo dawnych, jest trwale z kamienia ciosowego fundowany i blachą żelazną pokryty.

Kościoty – Świętego Michała [?] i Świętego Ducha [?].

Pałac biskupi w piętnastym wieku [!] fundowany dotąd jest bardzo dobrze zachowany i godny widzenia.

Szpital wielki Świętego Leonarda, fundowany przez biskupów krakowskich w tym samym prawie czasie, co i pałac, odebrał za naszych czasów inne przeznaczenie; mieści się w nim teraz Trybunał Pierwszej Instancji i różne administracyjne województwa władze. Rynek dosyć obszerny, otoczony jest pięknymi budowlami, pomiędzy którymi celuje Seminarium. [?]

Rękodzielnie i użyteczne Instytutu

Szkoły centralne wojewódzkie, których urządzenie jest bardzo dokładne, uczęszczane są przez znaczną dzieci obywatelskich liczbę. Akademia Górnicza Królewska, pod przewodem i zarządzeniem znakomitych i uczonych rodaków oraz najdoskonalszych z zagranicy sprowadzonych nauczycieli. Znajdujący się przy tym Instytucie górnicy mają całkiem wojskową organizację i są ciągle zajęci wydobywaniem kruszców różnych, jako to: srebra, miedzi, cynku, ołowiu oraz węgla kamiennych i wielu innych produktów, w które hojnie obfitują bogate miejsc tutejszych góry. Oczyszczanie i wyrabianie tych rozmaitych metali odbywa się w hutach, walcowniach, kuźnicach i różnych pięknych fabrykach znajdujących się w Suchedniowie, Białogonie i wielu innych, pobliskich miejscach. Mieści się w nich znaczna liczba artystów i rzemieślników, a ich pomyślność nie przestaje ciągle wzrastać przy pomocy i za pośrednictwem opiekuńczego Rządu, przez które fundowane i zaprowadzone zostały.

Oberże i zabawy

Kilka jest oberżów, a pomiędzy temi najlepsza w rynku, Wójtostwo nazwana; w niej się odbywają reduty, bale i kasyna, Teatr Narodowy, w którym bywają dawane widowiska przez pewną część roku".

Na tym kończy się opis miejscowości leżących w regionie świętokrzyskim, na traktach wymienionych w *Przewodniku*. W porównaniu ze współczesnymi przewodnikami i obecną wiedzą, informacje w nim podane są niezwykle lakoniczne i często błędne, a także pomijające istotne sprawy. Na usprawiedliwienie autora można powiedzieć, że początki są zawsze trudne, wszak to pierwszy przewodnik po Polsce.

Zgodnie z tytułem, *Przewodnik* zawiera dużo informacji praktycznych dla podróżnych. Zwłaszcza przydatne są informacje o działalności placówek pocztowych w Królestwie Polskim. Na stronie 90, pod hasłem „POCZTY”, autor pisze: „Urządzenie najdogodniejsze poczt w Królestwie Polskim do takiej teraz doprowadzone jest doskonałości, iż w tym względzie nic więcej żądać już nie można. Ludzie dobrani i użyty na pocztylionów są zręczni, trzeźwi, przezorni i wierni. Konie po większej części ukraińskie i ruskie, miernej wielkości, lecz mocne, wytrwałe i skore bywają. Podróżujący będąc spieszenie na stacjach ekspediowani i również z jednej na drugą przewożonymi, nie doznają żadnej zgoła zwłoki [...]”.

Dyliżanse przebiegające regularnie wszystkie znacznie większe trakty w Królestwie, sporządzone niedawno zostały na wzór francuskich. Są to wielkie bardzo karety, o ośmiu mocnych resorach, z dobrymi portierami [zastonami], safianem wybite, mające wygodne wewnątrz siedzenia dla pasażerów, których do dwunastu mieścić mogą. Idą ciągle we dnie i w nocy, w miastach zaś większych, szczególnie w tych gdzie są dyrekcje poczt, zatrzymują się po kilka godzin. [...] Na każdej Stacji [pocztowej] znajduje się księga sznurowa, numerami i pieczęcią przez Dyрекcję Generalną oznaczona, której każdy podróżujący, co – by w jakimkolwiek bądź względzie czuł się obrażonym, albo jaką sobie miał wyrządzoną niesłuszność, ma prawo zażądać dla wpisania w niej swojego zażalenia, które spieszny ściga na siebie Sąd i słuszne ukaranie”.

Do ważnych informacji należały ceny za przewóz osób przez placówki pocztowe, różnymi rodzajami pojazdów konnych. Autor *Przewodnika* zamieścił je w rozdziale „Taxi i urządzenia pocztowe”.

Osoby dysponujące własnym powozem, mogły na pocztę wynająć konie, które były wymieniane na kolejnych stacjach. Taki rodzaj usług nazywano extra-pocztą. Za każdego konia opłata wówczas wynosiła złotych polskich 2 za jedną milę. Przy jeździe kurierskiej (przyspieszonej) od jednego konia za milę płacono 3 zł. pol. Każdemu pocztylionowi należało ponadto zapłacić za każdą milę 24 grosze – tzw. trinkgeld, czyli napiwek.

Osoba jadąca dyliżansem, bez bagażu, płaciła za 1 milę 1 zł. pol. Gdy jej bagaż ważył do 50 funtów, płaciła 1 zł.15 gr. Jazda sztafetą kosztowała za 1 milę 2 zł.15 gr. Za jazdę bryczką płacono 1 zł. do pierwszej stacji, dalej tylko 15 gr. za całą odległość od jednej stacji do drugiej (nie za milę). Za nasmarowanie pojazdu płacono 15 gr., tylko w Warszawie 1 zł. pol.

Unormowana była również sprawa ilości koni zaprzęganych do pojazdu, co miało wpływ na opłatę, zwłaszcza przy jeździe extra-pocztą.

- Do bryczki pocztowej, lub podobnej, w której jedzie jedna lub dwie osoby, powinno się zaprzęgać dwa konie, przy trzech osobach, trzy konie.

- Do bryczki krytej, z jedną lub dwiema osobami, zaprzęga się trzy konie, przy trzech osobach cztery konie.

- Do kolaski lub kocza półkrytego, na czterech resorach, z dwiema lub trzema osobami, zaprzęga się cztery konie, z czterema osobami, pięć koni.

- Do karety podwójnej z dwiema lub trzema osobami, zaprzęga się 4 konie, dla czterech osób, pięć koni.

- Do karet berlińskich, landarów i wszelkich karet poczwórnych, gdy jadą dwie, trzy lub cztery osoby, zaprzęga się sześć koni.

Stosowano zasadę – im więcej pasażerów, tym więcej koni. Trzeba jednak dodać, że także warunki drogowe mogły powodować, iż należało zastosować tzw. przyprząg dodatkowego konia, lub koni, lecz tylko na trudnym odcinku, np. w przypadku dużych śniegów, błota, lub jazdy pod górę. Powiększało to koszt podróży i czasem powodowało niezadowolnienie klientów, ale musieli dostosować się do regulaminu poczty.

Wszystkie zasady dotyczące podróży pojazdami pocztowymi były określone szczegółowymi przepisami, wyłożonymi na stacjach pocztowych do wglądu podróżnych.

Na dalszych stronach *Przewodnika* Krasieński charakteryzuje ogólnie drogi w Królestwie Polskim, zwracając uwagę na dogodne połączenia z Rosją, które przyczyniają się do rozwoju handlu międzynarodowego. Kilka zdań poświęca lasom, pisząc, iż obecny Rząd zapobiegł wyrębom drzew prowadzonym bez żadnego planu i uporządkował ekonomikę gospodarki leśnej.

Dalej podaje ogólną charakterystykę polskich wsi i miast, włościan i mieszczan oraz Żydów, do których ma ambiwalentny stosunek.

Przewodnik kończy się rozdziałem zat. „Dzieła rozmaite, tyżące się Polski, w których znaleźć można wszelkie względem niej interesujące objaśnienia”. Wymienia przykładowo autorów: Kromer, Kadłubek, Długosz, Starowolski, Bielski, Kochanowski, Strzykowski, Wyrwicz, Jan Potocki, Albertrandi, Waga, Naruszewicz, Czacki i in. Następnie podaje konkretne tytuły książek, z podziałem na zagadnienia: „Geografia i podróże” i „Co do języka Polskiego”.

Uzupełnieniem całości są informacje: „Moneta polska”, „Tabela wykazująca porównanie wag i miar polskich z wagami i miarami Austrii oraz francuskimi”, „Wagi użyte do handlu w Polsce”, „Wymienienie znakomitszych domów w Warszawie”. Po spisie treści są dwa załączniki: mapka Królestwa Polskiego i plan ogólny Warszawy.

Dwadzieścia trzy lata później, w 1844 r. ukazał się *Poradnik pocztowy dla podróżujących expapocztą,*

kurierem, pocztami wozowymi, osobowo-listowymi (karetami), tudzież wysyłających sztafety, jak równie płacących koszty stąd wynikające, przedstawiający po szczególe: odległości jednych stacji pocztowych od drugich, wysokość opłat, dzień i godziny, w jakich i na której stacji Poczty Osobowo-Listowe przychodzą i odchodzą, na koniec urządzenia pocztowe, czyli sposób w jakim każda z poczt wyżej wymienionych, może być zamówioną i użytą, z dołączeniem mapy komunikacji w Królestwie Polskim, wykazu odległości komór celnych od najbliższych stacji pocztowych, oraz treściwego zebrania potrzebniejszych z powyższych wiadomości, w języku niemieckim i francuskim, przez Ignacego Rzepeckiego, Warszawa: W Drukarni Stanisława Strąbskiego, 1844, 113 s., mapa. 1

Autor *Poradnika* – Ignacy Rzepecki był pisarzem, następnie sekretarzem urzędu pocztowego w Kielcach w latach 1818-1835, a w l. 1835-1844 pełnił funkcję rachmistrza w Sekcji Poborów Dyrekcji Głównej Pocht w Warszawie. Być może był to awans za pracę nad *Poradnikiem*.

Można w nim znaleźć wszystkie informacje wymienione w jego długim tytule. Ciekawe jest zestawienie rodzajów poczt, w znaczeniu rodzaju usług, pełnionych w tygodniu na odcinkach dróg, także przebiegających przez region świętokrzyski:

- Z Lublina do Michałowic, przez Stopnicę (droga nr 105, zwyczajna): 1 poczta wozowa (bryka kryta), 1 konna do Opatowa, a stamtąd przez Stopnicę do Michałowic 1 wózkowa, 1 konna.

- Z Radomia do Opatowa (droga nr 52, zwyczajna): 1 poczta wózkowa, 1 konna.

- Z Kielc do Częstochowy (droga nr 55 zwyczajna): 1 wózkowa, 1 konna.

- Z Kielc do Stopnicy (droga nr 56 zwyczajna): 2 wózkowe.

- Z Chmielnika do Pińczowa (droga nr 57 zwyczajna): 2 wózkowe

- Z Chmielnika do Buska (droga nr 58 zwyczajna): 2 wózkowe.

- Z Chmielnika do Szydłowa (droga nr 59 zwyczajna): 2 wózkowe.

- Z Kielc do Opatowa (droga nr 60 zwyczajna): 1 wozowa (bryka kryta), 1 konna

- Z Jędrzejowa do Pińczowa (droga nr 61 zwyczajna): 1 wózkowa.

- Z Jędrzejowa do Dąbrowy (droga nr 62 zwyczajna): sztafety.

- Z Buska do Stopnicy (droga nr 109 zwyczajna): 2 wózkowe.

- Z Miechowa do Skalmierza (droga nr 63 zwyczajna): 1 wózkowa, 1 konna.

- Z Częstochowy do Kielc (droga nr 55 zwyczajna): 1 wózkowa, 1 konna.

¹ Pisownię tytułu uaktualniono.



Wozy pocztowe z poł. XIX w. Wł. Muzeum Poczty Polskiej we Wrocławiu

- Z Opatowa do Zawichostu (droga nr 107 zwyczajna): 1 wózkowa, 1 konna.
 - Z Opatowa do Sandomierza (droga nr 108 zwyczajna): 1 wózkowa, 1 konna.
 - Ze Stopnicy do Kielc (droga nr 56 zwyczajna): 2 wózkowe do Buska, a stamtąd sztafety.
 - Ze Stopnicy do Buska (droga nr 109 zwyczajna): 2 wózkowe.
 - Trakt z Warszawy do Krakowa (droga nr 47 bita tj. utwardzona) m. in. przez Suchedniów, Kielce, Podzamcze Chęcińskie, Jędrzejów, Wodzisław: 2 wozowe (furgony), 6 osobowo-listowych (powozy).
- Autor podaje również szybkość, z jaką poruszały się pojazdy pocztowe.

W ciągu 1 godziny: przy jeździe extra-pocztowej, na drodze bitej przemierzano 10 wiorst, na drodze zwyczajnej 8 wiorst. (wiorsta = 1066,78 m.)

Przy jeździe kurierskiej, na drodze bitej 15 wiorst, na drodze zwyczajnej 12 wiorst. Podróżny nie miał prawa żądać szybszej jazdy, by nie zmęczyć nadto koni. Ale za rażące opóźnienia, pocztylion płacił karę, gdy wynikały z jego winy. Możemy też dowiedzieć się, ile koni trzymano

w 1844 r. na poszczególnych stacjach w naszym regionie. Największą liczbę koni posiadała poczta w Kielcach – 16; po 15 koni trzymały poczty w Suchedniowie i Podzamczu Chęcińskim; po 14 koni było w Jędrzejowie i Wodzisławiu; w Stopnicy 9; po 8 koni trzymano w: Daleszycach, Opatowie, Iwaniskach, Ożarowie i Nowym Korczynie. Pozostałe placówki posiadały po 4 konie. Liczba koni świadczy o stopniu intensywności ówczesnego ruchu pasażerskiego na poszczególnych drogach i traktach. Opłaty za usługi pocztowe uiszczano wówczas w rublach rosyjskich i kopiejkach, a już nie w polskich złotych.

Na podstawie rozdziału „Wykaz przychodu i odchodu karet kurierskich” można prześledzić drogę i czas jazdy karety z Warszawy do Krakowa, która kursowała w 1844 r. każdego dnia prócz poniedziałku, przez: Sękocin, Tarczyn, Grójec, Białobrzegi, Jedlińsk, Radom, Oronsko, Szydłowiec, Suchedniów, Kielce, Podzamcze, Jędrzejów, Wodzisław, Miechów, Michałowice.

Z Warszawy wyjeżdżała o godz. 10,30 do Radomia przybywała o godz. 7,34 wieczorem, po przerwie odjeżdżała o godz. 8,49 wieczorem. W Kielcach była o godz. 3,22 rano następnego dnia, po odpoczynku wyruszała o godz. 4,37 do Krakowa, w którym była o godz. 6,15 po południu. Dłuższe odpoczynki organizowano w: Radomiu 1godz.15 min., w Kielcach 1 godz.15 min., w Miechowie 35 min. Na pozostałych stacjach przerwy trwały tylko 5 min.

Ciekawe informacje o funkcjonowaniu placówek pocztowych w Królestwie Polskim zawiera książka Tomasa Sumy: *Urzędnicy pocztowi w Królestwie Polskim 1815–1871. Słownik biograficzny*, Warszawa: Wydawnictwo DiG, 2005. Oprócz biogramów urzędników zawiera rys historyczny rozwoju poczty oraz bardzo cenne aneksy. Z nich dowiadujemy się m. in., że przed 1815r. na Ziemi Świętokrzyskiej były już poczty w: Daleszycach, Iwaniskach, Kielcach, Koniecpolu, Końskich, Łopusznie, Małogoszczu, Nowym Korczynie, Opatowie, Radoszycach, Sandomierzu, Sieńsku, Skalbierzu.

W 1815 r. otwarto poczty w miejscowościach: Mniów, Ostrowiec, Staszów, Stopnica, Szydłów.

Po 1815 r. uruchomiono nowe placówki w: Brodach (1856 r.), Busku-Zdroju (1829), Chęcinach (1819), Chmielniku (1818), Działoszycach (1859), Jaronowicach (1847), Jędrzejowie (1816), Kamiennej Woli (1833), Klimontowie (1862), Koniecznie (1826), Kunowie (1829), Łagowie (1817), Michałowicach (1831), Nagłowicach (1828), Oksie (1823), Pińczowie (1821), Podzamczu Chęcińskim (1839), Rudzie Malenieckiej (1860), Suchedniowie (1824), Wąchocku (1828), Włoszczowie (1827), Wodzisławiu (1835), Zawichoście (1822).

Tomasz Suma podaje klasyfikację działających w Królestwie Polskim placówek pocztowych: urząd

pograniczny, urząd pośredni, urząd powiatowy (z czasem dzielony na powiatowy I i II klasy), urząd centralny, urząd gubernialny, ekspedycja, stacja przepręgowa. W Warszawie działał Główny Urząd Pocztowy Nadworny. Ranga i nazwa niektórych placówek pocztowych ulegała czasem zmianie, np. w Kielcach do 1851 r. poczta była placówką centralną, od 1851 r. pośrednią, od 1863 r. gubernialną. A np. w Małogoszczu była niezmiennie pocztą ekspedycyjną. Większość placówek pocztowych podlegała urzędowi pocztowemu zwierzchniemu. Kielcom podlegało 31 placówek w latach 1815–1871, jednak występowały zmiany w przydzielaniu zwierzchności.

W pracy T. Sumy można też sprawdzić, ilu i jakich urzędników zatrudniały poszczególne placówki pocztowe, z podziałem na funkcje: naczelnicy, zastępcy naczelników, sekretarze, pisarze, ekspedytorzy. Np. w Kielcach, w okresie 1815–1871 były zatrudnione 32 osoby, w tym: naczelników pięciu, zastępców naczelnika dwóch, sekretarzy trzynastu, pisarzy szesnastu. W tym samym czasie w Małogoszczu w placówce ekspedycyjnej pracowało 7 osób, w tym pisarzy czterech, ekspedytorów trzech. A urząd zwierzchni dla Małogoszcza w latach 1815–1816 mieścił się w Krakowie, w l. 1817–1825 w Iwanowicach, w l. 1826–1831 w Wilczkowicach, w l. 1831–1834 w Michałowicach, od 1835 r. w Kielcach.

Placówki pocztowe musiały zatrudniać odpowiednią liczbę pocztylionów, dostosowaną do ilości pojazdów, którymi dysponowały. Pocztylionem mógł zostać mężczyzna, który ukończył 18 lat, posiadał umiejętność powożenia końmi, był uczciwy i bez nałogów. Każdy pocztylion był wyposażony w odpowiedni mundur oraz trąbkę pocztową, którą dawał sygnał do odjazdu pojazdu pocztowego. Podczas jazdy odstraszał trąbką zwierzęta, informował o zbliżaniu się pojazdu do kolejnej stacji pocztowej, a także dawał znak innym pojazdom, by ustąpiły miejsca na drodze, ponieważ poczta miała pierwszeństwo przejazdu. Cenną zaletą pocztyliona była umiejętność wygrywania melodii na trąbce, czym uprzyjemniał pasażerom czas podróży.

Ciekawostki:

Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu posiada w swoich bogatych zbiorach „Książkę zażaleń” z lat 1861–1892 Stacji Pocztowej w Łącku. Jest w niej ciekawy wpis pasażera: *W przejeździe ze Szczawnicy do Starego Sącza doznawałem ustawicznego kłopotu z powodu złego stanu karety nr 126 i drzwi wcale się nie zamykają, wskutek czego zmuszony byłem w ciągu 5 godzin podróży ręką trzymać drzwi, siedzenia też tak były podarte i ohydnie brudne, że wyrzekam się raz na zawsze odbywać podróż pocztą.*

Łącko, 23 lipca 1892 r.

Jako drugą ciekawostkę dodam, że Aleksander Fredro napisał komedię pt *Dyliżans, w czterech aktach, prozą*, której akcja rozpoczyna się w Płocku „przed ekspedyturą dyliżansów i oberżą razem”, o czym czytamy w didaskaliach. Przed budynkiem stoi dyliżans przygotowywany do odjazdu, do Torunia. Obsługa trudzi się z umieszczeniem na dachu licznych i dużych bagaży podróżnych, których ilość denerwuje pocztyliona. Kolejny kłopot sprawia fakt, że większość pasażerów posiada nadmierną tuszę, ponadto jedna z pań wiezie w koszyku kota oraz sakwę z drutami i wełną, a gruby Maciuś kieszenie swojej marynarki wypchał ciastkami, przez co zajmuje więcej miejsca, niż powinien. Doktor Fulgencjusz, jeden z pasażerów, denerwuje się i mówi: „Jak pomieścimy się, ja pytam się, moi państwo? [...] Czyliż, pytam się ja, wszyscy chudzi na cholerę tu wymarli? ”

Ciekawostka trzecia: pani George Sand w książce *Zima na Majorce*, w której opisuje swój pobyt z F. Chopinem i dziećmi na tej uroczej wyspie w 1838 r., tak przedstawia tamtejsze pojazdy konne: „Pojazdem najczęściej tu używanym jest *la tartana*, coś w rodzaju omnibusa ciągniętego przez konia albo muła, pozbawionego najmniejszego choćby resoru. Jest też birlucho, coś w rodzaju czteroosobowego kabrioletu, opartego na dyszlach jak tartana, podobnie jak ona wyposażona w solidne koła, a wewnątrz w pled z wypchanej wełną włosienicy. Woźnica powożący birlucho siada na desce kozła, która mu służy za siedzenie, nogi rozwarte, oparte na dyszlach, mając między nimi koński zad, tak że nie tylko czuje wszelkie wahanienia swojej karety, ale też wszelkie ruchy swojego zwierzęcia, siedząc jakby i na wozie i na koniu zarazem. Nie wydaje się wcale zniechęcony tym sposobem podróży, bo śpiewa cały czas, mimo nawet najbardziej dotkliwych podskoków. Przerywa tylko wówczas, kiedy wyrzeka z flegmatyczną miną straszne przekleństwa, gdy jego koń waha się, pomiędzy rzuceniem się w jakąś przepaść, a wspinaczką na jakąś skalną ścianę. Bo tak właśnie wygląda majorkańska przejażdżka: wąwozy, strumienie, obsuwiska, dziury, rowy [...] nikt tutaj nie zatrzymuje się z tak błahych powodów. Wszystko to zresztą nazywa się drogą. [...] ”

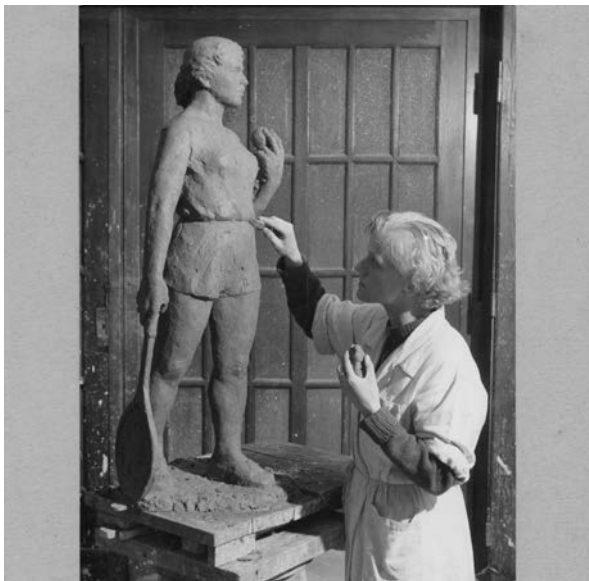
Mimo narzekań niektórych podróżujących oraz prześmiewczych tekstów w literaturze, pojazdy konne spełniały przez długi czas bardzo pożyteczną rolę, zanim pojawiły się pociągi, samochody i samoloty, dzięki którym jeździmy coraz szybciej i dalej, lecz straciliśmy cierpliwość, cechującą dawnych podróżnych.

Danuta Hanna Sobczak-Michałowska

Od natury do poetyckiej syntezy

Dr Anna Myślińska

W 1955 roku Danuta Sobczak ukończyła kierunek rzeźby na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, pod kierunkiem prof. Tadeusza Godziszewskiego. Rzeźbą dyplomową była *Tenisistka*, wykonana w glinie, w realistycznym kanonie oficjalnej sztuki lat 50. XX wieku.



Danuta Sobczak w czasie pracy nad rzeźbą dyplomową. *Tenisistka*, gips, Toruń, 1955. Fot. Olgierd Gałdyński, wł. prywatna

Drugą pracą dyplomową była płaskorzeźba upamiętniająca 10. lecie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, na której widniała postać astronoma z astrolabium w dłoniach i okolicznościowy napis. W okresie studiów Sobczak tworzyła przede wszystkim pełnowymiarowe akty oraz realistyczne studia głów i popiersi, np. *Popiersie Andrzeja Michałowskiego* (1953). Zazwyczaj nie datowała swoich prac.

W latach 1954–1961 prowadziła na toruńskim UMK wykłady z podstawy rzeźby. W końcu lat 50. stworzyła rzeźbę *Dziewczyna*, docenioną przez profesorów Królewskiej Akademii w Kopenhadze, którzy odwiedzali uczelnię w Toruniu. Rzeźba została przekazana w darze do zbiorów Akademii, gdzie znajduje się do dziś.

Już na początku drogi twórczej artystka wytyczyła główny obszar swoich zainteresowań, do którego należał człowiek i jego emocje. Wychodząc od natury i w naturze szukając inspiracji, kierowała się w procesie twórczym ku syntezie i uproszczeniu form. W silnie oddziałujących, zwartych bryłach, połączonych

z surowymi, naturalnymi fakturami, wyrażała uczucia liryki, zadumy, erotyki i smutku.

Z wczesnego okresu pochodzą m.in. rzeźby *Chłopiec i dziewczyna*, *Erotyk*, w którym krytyka artystyczna dostrzegła „wrażliwość i indywidualizm myślenia plastycznego”, *Stojąca*, *Dziewczyna z gitarą*, *Rzeźba I* (odlana później w brązie jako *Ona*), *Dziad I*, *Dziad II* oraz silnie uproszczone, niemal organiczne maski.



Erotyk, gips patynowany, 1958. Fot. Jan Siudowski, wł. prywatna



Rzeźba, 1958. Fot. J. Siudowski, wł. prywatna

Pracowała w różnych materiałach: gipsie, glinie, terakocie i granicie. Pewnym odniesieniem dla jej prac mogły być monumentalne, syntetyczne rzeźby Anglika Henry Moore'a. Chociaż w pracach artystki można odnaleźć podobne odczucie bryły, to nigdy nie osiągnęła skali rzeźb angielskiego artysty. Wiązało się to z brakiem własnej pracowni z prawdziwego zdarzenia i koniecznością tworzenia rzeźby kameralnej.



Martwa natura, akwarela, tusz, papier. Fot. Antoni Myśliwiec, wł. prywatna

W latach 1956–1958 powstawały, niejako na marginesie twórczości rzeźbiarskiej, szkice w technice

akwareli, o formie malarskiego „kalendarza”. Niewielkie pejzaże, portrety i martwe natury dokumentują eksperymenty artystki z nowoczesną formą. Można w nich odczuć dalekie echa fowizmu, kubizmu, konstrukttywizmu... Dynamiczne, lekkie, zapisane śmiałymi duktami linii i w ostrych zestrojach barw, odzwierciedlały wrażliwość, witalność i radość tworzenia.



Jazz, 1958. Akwarela, papier. Fot. Antoni Myśliwiec, wł. pryw.



Pracownia artystki w Toruniu. Koniec lat 50. Fot. O. Gałdyński, wł. pryw.

Od 1956 roku, jako członek ZPAP, Sobczak eksponowała swoje prace na wystawach okręgowych w Toruniu i Bydgoszczy oraz na wystawach ogólnopolskich w Warszawie i Radomiu. Była członkiem Grupy Toruńskiej, z którą również wystawiała swoje prace, m.in. w Warszawie i Krakowie. W 1959 i 1961 r. odbyły się indywidualne wystawy jej rzeźb w Toruniu. W 1958 r. brała udział w konkursie na projekt monety 2 złotowej. Na awersie uformowała zarys granic Polski ujęty w promienistą aureolę, nawiązując w ten sposób do stylistyki monet z kresu międzywojennego.

Po zawarciu związku małżeńskiego z Andrzejem Michałowskim – zabytkoznawcą i konserwatorem – artystka opuściła Toruń i zamieszkała w Kielcach. W latach 1962–1971 pracowała w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, gdzie stworzyła pracownię ceramiki i rzeźby. W tym okresie jej prace prezentowane były na wystawach w Radomiu, Kielcach i Krakowie. Na przelocie lat 1962/1963 otwarta została indywidualna wystawa jej rzeźb w Radomiu. Danuta Sobczak-Michałowska należała do Grupy N, artystów plastyków – nauczycieli Państwowego Liceum Plastycznego (malarstwo i rzeźba), z którymi również wystawiała swoje prace.



Matka Ziemia, 1975. Terakota. Fot. A. Myśliwiec, wł. pryw.

Od początku swojej działalności tworzyła projekty rzeźb plenerowych, np. *Rzeźba plenerowa* (1959), z których część doczekała się realizacji. W 1968 roku zakupiono projekt jej pomnika Upamiętnienie miejsca straceń w Nietulisku. Efektem pleneru „Kielce’75” w Orońsku był dwumetrowej wysokości pomnik Matka Ziemia, wypalony w terakocie w „Marywilu” i ustawiony w parku miejskim w Kielcach. Silna, dynamiczna postać Gai – Ziemi potężzona została z koroną potężnego drzewa, wyobrażając źródło mocy i ostoję człowieka.

W niewielkich plaketach ceramicznych, kaflach, głowach i rzeźbach, często pokrywanych kolorowymi polewami, rozwijała wyniesioną ze sztuki ludowej fantazję widzenia plastycznego. Ten rodzaj narracji ujawniała również w wybranych rzeźbach, jak choćby Dziewczyna i kwiat, Zamyślona pasterka, Drzewo, Balbina.



Balbina, 1974. Ceramika polewana. Fot. J. Siudowski, wł. pryw.

Choroba (otowica) oraz brak własnej pracowni rzeźbiarskiej w Kielcach zmusiły artystkę do poszukiwań mniej wysiłkowej dziedziny twórczości. Zajęła się malarstwem, choć niekiedy wracała jeszcze



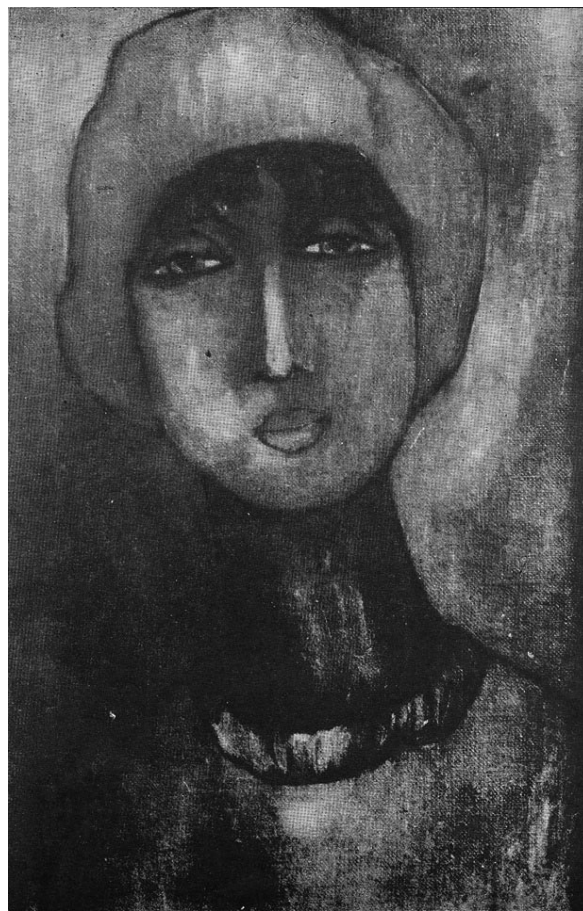
Artystka przy pracy w swoim mieszkaniu w Kielcach, 1974 (?). Fot. J. Siudowski. W tle rzeźba Chłopiec i dziewczyna, 1958. Gips patynowany

do rzeźby i ceramiki.

W technice malarskiej tworzyła hieratyczne, nastrojowe portrety, bujne, na pół fantastyczne wizje

przyrody, rzadziej martwej natury i sceny rodzajowej inspirowane malarstwem holenderskim z XVII. wieku. Każdy obraz poddany był dyscyplinie linii, określających wydobyte w ten sposób kształty i plamy barw. Można było odczuć „rzeźbiarskie” widzenie tematu i wyraźną stylizację form. Idea bryły organizowała artystyczną wypowiedź, komponowała elementy i decydowała o liniach je spajających, rozstrzygała o barwie, zmuszała do prostoty i oszczędności w wyrazie.

Portrety przepaja liryka i smutek. Modelki, głównie kobiety, o nadnaturalnie długich, potężnych szyjach i wyolbrzymionych, patrzących ze smutkiem oczach, najsilniej przywodzą na myśl stylistykę portretów Amadeo Modigliani’ego. W świetlistych barwach, podporządkowanych jednej gamie lub w zestrojach tworzonych na wzór witraża, artystka dookreślała klimat oraz osobiste odczucia względem tematu. Stylizowane wizerunki uzupełniają fantastyczne ptaki, kwiaty, rośliny i drzewa, poddane ludzkiej motoryce i objaśniające poetykę istnienia. Personifikacja świata była kolejnym świadectwem przyjętej przez artystkę humanistycznej symboliki. Z płócien spoglądają postaci zastygłe, jakby nieobecne, delikatnie uśmiechnięte, tajemnicze, a nawet naiwne, rzadziej ukazane w dynamicznym ruchu lub wplecione w akcję. Stworzyła świat bezpieczny, poetycki, emanujący



Dziewczyna w berecie, bd. Olej, płyta pilśniowa. Fot. A. Myśliwiec. Wł. pryw.



Dziewczyna w kapeluszu, bd. Olej, płyta pilśniowa.
Fot. A. Myśliwiec. Wł. pryw.



Kobieta i ptaki, bd. Olej, płyta pilśniowa. Fot. A. Myśliwiec. Wł. pryw.



Tańczące drzewa, bd. Olej, płyta pilśniowa.
Fot. A. Myśliwiec. Wł. pryw.

ludzką podmiotowością, w którym sama mogła się schronić przed trudami życia.

Malowała również realistyczne autoportrety, emanujące smutkiem i skupieniem. Zwykle występowała na nich z atrybutami pracy, w fartuchu ochronnym, chustce na głowie, niekiedy upozowana w kapeluszu. Na przelocie lat 70. i 80. XX wieku



Smutna twarz, bd. Olej, płyta pilśniowa.
Fot. A. Myśliwiec. Wł. pryw.

powstał autoportret w zieleniach, na tle pulsującej, rozświetlonej przestrzeni kosmosu, na którym udało się jej zespolić myśl twórczą z ideą istnienia.



Autoportret, 1980–1981. Olej, płyta pilśniowa. Fot. A. Myśliwiec. Wł. pryw.

Cyklicznie, aż do 2000 r., brała udział w plenerach rzeźbiarskich i wystawach poplenerowych okręgu Związku Polskich Artystów Rzeźbiarzy. Z tego okresu pochodzą rzeźby np. *Podły nastrój* (1994), *Kobieta*



Dziewczyna i kwiat, 1997. Mosiądz. Fot. A. Myśliwiec.

(1996), *Dziewczyna i kwiat* (1997), *Ona* (1998).

W maju 1981 roku zorganizowana została retrospektywna wystawa jej prac w BWA w Kielcach, gdzie pokazane zostały wszystkie gatunki twórcze: malarstwo, ceramika i kameralna rzeźba. Rok później wystawiała swoje obrazy w BWA w Olsztynie, razem z rzeźbami Balbiny Świtycz-Widackiej.

Po odejściu z kieleckiego „Plastyka” artystka w latach 1971–1984 uczyła wychowania plastycznego w I Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Pracownia znajdowała się na parterze, na końcu korytarza. Północna wystawa zapewniała umiarkowane, malarskie światło, na parapetach stały gipsowe głowy – studia rzeźbiarskie z różnych okresów twórczości. Klimat miejsca tworzyła sama Sobczak-Michałowska, zawsze starannie ubrana, powściągliwa i wymagająca. Na lekcjach powstawały niezliczone szkice martwych natur, nie było właściwie wykładów z historii sztuki, rzadko dochodziło do dyskusji na temat sztuki współczesnej, a jednak atmosfera zajęć silnie wpływała na uczniów. W 1976 r. do szczybla centralnego I Ogólnopolskiej Olimpiady Artystycznej zakwalifikowały się trzy osoby, a jedna z nich została jej laureatem. W kolejnych latach sukcesów było coraz więcej. W 1986 r., z okazji jubileuszu 10. lecia Olimpiady Artystycznej, Danutę Sobczak-Michałowską wyróżniono honorowym dyplomem uznania.

Po przejściu na emeryturę utrzymywała serdeczne kontakty z wybranymi uczniami. Odeszła latem 2010 r. przeżywszy 81 lat. Spoczęła na ukochanym Podhalu, skąd wywodziła się rodzina jej ojca i które często odwiedzała.

Z okazji 290. lecia powstania I Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach sala plastyczna otrzymała imię Danuty Sobczak-Michałowskiej (18 września 2015). Nad wejściem wmurowano tablicę poświęconą artystce, której projekt wykonała Daria Maroń-Ptak.

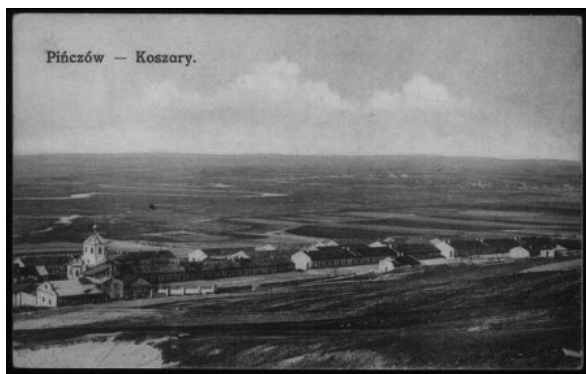
Prace Danuty Sobczak-Michałowskiej znajdują się w zbiorach: Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie, Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy, Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Kielce, Domu Środowisk Twórczych w Kielcach, Muzeum Narodowego w Kielcach, Przedszkola Samorządowego nr 40 w Kielcach, Królewskiej Akademii w Kopenhadze, w zbiorach prywatnych w kraju i zagranicą.

Bibliografia:

1. Materiały z archiwum artystki (wycinki z prasy, fotografie, szkice) – zbiory prywatne.
2. Danuta Sobczak-Michałowska *Rzeźba*, Barbara Steyer *Malarstwo*, Zofia Wąsowska *Grafika*, Związek Polskich Artystów Plastyków, Centralne Biuro Wystaw Artystycznych, Toruń 1959
3. *N Malarstwo, Rzeźba, Ceramika Tkactwo*, wystawa Irena Guzik, Hanna Henisz-Leszczyńska, Roman Harajda, Kazimierz Kotomyja, Wanda Kuternoga, Amalia Kwiatkowska, Czesław Łagowski, Danuta Sobczak-Michałowska, Wacław Stawecki, Zdzisław Surowiec, czerwiec-lipiec 78, Biuro Wystaw Artystycznych, Kielce, ul. Szkolna 36a, Kielce 1978
3. Danuta Sobczak-Michałowska, [katalog wystawy], Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach, Kielce 1981, tekst Roman Harajda
4. *Plenery rzeźbiarskie*, Kielce 1994–2000

Miasto Pińczów posiada bogate tradycje wojskowe, związane ze stacjonowaniem jednostek sił zbrojnych Polski, jak i państw zaborczych. Już pod koniec XVIII wieku była tutaj jednostka armii koronnej – 2 Małopolska Brygada Kawalerii Narodowej, która wzięła udział w insurekcji kościuszkowskiej. W okresie przed powstaniem styczniowym stacjonowały tu pododdziały wojsk rosyjskich – kompania strzelecka 2 batalionu 20 Halickiego pułku piechoty 5 Dywizji Piechoty oraz szwadron 1 Noworosyjskiego pułku dragonów. Następnie do I wojny światowej Pińczów był garnizonem dla 14 Jamburskiego pułku ułanów imienia księżnej Marii Aleksandrowny (bez I dywizjonu, który stacjonował w Kielcach i pod Kielcami). Ostatnią jednostką stacjonującą w okresie zaborów była kadra austriackiego 7 pułku ułanów.

Pińczów po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w listopadzie 1918 r. pod względem wojskowym wszedł w skład Okręgu Wojskowego Nr V Kielce, który podlegał organizacyjnie dowódcy Okręgu Generalnego Nr III Kielce.



Pińczów – Koszary

Pierwszymi pododdziałami Wojska Polskiego utworzonym w Pińczowie w listopadzie 1918 r. była kompania piechoty, składająca się z ochotników – członków Polskiej Organizacji Wojskowej, która została włączona do Okręgowego Pułku Kieleckiego oraz Szwadron Jędrzejowski. Szwadron Jędrzejowski zorganizowany był już po 4 listopada 1918 r. przez por. Edwarda Kleszczyńskiego, który został pierwszym jego dowódcą. Szwadron jako wojewódzki oddział kawalerii składał się z ochotników zgłaszających się z własnym umundurowaniem i końmi. Stan szwadronu wynosił od 169 do 180 żołnierzy. Kolejnym dowódcą szwadronu od 15 grudnia 1918 r. był por. Edward Bednarski.

W późniejszym terminie sformowano także oddział lotny jazdy 25 pułku piechoty. Od stycznia do maja 1919 r. stacjonował w Pińczowie szwadron taborów, wchodzący w skład 3 dywizjonu taborów w Kielcach.

W marcu 1919 r. w Pińczowie rozpoczęto formowanie 11 pułku ułanów, na dowódcę którego wyznaczono mjr Mariusza Zaruskiego (późniejszego generała brygady, założyciela Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, organizatora polskiego żeglarstwa morskiego). Jednostkę organizowano na podstawie rozkazu szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z dnia 19 lutego 1919 r., który nakazywał utworzenie pułku ze szwadronów i oddziałów: por. Edwarda Bednarskiego z Pińczowa, rotmistrza Antoniego Jabłońskiego z Kraśnika, por. Edwarda Kleszczyńskiego, por. Romualda Niementowskiego oraz wszystkich lotnych oddziałów Okręgu Generalnego Kielce. Jako miejsce formowania 11 pułku ułanów wyznaczono początkowo Sandomierz, ale późniejszym rozkazem zmieniono je na Pińczów. Do pułku nie dołączył z wymienionych pododdziałów tylko pluton por. Niementowskiego, który wcielono do 7 pułku ułanów. Jako pierwszy do Pińczowa skierowano w dniu 4 marca 1919 r. dywizjon 1 Brygady Kawalerii, z którego utworzono dwa szwadrony liniowe pułku. W dniu 14 marca przybył do koszar Szwadron Jędrzejowski (wykonujący zadania wewnątrz kraju), który przemianowano na 3 szwadron, zaś pod koniec kwietnia dotarł tu Szwadron Radomski. Zaczęto także formowanie szwadronu karabinów maszynowych i oddziału gospodarczego. Pierwszy rozkaz pułkowy ukazał się z datą 16 marca.

Mimo dużego zaangażowania kadry oficerskiej i podoficerskiej, działania organizacyjne tworzenia pułku hamowały bardzo liczne braki personalne i materialne. Dotkliwie odczuwano niedobór koni, których pułk posiadał jedynie 250 sztuk, z tej liczby część była chora lub ranna, bądź nie nadawała się do jazdy. Również odczuwano niedostatek broni, a ta którą posiadano była w złym stanie technicznym. W dniu 6 kwietnia 1919 r. pułk otrzymał rozkaz osiągnięcia pogotowia marszowego, co było związane z koncentracją sił polskich przewidzianych do operacji wileńskiej. Następnego dnia dwa szwadrony liniowe wraz z plutonem karabinów maszynowych odjechały z Jędrzejowa koleją do miejsca koncentracji 1 Brygady Jazdy dowodzonej przez ppłk Władysława Belinę – Prażmowskiego. Pułk dotarł tam w dniu 13 kwietnia. Ogólny stan 11 pułku ułanów w dniu 11 kwietnia 1919 r. wynosił: 23 oficerów, 472 podoficerów i szeregowych,

269 koni wierzchowych, 45 koni taborowych, 13 koni jucznych. Ukompletowanie pułku w stosunku do etatu było bardzo niskie i wynosiło: 56 procent oficerów, 38,4 procent podoficerów i szeregowych oraz 25,9 procent koni.

Pod koniec kwietnia 1919 r. pozostałe szwadrony pułku po zakończeniu działań organizacyjnych odjechały na front. 11 pułk ułanów wziął udział w wyprawie wileńskiej, a od połowy maja 1920 r. prowadził walki w składzie 1 Brygady Jazdy. Pod koniec czerwca 1920 r. pułk przeszedł na front wołyński, walcząc z Armią Konną Siemiona Budionnego. Udział w wojnie polsko – bolszewickiej zakończył 17 października 1920 r. szarżą pod Wójtowicami. Po zakończeniu działań wojennych 11 pułk ułanów stacjonował w Ciechanowie.

W lipcu 1919 r. w Pińczowie sformowano kolejny pododdział kawalerii – szwadron zapasowy 2 pułku dragonów (późniejszy 2 pułk strzelców konnych) pod dowództwem mjr Tomasza Prus-Bogdańskiego. Zadaniem szwadronu zapasowego było gromadzenie i przygotowywanie uzupełnień żołnierzy, koni i wyposażenia dla pułku walczącego na froncie oraz szkolenie rekrutów i ujeżdżanie koni. W skład szwadronu wchodziły: sztab, oddział rekrutów, oddział rekonwalescentów, oddział ujeżdżania koni, oddział uzupełnień i oddział magazynowy. Kadre oficerską szwadronu stanowili m.in. ppor. Józef Gliński, ppor. Rudolf Lucny, ppor. lekarz Józef Gula, por. Michał Czajkowski, por. Włodzimierz Białobłocki, rotmistrz Józef Białobłocki, rotmistrz Józef Byszewski. Etat szwadronu wynosił: 8 oficerów, 115 szeregowych, 93 konie wierzchowe, 10 koni zaprzęgowych i 5 wozów. W dniu 10 października 1919 r. w szwadronie zapasowym pełniło służbę: 10 oficerów, 2 podchorążych, 26 podoficerów, 262 szeregowych, którzy byli uzbrojeni w 508 karabinków z bagnetami i 95 szabel. W tym czasie szwadron posiadał jedynie 27 koni (w tym 13 wierzchowych i 14 taborowych) oraz 8 wozów. Dopiero pod koniec listopada 1919 r. na wyposażeniu szwadronu znalazło się 160 koni. Ważnym wydarzeniem w garnizonie było wręczenie sztandaru wojskowego dla pułku w dniu 23 maja 1920 r. przez gen. Józefa Leśniewskiego – przedstawiciela Naczelnika Państwa. Sztandar do czasu powrotu pułku z frontu znajdował się w szwadronie zapasowym. W październiku 1920 r. garnizon pińczowski składał się z 850 żołnierzy i 560 koni.

W dniu 3 grudnia 1920 r., po opuszczeniu koszar pińczowskich przez szwadron zapasowy 2 pułku strzelców konnych (przeniesiony do Włocławka i podporządkowany dowódcy Okręgu Generalnego Nr IV Łódź), przybył szwadron zapasowy 3 pułku strzelców konnych (dawny szwadron szkolny 11 pułku Straży Granicznej) z Tarnowa pod dowództwem mjr Edwarda Stockiego. W Pińczowie szwadron

ten stacjonował do listopada 1921 r., kiedy został przeniesiony do Wołkowyska.

W dniu 25 lipca 1921 r. skierowano do Pińczowa 3 szwadron 24 pułku ułanów, który pod koniec roku dyslokowano do garnizonu Kraśnik. W tym okresie przez kilka miesięcy stacjonował także jeden szwadron 20 pułku ułanów, który przebywał około miesiąca.

Od dnia 9 października 1921 r. w garnizonie pińczowskim stacjonował batalion zapasowy 2 pułku piechoty Legionów pod dowództwem ppłk Stanisława Jaxa – Rożena, który przeniesiono z Piotrkowa Trybunalskiego. W tym czasie batalion zapasowy prowadził demobilizację żołnierzy po zakończeniu działań wojennych. W kwietniu 1922 r. batalion liczył około 400 żołnierzy.

Od lipca 1919 r. do czerwca 1920 r. funkcjonował w Pińczowie pluton żandarmerii nr 7, wchodzący w skład 3 dywizjonu żandarmerii. Dowodził nim wachmistrz Kubicki, a następnie wachmistrz Ziąber. Następnie utworzono posterunek żandarmerii wydzielony przez pluton żandarmerii Kielce II w liczbie 26 żandarmów.

Ponadto w pińczowskim garnizonie funkcjonowały następujące instytucje wojskowe: Urząd Duszpasterstwa Wojska Polskiego (na czele z kapłanem pomocniczym Konstantym Aksamitowskim), Ekspozytura Oddziału Informacyjnego Dowództwa Okręgu Generalnego Kielce (kontrwywiad wojskowy), komisja kwaterunkowa (kierownik – sierż. Stanisław Kowalski), oficer ewidencyjny Powiatowej Komendy Uzupełnień (PKU) 4 pułku piechoty Legionów Kielce (zajmujący się poborem do wojska w powiecie pińczowskim) oraz dowództwo konnej kolejki (dowódca – plut. Maksymilian Marcinkowski).

W okresie 1919–1921 w pińczowskim garnizonie panowały, podobnie jak w większości garnizonów Wojska Polskiego trudne warunki socjalno – bytowe, spowodowane zniszczeniami z czasu I wojny światowej oraz złą sytuacją aprowizacyjną. Jak wynika z meldunków informacyjnych władz wojskowych, w marcu 1920 r. żołnierze garnizonu pińczowskiego żalili się na brak tytoniu oraz pralni. W dniu 11 września 1920 r. doszło do zaburzeń wśród nowoprzybytych rezerwistów z powodu złego obchodzenia się z nimi i braków w zaprowiantowaniu. Podczas wydawania kolacji jeden z podoficerów szwadronu zapasowego 2 pułku strzelców konnych uderzył rezerwistę. W tej sytuacji inni rezerwiści rzucili się na podoficera, chcąc go pobić. Podoficer zameldował o incydencie dowódcy szwadronu ppłk. Bogdańskiemu, który rozkazał aresztować sześciu rezerwistów. Oficer inspekcji wraz z czterema żołnierzami usiłował doprowadzić rezerwistów do aresztu. Rezerwiści otoczyli areszt, chcąc odbić aresztowanych. Oddano z broni dwie salwy w powietrze dla rozprzężenia wzburzonych rezerwistów. Ogółem aresztowano 150 rezerwistów, osadzając ich w oddzielnym budynku. O incydencie zawiadomiono prokuratora wojskowego w Kielcach,

który wystąpił pięcioosobową komisję do zbadania sprawy. Powyższy incydent powstał na tle braków w zaprowiantowaniu oraz złego traktowania przez przełożonych.

Początkowo bardzo słabo prowadzono pracę oświatową wśród żołnierzy, jednak w październiku 1920 r. nastąpiła jej poprawa – uruchomiono kino oraz zorganizowano bibliotekę.

Wojsko w tym czasie realizowało także służbę asystencyjną, polegającą na udzielaniu pomocy władzom cywilnym m.in. w zapewnieniu bezpieczeństwa publicznego. Przykładem działań asystencyjnych w Pińczowie było pod koniec stycznia 1919 r. opanowanie przez lotny oddział 25 pułku piechoty wystąpień ludności związanych z zatrzymaniem transportów żywnościowych. Dwa miesiące później miały miejsce rozruchy antyżydowskie, podczas których próbowano podpalić miasto. Doszło wówczas do użycia przez wojsko broni.

Należy wspomnieć także o pomocy miejscowego społeczeństwa dla żołnierzy. Podczas wojny polsko – bolszewickiej w dniu 26 lipca 1920 r. utworzono w Pińczowie Obywatelski Komitet Obrony Państwa na powiat pińczowski, którego pełnomocnikiem został Aleksander margrabia Wielopolski. W składzie komitetu funkcjonowała sekcja opieki nad żołnierzami, której przewodniczyła Antonina Frankowska. Sekcja zorganizowała kilkakrotnie pożegnania ochotników odchodzących na front, obdarowując ich papierosami, zapatkami, owocami, słodyczami i medalikami. W dniu 9 października 1920 r. pożegnano 6 szwadron 2 pułku strzelców konnych, odchodzący na front. Na stacji kolejki wąskotorowej w Hajdaszku zorganizowano gospodę dla żołnierzy, której kierownikiem była Janina Żeliszawska. Sprzedawano w niej po niskich cenach artykuły żywnościowe. Kobiety prowadziły także akcję propagandową, rozdając pisma i broszury. W Pińczowie przy ulicy 3 Maja w domu Pachelskiego zorganizowano szwalnię prowadzoną przez Cholewiczową. Z okazji Bożego Narodzenia 1920 r. przeznaczono dla żołnierzy 23 tysiące marek.

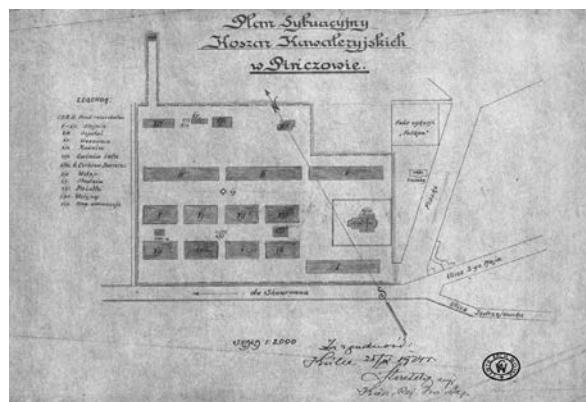
Pod koniec 1921 r., w związku z rozformowaniem Dowództwa Okręgu Generalnego Kielce garnizon Pińczów został podporządkowany dowódcy Okręgu Korpusu Nr X w Przemyślu.

W okresie od września 1922 r. do stycznia 1931 r. stacjonował w Pińczowie 2 ppLeg. Pułk ten po zakończeniu działań wojennych od maja do sierpnia 1922 r. przebywał w Siedlcach. W związku z przeorganizowaniem Wojska Polskiego na struktury pokojowe oddziały zostały dyslokowane do statycznych garnizonów. 2 Dywizja Piechoty Leg. (DPLeg.), w składzie której był 2, 3 i 4 ppLeg. oraz 2 pułk artylerii polowej Leg. została rozmieszczona w garnizonach na obszarze Okręgu Korpusu Nr X Przemyśl. Dla 4 ppLeg., 2 pap Leg. i dowództwa 2 DPLeg. statym garnizonem stały się Kielce. 3 ppLeg. przybył do Jarostawia, a kadra jego batalionu zapasowego czasowo stacjonowała

w Nisku. W przypadku 2 ppLeg. wystąpiły trudności w zakwaterowaniu w jednym garnizonie – Pińczowie całości jednostki. W związku z tym I batalion został rozmieszczony w koszarach w Staszowie. Na początku września 1922 r. pododdziały 2 ppLeg. przybyły do garnizonów Pińczów i Staszów.

Zgodnie z pokojową strukturą z listopada 1920 r. w skład pułku piechoty wchodziły następujące pododdziały: dowództwo, batalion sztabowy, trzy bataliony piechoty, kadra batalionu zapasowego. W lutym 1924 r. w organizacji tej wprowadzono zmiany polegające na utworzeniu drużyny dowódcy pułku, plutonu łączności, plutonu pionierów. Jednocześnie zniesiono batalion sztabowy i kadre batalionu zapasowego. Stan etatowy 2 pp Leg. wynosił 1422 żołnierzy, w tym 54 oficerów, 355 podoficerów i 1013 szeregowych. Pułkiem w okresie stacjonowania w Pińczowie dowodzili: ppłk Emil Czapliński (do lipca 1929 r.), a następnie płk Ludwik de Laveaux (od lipca 1929 r.). W 1924 r. kwatermistrzem pułku był mjr Józef Sitko, dowódcą II batalionu – kpt. Jan Wójcik, III batalionu – mjr Marian Szelągowski.

W 1925 r. do 2 ppLeg. w Pińczowie wcielono 498 poborowych, wśród których było: 330 Polaków, 34 Żydów, 1 Niemiec oraz 133 Rusinów (do których zaliczano Ukraińców, Łemków, Bojków). Poborowi byli powołani do odbycia służby wojskowej przez PKU Kielce (271 osób), Pińczów (64), Ostrowiec (30) i Sambor (133).



Plan sytuacyjny koszar kawalerzystów w Pińczowie z 1924 r.

Warunki zakwaterowania jednostek wojskowych w garnizonie pińczowskim były bardzo złe. Koszary zbudowano kiedyś dla rosyjskiego 14 Jamburskiego pułku dragonów. Składały się one z czterech parterowych budynków mieszkalnych ustawionych równolegle do siebie, ośmiu stajni, izby chorych, wozowni, kuźni, łaźni, magazynu amunicji oraz budynku pocerkiewnego (była cerkiew Św. Mikołaja). Koszaram nadano imię generała brygady Zygmunta Zielińskiego – dowódcy 2 pp Legionów Polskich w latach 1914–1915. W związku z bardzo trudnymi warunkami zakwaterowania w garnizonach Pińczów i Staszów, dowódca 2 ppLeg., ppłk Emil Czapliński w dniu 13 maja 1924 r. wystosował pismo do Od-

działu I Sztabu Generalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, w którym czytamy: *Putk przybywszy do obecnych swych miejsc postoju, zastał w obu garnizonach koszary nie nadające się do zamieszkania; brak było w samym Pińczowie szyb, drzwi, ram okiennych, dobrych pieców itd. Koszary pińczowskie i staszowskie na wiele lat przed wybuchem wojny europejskiej z miejscowych, wątpliwej wartości kamienia wybudowane, a aż do przybycia mego putku ani nie remontowane, ani należycie nie konserwowane, są budowla starą, o murach zwiertających; dzięki temu tak ubikacje kancelaryjne jak i sale żołnierskie pełne są wilgoci, posiadają podłogi zżarte przez grzyb... Temperatura w izbach żołnierskich w br. była tak niska, że w wielu wypadkach trzeba było przerwać naukę pisania, gdyż żołnierzom kostniały od zimna palce, chociaż siedzieli w płaszczach. W bieżącym roku zachorowało na reumatyzm 8 oficerów, wszyscy pracownicy kancelaryjni po kilku miesiącach pracy w wilgotnych i zimnych kancelariach ulegają w mniejszym lub większym stopniu różnym chorobom kataralnym, płucnym itd... W obu garnizonach brak jest wody.*

W takich warunkach nie można było zapewnić żołnierzom odpowiedniej higieny. Wodociąg do koszar pińczowskich doprowadzono (na koszt wojska) dopiero w drugiej połowie 1924 r., ponieważ rada miejska kilkakrotnie odmawiała zezwoleń na budowę odgałęzienia wodociągu. Również niekorzystne warunki mieszkaniowe posiadali oficerowie i podoficerowie zawodowi wynajmujący kwatery w mieście. Ppłk Czapliński pisał: *Oficerowie moi mieszkają po 2 lub 3 w niskich, ciemnych, niejednokrotnie wilgotnych izbach, w których ani wypoczynek po służbie, ani praca nad sobą nie są możliwe; podoficerowie mieszkają jeszcze gorzej; jeden z bardziej pomysłowych żonatych podoficerów zawodowych, wynajął sobie kont do spania „za ladą” w miejscowym sklepiu; inni gnieźdzą się z rodzinami kątem u miejscowych mieszczan w warunkach wprost optakanych, w izbach bez podłogi, z przeciekającym dachem itd.*

Sytuacja zakwaterowania putku poprawiła się dopiero w 1931 r., kiedy przeniesiony został z Pińczowa do koszar w Sandomierzu (oprócz I batalionu), zajmowanych dotychczas przez 4 batalion saperów, który dyslokowano do Przemyśla. W części koszar w 1936 r. zlokalizowano więzienie. Na infrastrukturę szkoleniową garnizonu składał się plac ćwiczeń wraz ze strzelnicą pod Skowronnem o powierzchni 10 ha i 55 ar.

Instytucją wojskową funkcjonującą od listopada 1921 r. do września 1939 r. była PKU Pińczów, w 1938 r. przemianowana na Komendę Rejonu Uzupelnień (KRU), będąca organem wykonawczym służby poborowej. Komenda zasięgiem terytorialnym obejmowała powiaty: jędrzejowski, pińczowski i stopnicki, a podlegała Dowództwu Okręgu Korpusu Nr X Przemyśl. Była jedną z jedenastu PKU w wo-

jewództwie kieleckim. Zasadniczymi zadaniami PKU było: uzupełnianie jednostek wojskowych poborowymi oraz administrowanie rezerwami (prowadzenie ewidencji oficerów i szeregowych rezerwy i pospolitego ruszenia, oficerów w stanie spoczynku, przygotowanie mobilizacji, załatwianie spraw dotyczących ćwiczeń żołnierzy rezerwy).

Od maja 1925 r. w skład PKU wchodziły trzy referaty: administracji rezerw, poborowy i inwalidzki. Do listopada 1925 r. przy PKU funkcjonował również oficer-instruktor, który kierował przysposobieniem wojskowym na podległym obszarze.



Grupa żołnierzy 2 p.p. Leg. w Pińczowie w 1925 r.

PKU Pińczów składała się etatowo z 3 oficerów, 4 podoficerów zawodowych, 4 szeregowych i 17 urzędników. Stan ewidencyjny PKU w dniu 1 grudnia 1933 r. wynosił: 3 oficerów, 8 podoficerów, 4 szeregowych oraz 13 urzędników. Funkcję komendanta PKU pełnili m.in. następujący oficerowie: ppłk Ludwik Szulc, mjr Tadeusz Lipiński, mjr Władysław Połec, mjr Zbigniew Koellner. PKU Pińczów powoływała do odbycia służby wojskowej poborowych głównie do następujących garnizonów: Kielce, Pińczów, Jarostaw, Staszów, Lwów, Przemyśl, Strój.

W Pińczowie utworzono także Komendy: Obwodową (działała do 1931 r. – przeniesiono do Sandomierza) i Powiatową Przysposobienia Wojskowego. Komendantem powiatowym był m.in. por. Stefan Kaliński, który w ocenie starosty pińczowskiego „poczynił wybitną pracę dla sprawy wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego na terenie powiatu w dziale wykształcenia i propagandy”.

Garnizon pińczowski w lutym 1927 r. składał się z 644 żołnierzy, w tym z 32 oficerów. Wśród nich pod względem wyznaniowym było: katolików – 504 (w tym 31 oficerów), grekokatolików – 73, prawosławnych – 2, mojżeszowych – 40 (w tym 1 oficer), ewangelików – 24 oraz Polskiego Kościoła Narodowego – 1. Należał do średniej wielkości garnizonów w Okręgu Korpusu Nr X Przemyśl.

Należy także wspomnieć o ujęciu w planie mobilizacyjnym „W” obozu jenieckiego „Pińczów” (na około 5 tysięcy jeńców), który miała mobilizować KRU Kielce wraz ze szpitalem mobilizowanym przez Kadre Zapasową X Szpitala Okręgowego w Przemyślu.

Dla Pińczowa, jako miasta liczącego w okresie międzywojennym około 7,5 tysiąca mieszkańców stacjonowanie wojska miało duże znaczenie gospodarcze i społeczne. Miejscowi dostawcy żywności, paszy czy rzemieślnicy oferowali wojsku swoje usługi.

Wojsko miało duże zastugi w krzewieniu kultury wśród społeczeństwa. 12 stycznia 1923 r. uroczystie otwarto teatr żołnierski w 2 ppLeg., mieszczący się w dwóch dużych salach, w których urządzono szkołę nauczania początkowego, kinoteatr, bibliotekę i świetlicę. Podczas otwarcia odbył się koncert orkiestry pułkowej i prezentacja jednoaktówki pt. „Onufry”. Aktorzy rekrutowali się głównie spośród podoficerów zawodowych jednostki. Kino wojskowe stanowiło „niemalże jedyną rozrywkę w Pińczowie”.

Wojskowi udzielali pomocy 1 Drużynie Związku Harcerstwa Polskiego im. Gen. Józefa Sowińskiego, organizując kurs wyszkolenia oraz urządzając plac sportowy.

Żołnierze 2 ppLeg. udzielali także pomocy mieszkańcom podczas klęsk żywiołowych. Przykładowo w dniu 16 listopada 1922 r. w godzinach nocnych dwustu żołnierzy uczestniczyło w gaszeniu pożaru domu Tadeusz Chmielewskiego. W 1923 r. w pułku zorganizowano wojskową straż pożarną, która wspierała także mieszkańców podczas zagrożeń.

Jak podkreślił redaktor „Głosu Pińczowskiego” Wincenty Dołżycki w artykule „Społeczna praca 2 pułku piechoty Legionów” na terenie powiatów pińczowskiego i sąsiednich, w okresie od przybycia jednostki do Pińczowa do połowy 1924 r. żołnierze szerzyli zamiłowanie do sportu, wiedzę muzyczną i organizowali życie towarzyskie. W tym czasie zorganizowali 15 meczy w piłkę nożną, zawody lekkoatletyczne, tworzyli hufce przysposobienia wojskowego. Orkiestra pułkowa koncertowała dla mieszkańców Pińczowa (m.in. w soboty), Jędrzejowa, Buska-Zdroju, Chmielnika i Staszowa. Zorganizowano 14 zabaw tanecznych i 5 ogrodowych dla mieszkańców Pińczowa.

Władze i mieszkańcy miasta wspierały żołnierzy m. in. pomocą finansową. Na Święta Bożego Narodzenia w 1922 r. zorganizowano dla 2 p.pLeg. „Choinkę dla Żołnierza”, w wyniku której zebrano w gotówce 297 270 marek, od Czerwonego Krzyża 75 000 marek, od Sejmiku Powiatowego 75 000 marek, 40 000 marek od policji, 30 000 marek od Związku Ziemian. Ogółem zebrano 517 270 marek. Z pozostałej sumy 160 000 marek komitet przekazał na zorganizowanie Teatru Żołnierskiego przy Uniwersytecie Żołnierskim.

Ważnym wydarzeniem dla Pińczowa było wręczenie sztandaru wojskowego 2 pp Leg. w dniu 21 września 1924 r. z udziałem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Stanisława Wojciechowskiego. W przeddzień, 20 września, w godzinach rannych odbyło się nabożeństwo żałobne w kościele parafialnym za poległych żołnierzy, po południu lekcja ćwiczeń gimnastycznych i szermierczych, mecz

piłki nożnej, a wieczorem capstrzyk. Następnego dnia o godzinie szóstej przeprowadzono pobudkę. O godzinie dziesiątej przyjechał prezydent, następnie odbyła się msza polowa na Górze Zamkowej, poświęcenie i wręczenie sztandaru, a wieczorem raut w sali kasyna oficerskiego. Podczas uroczystości wręczenia sztandaru, prezydent Wojciechowski powiedział: *Drugi pułk Legionów zastąpił się Ojczyźnie. Wiem, że oddaję ten sztandar w ręce wierne i dzielne i wiem, że zawsze wierne i godnie będziecie go trzymać i nigdy nie znajdzie się on w rękach wrogów.* Należy podkreślić, że Sejmik Pińczowski przeznaczył po 12 złotych na żołnierza na urządzenie przyjęcia dla 2 ppLeg. podczas uroczystości wręczenia sztandaru.

W lutym 1931 r. w związku z przeniesieniem pułku do Sandomierza, rada miasta podczas nadzwyczajnego posiedzenia podjęła jednogłośnie uchwałę o nadaniu 2 ppLeg. „w uznaniu cnót żołnierza polskiego i niezapomnianych zasług położonych przez pułk na polu pracy kulturalno-oświatowej” tytuł Honorowego Obywatelstwa Miasta Pińczowa.

Po drugiej wojnie światowej koszar w Pińczowie były w ewidencji nieruchomości wojskowych. Część obiektu – budynki więzienne (50 cel) użytkował Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Budynek koszarowy, w którym można było zakwaterować 250 żołnierzy wykorzystano w maju 1951 r. w ramach rozwoju Wojska Polskiego sformowano wówczas w Pińczowie 64 batalion saperów, który był jednostką podległą dowódcy 11 Korpusu Armijnego w Gliwicach. Batalion składał się etatowo z 312 żołnierzy, w tym z 25 oficerów, 66 podoficerów, 221 szeregowych oraz 9 pracowników. W strukturze jednostki były trzy kompanie saperów (w każdej po dwa plutony), pluton techniczny, pluton prawowy oraz kwatermistrzostwo. Jednak batalion nie na długo stacjonował w Pińczowie, gdyż na przełomie 1951/1952 roku został przeniesiony do Kielc, zajmując koszarę przy ulicy Mielczarskiego, a następnie do Gliwic.

W lipcu 1956 r. utworzono w siedzibie Wojskowej Komendy Rejonowej Busko – Zdrój Wojskową Komendę Rejonową Pińczów. Komendantem był kpt. Józef Leksowski. Komendę tą przeniesiono następnie do Pińczowa. Obejmowała zasięgiem powiaty pińczowski i kazimierski. W wyniku reorganizacji terenowych organów administracji wojskowej, w lutym 1966 r. Wojskową Komendę Rejonową Pińczów przeformowano na Powiatowy Sztab Wojskowy Pińczów (obejmujący zasięgiem powiaty pińczowski i kazimierski), który funkcjonował do połowy 1975 r. Jego szefem był ppłk Jan Gransort.

Rok 1975 stanowi końcową cezurę istnienia garnizonu Pińczów.

W ostatnich trzech latach obchodziliśmy w regionie świętokrzyskim kilka okrągłych rocznic wydarzeń, które bez wątpienia możemy uważać za historyczne. Tak więc w 2013 r. było to 150-lecie wybuchu Powstania Styczniowego, w roku 2014 kolejne rocznice powstańczych wydarzeń oraz 150 urodziny Stefana Żeromskiego. W sierpniu i wrześniu roku ubiegłego upamiętnialiśmy stulecie pobytu w Kielcach strzelców Józefa Piłsudskiego oraz utworzenia tu 1. pułku piechoty Legionów Polskich. W roku bieżącym z kolei mija sto lat od wydarzeń, będących kontynuacją udziału 1. pułku, przemianowanego na I Brygadę, w Wielkiej Wojnie. Podniosłe uroczystości miały miejsce w związku z bojami pod Konarami (maj 1915 r.) oraz pod Tartowem (czerwiec 1915 r.). Z kolei od maja do sierpnia tego roku wspominaliśmy kolejne wydarzenia związane z setną rocznicą utworzenia oraz pierwszych bojów 4. pp. Leg., który w odrodzonej Polsce, od 1919 r., związał swoje losy z Kielcami.

Chociaż 4 pułk piechoty Legionów powstał blisko rok po utworzeniu 1 pułku, to w gruncie rzeczy wojenna historia jego żołnierzy, związana była z dziejami dwóch pułków legionowych: 2. i 3., które od listopada 1914 r. toczyły krwawe boje w Karpatach. Te jednostki, bezpośrednio podległe Komendzie Legionów, weszły następnie w skład II Brygady. Wiosną 1915 r. (od 11 marca do połowy kwietnia) obydwie pułki stanęły na odpoczynek oraz reorganizację w Kołomyi. Tutaj powrócono do wcześniejszych planów powołania 4 ppLP. Z inicjatywą wystąpił dowódca IV batalionu, mjr Bolesław Roja, 38 – letni absolwent wiedeńskiej szkoły kadetów, który w czasie bojów w Karpatach wstawił się odwagą i dowódczym talentem. Austriacka Komenda Armii, a także Departament Wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego, zwlekały z podjęciem decyzji, wobec czego B. Roja samowolnie wydał 18 marca 1915 r. rozkaz, w którym głosił: „objąłem komendę nowo tworzącego się 4 pułku”. Była to jawna niesubordynacja, która w innych okolicznościach groziła sądem wojennym. Ponieważ jednak sprawa wątkowana była od kilku miesięcy, a zarówno Komenda austriacka, jak i Komenda Legionów świadome były swoich zaniedbań, więc sprawcy nie ukarano. Po 11 dniach wycofano z rozkazów nazwę „4 pułk” i zastąpiono ją nazwą „4 Grupa Legionów Polskich”. To wystarczyło, by sprawę nabrały właściwego tempa. Major Roja, który miał pod swoją komendą bataliony

II. I IV. 2. pułku, rozpoczął energicznie werbunek, prowadząc agitację wśród miejscowej ludności, w dużym stopniu pochodzenia huculskiego oraz wśród zdemobilizowanego wcześniej Legionu Wschodniego. Z powodu odniesionych ran mjr Roja musiał wyjechać na leczenie, a 4 kwietnia Komenda 4 Grupy została rozwiązana. Dziesięć dni później Komenda Legionów wraz ze szkołą podchorążych oraz oddziałami nie nadającymi się do walki przeniesiona została w rejon Piotrków Trybunalski – Radomsko, gdzie stacjonowało zgrupowanie gen. Hermana Kovessa, a także miał swą siedzibę Naczelny Komitet Narodowy. Proces formowania 4. pułku był już nieodwracalny. Austriacy nie mogli niedocenić wartości bojowej polskiego żołnierza, charakteryzującego się wysokim morale i motywacją do walki. Co więcej, zdecydowali się oni na powołanie nowej – III Brygady z pułkami 4. i 6. w składzie. Dodatkową przyczyną zmiany stanowiska Komendy Legionów, jak i dowództwa austriackiego była rosnąca zarówno w wojsku jak i w społeczeństwie sława Józefa Piłsudskiego; nowa jednostka miała stanowić ideową przeciwwagę wobec I Brygady.

4 pułk powołany został do życia rozkazem z dnia 8 maja 1915 r. W jego strukturze znalazły się tymczasem trzy bataliony pod komendą kpt. Andrzeja Galicy, kpt. Franciszka Sikorskiego oraz por. Edwarda Szerauca. Punkt pierwszy rozkazu powołującego nową jednostkę głosił: „Natychmiast po otrzymaniu tego rozkazu rozpocznie się formacja 4 pułku. Pułk ten sformuje kom. Baonu Roja, którego równocześnie podaję do Naczelnej Komendy Armii [austriackiej – przyp. autor] do zatwierdzenia, jako komendanta tego pułku.” Czwartacki trzon stanowił batalion uzupełniający kpt. Andrzeja Galicy, późniejszego generała, sformowany we wrześniu 1914 r. jako I batalion planowanego właśnie 4. pułku, pozostający do dyspozycji Komendy Legionów. Do pułku, w którym korpus oficerski stanowili wojskowi służący w jednostce od początku jej istnienia, dołączyła grupa oficerów z I Brygady. Byli wśród nich między innymi: późniejszy generał Roman Górecki, bohaterski obrońca Lwowa w 1918 r. Ludwik de Laveaux oraz poeta Józef Relidziński. Mianowany podpułkownikiem Bolesław Roja powołał w oddziale służby gospodarcze, sanitarne, łączności i taboru. Także – orkiestrę, która już wkrótce odegra ważną rolę na polu walki.

Z końcem czerwca 1915 r. 4 pułk gotowy był do wymarszu. Dnia 12 lipca w Rozprzysko Piotr-



Pptk B. Roja z grupą oficerów 4 pp w tzw. „Rojowym Osiedlu” na Wotyniu, 1916 r.

kowa Trybunalskiego odbył się przegląd oddziału, a gen. Kovess wystawił Czwartakom bardzo wysoką ocenę. Był to zarazem dzień wymarszu na front.

W piękny dzień lipcowy Czwartacy na piotrkowskich błoniach stanęli w zwartym szeregu, wystuchać mszy, w ich intencji odprawionej. Wśród dźwięków orkiestry, narodowe grającej pieśni, w obliczu starodawnego grodu piotrkowskiego, jego patriotycznej licznie zebranej publiczności, odprawiała się tu historyczna msza zmartwychwstałych Czwartaków, podejmujących oręż przodków przeciw odwiecznemu wrogowi. Zасыpywani kwiatami, żegnani łzami i słowami serdecznymi, szli uśmiechnięci, pełni młodej, niezachwianej siły, cali wstuchani w huczącą muzykę, co im na wymarszu grała ów stary Czwartaków marsz <Tysiąc walecznych> (Bolesław Pochmarski).

Trasa wiodła przez Koluszki – Skarżysko do Ostrowca. Dnia 16 lipca pułk dotarł do Denkowa. Szlak prowadził przez spalone miejscowości. Wycofujące się z obszaru Królestwa Kongresowego wojska rosyjskie podpały na drodze ucieczki wsie i miasteczka. Taki los spotkał Ożarów, a dalej Urzędów i Borzechów. W ślad za Rosjanami postępowały, po przełamaniu frontu pod Gorlicami, oddziały niemieckie i austriackie oraz I Brygada Piłsudskiego. Grozę sytuacji przedstawił Czwartak Władysław Orkan: *Ni jednego domu ocalałego. Spalone wszystko doszczętnie. Nawet ocembrowania studzien ogień pożarł – snadź wodę z nich wypił. Znikąd żywej duszy, żywego wejrzenia. Wszystko umarło...To Ożarów. Podobny wstrząs*

w Urzędowie: Wieś zupełnie po barbarzyńsku przez cofających się Moskali spalona. Ludność z dziećmi i dobytkiem zagarnięta przez nich. Tu i ówdzie snuje się po zgłiszczach jakiś człek szary, ostatek przypadkiem, jakaś obłądna kobieta (...) Kościół również spalony. Mury tylko ostatek...

Pod Urzędowem 4 pułk przeszedł w skład grupy dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego. Komenda Legionów przestrzegała Czwartaków przed rozpolitykowaniem strzelców I Brygady. Spotkanie majora Roja z Komendantem też początkowo nie wróżyło łatwego współistnienia. Wkrótce jednak między 4 pułkiem a brygadą nastąpiła serdeczna więź, potwierdzona braterstwem broni. Ta więź przetrwała cały okres międzywojenny.

Jako datę chrztu bojowego 4 pułku przyjmuje się dzień, a właściwie noc 22 lipca 1915 r. Piłsudski odebrał od Komendy Legionów rozkaz ataku na pozycje rosyjskie na linii Połówek – Majdan Borzechowski. Konkretnie chodziło o wyrzucenie Rosjan z rejonu Majdanu. Po półtorej godziny natarcie 4 pułku zostało wstrzymane, gdyż nieprzyjaciół wycofał się. Czwartacy palili się do walki. Jak później napisał ptk Roja, atakujący batalion kpt. Galicy „chciał się popisać ponad potrzebę”, wskutek czego 7 żołnierzy odniosło rany. W sumie w całym pułku rannych zostało 10 żołnierzy. We wspomnieniach wydanych po I wojnie, uczestnicy potyczki przyznają, że nie był to jeszcze właściwy bój, a adiutant Roi napisał, że *nawet skowronki nic sobie z tego nie robiły i śpiewały bez ustanku* [relacja hr. Augusta Krasickiego]. Pomimo to, dowództwo austriackie dostrzegło w 4 pułku duże zalety bojowe i postanowiło



Dom rodzinny pp. Golińskich w Urzędowie, w którym w lipcu 1915 r. stacjonował Komendant Piłsudski



Pamiątkowa płyta na domu pp. Golińskich w Urzędowie

wytączyć go spod dowództwa Piłsudskiego i przydzielić pod komendę swojej X Brygady. Część oficerów zaproszono na poczęstunek, z którego Czwartacy nie skorzystali. Roję z kolei wezwano do stawienia się po rozkazy. Ten z właściwą sobie dumą zlekceważył wezwanie, a Austriacy znając upór polskich oficerów, zaniechali dalszych prób. To bardzo charakterystyczna sytuacja, która w relacji I Brygada a wraz nią 4 pułk, kontra dowództwo austriackie, powtórzy się jeszcze wielokrotnie. Polacy bardzo krytycznie oceniali walory bojowe swoich sojuszników.



Mogiła 15 żołnierzy I Brygady, poległych w lipcu 1915 r. na polach Urzędowskich

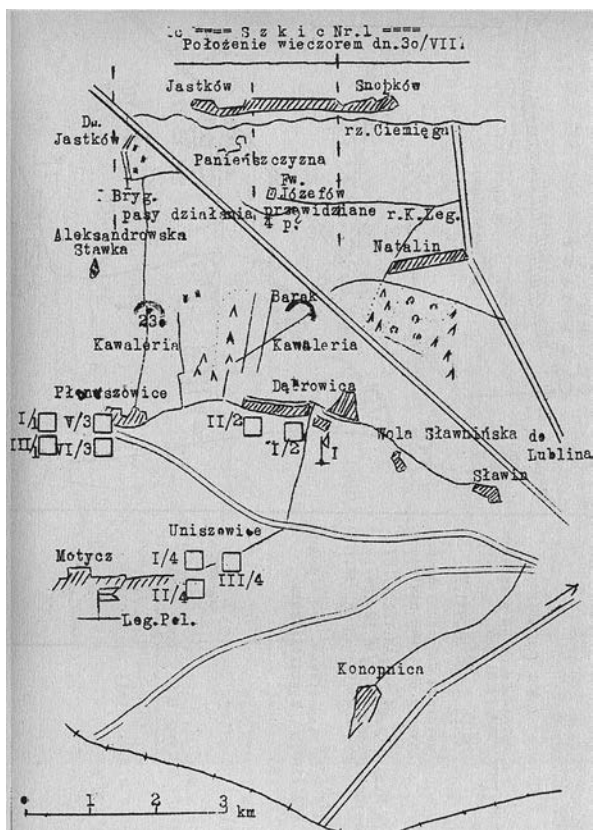
W dniu 23 lipca doszło do poważnego starcia; Rosjanie wstrzymali ucieczkę i podjęli walkę z Austriakami, lecz już bez udziału I Brygady i 4 pułku, chociaż z udziałem Polaków służących w wojsku austriackim. Legionowy lekarz Felicjan Stawoj Składkowski zanotował po bitwie: *jest to jedno z największych pobojozisk, jakie widziałem*.

Prawdziwy i krwawy chrzest bojowy 4 pułku miał dopiero nadejść za kilka dni. Po bitwie w rejonie Majdanu Borzechowskiego Rosjanie zaczęli wycofywać się pośpiesznie w kierunku Lublina, a grupa Piłsudskiego wraz z 4 pułkiem stanęła na wypoczynek w rejonie wsi Babin, Radawczyk. Dnia 29 lipca Polacy rozpoczęli pościg za nieprzyjacielem, by o godzinie 3 po południu przekroczyć linię kolejową Dęblin (Iwangorod) – Lublin. W nocy z 31 lipca na 1 sierpnia pod ostoną porannej mgły ruszył atak 1 i 3 pułku oraz Czwartaków. Na kierunku 4 pułku Rosjanie okopali się w rejonie Jastków – Snopków na południowym brzegu rzeczki Ciemięgi. Akcja była źle skoordynowana przez dowództwo austriackie, skutkiem czego oddziały polskie kilkakrotnie zmuszane były do zmiany kierunku natarcia, niedostateczne było rozpoznanie terenu, a ogień nieprzyjaciela nadspodziewanie silny. Ostatecznie oddziały legionowe zajęły właściwe pozycje między godz. 7 a 8 rano. Z upływem czasu rosta temperatura powietrza. Czwartacy oraz strzelcy I Brygady walczyli z ogromną determinacją, lecz wobec równie zdecydowanego oporu drugiej strony, jedynie niektórym kompaniom udało się posunąć do południa o zaledwie kilka metrów. Od strony Jastkowa i Józefowa trwał silny ostrzał artyleryjski oraz z broni maszynowej. Z kolei oddziałom polskim spalona słońcem ziemia nie dawała możliwości okopywania się. Jedyne ostony stanowiły resztki łąńców nie skoszonej jeszcze pszenicy. S. Trella w książce *Kartki z dziennika pułku* zapisał: *wojna ta strasznie się znęca nad naszą ziemią [...], te pożary, te zgłiszczą ciągną się prawie nieprzerwanie*

[...]. *Ni Niemiec ni Moskal nie ratują, nie oszczędzają. Polak jedynie po jednej i po drugiej stronie widzi to – rozumie, że ginie jego kraj, jego miasta, wsie – i nic nie może przeciw temu. Zaciśka zęby i z czasem zupełnie obojętnieje.* [cytat za prof. Janem Konefatem].

Około godziny 9. na stanowiskach Czwartaków pojawił się Józef Piłsudski. Częste wypadły na linię Czwartaków robił pptk Roja. W czasie jednego z nich stracił konia, trafionego przez nieprzyjacielską kulę. W tych wypadach towarzyszył zwykle Roi „Marianek”. Ten „Marianek”, w ewidencji oficjalnej Marian Sobolewski, to w istocie krewniaczka Roi, piękna i miła Maria Sobolewska. Pełniąc w sztabie pułku rolę łącznika meldunkowego, odznaczała się wyjątkową odwagą. W wolnej Polsce została lekarzem pediatrą. Zmarła w 1990 r.

Dopiero po południu udało się oddziałom legionowym podejść bliżej okopów nieprzyjaciela, choć ciągle była to odległość mniejsza niż 200 m. Odbyło się to jednak kosztem dużych strat. O godzinie 17.10 Roja meldował: *Posunąłem także mój środek ku okopom nieprzyjacielskim na odległość 500 kroków. W nocy będę usiłował przetrącić linie nieprzyjacielską. Dotychczas 4 zabitych i 18 rannych, w tym jeden oficer ciężko ranny*



Plan sytuacyjny pola bitwy w Jastkowie w dn. 30.VII.1915 r. wg B. Waligóry, 1938

Godzinę wcześniej wśród Czwartaków pojawił się kapelan ksiądz Stanisław Żytkiewicz, udzielając absencji. Był to oczywisty znak, że wkrótce wydane

zostaną rozkazy do ataku. Co prawda 4 pułk znalazł się w doborowym towarzystwie, mając z prawej strony 3 pułk Mieczysława „Rysia” Trojanowskiego, zaś po lewej 1 pułk Edwarda „Śmigłego” Rydza, lecz znalazł się dokładnie na wprost silnie ufortyfikowanej i zięjącej ogniem maszynowym reduty w rejonie Józefowa. Zadaniem ochotniczych patroli było po-przecinanie zasieków przed linią nieprzyjacielskich okopów. Przygotowanie artyleryjskie ze strony polskiej okazało się zbyt słabe, natomiast morderczy ogień ze strony okopów rosyjskich wcale się nie zmniejszał.

Żołnierz I Brygady Jan Pudetek wspominał: *Co chwila któryś z żołnierzy 4 pp osuwa się z nasypu na dno rowu, to znów pojedynczo próbuje wycofać się w tył, do okopów. Niestety szosa z tyłu i drugi rów pozostają również pod działaniem morderczego ognia karabinu. [...] Sytuacja w rowie staje się beznadziejna. Oddział 4 pp wybity. [...] Szosa i rowy przydrożne, to pole śmierci... W natarciu ranny został m. in. porucznik Bronisław Pieracki, przyszły minister Spraw Wewnętrznych. I wciąż w tej wojnie powraca tragiczny refren: oto z okopów nieprzyjacielskich, zajmowanych przez któryś z pułków syberyjskich, słychać wśród nocy Jeszcze Polska nie zginęła...*

Pomimo morderczego ognia ze strony rosyjskiej, pptk Roja kilkakrotnie, aż do późnych godzin wieczornych, podejmował daremne próby przetrącania linii nieprzyjacielskich. O północy Komenda Legionów zarządziła odwrót. Polskie straty były wysokie, a największe poniósł 4 pułk. Pojawiły się nawet głosy, że straty były zbyt wysokie, że „zagończyk” Roja nadmiernie szafuje krwią swoich żołnierzy. Sarkastycznie komentował czwartacką brawurę siedemnastoletni uczestnik bitwy Karol Bunsch. W swoim wspomnieniu po latach znakomity pisarz zanotował: *Podobno wygraliśmy bitwę, ściągając na siebie rosyjskie rezerwy. Puskaj budżet! Jeszcze ze trzy razy, a będzie jeden waleczny a jest to pułk czwarty. Na szczęście tak dobrze nie było. Ruszamy w pościg włokąc nogi w upale po zakurzonej gościńcu, może dogonilibyśmy żółtwa. Nikt się zresztą nie pali, wszyscy wyprani z sił.*

Nazajutrz, 1 sierpnia, wstał dzień równie gorący, jak poprzedni. 4 pułk wraz z I Brygadą oraz 41 Dywizją armii austriackiej ma wyrzucić Rosjan ze stanowisk na południe od rzeki Ciemięgi. Choć Piłsudski postanowił oszczędzać swoich żołnierzy, to Czwartacy, jakby na przekór atakują zawzięcie, nie licząc się z kosztami. Bataliony E. Szerauca i A. Galicy były już blisko osiągnięcia celu, lecz zabrakło wsparcia innych jednostek. O godzinie 2. wstrzymano natarcie. I znów padały zarzuty zarówno pod adresem Roi, jak i Piłsudskiego, że nie powstrzymali młodego pułku przed niepotrzebną brawurą.

Trzeci dzień bitwy. Komendy postanawiają działać ostrożniej, bez zbytniego ryzyka. Lecz znów: *Kule gęsto przelatują, ucho towi je, jak różne formy orkiestry w szaleństwie skomponowanej. Dziwnie bogata skala ich wygłosu jako i skala uczuć – jeśli tak rzec można..* [Władysław Orkan]. I dalej: *Na tąkę pod las znoszą sanitariusze rannych. Cały ich pokos. Przykro patrzeć. Jakiś bezsens potworny staje przed oczami.*

Wojna! Dnia 2 sierpnia 1915 r. poległo lub zostało rannych 16 oficerów oraz 150 szeregowych. Tego dnia do Polaków walczących pod Jastkowem dotarła radosna wiadomość o upadku twierdzy Iwangrodzkiej (Dęblińskiej). Znajdujący się blisko rosyjskich okopów legioniści, w tym Czwartacy, zostali ostrzelani, gdyż wybuch radości w polskich szeregach Rosjanie potraktowali jako zapowiedź ataku. Tak, czy owak, upadek twierdzy Dęblin musiał oznaczać ich rychły odwrót. Nastąpiło to w ciągu najbliższych godzin. Wystąpił o godz. 2. w nocy patrol II i III batalionu potwierdził nieobecność Rosjan. Fakt ten natychmiast zdyskontował ppłk Roja, przeprowadzając o godz. 3. swój pułk do Jastkowa. W drodze Czwartacy mijali linie opuszczonych rosyjskich okopów, w których znajdowały się masy niepochowanych ciał. W budynku dworskiej gorzelni odkryto 85 martwych żołnierzy. Dla młodych i nie zaprawionych jeszcze w bojach Czwartaków były to widoki wstrząsające.

Po bitwie, 3 sierpnia, w rozkazie Komendy Korpusu oraz Komendy Legionów, 4 pułk otrzymał słowa pochwały. Rozkaz wydał także dowódca pułku, który

zaapelował do oficerów, *aby się więcej oszczędzali i, by się okopywali.* Bilans trzydniowej bitwy był dla 4 pułku bolesny. Nie ma pewnych informacji dotyczących strat. Roja początkowo informował Komendę Legionów o stracie około 200 ludzi, w tym 3 komendantów kompanii oraz 18 oficerów. Rok później w czasie obchodów rocznicy powstania pułku mówił o 42 zabitych oraz 100 rannych. Doniesieniom o nadmiernej brawurze zaprzeczał w swoim liście do żony Władysław Orkan: *O bitwie pod Jastkowem po dziś dzień różne komentarze krążą. Tymczasem pułk, dokąd go widziałem, trzymał się mimo trudów niezwykłych znakomicie i – ufność, że i teraz tak samo się trzyma, tak samo niosą się czwartacy [...] O czwartakach bajki puszczają i oszczerstwa. Nie wierz niczemu. Straty pod Jastkowem były, ale i sukces niezwykły.*

3 sierpnia trwało grzebanie poległych Czwartaków na prowizorycznie urządzonym cmentarzu. Duszpasterską posługę sprawował ks. Stanisław Żytkiewicz.

Bój po Jastkowem przeszedł do historii jako jeden z największych na terenie Królestwa Polskiego z udziałem Legionów Polskich podczas I wojny. Po raz pierwszy polskie oddziały miały na polu bitwy tak dużą samodzielność, a o przebiegu walki w dużym stopniu decydowały rozkazy Komendy Legionów, Komendanta I Brygady oraz dowódców pułków. Jastków stał się też symbolem braterstwa broni między żołnierzami I Brygady i Czwartakami. Znajdzie to swój wyraz rok później w okresie „kryzysu przysięgowego”, gdy 4 pułk ramie w ramie z I Brygadą poprze akcję Józefa Piłsudskiego.



Cmentarz wojenny w Jastkowie w dn. 3.08.2015 r.

Od 3 sierpnia Rosjanie kontynuowali odwrót, a Czwartacy szli ich tropem. W sierpniu pułk stoczył kolejne boje: pod Wolą Ossowińską, Rośną i Palinówką. Nieprzyjaciół kontynuował swoje barbarzyńskie dzieło zniszczenia, paląc kolejne wsie. Pierwszy okres bojowy Czwartacy zakończyli 27 sierpnia 1915 r., gdy stanęli we wsi Palinówka nieopodal Brześcia nad Bugiem. Rozkaz dowódcy austriackiej 4 Armii głosił: *Podległym mi oddziałom Polskich Legionów wyrażam za ich w ostatnich walkach okazaną wprost znakomitą postawę, dziarskość i celową dyscyplinę wojсковą pochwalne uznanie Komendy Armii.*

W początku 1924 r. lubelscy legioniści postanowili na cmentarzu wojennym w Jastkowie wybudować pomnik ku czci poległych. 9 i 10 sierpnia tego roku odbył się w Lublinie III zjazd Związku Legionistów Polskich z udziałem Marszałka Józefa Piłsudskiego. Postanowiono, że pomnik zostanie wybudowany na 15 – lecie bitwy Jastowskiej. Wobec narastających dyskusji oraz kłopotów ze zgromadzeniem stosownych funduszy, ten termin okazał się zbyt krótki. Ostatecznie monument stanął w roku 1931.



Pamiątkowa tablica na budynku szkoły odstonięta 3 sierpnia 2015 r.

W 1926 r. z kolei władze szkolne w Lublinie podjęły decyzję o wybudowaniu w Jastkowie Publicznej Szkoły Powszechnej, jako Pomnika Czynu Legionowego. W dwupiętrowym budynku według projektu Bohdana Kelles – Krauzego edukacyjną działalność rozpoczęto w październiku 1930 r. Dnia 4 czerwca 1931 r. szkoła

otrzymała swój sztandar, a uroczystość uświetnił Prezydent RP profesor Ignacy Mościcki. W 1934 r. szkole nadano imię Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Obecnie zespół szkół stanowią Szkoła Podstawowa im. Tadeusza Kościuszki oraz Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. Jednym z podstawowych zadań wychowawczych placówki jest opieka nad cmentarzem wojennym oraz kultywowanie pamięci o żołnierzach Legionów Polskich poległych w krwawej bitwie pod Jastkowem. Z tego zadania nauczyciele i uczniowie wywiązują się znakomicie. Corocznie w rocznicę bitwy na cmentarzu jastkowskim oraz w murach szkoły odbywają się wzruszające uroczystości. Dnia 3 sierpnia tego roku obchodzono stulecie bitwy. Na cmentarzu wojennym, a następnie w szkole spotkali się ci, którym czwartackie tradycje są szczególnie bliskie. Uroczystą mszę świętą celebrował ordynariusz lubelski arcybiskup Stanisław Budzik, który poświęcił także nową tablicę pamiątkową na budynku szkoły.

Piękna inscenizacja historyczna przygotowana przez uczniów świadczy, że szkoła świetnie wypełnia ideowe przesłanie Czwartaków spoczywających w jastkowskiej ziemi.

Od wielu lat z władzami gminy Jastków oraz z zespołem szkół zaprzyjaźnione jest kieleckie Stowarzyszenie Żołnierzy i Sympatyków 4 pp Leg. Przedstawiciele szkoły oraz władz gminy Jastków odwiedzają co roku Kielce z okazji święta pułkowego na kieleckiej Bukówce, z kolei delegacja stowarzyszenia z Kielc każdorazowo uczestniczy w obchodach rocznic bitwy pod Jastkowem. Tak było i tym razem. Skromny, lecz piękny i nadzwyczaj zadbane wojenny cmentarz legionowy pod Lublinem wzrusza, uczy i wychowuje.

Fot. autor

Wybrana literatura:

- Bunsch K., *Bratem udział w bitwie pod Jastkowem*, „Tygodnik Powszechny” 39, 1985.
- Czerep S., *II brygada Legionów Polskich*, Warszawa, 1991.
- Idzik A., *Czwarty Pułk Piechoty 1806 – 1966*, Londyn, 1966.
- Idzik K., *Kielce miasto tradycji legionowych*, Kielce, 2005.
- Idzik K., *Artyleria i piechota w Kielcach 1919 – 1939*, Kielce, 2012.
- Konefat J., *Legiony Polskie w Lubelskiem 1914 – 1918*, Lublin, 2000.
- Konefat J., *Jastków 1015. Historia i pamięć*, Lublin, 2003.
- Lenartowski H., Pochmarski B., Teslar J. A., *Szlakiem bojowym Legionów*, Lwów, 1915.
- Lewicki A., *Zarys historii wojennej 4 Pułku Piechoty Legionów Polskich*, Warszawa, 1929.
- Milewska W., Nowak J., Zientara M., *Legiony Polskie 1914 – 1918*, Kraków, 1998.
- Orkan W., *Drogą Czwartaków*, Kraków, 1915.
- Osiecki J., Wyrzycki S., *4 Pułk Piechoty Legionów*, Kielce, 2007.
- Piętnastolecie 4 P.P. Leg. Jednostki, Kielce, 1930.
- Roja B., *2 Pułk Piechoty Legionów Polskich*, Warszawa, 1939.
- Teslar J. A., *Czwarty Pułk. Rok Działania 4 P.P. Legionów od dnia 10 maja 1915 roku do dnia 10 maja 1916 roku*, Lwów, 1916.

Dr Janusz Gmitruk
dyrektor Muzeum Historii Ruchu Ludowego

Insurekcja Kościuszkowska 1794 roku, rozpoczynająca serię polskich powstań narodowych, powiązała polskich chłopów z ideą Ojczyzny, z ideą niepodległości polskiego państwa i narodu. Dnia 24 marca 1794 r. Naczelnik ogłosił na krakowskim Rynku akt powstania:

„Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w Obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Męka Syna Jego”.



Tadeusz Kościuszko. Staloryt z lat 30.XIX wieku

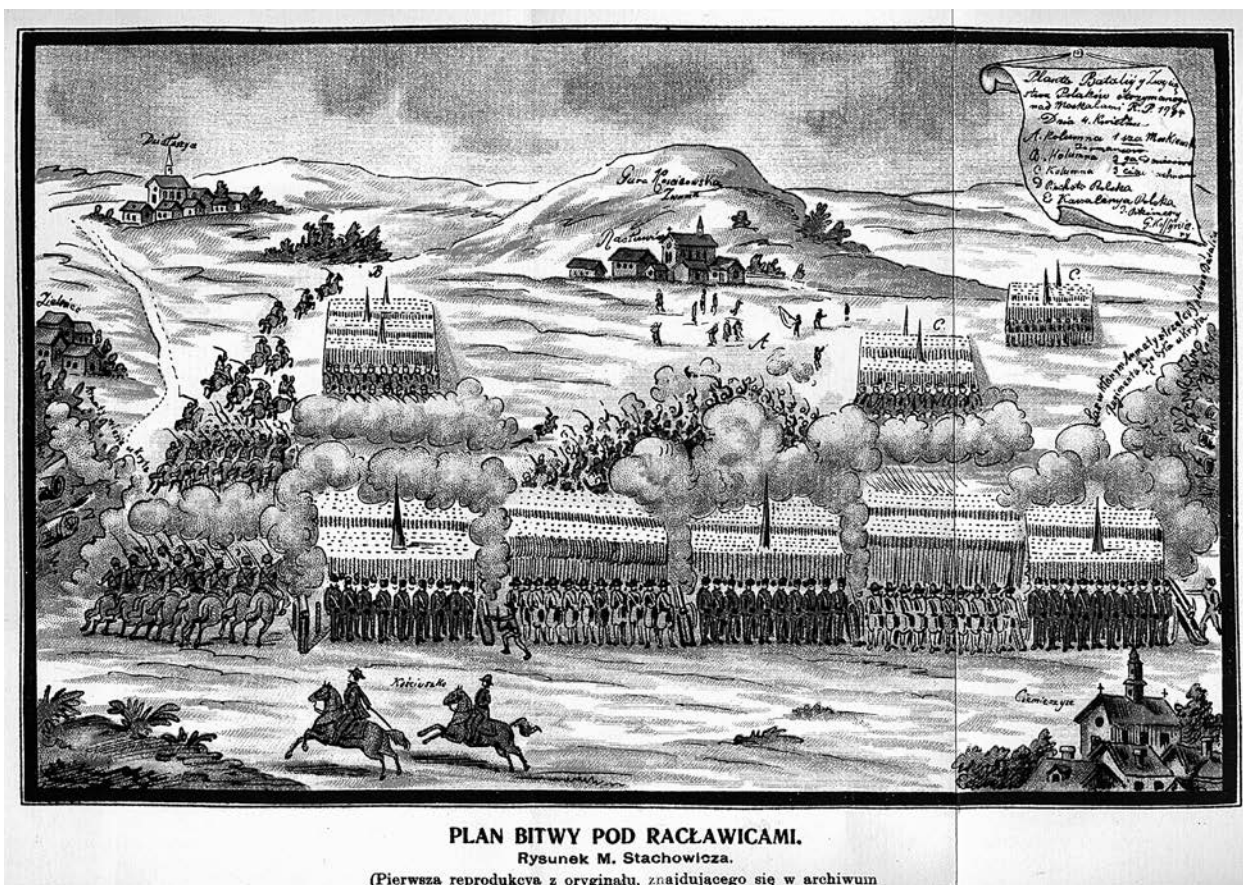
4 kwietnia 1794 r., o świcie, pod Racławicami powstała armia pod wodzą samego Tadeusza Kościuszki, licząca zaledwie 6200 ludzi – w tym 1920 kosynierów krakowskich – stoczyła całodzienną bitwę z oddziałami rosyjskimi gen. Tormasowa zagrażającymi jej drogę w kierunku na Warszawę. Mógł tę bitwę Kościuszko przegrać, gdyż część kawalerii uciekła z pola walki. Nie zawiedli jednak krakowscy chłopci trzymani w odwodzie. W decydującym momencie zmagani wojennych, aby rozbić centrum wojsk rosyjskich, Kościuszko sformował grupę szturmową złożoną z 320 kosynierów i 4 kompanii wojska, która zdobyła nieprzyjacielską baterię, a po wzmocnieniu przez kosynierów rozbiła centrum wojsk rosyjskich. Dalsze ataki regularnej piechoty wspierane przez kosynierów zmusiły do wycofania się wojsk gen. Tormasowa na wschód.

Choć z militarnego punktu widzenia zwycięstwo pod Racławicami było jedynie epizodem wojny polsko-rosyjskiej, bitwa ta odegrała rolę niezwykle ważną. Była pierwszą walką zwycięską, która mocno wpłynęła na morale Polaków i stała się sygnałem do podjęcia walki na terenie całej Rzeczypospolitej. Na polach Racławic po stronie polskiej objawiło się nowe wojsko. Obok żołnierza regularnego pojawili się chłopci uzbrojeni tylko w kosy i piki, w ramach świeżo tworzonej milicji. Właśnie ci niewyszkoleni chłopci stanowili w bitwie główną siłę uderzeniową.

Zwycięstwo chłopskich kosynierów pod Racławicami miało wielki wymiar moralny. Najliczniejsza grupa społeczeństwa, przez wieki pogardzana i poniżana – polscy chłopci pierwszy raz w historii zostali docenieni, a ich sprawy po raz pierwszy dostrzeżone. Wyrazem tego były postanowienia Uniwersału połanieckiego. W dowód uznania chłopskiego czynu 16 sierpnia 1794 roku w Warszawie Tadeusz Kościuszko osobiście wręczył kosynierowi Stanisławowi Dobrosiowi chorągiew, na której wyhaftowany był snop żyta, obok którego znajdowały się skrzyżowana pika z kosą, czapka magierka, a na karmazynowym płacie hasło „Żywią i bronią”. Fundatorem chorągwi była wojewodzina brzesko-litewska Tadeuszowa z Kleistów Zyberkowa. Wręczeniu chorągwi nadano uroczystą oprawę. Miała ona unaocznic udział chłopów w powstaniu oraz fakt, że byli żywicielami i obrońcami Ojczyzny. Najgłębiej jednak w chłopskiej świadomości z Insurekcji Kościuszkowskiej utkwiał obraz Bartosza Głowackiego, bohatera spod Racławic. Powszechnie był znany fakt awansowania go do stopnia chorążego za męstwo w czasie bitwy i zdobycie nieprzyjacielskiego działu.

Postać Tadeusza Kościuszki – bohatera narodowego Polski i USA – stała się legendą i przedmiotem kultu. Już dla wielu współczesnych był uosobieniem niezawisłości i sprawiedliwości, ostatnim obrońcą upadającej Polski. Dla kolejnych pokoleń stał się symbolem niepodległościowych dążeń Polaków i emancypacji chłopów, wzorem osobowym, na którym orędownicy idei niepodległości pragnęli wychować społeczeństwo polskie. Sława i chwała Tadeusza Kościuszki to nie tylko Racławice i chłopscy kosynierzy, bitwa pod Dubienką, zdolności dowódcze wodza insurekcji 1794 r. To także obywatelska wrażliwość Naczelnika na chłopską krzywdę.

Chylimy dziś czoła przed mądrością tego, który zrozumiał, że „bez chłopów Polska na niepodległość się nie wybije”. Tradycja kościuszkowska miała szczególne



znaczenie w kształtowaniu świadomości narodowej chłopów i ich emancypacyjnych dążeń. Rodzący się u schyłku XIX wieku ruch ludowy nawiązywał do chlubnych tradycji walk chłopskich o niepodległość. Szczególnie silnie eksponował zwycięstwo Tadeusza Kościuszki pod Racławicami w 1794 r., do którego w zdecydowanej mierze przyczynili się chłopscy kosynierzy z Bartoszem Głowackim na czele.

Tradycja kościuszkowska miała wymiar międzyzaborowy. Książki o Tadeuszu Kościuszcze, które trafiły pod strzechy chłopskie, budziły patriotyzm narodowy. Przykładem tego był Wincenty Witos, który czytając o historii Polski i dziejach wsi, a zwłaszcza o powstaniu kościuszkowskim, przeżywał razem z rodziną radość i uniesienie z odnoszonych zwycięstw Tadeusza Kościuszki, udziału w nim chłopów, jak i ból klęski, niewoli i prześladowania. Rodziło się wtedy uczucie i pragnienie niepodległości wśród chłopów i ludowców.

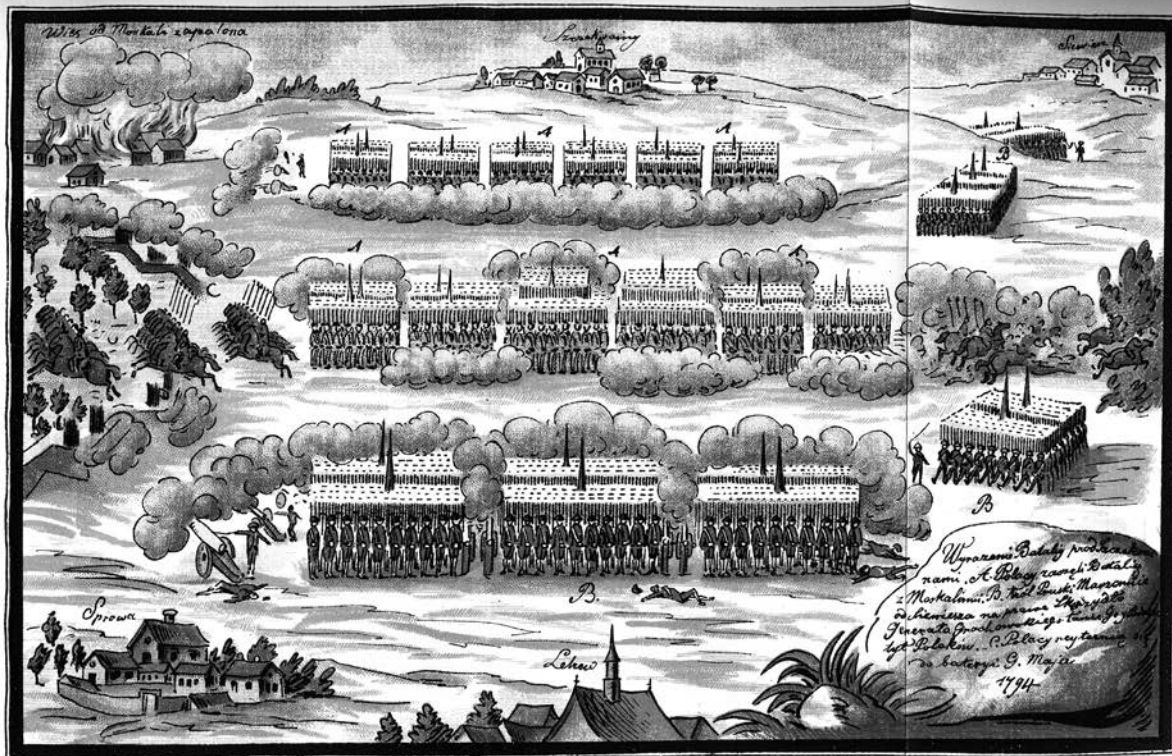
Postać Tadeusza Kościuszki przywódcy ruchu ludowego często przywoływali w swoich wystąpieniach na wiecach, na łamach prasy, w przemówieniach parlamentarnych. Idee kościuszkowskie i mity powstałe wokół postaci Naczelnika uznawano za cenne spoiwo i tworzywo. Bitwa racławicka i bohaterstwo Bartosza Głowackiego miały umożliwić chłopom zrozumienie ich roli w społeczeństwie. Sprzyjały kształtowaniu dumy z przynależności do warstwy chłopskiej, poczucia siły i roli chłopów w życiu narodu i państwa polskiego.

Prasa ludowa w 1894 roku uroczystie obchodziła setną rocznicę powstania kościuszkowskiego. Z wielu

listów i korespondencji nadestanych do „Przyjaciela Ludu” z okazji obchodów przebiła дума z tego, iż to właśnie chłopci w najbardziej krytycznych dla Polski momentach brali udział w obronie jej niepodległości. Jeden z korespondentów „Przyjaciela Ludu” pisał w numerze 7 z 1 kwietnia 1895 r.:

„Dnia 4 kwietnia przypada dla narodu polskiego sławna rocznica; w dniu tym wstanie polscy okryli się wiekopomną sławą. W walce z wrogami Ojczyzny okazali się mężnymi i bohaterskimi, że sława ich żyje i żyć będzie, dopóki Polski i ludu polskiego”.

Bitwa racławicka została uhonorowana w szczególny sposób w uchwale Polskiego Stronnictwa Ludowego, ustalającej 4 kwietnia dniem Święta Ludowego. Święto to ludowcy po raz pierwszy obchodzili w 110. rocznicę insurekcji, czyli w 1904 roku. Dla uczczenia rocznicy 14 numer „Przyjaciela Ludu” poświęcony został tematycznie kościuszkowski. Już same tytuły artykułów: „Kościusko i Racławice dla nas wzorem są czy Tadeusz Kościusko” to pierwszy ludowiec polski – wskazują na doniosłość historycznych wydarzeń Insurekcji Kościuszkowskiej dla ruchu ludowego. Czytamy w nich, że Kościusko, „wciągając lud pracujący na roli do pracy rycerskiej, utworzył z niego pierwsze stronnictwo ludowe. Stronnictwo to upadło »przemocą wroga«, ale pozostali następcy Kościuszki – »przewodnicy ludowi«. A chłopską kosę – znak stronnictwa ludowego Kościuszki – zastępuje po 110 latach gazeta chłopska »Przyjaciel Ludu«. Jest to znak naszej ludowej potęgi. Garnijmy się licznie [pod ten znak], pracujemy wytrwale i zgodnie, a wywalczymy to wszystko, co Kościusko



PLAN BITWY POD SZCZĘKOCINAMI.

Rysunek M. Stachowicza.

(Pierwsza reprodukcja z oryginału, znajdującego się w archiwum hr. Tarnowskich w Dziadowie.)

pragnął wywalczyć dla polskiego ludu. Starajmy się tępić wady nasze: przekupstwo, zdradę, oszukaństwo, samolubstwo, zdzierstwo, obłudę, służalstwo, jako podłe grzechy narodowe, a natomiast nabywajmy cnoty obywatelskie, które dają się zebrać w dwóch przykazaniach ludowo-narodowych: oświecamy się i wspieramy wzajemnie”.

„Przyjaciel Ludu” podkreślał, że Racławice były „chrztem obywatelskim” chłopu polskiego i że to Bartosz Głowacki wywalczył chłopu to prawo do obywatelstwa. Bo jest w chłopie polskim nie tylko wielka siła fizyczna, ale i ogromna siła ducha, a co najważniejsze, jest ogromna miłość do ziemi i języka ojczystego. Najlepiej widać to w zaborze pruskim, najbardziej zagrożonym dla polskości. Naród polski „ostał się i stoi [tam] jedynie siłą chłopu polskiego. Podobnie lud śląski pokazuje, jak duch narodowy odżył w nim po sześciowiekowym letargu”.

Uroczystości kościuszkowskie upowszechniły się na wsi i w latach następnych miały charakter narodowy i patriotyczny. Były dobrą okazją, aby uświadamiać rolę, jaką chłop może i powinien odgrywać w państwie. Dał temu szczególny wyraz Jakub Bojko 11 sierpnia 1897 r. na uroczystości złożenia serca Tadeusza Kościuszki w muzeum w Raperswilu. Powiedział wówczas:

„Z dala od drogiej Ojczyzny dziś tutaj zebrani nad jego smutnymi losami, a także z cziłą pochować przybyliśmy najdroższe dla nas wszystkich serce Tadeusza Kościuszki. Zapyta kto: »za co wy tego Kościuszkę tak kochacie, wszak on wam nie wy-

walczył bytu politycznego, wszak my mieli jeśli nie zdolniejszych, to szczęśliwszych od niego wodzów». Kochamy go za to, że ocalił honor Ojczyzny, że pokazał, która właściwa droga do odbudowania tej Ojczyzny [...] to my, polskie chłopy, winniśmy cześć i wdzięczność dla tego serca, które kochało przede wszystkim nasz lud siermiężny, które przeczuło nas i pokazało Polsce, że ci, co żywią, potrafią bronić [...] To był człek w Polsce pierwszy, który się poznał na polskim chłopie, pierwszy wielki polski ludowiec”.

Po upadku powstania kościuszkowskiego były inne powstania pełne nadziei na zwycięstwo – listopadowe i styczniowe – które zakończyły się również klęską i wielką traumą narodową. Wykrwawione w zrywach powstańczych, wyniszczone przez represje oraz poddane wynaradawiającym reżimom zaborczym społeczeństwo polskie zbierało siły w pracy organicznej. Dawato także wyraz swych aspiracji wolnościowych w działalności kulturalnej i w ruchach o charakterze socjalnym.

Niewygaszone w narodzie iskry nadziei na odzyskanie bytu niepodległego wybuchły wielkim płomieniem dopiero w okresie I wojny światowej, o którą tak modlił się byt wieszcz:

O wojnę powszechną za wolność ludów!
Prosimy Cię Panie.
O broń i orły narodowe.
Prosimy Cię Panie [...]
O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej.
Prosimy Cię Panie.

Modlitwy Pan wystuchał. Polskie społeczeństwo było już do niej uzbrojone politycznie w działalności ruchu ludowego, narodowego i socjalistycznego. Tysiące młodych Polaków, w tym wielu synów chłopów i robotników, działało w paramilitarnych związkach niepodległościowych, a także walczyło w armiach zaborczych. W latach I wojny światowej chłopci przelewali najwięcej krwi na frontach wojny. Ludowcy mieli swoich przedstawicieli w 17 reprezentacjach narodowo-politycznych.

Niepodległość nie przyszła sama. Naród, zdecydowany ją odzyskać, sięgnął po nią, gdy tylko nadeszła stosowna chwila – w listopadzie roku 1918. Z odzyskaną wolną Ojczyzną chłopci i ludowcy wiąźali wielkie nadzieje. Wierzyli, że dlatego tylko bezrolny nie miał ziemi, głodny chleba, łaknący wiedzy – oświaty, ponieważ wrogowie rządili Polską. Wierzone, że w Polsce niepodległej wszystko zostanie naprawione. Przebudzenie społeczeństwa wiejskiego ze snu o wymarzonej Polsce było brutalne. Rodząca się w bólach po wiekowej niewoli druga niepodległość potrzebowała nie tylko mądrych decyzji politycznych, lecz także wysiłku oręża polskiego.

W dramatycznych dla Polski chwilach w 1920 r. o losach kraju zdecydował chłopski żołnierz, a przywódca chłopów polskich Wincenty Witos kierował Rządem Obrony Narodowej. Swoją postawą chłopci polscy urzeczywistniali wówczas kościuszkowskie hasło – „Żywią i bronią”, bo to oni głównie żywili i dostarczali wojsku ubrania, buty, bieliznę, konie, wozy. Ich synowie zaś walczyli z bronią w rękę, ginąc, odnosząc rany. Po zakończeniu wojny Wincenty Witos jeszcze dwukrotnie pełniąc funkcję premiera rządu II RP, chciał, aby hasło „ziemia, władza i oświata dla ludu” zostało zrealizowane. Ale chłopci nie byli potrzebni do współrządzenia państwem. Pucz wojskowy Józefa Piłsudskiego w maju 1926 r. zniszczył nadzieje większości społeczeństwa polskiego na wolność, demokrację i godne życie.

Chłopów i ludowców odesłano „do widet i gnoju”. Poniewierano politycznie, więziono, zmuszano do emigracji. W dramatycznej sytuacji znalazło się młode pokolenie wsi polskiej, głodne, biedne, bez szansy na dostęp do oświaty i do pracy. Było to stracone pokolenie. Wszystkiego mu brakowało oprócz miłości do Ojczyzny.

We wrześniu 1939 r. w obronie Ojczyzny gotowych było walczyć 4 miliony młodych Polaków. Zabrakło jednak dobrego kierownictwa politycznego, dobrej organizacji i dowodzenia na polu bitwy.

Chłopci i polityczny ruch ludowy nie zawiódł narodu w czasie długiej i okrutnej okupacji. Działacze ludowi budowali struktury Polskiego Państwa Podziemnego, najsilniejszej konspiracyjnej partii politycznej – Stronnictwa Ludowego „Roch”, którego przedstawiciele tworzyli koalicyjny rząd polski na emigracji w Londynie. Utworzyli pierwszą w dziejach Polski własną siłę zbrojną – Bataliony Chłopskie.

To w latach 1940–1945 zmaterializowała się wizja Tadeusza Kościuszki zorganizowania wielkiej armii obywatelskiej.

Decyzja powołania przez ludowców Batalionów Chłopskich była samodzielną, odpowiedzialną i patriotyczną. 160-tysięczna armia wspierana przez 20-tysięczny konspiracyjny Ludowy Związek Kobiet, a także struktury polityczne SL „Roch”, liczące 60 tysięcy działaczy – stanowiły potężną strukturę społeczno-polityczną i wojskową, która miała swoją wielką bazę na wsi polskiej.

Po raz pierwszy od upadku powstania styczniowego organizatorzy czynu zbrojnego wyciągnęli wnioski. Walka i konspiracja w okupowanym kraju opierała się głównie na wsi i chłopach.

Chłopci i ludowcy nieśli pomoc ludziom skazanym przez okupanta na zagładę: Żydom, jeńcom radzieckim i włoskim, inteligencji, wysiedlonym i poszukiwanym przez okupanta. Solidarność chłopów kierowanych przez ruch ludowy uchroniła naród polski od zagłady biologicznej. Nie obyło się bez ofiar. Zginęło 1300 tys. mieszkańców wsi i 10 tys. ludowców.

Poeta ludowy napisał:

„Na męczennikach bowiem stoi świat, na krwi niewinnie przelanej kształtuje moc ludzka w walce odwiecznej o dobro, prawdę i piękno. Na proach ludzi szlachetnych rodzą się apostołowie, którzy zmieniają porządek świata”. Ustalony po Jącie powojenny porządek świata na kolejne 50 lat oddał Polskę pod dominację Związku Radzieckiego. Był to czas uzależnienia ideologicznego i państwowego, ale też okres pokoju i odrodzenia się narodu w granicach piastowskich.

Przez krótki czas Polskie Stronnictwo Ludowe apelowało jeszcze do demokracji Zachodu i do umysłów Polaków o Polskę wolną i demokratyczną, zbudowaną na chrześcijańskim fundamencie. Nadzieje narodu zabraty fałszerstwa wyborcze komunistów, tak jak sanacji w latach trzydziestych.

Chłop przywiązany do tradycji, Kościoła i ojcowizny, bronił swej niezależności. Nie złamała go nagonka propagandowa, najazdy komorników rekrutujących narzędzia, zbiory i przedmioty codziennego użytku. Nie przeraziły go drakońskie podatki, przymusowe dostawy. W tej heroicznej walce wieś pełniła rolę bastionu polskości. Chłopci, broniąc ziemi, bronili wolności.

Prymas tysiąclecia – kardynał Stefan Wyszyński w 1957 r. podczas pobytu w Rzymie przekazał swą opinię o polskich chłopach:

„Mają żywe poczucie wiary i tradycji, szanują pracę i kochają ziemię. Pomagają często ludności miejskiej w walce z głodem i nędzą. Nie znoszą komunizmu i przywiązani są do własności. Ich to przeważnie staraniem wznoszone są nowe kościoły i oni też utrzymują, dzięki swej ofiarności, księży i wiejskie parafie. Bez nich Polska nie mogłaby istnieć. Oni ją żywią i bronią spuścizny, nie tylko w materialnym znaczeniu. Jest to warstwa najzdrowsza fizycznie, ekonomicznie i społecznie”.

Bodzentyn to miasto o bogatej przeszłości, położone w centrum Gór Świętokrzyskich nad rzeką Psarką, założone w 1355 r. przez biskupa Jana Bodzantę. Wówczas, stanowiło na Kielecczyźnie jeden z administracyjnych ośrodków rozległych dóbr biskupów krakowskich.

W 2. połowie XIV w. biskup Florian z Mokrza wybudował okazały zamek, obecnie zachowany jako trwała ruina. W 1413 r. król Władysław Jagiełło, po wielkim pożarze, na mocy prawa magdeburskiego nadał Bodzentynowi ponownie prawa miejskie, które miasto posiadało do 1869 r. Przywrócono je dopiero w 1994 r.

Największy rozkwit miasta nastąpił w XV i XVI w. W zamku przebywał Władysław Jagiełło, który pielgrzymując na Święty Krzyż przed bitwą pod Grunwaldem przyjął tutaj postów z Pomorza. W tym czasie zamek bodzentyński, po przebudowie w stylu renesansowym, pełnił rolę ośrodka kultury humanistycznej. Jednym z gości miał być sam Jan Kochanowski. Bodzentyński zamek był jednym z ulubionych miejsc biskupów krakowskich. Jego rozbudowa trwała cały czas. W ten sposób z obiektu o charakterze typowo obronnym stał się pałacem o cechach barokowych. Szczególnie upodobał go sobie biskup Jakub Zadzik – kanclerz wielki koronny, mąż stanu, bardzo zręczny dyplomata. Prowadził rokowania ze Szwedami i Moskwą, był też rozjemcą w wewnętrznych sporach w kraju.

W okresie kiedy Bodzentyn znajdował się pod władzą kościelną, znakomicie się rozwijał. Szybko stał się centrum jednego z kluczy dóbr biskupstwa krakowskiego, co gwarantowało jego mieszkańcom dobrobyt. Liczne przywileje korzystnie wpływały na rozwój gospodarczy.

Biskupi krakowscy pełnili niezwykle ważną rolę w dziejach Państwa Polskiego. Biskup Jan Bodzanta to założyciel miasta, ale w jego historii zapisały się też inne wielkie postaci jak bp Wojciech Jastrzębiec; za jego czasów dokonano ponownej lokacji miasta; bp Piotr Wysz, który ustanowił targ, jarmarki i inne prawa pozwalające na rozwój handlu i rzemiosła; kardynał Zbigniew Oleśnicki fundator kolegiaty w poł. XV w.; bp Franciszek Krasiński, uczony i humanista; bp Andrzej Trzebicki budowniczy ratusza w 1670 r.; bp Konstanty Felicjan Szaniawski, który w okolicy urządzał fabryki żelaza, pomnażając dochody miasta.



Dobrze zachowany portal bramy wjazdowej do bodzentyńskiego zamku. Fot. Jerzy Osiecki

Trzeba pamiętać, że działalność biskupów w Bodzentyńce to nie tylko profity duchowe, religijne, kulturalne, ale także gospodarcze, dynamizujące aktywność jego mieszkańców. Ten wielki poczet biskupów związanych z historią miasta zamyka Święty Jan Paweł II Papież, który w 1974 r. przebywał w Bodzentyńce jako Metropolita Krakowski.

W 1789 r. dobra biskupie zostały przejęte przez państwo na mocy uchwały Sejmu Czteroletniego. Podczas zaborów miasto było ważnym miejscem działalności patriotycznej. Jego ludność aktywnie brała udział w Powstaniu Styczniowym.

W latach II wojny światowej Bodzentyn stanowił jeden z najbardziej znaczących ośrodków walk z niemieckim okupantem. Symbolem tego jest pomnik i mogiła 39 osób rozstrzelanych przez Niemców na Dolnym Rynku 1 czerwca 1943 r.

Do obecnego dnia zachował się układ urbanistyczny, odzwierciedlający rozwój przestrzenny miasta. Starsza część z Górnym Rynkiem w pobliżu kościoła i zamku otoczona była niegdyś murami, z których

zachowały się fragmenty. Młodsza, powstała w XIX w. na wschód od Dolnego Rynku, tworzyła tzw. Nowe miasto. Wizytówką Bodzentyna są wysokie mury dawnego zamku – pałacu, z otworami okiennymi i późnorenesansowym portalem bramy wjazdowej. Nad rzeką Psarką zachowało się pięć stawów z groblami, stanowiących niegdyś tzw. ogród wodny.

Niedaleko ruin rezydencji znajduje się kościół parafialny pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i św. Stanisława Biskupa i Męczennika. Świątynia została wzniesiona w połowie XV wieku i zachowała swój pierwotny gotycki charakter. We wnętrzu znajduje się wiele cennych zabytków, m.in. kamienna chrzcielnica z 1492 r. Największą uwagę przykuwa jeden z najpiękniejszych w Polsce renesansowy ołtarz z bogatą dekoracją snycerską, w głównej części ze sceną Ukrzyżowania Pana Jezusa namalowany w latach 1546–1547 przez Piotra z Wenecji.



Ołtarz główny w kościele parafialnym. Fot. Jerzy Osiecki

Jednym z najcenniejszych zabytków polskiej sztuki sakralnej jest gotycko-renesansowy tryptyk Zaśnięcie Najświętszej Panny Marii z 1508 r. Jego autorstwo przypisuje się przebywającemu w kręgu Wita Stwosza Marcinowi Czarnemu.

Po prawej stronie głównego ołtarza usytuowany jest renesansowy nagrobek Franciszka Krasińskiego, podkanclerzego królewskiego w czasach Zygmunta Augusta, zmarłego w 1577 r. Wypukła rzeźba wykonana w czerwonym marmurze chęcińskim przedstawia zmarłego w pozycji leżącej, ubranego w szaty uroczyste.

Drugą świątynią jest kościół św. Ducha, ufundowany poza murami miasta w 1475 r. przez biskupa Jana Rzeszowskiego. W 1. połowie XVII w. na jego miejscu wzniesiono kościół murowany. Kościół sponął, tak jak prawie całe miasto, w czasie wielkiego pożaru w 1917 r. Przez prawie 100 lat obiekt pozostawał jako zabezpieczona ruina. Kilka lat temu z inicjatywy proboszcza dr. Leszka Sikorskiego został odbudowany.

Wśród innych obiektów Bodzentyna zwraca uwagę drewniana Zagroda Czernikiewiczów, charakterystyczną dla XIX-wiecznej zabudowy małych miasteczek.

Nieodłącznym elementem krajobrazu miasta są trzy cmentarze. Na największym rzymskokatolickim znajduje się wiele nagrobków o wartościach historycznych i artystycznych. Drugi to cmentarz żydowski, na którym zachowało się blisko 80 macew, upamiętniających przedstawicieli społeczności żydowskiej miasta. Trzecim jest cmentarz z I wojny światowej, na którym spoczywa 71 żołnierzy armii niemieckiej, austro-węgierskiej i rosyjskiej poległych w 1914 i 1915 r. w czasie walk toczonych w okolicy.

Z Bodzentyna pochodzą osoby zasłużone dla rozwoju gospodarki, oświaty, kultury. W 1833 r. w Bodzentynie urodził się znany malarz pejzażysta Józef Szermentowski.



Płyta na murze kościoła parafialnego poświęcona Józefowi Szermentowskiemu. Fot. J. Osiecki

W latach I wojny światowej 30 i 31 października 1914 r. przebywał w mieście Komendant Józef Piłsudski ze swoimi strzelcami, biorącymi udział w operacji warszawsko-dęblińskiej. Fakt ten upamiętnia pamiątkowa tablica.

W 1904 r. w mieście powstało jako jedno z najstarszych na Kielecczyźnie Towarzystwo Ochotniczej Straży Ogniowej, kilka lat później Koło Polskiej Macierzy Szkolnej.

W Bodzentynie znajduje się siedziba dyrekcji Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Teren parku został objęty ochroną w ramach Sieci Natura 2000. Okolice miasta to unikalna przyroda: lasy jodłowo-bukowe, zróżnicowana roślinność, różnorodna fauna. To wspaniałe krajobrazy niezaktócone przemysłem,

leśne uroczyska, łąki, przebijające się przez wąwozy strumienie.

Bodzentyn to miasto położone na wzgórzu z doskonale widoczną imponującą bryłą gotyckiego kościoła i przylegającą u jego podnóża zabudową. Miejscowość odwiedzana w XIX i XX wieku przez podróżników i turystów, malowana i rysowana przez wielu artystów, opisywana przez miłośników starożytności. To miasto, w którym warto zatrzymać się w czasie wędrówek po ziemi świętokrzyskiej.

Dnia 7 listopada 2015 r. pod patronatem Narodowego Instytutu Dziedzictwa miała miejsce w Miejsko-Gminnym Centrum Kultury i Turystyki w Bodzentynie konferencja naukowa „Dziedzictwo kulturowe Bodzentyna”. Jej organizatorami byli Burmistrz Miasta i Gminy Bodzentyn, Miejsko-Gminne Centrum Kultury i Turystyki w Bodzentynie, Instytut Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, Społeczna Rada Kultury, Ochrony Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego oraz Polityki Społecznej Miasta i Gminy Bodzentyn.



Uczestnicy konferencji na Sali konferencyjnej. Fot. Mirosław Oettingen

Konferencja została zorganizowana z okazji 660-lecia lokacji miasta i 20. rocznicy odzyskania praw miejskich. Jej celem było nie tylko poszerzenie wiedzy na temat dziejów Bodzentyna, jego materialnego i duchowego dziedzictwa kulturowego, ale też przygotowanie do podjętego przez władze Miasta i Gminy Bodzentyn projektu rewaloryzacji wzgórza zamkowego i jego uczynienia w krajobrazie regionu świętokrzyskiego i Polski.

Wśród wielu zamierzeń związanych z projektem: „Szlakiem dóbr biskupów krakowskich do Bodzentyna” przewiduje się również zorganizowanie muzeum dóbr biskupów krakowskich. Instytucja ta poprzez swój program naukowo-edukacyjny i promocyjny pokazywałaby dzieje miasta w okresie kiedy było ono znaczącym ośrodkiem dóbr biskupich w Małopolsce.

Udział w konferencji wzięli mieszkańcy Bodzentyna i okolic, przedstawiciele środowiska nauczycielskiego,

przewodników turystycznych, duchowieństwa, instytucji publicznych, w tym Świętokrzyskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Instytutu Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, Narodowego Instytutu Dziedzictwa, Instytutu Pamięci Narodowej, Archiwum Państwowego w Kielcach, Świętokrzyskiego Parku Narodowego i władz samorządowych. Liczną grupę stanowili goście z Krakowa, w tym z Zamku Królewskiego na Wawelu – Państwowych Zbiorów Sztuki.

Przybyłych przywitali mgr inż. Dariusz Skiba Burmistrz Miasta i Gminy Bodzentyn, dr hab. prof. UJK Urszula Oettingen, reprezentująca Instytut Historii UJK i jednocześnie Przewodnicząca Społecznej Rady Kultury Miasta i Gminy Bodzentyn, mgr Marcin Sikorski Dyrektor Miejsko-Gminnego Centrum Kultury i Turystyki w Bodzentynie, stanowiący komitet organizacyjny konferencji.

Naukową część konferencji rozpoczął wykład Pani prof. dr hab. inż. arch. Marii Brykowskiej z Politechniki Warszawskiej, pod tytułem *Bodzentyn – miasto i jego architektura w dziejach i w krajobrazie*. Po jego zakończeniu odbyła się miła uroczystość. Organizatorzy, Świętokrzyski Wojewódzki Konserwator Zabytków,



Podziękowania dla prof. Marii Brykowskiej od Komitetu Organizacyjnego. Fot. M. Oettingen

Kierownik Oddziału Terenowego Narodowego Instytutu Dziedzictwa w Kielcach, delegaci Archiwum Państwowego w Kielcach oraz środowiska krakowskich archeologów wręczyli prof. Marii Brykowskiej kwiaty oraz dyplomy z podziękowaniami za długoletnią pracę w dziedzinie badania historii i ochrony zabytków regionu świętokrzyskiego, przede wszystkim zaś Bodzentyna.

W konferencji uczestniczyło 16 prelegentów, reprezentujących wyższe uczelnie i instytucje z Krakowa, Warszawy, Kielc, Bodzentyna. Poniżej lista wygłoszonych referatów:

Waldemar Gliński, Pracownia Badań Archeologicznych w Kielcach, Świętomarz-Tarczek-Bodzentyn. Kolejna próba przedstawienia problemu średniowiecznego osadnictwa Gór Świętokrzyskich; dr Tomasz Graff, dr Dobrośława Horzela, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, *Kardynał*



Autorka z prof. Maria Brykowską. Fot. M. Oettingen

Zbigniew Oleśnicki i jego tablica fundacyjna dla kościoła parafialnego w Bodzentynie; dr Mateusz Grzęda, Uniwersytet Jagielloński, *Tryptyk Zaśnięcia Marii w kolegiacie bodzentyńskiej i jego rola w promowaniu kultu Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej przez biskupa krakowskiego Jana Konarskiego*; dr Piotr Rosiński, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach, *Dawne organy w kościołach Bodzentyna*; Bartłomiej Wołyniec, Uniwersytet Jagielloński, *Działalność fundacyjna biskupa Marcina Szyszkowskiego (1616–1630) w Bodzentynie*; dr Czesław Hadamik, Pracownia Badań i Studiów Archeologicznych, Historycznych i Konserwatorskich w Kielcach, *Dwa ratusze Bodzentyna*; Michał Sobala, *Między „zamkiem” a „pałacem”. Rezydencja biskupów krakowskich w Bodzentynie w świetle inwentarza z 1680 roku*; Wiesława Rutkowska, Archiwum Państwowe w Kielcach, *Materiały kartograficzne i ikonograficzne dotyczące Bodzentyna w zbiorach Archiwum Państwowego w Kielcach*; Anna Adamczyk, Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Kielcach, *Zespół zabudowy Bodzentyna. Problemy ochrony prawnej i konserwatorskiej*; dr Cezary Jastrzębski, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach, *Najstarsze tradycje zwiedzania Bodzentyna*; Justyna Staszewska, Towarzystwo Dawida Rubinowicza w Bodzentynie, *Ludność żydowska w Bodzentynie i jej spuścizna*; dr Tomasz Domański, Instytut Pamięci Narodowej w Krakowie, Delegatura w Kielcach, *Źródła do dziejów Bodzentyna pod okupacją niemiecką w zasobie archiwalnym Instytutu Pamięci Narodowej w Kielcach*; Witold

Comber, Bodzentyn, *Odzyskanie praw miejskich przez Bodzentyn w 1994 roku*.

Konferencję zakończyło wystąpienie dr hab. prof. UJK Urszuli Oettingen, zatytułowane: *Miejsca pamięci w krajobrazie kulturowym Bodzentyna*. Skupiając się na miejscach związanych z historią XIX i XX wieku, pokazała również obiekt, którego jeszcze nie ma, ale w zamysłach władz oraz mieszkańców będzie upamiętniał początek powstania miasta – to projekt pomnika biskupa Jana Bodzanty.

Ważnym uzupełnieniem wystąpienia dr. Czesława Hadamika była autorska wystawa planszowa, prezentująca efekty prac archeologicznych prowadzonych na Rynku Górnym w Bodzentynie w 2012 r.

Podczas przerwy uczestnicy pod kierunkiem dr. Cezarego Jastrzębskiego zwiedzili ruiny rezydencji biskupów krakowskich oraz kolegiatę. W niej szczególną uwagę zwrócono na średniowieczne i renesansowe elementy wyposażenia, wśród nich tablicę erekcyjną z 1452 r., główny ołtarz, który przeniesiony z katedry wawelskiej do Kielc znalazł w XVIII w. miejsce w Bodzentynie, tryptyk Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny.

Wszyscy referenci zostali uhonorowani dyplomami z podziękowaniem za podjęcie badań nad historią miasta, udział w konferencji naukowej i wygłoszenie referatu, wręczonymi przez komitet organizacyjny konferencji.

Gorące słowa podziękowania należą się organizatorom spotkania, prelegentom z różnych ośrodków naukowych Polski, wszystkim zebranym, którzy brali w niej udział i dali świadectwo zainteresowania swoją Małą Ojczyzną. To kolejny ważny krok w odbudowie pamięci o dziedzictwie kulturowym Bodzentyna i jego bogatej przeszłości.

Pokłosiem konferencji będzie publikacja, która ukaże się w 2016 r.



Uczestnicy konferencji wśród ruin zamkowych. Fot. M. Oettingen

Z dziejów budownictwa wodnego w województwie kieleckim w latach 1945-1975

Dr Jan Główka

Jak stwierdził profesor Jerzy Szczęsny, hydrotechnik, z Instytutu Inżynierii Gospodarki Wodnej Politechniki Krakowskiej, „...Polska miała, i to od początku XX w., kilka planów systemu gospodarki wodnej. W 1907 roku powstał plan inż. Beckera. Następnie propozycję systemu przedstawił prof. Gabriel Narutowicz, późniejszy pierwszy prezydent II RP. Po II wojnie pierwszy kompleksowy program powstał w 1956 r.; autorem był prof. Balcerski z Politechniki Gdańskiej. Potem był gierkowski program „Wisła”. Równolegle powstawały wtedy plany regionalne, opracowywane przez biuro projektów „Hydroprojekt”. Początkowo plany te dotyczyły głównie niedoborów wody. To był wtedy problem, zważywszy na elektryfikację kraju i politykę rozwoju przemysłu ciężkiego. Z czasem akcent przesunął się na problem zapobiegania powodziom – choćby dlatego, że „spada zużycie wody pitnej, a w warunkach rynkowych przemysł ciężki jest redukowany. /.../ Na podstawie tych programów w każdej chwili można zacząć działać. Problem w tym, że choć powstawały coraz to nowe plany, to żaden nie został w pełni zrealizowany. W efekcie Polska jest na ostatnim miejscu w Europie pod względem zagospodarowania zasobów wodnych”.

Z badań przeprowadzonych po II wojnie światowej, mających na celu rozpoznanie zasobów wodnych województwa kieleckiego wynikało, że występowały tutaj obszary charakteryzujące się brakiem wody w podłożu, wywołanym występowaniem skał przepuszczalnych w jego budowie. Województwo kieleckie w granicach administracyjnych do 1975 r. należało w całości do zlewni Wisły, a Góry Świętokrzyskie stanowią dział wodny dla zlewni rzek Nidy i Kamiennej. Wśród większych rzek uchodzących do Wisły w obrębie województwa należy wymienić Szreniawę, Nidzicę, Nidę, Czarną i Wschodnią, Koprzywiankę, Kamienną, Itzankę i Radomkę. Do Pilicy uchodzi rzeka Czarna i Drzewiczka i kilka mniejszych dopływów.

Warunki wodne występujące w województwie kieleckim nie odbiegały od normy krajowej. Deficyt wody wywołany zjawiskami krasowymi miał miejsce w rejonie Itża-Battów, na zachód od Kielc, w rejonie Pińczowa w pasie o długości 30 km. wzdłuż Nidy, a także w części powiatu buskiego od Wiślicy po Staszów i od Kurozwęk po Raków. Obszary deficytowe znajdowały się także w powiecie sandomierskim, w rejonie Ostrowca, Skarżyska i Bliżyna, na obszarze wzgórz koneckich, w powiecie kozienickim, a ponadto w powiecie kieleckim u podnóża Gór świętokrzyskich, na pn.-zach. od Jędrzejowa, w pn.

zach. części powiatu opoczyńskiego i w dolnym biegu Kamiennej. Zanikiem wód charakteryzowały się także tereny eksploatacji górniczej, np. w okolicach Stąporkowa i Czarnieckiej Góry.



Zbiornik w Cedzynie.jpg

W związku z brakiem kanalizacji, wodociągów i oczyszczalni ścieków, w województwie kieleckim występował problem zanieczyszczenia ściekami wód powierzchniowych w większych ośrodkach miejskich i przemysłowych. Konieczne było zbudowanie oczyszczalni ścieków w Ostrowcu, Pionkach, Radomiu i Starachowicach.

Na początku lat 60-tych wodociągi funkcjonowały w następujących miejscowościach województwa kieleckiego: w Kielcach, Radomiu, Skarżysku, Starachowicach (przejęty od Zakładów Starachowickich i rozbudowany w 1953 r.), Busku, Pionkach, Sandomierzu (częściowo). W Opocznie istniał jedynie rurociąg osiedlowy o długości 1,8 km. W Pińczowie istniała sieć wodociągowa grawitacyjna o długości 7600 m., sieci kanalizacyjnej miasto nie posiadało. Kanalizacji i wodociągów nie miały Kozienice, Lipsko (kanalizacja w trakcie budowy), Opatów, Przysucha, Staszów, Szydłowiec, Włoszczowa, Zwoleń. W początku lat 60-tych oczyszczalnie ścieków istniały w 3 miastach: w Kielcach – mechaniczno-biologiczna, w Sandomierzu (1957 r.), w Starachowicach mechaniczna (w 1965 r. rozpoczęto budowę oczyszczalni ścieków i sieci kolektorów). W 1965 r. oczyszczalnie ścieków rozpoczęto budować w Lipsku. W 1968 r. ogółem w województwie kieleckim na 37 miast tylko 16 posiadało sieć wodociągową. Specjaliści zwracali uwagę na niedostatecznie rozbudowane ujęcia wodne w miastach, deficyt wody w Kielcach, Sandomierzu, Ostrowcu, Busku i Skarżysku.

Potrzeby gospodarki wodnej regionu przy zabezpieczeniu potrzeb rolnictwa wskazywały na konieczność zabezpieczenia nieprzerwanego poboru wody dla celów przemysłowych i ludności, bez trwałego obniżania poziomu wód gruntowych i wyczerpywania zasobów. W związku z tym zaprojektowano budowę zbiorników wyrównawczych o łącznej pojemności 28 mln. m³ – zlokalizowanych głównie na rzece Kamiennej.

Do prac związanych z budową nowych inwestycji wodnych i z melioracją przystąpiono tuż po II wojnie światowej. Jednak dopiero w połowie lat pięćdziesiątych zagadnienia te były rozwiązywane kompleksowo w ramach obowiązujących wówczas planów gospodarczych.

W zakresie budowy zbiorników wodnych po II wojnie światowej naczelnym zadaniem było zinwentaryzowanie strat wojennych i zaplanowanie budowli w perspektywie rozwoju gospodarczego województwa. Jednocześnie nawiązano do propozycji uregulowania kwestii gospodarki wodnej na terenie województwa kieleckiego, sięgając do doświadczeń z okresu międzywojennego, a szczególnie do wielkiej powodzi z 1934 r., która spowodowała olbrzymie straty.

W kwietniu 1948 r. w Starachowicach odbyła się konferencja dotycząca gospodarki wodnej na rzece Kamiennej. Szczegółowo zajęto się problemem zbiornika w Starachowicach. Ciężar regulowania odpływu wody ponosił upust w Starachowicach. W okresie wcześniejszym napór wielkich wód był rozkładany na upusty w Rejowie i Wąchocku, a od czasu zniszczenia ich przez Niemców, wielka woda sptywała do Starachowic. Urządzenia wodne nie były przygotowane do przyjęcia tej wody, gdyż nie były do tego celu zaprojektowane. Zbiornik w Starachowicach nie mógł w okresie powojennym odgrywać roli zbiornika retencyjnego na wielką wodę, mógł mieć charakter przemysłowy lub użyteczności publicznej.

W związku z tym zabezpieczenie pól i łąk położonych powyżej stawu starachowickiego mogło być usunięte przez obniżenie poziomu piętrzenia na jazie lub obwałowaniu rzeki i meliorowaniu terenu poza wałem. Konieczna była regulacja rzeki na odcinku Wąchock-Starachowice, melioracja doliny, pogłębienie stawu i przebudowa odpływu, co miało zapobiec powodziom i spowodować lepsze zaopatrzenie miasta w wodę pitną i Zakładów Starachowickich w wodę pitną i przemysłową.

W latach 60-tych XX wieku prowadzone były studia nad budową zbiornika wodnego w Brzegach na rzece Nidzie pod Chęcinami oraz nad odbudową systemu wodnego w Zagłębiu Staropolskim według założeń Stanisława Staszica.

W początku lat 60-tych istniał zbiornik wodny w Rejowie (4,5 mln. m³) i w Berezowie (0,25 mln. m³), planowano zbiorniki w Bliżynie (0,75 mln. m³), w Sielpi Wielkiej (1,25 mln. m³), w Suchedniowie (1,6 mln. m³), w Machocicach-Ciekotach (20 mln. m³), w Brodach (6 mln. m³), w Sulejowie (100,4 mln. m³),

w Sobkowie (190 mln. m³), i w Solcu-Grzybowie. W Kozienicach utworzono tzw. jezioro kozienickie o powierzchni 75 ha. i głębokości 12 m.



Zbiornik w Brodach



Zapora w Brodach

Centralne Biuro Studiów i Projektów Budownictwa Wodnego „Hydroprojekt” w Warszawie wykonało „Studium do założeń kompleksowego zagospodarowania rzeki Kamiennej”. W studium umieszczono także „Węzłowe zagadnienia gospodarki wodnej w dorzeczu Wisły na obszarze województwa kieleckiego”. Zgodnie z tymi założeniami w dolinie rzeki Wisły istniejące zabezpieczenia przeciwpowodziowe nie były wystarczające, co skutkowało szkodami powodziowymi w latach 1960-1964.

Rozpoczęto prace regulacyjne środkowej Wisły, wykonywano obwałowania nowe, podwyższano wały istniejące i regulowano koryto rzeki. Zagrożona była także dolina rzeki Kamiennej, a zbiornik w Brodach Łżeckich wybudowany dla potrzeb Kopalni i Zakładów Piasków Żelazistych w Żębcu nie przyjmował ustalonej na 6 mln. m³ ilości wody, a tylko 3,5 mln. m³. Sytuacja miała się poprawić po wybudowaniu zbiornika Wióry na Świślinie z docelową pojemnością ok. 20 mln. m³ i pojemnością użytkową 16 mln. m³ wody. Budowa tego zbiornika miała umożliwić pobór wody dla przemysłu Skarżyska i przechwytywanie fali powodziowej z rzeki Świśliny.

Na rzece Kamiennej w Bzinie budowano kolejny zbiornik o objętości całkowitej 4,5 mln. m³ i użytecznej 3,0 mln. m³. Zbiornik ten miał umożliwić pobór wody dla przemysłu Skarżyska i przechwytywanie fali powodziowej z górnej części zlewni rzeki Kamiennej. Potężona współpraca projektowanych zbiorników

w Bzinie i w Wiórach ze zbiornikami istniejącymi w Brodach na rzece Kamiennej i Rejowie na rzece Kamiennej, łącznie z uregulowaniem rzeki Kamiennej mogło zapewnić zabezpieczenie doliny rzeki Kamiennej przed powodzią i zapewnić dostatek wody dla przemysłu.

W dolinie rzeki Nidy w rejonie Sobkowa-Brzegów, przewidywano budowę zbiornika przeciwpowodziowego o pojemności 160–250 mln. m³, przechwytyjącego falę powodziową i służącego jako magazyn wody. Jednocześnie zbiornik ten miał umożliwić przerzut wody do rzeki Pilicy.

W dolnej części rzeki Pilicy regulowano koryto na długości 163 km. od ujścia do Sulejowa, a projektowany zbiornik wody o pojemności 106 mln. m³ miał służyć okręgowi łódzkiemu. Przewidywano także budowanie zbiorników retencyjnych na rzece Pilicy i budowę pompowni do odwodnienia doliny rzeki o powierzchni 10000 ha.

Według stanu z 1970 r. w województwie kieleckim woda gromadzona była w zbiornikach naturalnych i sztucznych w rejonie Staszowa oraz Łtży, w Kielcach, Skarżysku, Starachowicach, Małcu, Sielpi i Brodach Łtzeckich. Sztuczne stawy znajdowały się na terenie powiatów kozienickiego, włoszczowskiego, buskiego i staszowskiego. W latach 70-tych powstały duże zbiorniki wodne, takie jak Brody na rzece Kamiennej, Cedzyna na Lubrzance, Chańcza na Czarnej Staszowskiej i Rejów na Kamionce. Zbiornik Brody spełniający funkcje przeciwpowodziowe i rekreacyjne wybudowano w latach 1960–1965 na 76,8 km rzeki Kamiennej. W zaporze zbiornika pozostawiono fragment kamiennego przelewu z okresu formowania się przemysłu Zagłębia Staropolskiego w okresie staszycowskim.

Zbiornik Chańcza, którego podstawowe zadania to redukcja fal powodziowych, cele rekreacyjne, zabezpieczenie potrzeb wodnych użytkowników zbiornika, wybudowano w latach 1974–1984 na 34,5 km rzeki Czarnej Staszowskiej.

Zbiornik wodny w Rejowie powstał na początku XIX wieku na 1,75 km rzeki Kamionki. Zniszczony dwukrotnie podczas pierwszej i drugiej wojny światowej został odbudowany. Pełnił funkcję zbiornika zabezpieczającego potrzeby wodne Zakładów Metalowych MESKO w Skarżysku-Kamiennej.

W drugiej połowie lat 60-tych rozpoczęto budowę zbiornika w Cedzynie pod Kielcami na 12,4 km. rzeki Lubrzanki. Pojemność całkowitą zbiornika zaplanowano na 2.861 tys. m³. W 1967 r. zakończono budowę zapory ziemnej, a oddanie zbiornika do użytkowania zaplanowano na 1969 r. Ostatecznie budowę zakończono w 1972 r. Zbiornik wykonany został głównie dla potrzeb rolnictwa (wyrównania odpływów w okresie wegetacji roślin) oraz rekreacji i wypoczynku mieszkańców Kielc i okolicznych miejscowości.

Zbiornik zlokalizowany jest w pobliżu aglomeracji kieleckiej na terenie Podkieleckiego Obszaru

Chronionego Krajobrazu. W latach 1998–2000 przeprowadzono remont zbiornika polegający głównie na dogęszczeniu korpusu zapory oraz wykonaniu przepony przeciwfiltracyjnej. Dane ogólne: powierzchnia zbiornika – 64 ha, pojemność – 1,6 mln. m³, normalny poziom piętrzenia – 260,00 m npm.

W 1967 r. powstało „Studium Generalne Budowy Małych Zbiorników Wodnych w Dorzeczu Nidy”, które zakładało budowę małych zbiorników wodnych o pojemności od kilkunastu tys. m³ do kilku mln. m³ wody, służących do magazynowania wody dla potrzeb rolnictwa i do celów rekreacyjnych. Na wybranym terenie zlokalizowano 47 zbiorników, z których 40 można byłoby napętnić wodą dyspozycyjną cieków w całości, natomiast 7 alternatywnie. Objętość zmagazynowanej tam wody przewidywano na 51 mln. m³.

Terenami badań objęto dorzecze Nidy o powierzchni 3863 km² i powiaty włoszczowski, jędrzejowski, kielecki, buski, pińczowski, fragmenty koneckiego, opatowskiego, kazimierskiego oraz miechowskiego. Założono, że zbiorniki powstaną na Białej Nidzie, na Czarnej Nidzie, na Belniance, na Lubrzance, na Murawce, na Bobrzy, na Brzeźnicy, na Mierzawie i na innych dopływach Nidy. W powiecie kieleckim miały powstać 22 zbiorniki, w jędrzejowskim 16, w pińczowskim 4, w buskim 3 i we włoszczowskim 2 zbiorniki wodne.

Jak wynikało z założeń „Studium Generalnego Budowy Małych Zbiorników Wodnych w Dorzeczu Nidy” pozostałe, małe zbiorniki zaporowe o pojemności poniżej 1 mln m³ miały wpływać na retencję i regulację przepływu wody w rzekach oraz łagodzenie skutków kulminacyjnej fali powodziowej. Ich powstanie łączyło także z funkcjami rekreacyjnymi i turystycznymi, z uwagi na usytuowanie na terenach o dużych walorach przyrodniczych i krajobrazowych.

Jednym z zadań niezrealizowanych w omawianym okresie była budowa tzw. „Morza Chęcińskiego”, o którym wspominało już w latach międzywojennych, gdy powstawały pierwsze plany przecięcia rzeki Nidy Białej i zalania okolicznych terenów. To już jednak całkiem inna historia...

Fotografie Jacek Pernal

Wykorzystano m.in. następujące źródła i literaturę:

- Archiwum Państwowe w Kielcach (dalej APK) Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach, sygn. 73, Węzłowe zagadnienia gospodarki wodnej w dorzeczu Wisty na obszarze województwa kieleckiego.
- APK Zjednoczenie Budownictwa Wodnego i Melioracji w Kielcach, sygn. 770. Charakterystyka miast powiatowych województwa kieleckiego 1965 r. Materiały Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego w zbiorach Archiwum Działu Sztuki Ludowej Muzeum Narodowego w Kielcach.
- Rocznik Statystyczny Województwa Kieleckiego 1969, Kielce 1969.
- J. Głowska, *Powódź w województwie kieleckim w 1934 roku*, „Ikar” 1999, nr 7–8.
- J. Gotębiowski, *COP. Dzieje industrializacji w rejonie bezpieczeństwa 1922–1939*, Kraków 2000.
- W. Kawalec, *Kielecczyzna. Rozwój gospodarczy regionu*, Kielce 1962.
- Z. Kozłowski, *Ekonomiczne dziś i jutro Centralnego Okręgu Przemysłowego*, „Ziemia” 1937, nr 4,5,6.
- J. Metelski, *Jaka technika, taka powódź*, „Wiedza i Życie” 1997, nr 10.
- A. Niebudek, *Koniec marzeń o morzu Chęcińskim*, „Echo Dnia”, 13 lutego 2006 r.
- Wszystko zaczyna się od strumienia*, „Tygodnik Powszechny” 2003, nr 12.

Przydrożny, drewniany krzyż na granicy Samsonowa i Janaszowa budzi zaciekawienie swym nietypowym wyglądem. I nie chodzi w tym przypadku o sam drewniany krzyż typu łacińskiego, lecz o dodane elementy metalowe. Są nimi obecnie: dwuramienny krzyż, sztandar z wyciętymi w nim literami IHS oraz wyobrażenie koguta. Wszystkie części wykonane są z żelaza i przymocowane na szczycie pionowej, drewnianej belki krzyża. Zapewne zostały one przeniesione z innego miejsca (miejs?) i później dodane do krzyża. Zapewne też mają swoją ciekawą historię. Na dawne pochodzenie wskazuje również forma dwuramiennego krzyża. Rzecz wymaga w każdym razie zbadania. Krzyż znajduje się na posesji pana Abramczyka.

Warto zwrócić uwagę, że sama figura ukrzyżowanego Jezusa posiada już specyficzny charakter, będąc jednocześnie przykładem wysokiej sztuki odlewniczej. Nie tak często bowiem widzi się w naszym regionie przydrożne, tej wielkości i tak pięknie wykonane, figury ukrzyżowanego Jezusa, z twarzą skierowaną ku niebu i głową przechyloną na prawy bok. Ujęcie to wskazuje na moment tuż przed śmiercią i ostatnie słowa Jezusa wypowiedziane do Ojca. W późnym średniowieczu zdarzały się w sztuce i takie ujęcia, lecz należały one do rzadkości.

Z reguły spotyka się wizerunki Jezusa z głową wyraźnie opuszczoną na prawy bok. Ponadto, w re-

gionie występują też nietypowe figury Jezusa na tzw. krzyżach powstańczych (pojawiały się one po Powstaniu Styczniowym), na których głowa Jezusa jest przechylona – wbrew tradycji – na lewy bok. Ukazują one często twarz Jezusa jednocześnie skierowaną ku niebu. Takie krzyże, zgodnie z rodzinnym przekazem geologa Jerzego Fijałkowskiego, miały upamiętniać miejsca pobytu i walk powstańców albo ich groby (artykuł T. Krąż, „Powstańczy Chrystus”, w: *Echo Dnia*, 18.01.2008). Władze carskie usilnie starały się zatrzeć ślady i wykorzenić z pamięci narodowej wydarzenia powstańczego zrywu. „Tłumiący powstanie styczniowe, carscy żołnierze byli niezwykle okrutni. Mieli zwyczaj masakrowania twarzy zmarłym powstańcom, by nie dało się ich zidentyfikować – opowiada pan Jerzy [Fijałkowski] – przez wiele lat groby powstańców trzymane były w wielkiej tajemnicy. Dopiero po 1905 roku, po tak zwanej małej rewolucji w Rosji, gdy zelżał ucisk, zaczęto ujawniać ich groby” (op. cit.).

Do dziś można spotkać krzyże powstańcze w różnych miejscowościach regionu, np. w Kielcach, przy ulicach Zagnańskiej i Domaszowskiej, w Tumlinie czy na dębie Bartek w Zagnańsku. Sugeruje się również, że te krzyże wskazywały szlaki wędrówek powstańczych. Jeśli kryje się za tym również oznakowanie kierunku, to nie jest całkiem wykluczone, że i figurę Jezusa na krzyżu samsonowsko-janaszowskim można by wiązać z tego



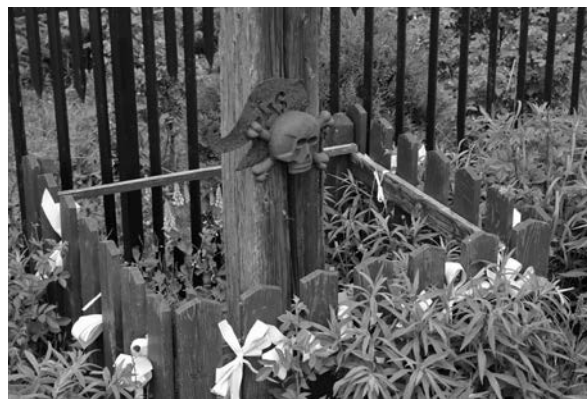
Krzyż samsonowsko – janaszowski (wspólny podpis). Fot. autor



typu działalnością. Możliwe jednak, że figura jest starsza i wtedy hipotezę należy odrzucić.

Obecny drewniany krzyż jest nowy. Zastąpił on poprzedni, mocno już nadwerżony przez czas. Odbiera się wrażenie, że nie do końca jest on wierną kopią poprzedniego krzyża, jeśli chodzi o rozmiary i proporcje. Symbole żelazne też zostały skopiowane i przeniesione na nowy krzyż. Zabrakło wszakże wśród nich jednego elementu, który zaginął. Było nim wyobrażenie czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami, umieszczone na dole pionowej belki poprzedniego krzyża. Szkoda, że zaginął. Symbol czaszki dopełnia bowiem obraz Krzyża Świętego, znany w sztuce sakralnej od ponad tysiąca lat, a o wiele dłużej – w chrześcijańskiej myśli teologicznej. W przekazie ewangelicznym symbol czaszki jest już obecny w nazwie miejsca ukrzyżowania Jezusa i dwóch łotrów. Aramejska nazwa *Golgota* ma łaćski odpowiednik – *Calvaria*, co znaczy „Czaszka” lub „Miejsce Czaszki” (od *calva*, *-ae* – „czaszka” i *calvus*, *-a*, *-um* – „łysy, pozbawiony włosów”, a przenośnie „miejsce pozbawione drzew, roślinności”; co można porównać też z naszą rodzimą nazwą – Łysiec, Łysa Góra). Zgodnie z tradycją judeo-chrześcijańską, nazwę *Golgota* wyjaśniano nie tylko kształtem wystającej ponad ziemię skały, która kojarzyła się z czaszką, ale również przekonaniem, że w tym miejscu miały być pochowane ziemskie szczątki Adama jako pierwszego człowieka. Dość szybko uznano to w chrześcijaństwie za ważny symbol w odniesieniu do treści teologicznych – zwycięstwa Chrystusa nad śmiercią i szatanem oraz uwolnieniem z otchłani dusz oczekujących wybawienia (motyw *Anastasis*; gr. *anástasis* – „wskrzeszenie”, „budzenie”, „zmartwychwstanie”, określenie związane ikonograficznie z obrazami Zstąpienia Chrystusa do Piekieł/Otchłani w celu uwolnienia dusz). Ukryte pod skałą, symbolem fundamentów całej ziemi (świata ziemskiego), wyobrażane szczątki Adama stały się symbolem starego (dawnego, pierwszego), tj. ziemskiego Człowieka (Adama) (1 Kor 15, 45–49; por. Rz 6, 6). W tym sensie kości Adama odnoszą się do wszystkich tych ludzi, którzy zasnęli w prochu ziemi i znaleźli się w Szeolu, oczekując przyjścia Jezusa Chrystusa – Króla Chwały. Dlatego na wielu krucyfikсах, płaskorzeźbach i na malarskich przedstawieniach sceny Ukrzyżowania, znajdują się wyobrażenia czaszki i kości Adama, na które spływa po Drzewie Krzyża zbawcza krew Jezusa Chrystusa.

Wspomniane elementy, dodane do granicznego krzyża w Samsonowie, nadają mu szczególną wymowę symboliczną i zarazem pośrednio podkreślają charakter regionu, który szczyci się nazwą pochodzącą od relikwii Świętego Krzyża na Łyscu. Zaczniemy od kwestii dwuramiennego krzyża. Wykonany jest on z płaskiego pręta i wymodelowany na kształt krzyża bizantyjskiego, a ściślej mówiąc – patriarchalnego, ponieważ ma charakterystycznie zaokrąglone końce ramion. Co więcej, najprawdopodobniej jest on jednym z licznych, bardziej szczegółowych upostaciowań



Czaszka i kości na krzyżu samsonowsko – janaszowskim. Fot. autor

krzyża patriarchalnego, do których należy także krzyż zwany karawaką. Jego wysokość nie przekracza 50 cm. Krzyże patriarchalne posiadają dwa poziome i równoległe ramiona. Dolne ramię jest dłuższe. Górne krótsze zaś oznacza drewnianą tabliczkę – tzw. *titulus damnationis*, nazywaną też *titulus crucis*. Na takich tabliczkach wypisywano imię i tytuł (łac. *titulus*) winy skazanego na ukrzyżowanie. Dla Jezusa, Piłat nakazał napisać w trzech językach tytuł: „Jezus Nazarejczyk Król Żydowski”. Na krzyżach w kościołach rzymsko-katolickich widnieją zazwyczaj tylko inicjały, czyli skrót w postaci pierwszych liter słów zapisywanych w języku łańskim – *INRI* (*Iesus Nazarenus Rex Iudeorum*). To właśnie głównie dzięki *Titulusowi*-tabliczce można było zidentyfikować prawdziwe relikwie Krzyża Świętego spośród dwóch pozostałych, ukrytych w cysternie. Odkrycie (łac. *inventio*) prawdziwych relikwii Krzyża przypisuje się św. Helenie, matce Konstantyna Wielkiego i cesarzowej. Miało to nastąpić w 325 roku, podczas jej wyprawy do Ziemi Świętej. Odnaleziono wówczas relikwie Krzyża Świętego z potwierdzającym napisem na *Titulusie* oraz trzy gwoździe. Św. Helena przywiozła do Rzymu duży fragment Krzyża Świętego, jeden gwoździe i prawą połowę *Titulusa*. Zabrała ze sobą również worki z ziemią z Golgoty (Kalwarii), którą rozsypano pod podłogą w kaplicy pałacu cesarzowej. Później, na miejscu kaplicy powstała bazylika. Z tych powodów pełna nazwa tej bazyliki, znajdującej się w Rzymie, brzmi: *Basilica Santa Croce in Gerusalemme* („Bazylika Świętego Krzyża w Jerozolimie”). W ten sposób Rzym, jako apostolska siedziba św. Piotra

(„Skatły”) i jego następców, stał się niejako drugą Jerozolimą, przynajmniej w oczach wielu pielgrzymów.

W tym miejscu rozważań ważne jest dla nas to, że najstarsze przedstawienia (św.) Konstantyna Wielkiego i św. Heleny, wspólnie trzymających krzyż, ukazują go z dwoma równoległymi ramionami o prostych zakończeniach i często dodanym podnóżkiem. Taka sama forma krzyża, ale bez podnóżka, widnieje na tarczy podtrzymywanej przez postać św. Heleny. Tego rodzaju przedstawienia występują na freskach, mozaikach, ikonach drewnianych i relikwiarzach. Można przytoczyć tu sławny przykład fresków i mozaik z klasztoru Hosios Loukas w Beocji z X-XI wieku lub późniejszy – z klasztoru św. Konstantyna i św. Heleny koło Warny. W Hosios Loukas, krzyż o podwójnych ramionach (z zaznaczonym podnóżkiem) trzyma także Chrystus zstępujący do otchłani (motyw Anastasis).

Jednakże między formą podtrzymywanego krzyża i znajdującego się na tarczy św. Heleny, a tym żelaznym w Samsonowie, zachodzi pewna różnica szczegółów. Końce wszystkich ramion w podstawowej, schematycznej postaci krzyża bizantyjskiego są proste i pozbawione ozdobnych zwieńczeń, zaś w przypadku naszego krzyża – są one zaokrąglone. Ponadto, zwieńczenie pionowej „belki” ma wyraźnie zaznaczony trójdzielny kształt. W ten sposób forma tego znaku niewątpliwie nawiązuje do podwójnego krzyża z trójlolistnymi zwieńczeniami, nazywanego w heraldyce kościelnej kardynalskim i arcybiskupim, a znanym powszechniej pod nazwą krzyża patriarchalnego. Ze względu na trójlistne końce, podobne formy krzyża określano nazwami: trójliscień, liściak lub krzyż koniczynowy. Przyjmuje się, że trójdzielne końce ramion wskazują symbolicznie na treści związane z Trójcą Świętą i kwitnącym, rozrastającym się Drzewem Krzyża (*Lignum Crucis*), które w istocie jest Drzewem Życia (*Lignum Vitae*). Przez nie Chrystus obejmuje wszechświat, będąc jego Początkiem i Końcem. Stąd w średniowiecznej ikonografii krzyże mogły posiadać też wpisane lub dołączone, wiszące litery greckie – Alfę i Omegę.

Należy dodać, że począwszy od późnego antyku, krzyże procesyjne (równoramienne lub tacińskie) miały ozdobne zakończenia, były pokrywane złotą lub srebrną blachą i wysadzone szlachetnymi kamieniami. Na awersie lub rewersie występowały napisy. Ramiona wczesnych krzyży często zwężały się ku jego środkowi. Inne, późniejsze, posiadały przy końcach ramion okręgi lub owale, jako miejsca wykorzystywane do ukazania wybranych postaci świętych lub stosownych symboli. Owe bogato zdobione krucyfiksy nazywano *crux gemmata*. Niektóre z nich były jednocześnie relikwiarzami dla cząstek Krzyża Świętego, podobnie jak niektóre krzyże ołtarzowe. Stosowanie kunsztownych i bogatych ozdób było wynikiem teologicznego postrzegania Krzyża Zbawiciela jako promiennego znaku triumfalnego, znaku chwały i zwycięstwa nad śmiercią i mocami zła, znaku kwitnącego Drzewa Krzyża, przez które płynie światło życia wiecznego. Krzyż jest też znakiem Syna Człowie-

czego, zapowiadzanym przy powtórnym, triumfalnym i pełnym światła mocy, przyjsciu Chrystusa w Dniu Ostatecznym. Ponieważ dawniej uważano, że niektóre metale i minerały wraz z kryształem górskim i perłami, zawierają pewne podobieństwo do duchowego światła, dlatego najlepiej nadają się do symboliki promiennego Krzyża (por. Niebiańska Jerozolima złożona z warstw kamieni szlachetnych i z Rzeką w formie kryształu z Janowej Apokalipsy). Wyrazem tych przekonań było średniowieczne, tacińskie powiedzenie – *per crucem ad lucem* („przez krzyż do światła”).

Aby zrozumieć rozwój różnych form krzyża, w tym prowadzących do krzyża karawaka, należy odwołać się, z jednej strony, do myśli teologicznej, a z drugiej, do historii oraz wyglądu najstarszych relikwiarzy dla fragmentów Krzyża Świętego.

To, że można na przedłużeniach ramion krzyża i w jego centrum, wpisywać treści wychodzące poza samą scenę Ukrzyżowania z opisu ewangelicznego, wynika z dawnego, syntetycznego podejścia do znaku Krzyża Jezusa. Myśl tę krótko oddają słowa przypisywane apostołowi, św. Andrzejowi, które pochodzą z apokryficznego tekstu. Odnoszą się one do Krzyża: „[...] Zostałeś wbity w ziemię, aby nadać stałość rzeczom nietrwałym: jedna część ciebie jest zwrócona ku niebu, by głosić człowiekowi Słowo; jedna część ciebie rozciąga się w prawo i w lewo, by rozprzyszczyć straszną potęgę nieprzyjacielską i przywrócić światu jedność; jedna część ciebie jest wbita w ziemię, by przyjąć wraz z niebieskimi także rzeczy straszne i te z Hadesu...” (Kodeks Watykański grecki 807 albo *Martyrium prius*, za: G. Ravasi, *Wprowadzenie*, s. 5; w: A. Tradigo, *Człowiek Krzyża. Historia w obrazach*, Wyd. Jedność, Kielce 2014).

Ponieważ wczesnośredniowieczne obudowy i relikwiarze Krzyża Świętego spotykane w świecie tacińskim, wywodzą się często z Bizancjum, to zachowały do dziś grecką nazwę – stauroteki. Relikwie Krzyża Świętego pozostawały w gestii patriarchów (stąd, jak należy sądzić, pochodzi nazwa – krzyż patriarchalny) i stanowiły wyjątkowy dar dla władców i hierarchów Kościoła zachodniego świata, przekazywany właśnie w staurotekach. Stawały się one także cennym łupem krzyżowców w okresie wypraw. W tym czasie, wzorując się na bizantyjskich staurotekach, zaczęto wytwarzać podobne również w zachodnioeuropejskich pracowniach złotniczych.

Nazwa „stauroteka” jest wynikiem połączenia dwóch greckich słów: *staurós* – „stup, pal, kół”, „krzyż” oraz *théke* – „skrzynia, szkatuła”, a później „obudowa, opakowanie”. Pierwszymi staurotekami były skrzynie lub/i szkatuły, w których przewieziono duże fragmenty odkrytego Krzyża Świętego z Jerozolimy do Rzymu i do Konstantynopola. Nie wiadomo jak one wyglądały i jak w nich rozmieszczono części. Możliwe, że już wtedy starano się zachować układ, czyli wskazać, które fragmenty pochodzą z *patibulum* (poprzecznej belki), które ze *stipes* – belki pionowej, a gdzie znajdował

się przybity *Titulus Crucis*. Wiadomo natomiast jak wyglądały późniejsze stauroteki.

Stauroteka oznacza zarówno relikwiarz w postaci krzyża, w którym bezpośrednio umieszczono partycje Krzyża Świętego (zazwyczaj w postaci skrzyżowanych szczapek), jak i zamykaną, dekorowaną szkatułę, dopasowaną do kształtu danego relikwiarza-krzyża (tzw. stauroteki tablicowe). Dzięki temu zyskiwał on dodatkową ostonę na wypadek zabrania w podróż lub konieczności ukrycia. Przede wszystkim jednak symboliczne zdobienia były obrazowym opisem zawartości, wyrazem czci, a przy okazji oddawały status tak darczyńcy, jak i obdarowanego. Ponadto, staurotekami określano też szkatułę, skrzynie i skrzydłowe obudowy ołtarzowe, bogato zdobione. W nich wystawiano główny relikwiarz w kształcie krzyża na widok publiczny. Zarówno nazwa relikwiarz, jak i stauroteka, obejmują więc różne przedmioty ośnające święte relikwie. Jeśli teraz przyjrzelibyśmy się różnym, średniowiecznym staurotekom (począwszy od IX wieku), zauważylibyśmy, że najbardziej wewnętrzna część szkatuły posiada dopasowane wgłębienia na dwuramienny krzyż o prostych zakończeniach. Taka też forma znaku krzyża znajduje się najczęściej na pokrywach tych szkatułek tablicowych. Stauroteki tablicowe docierały do Włoch i Nadrenii głównie z Konstantynopola. Znane się również stauroteki, które wewnątrz mają miejsce na krzyż łaciński, zaś na pokrywie widnieje obraz krzyża patriarchalnego (np. stauroteka w Luwrze). Zarówno część wewnętrzna, jak i zewnętrzna staurotek była pokryta srebrem lub złotem, ze scenami powstałymi techniką wytłaczania, grawerowania lub emalią *cloisonné*. Ponadto wysadzano je nieraz kamieniami szlachetnymi. Podobnie ozdobiano różnymi motywami zamykane skrzydła ołtarzy. Na szkatułach i ich pokrywach ukazywane są m.in. postaci cherubinów, apostołów, sceny z Męki Pańskiej, a z reguły postaci Matki Boskiej i św. Jana stojących pod ramionami krzyża lub (św.) Konstantyna Wielkiego i św. Heleny, lub sceny przedstawiające odkrycie Prawdziwego Krzyża. Przykładowo można tu wspomnieć stauroteki w Esztergom (Węgry), w Limburgu (Niemcy), w Notre-Dame w Paryżu, w belgijskim opactwie Stavelot, włoskim w Nonantola, w kaplicy Świętych Krzyży konkatedry w Brescji czy przechowywane w muzeach – Luwru i Cleveland.

A zatem współistnienie różnych form krzyży, tzw. łacińskiego, greckiego, patriarchalnego, prawosławnego (z ukośnym podnóżkiem – symbolem ziemi z ekliptyką nachyloną do równika niebieskiego) na pojedynczych staurotekach, dowodzi, że twórcom chodziło oczywiście o jeden Prawdziwy Krzyż, ale różnie akcentowane treści teologiczne, kosmologiczne, eschatologiczne i historyczne. Potwierdzeniem słuszności tego podejścia jest umieszczanie skrzyżowanych szczapek relikwii Krzyża Świętego w dwóch miejscach relikwiarza, na przecięciach obydwu ramion krzyża patriarchalnego ze „stupem” pionowym, albo odwrotnie – ułożenia szczapek na kształt krzyża patriarchalnego w centrum

relikwiarza o kształcie krzyża łacińskiego (np. relikwiarz w Watykanie, w Bazylice Św. Piotra, na którym widnieje zresztą także „czaszka Adama”). Wpisane mniejsze krzyże w krzyż relikwiarzowy nazywa się po łacinie *alia crucicula*.

Przejdźmy z kolei do problemu krzyża nazywanego karawaka. Nazwa pochodzi od miasta Caravaca de la Cruz w Hiszpanii – znanego od średniowiecza ośrodka pielgrzymkowego. Pielgrzymów przyciągały do tego miasta relikwie Krzyża Świętego (Vera y Santa Cruz – Prawdziwego i Świętego Krzyża).

Podobnie jak we wszystkich innych miastach ówczesnego świata, tam, gdzie znajdowały się partycje Krzyża Świętego, tam kwitło życie religijne, przybywali pielgrzymi i rozwijał się przy tej okazji handel, a miasto rozbudowywało. O randze miasta decydowały zgromadzone relikwie i cudowne wydarzenia. W przypadku miasta Caravaka nie brakowało cudownych wydarzeń. Sam krzyż ołtarzowy i jednocześnie relikwiarz miał



Karawaka na bramie wjazdowej do Świętego Krzyża. Fot. Jerzy Osiecki.

pojawić się w cudowny sposób. Według legend miało to przyczynić się, wraz z odprawioną mszą świętą, do konwersji muzultmańskiego zarządcy prowincji. Jednakże dopiero cudowne uzdrowienia i procesyjne wykorzystanie krzyża w powstrzymywaniu epidemii różnych chorób (dżumy, cholery czy czarnej ospy) sprawiły, że ta forma krzyża i związane z nim szczególne modlitwy, stały się sławne w całej niemal Europie. W Polsce stawiano drewniane krzyże karawaka, przybijano jego mniejsze, metalowe i uproszczone kopie do drzwi domów, lub trzymano w formie papierowych nadruków. Ponieważ czyniono tak w okresie panowania epidemii różnych zaraz, stąd krzyże te określano również nazwami w rodzaju „krzyż choleryczny”, „morowy” itp. (strona internetowa: pl.wikipedia.org/wiki/karawaka).

Niewielkich rozmiarów podwójny krzyż w Caravaca ma charakterystyczne, częściowo owalne zakończenia ramion i miał pojawić się w mieście w XIII w. Taki sam w proporcjach i kształcie, tyle że nieco większy, jest krzyż ołtarzowy, pochodzący z XI wieku i znajdujący się obecnie w skarbcu klasztoru Zgromadzenia Sióstr Szkolnych de Notre-Dame w Namur (Belgia). Obydwa mają swój wzorzec w bizantyjskich krzyżach patriarchalnych ze staurotek i relikwiarzy.

A jak to wszystko ma się do naszego krzyża w Samsonowie? Otóż po pierwsze oznacza to, że mają prawo wystąpić na jednym krzyżu różne inne formy krzyża. Po drugie, zarówno forma krzyża karawaka, jak i wewnętrznego relikwiarza w kształcie podwójnego krzyża znajdującego się w Bazylice Mniejszej na Świętym Krzyżu, wywodzą się w gruncie rzeczy z tych samych ujęć obecnych na staurotekach i relikwiarzach wczesnośredniowiecznych. Wszystkie zaś one odwołują się do wydarzenia nazwanego odkryciem Prawdziwego Krzyża i ewangelicznego opisu Męki Pańskiej (wyobrażane symbolicznie także przez narzędzia Męki – *arma Christi*).

Powyżej krzyża znajduje się sztandar zwycięstwa z literami IHS. Jest to zlatynizowany zapis trzech liter greckich I – joty, H – ety i C – sigmy. Ostatnia litera przyjęta bowiem postać łacińską (S). Tworzą one znany od IV wieku skrót imienia Jezus w języku greckim, czyli Iesous (IHCOYC). W katakumbach można spotkać zapis jeszcze krótszy, a pochodzący z III wieku i sprowadzony do dwóch liter I (joty) i H (ety). Jotę (I) wpisywano niekiedy w etę (H) w ten sposób, że powstawała forma krzyża, prawie tak samo, jak to widać na opisywanym sztandarze. Zapis IHS uzasadniano dawną wymową *Ihesus*. Skrót ten rozpowszechniał Justynian II na swoich monetach w VIII wieku, potem propagował go św. Bernardyn ze Sieny (XV w.), a w końcu Towarzystwo Jezusowe przyjęło jako swój znak szczególny. Jezuici zaproponowali swój własny odczyt liter IHS jako *Jesu humilis societas* – „Pokorne Towarzystwo Jezusowe” (D. Forstner, *Świat symboliki chrześcijańskiej*, 1990 Warszawa). W istocie inicjały IC oraz I są literami znajdującymi się na tabliczce-*Titulusie*, odpowiednio w zapisie greckim i łacińskim, zamiast pełnego imienia Iesous. *Titulus* znajduje się w rzymskiej Bazylice „Świętego Krzyża w Jerozolimie”. Wiele danych wskazuje, że pochodzi on z I wieku. W każdym razie, skrót IHS lub IH pojawiał się niekiedy na obrazach Ukrzyżowania wymiennie z INRI. Możliwe więc jest skojarzenie nie tylko ze sztandarem zmartwychwstałego Jezusa, ale również z wyobrażeniem *Titulusa*. W obu przypadkach chodzi jednak o to samo – wyrażenie myśli zawartej w Piśmie Świętym: „aby na imię Jezusa zgięto się każde kolano istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych” (Flp 2, 10; por. Rz 9, 17). Należy przypomnieć, że litery IHS znajdują się niekiedy w centrum krzyży, zamiast figury Jezusa, jak np. na krzyżu przed Hutą im. Staszica w Samsonowie, czy na obecnej, powojennej wersji relikwiarza w Caravaca.

Z kolei ponad wyobrażeniem sztandaru umieszczony został znak koguta. Powszechnie wiadomo, że kogut w ikonografii chrześcijańskiej wiąże się ze św. Piotrem – sceną wyparcia się pojmanego Jezusa przez apostoła i jego skruchy wyrażonej płaczem. Pośród tak zwanych narzędzi Męki Pańskiej, kogut często stoi na kolumnie biczowania lub obok, ale nie na wierzchołku pionowej belki. Górny koniec krzyża dotyczy nieba. Może tu pojawić się w przedstawieniach np. feniks, pelikan, karmiący pisklęta własną krwią, gotębica jako symbol Ducha Świętego. Jeśli więc na szczycie krzyża ukazany jest kogut, to jego znaczenie wychodzi poza symbol zapierania się Boga-Zbawcy. Jako ptak solarny i ognisty, żywy zegar oznajmiający głosem pory nocy, brzask i zbliżające się Słońce, kogut symbolizuje Chrystusa budzącego duszę ze snu (śmierci lub grzesznego stanu). Budzicielem dusz nazwany jest Chrystus w laudesach (hymnach pochwalnych) zaczerpniętych z Prudencjusza. Z tych powodów symbol koguta znajdował się na nagrobkach i wczesnochrześcijańskich sarkofagach. Kogut jest też symbolem eschatologicznym dla czasu zmartwychwstania, powtórnego przyjścia Chrystusa i odrodzenia świata. Anonsuje wówczas palące Słońce Sprawiedliwości, o którym pisze prorok Malachiasz, że w skrzydłach Jego jest uzdrowienie (Ml 3, 20). W tym sensie kogut oznacza dla żywych zachowanie czujności, zgodnie z wypowiedzią Jezusa (Mk 13, 35): „Czuwajcie więc, bo nie wiecie, kiedy Pan domu przyjdzie: z wieczora czy o północy, czy o pianiu kogutów, czy rankiem”.

Greckie słowo *alektron* lub *alektor* (w Septuagincie) – „kogut”, wywodzi się od słowa *elektor* – „błyszczący, promieniujący”. Inni wiążą etymologię tego słowa z *alekso* – „bronić, obronić”. Oba znaczenia, światła i waleczności symbolicznie przypisane są kogutowi.

Koguty umieszczano na szczytach dzwonnicy i na krzyżach wież kościelnych od ok. IX wieku. W ten sposób kogut stawał się symbolem chroniącym przed nieszczęściem. Oznaczał świętych mężów głoszących światło życia wiecznego czy kaznodziejów ostrzegających przed katastrofą tak, jak i dzwony potrafiły bić na alarm w czas wojny lub pożaru. Kierował się w tę stronę, z której nadchodził niszczący wiatr. Miało to przypominać kaznodziejom o wyższości rzeczy duchowych nad ziemskimi i o niebiańskim pochodzeniu zbawczego oświecenia, przeciwstawiającemu się moralnemu złu. Św. Ambroży przypisał kogutowi pozytywne właściwości: „kogut budzi śpiącego, zachęca strapionego, pociesza wędrowca, oznajmia, że minęła część nocy; głos koguta przywraca nadzieję i wiarę tym, którzy upadli, chorym przynosi ulgę, łagodzi gorączkę, budzi gwiazdę poranną, przywołuje słońce, pobudza ducha modlitwy i zachęca do czytania świętych pism; na głos koguta tótr porzuca zasadzki (Św. Ambroży, *Hexaameron*, s. 184; za: S. Kobielski, *Bestiarium chrześcijańskie*, Warszawa 2002, s. 139-140).

Dzieje kopca i pomnika Tadeusza Kościuszki w Busku-Zdroju

Robert Osipiński

Kuracjusze i turyści, spacerujący aleją Mickiewicza w Busku-Zdroju, często zatrzymują się przed pomnikiem Tadeusza Kościuszki. Pomnik, zlokalizowany przed frontonem budynku Liceum Ogólnokształcącego, ma kształt wysmukłej, prostokątnej kolumny z białego piaskowca, zwieńczonej sześcioma kosami na sztorc, stylizowanym orłem i datą: 1946. Do kolumny przylega prostokątny postument, na którym umieszczono figurę Tadeusza Kościuszki, wykonaną z czerwonego piaskowca. Umieszczone na postumencie napisy i data zdają się sugerować powstanie monumentu w 1946 roku. Jest to tylko częściowo zgodne z prawdą. Faktem jest, że pomnik w obecnym kształcie powstał w 1946 roku, ale historia figury Naczelnika wiąże się nierozdzielnie z kopcem, na którym została umieszczona w 1925 roku. Historia kopca zaś nawiązuje do wydarzeń z roku 1861.



Uroczystość poświęcenia Kopca

Wtedy właśnie w całym Królestwie Polskim miały miejsce manifestacje religijno-patriotyczne, związane z wydarzeniami w Warszawie 27 lutego i 7 kwietnia, kiedy to wojsko carskie otworzyło ogień do mieszkańców demonstrujących przeciwko uciskowi i łamaniu swobód narodowych. Na fali tych wydarzeń w dniu 25 sierpnia 1861 roku odbyło się w kościele parafialnym w Busku patriotyczne nabożeństwo, po którym wierni, na czele z kapłanami: księdzem Wojciechem Świątkiewiczem i księdzem Karolem Podbielskim, udali się w procesji w kierunku zakładu zdrojowego. Mniej więcej w połowie obecnej al. Mickiewicza przystąpiono do sypania kopca, na którym umieszczono krzyż z surowego drewna z napisem: „Boże zbaw Polskę” (obecnie stoi w tym miejscu budynek Urzędu Miasta i Gminy). Tak owo wydarzenie wspominała Jadwiga Prendowska, przebywająca w tym czasie na kuracji w Solcu:

W lecie 1861 pojechaliśmy do wód do Solca i tam manifestacje nam wypadło urządzić. Wszędzie sypano kopce i stawiano krzyże z nie obrobionego drzewa na pamiątkę pięciu poległych. W Krakowskim najpierw postawiono taki w Busku, prawie w połowie alei prowadzącej z miasteczka do zakładu. Od rana, przy dźwiękach pieśni „Boże coś Polskę” lub „Z dymem pożarów” wożono ziemię taczkami, panowie, chłopcy i mieszczańscy; po ukończonej pracy, do której i panie pomagały, nastąpiła wspólna uczta w parku, w altanie okrągłej, gdzie teraz stoi kaplica. Naturalnie, że i my tam byliśmy.

Kilka dni później krzyż został usunięty przez kozaków, a sam kopiec częściowo rozsypany. Pamięć o kopcu pozostała jednak na długo wśród mieszkańców, co udowodniły późniejsze wydarzenia.

W maju 1915 roku do Buska wkroczyły wojska austriackie. W czerwcu przeniesiono tu siedzibę starostwa ze Stopnicy, a w październiku po włączeniu w granice administracyjne miasta wioski Nadole, przywrócono Busko do godności miasta i nadano mu samorząd. 17 stycznia 1917 roku odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Miejskiej, na którym postanowiono usypać kopiec Tadeusza Kościuszki w miejscu zniszczonego przez Rosjan kopca z 1861 roku. Wiązało się to z przypadającą 17 października setną rocznicą śmierci Naczelnika. Kopiec usypiano czynem społecznym mieszkańców, przy czym szczególnie zaangażowaniem wykazali się członkowie POW, skauci, członkowie Straży Pożarnej, Milicji Miejskiej i innych organizacji społecznych.

21 października 1917 roku odbyło się uroczyste poświęcenie kopca, w którym uczestniczyły tłumy mieszkańców miasta i powiatu stopnickiego. W zbiorach autora zachowała się unikalna dokumentacja fotograficzna tej uroczystości.

W listopadzie 1918 roku, po rozbrojeniu i wypędzeniu okupantów, Polska odzyskała niepodległość. W *Kronice miasta Buska powiatu stopnickiego województwa kieleckiego* jej autorzy – Michał Byszewski i Włodzimierz Limonienko – tak określili radość mieszkańców Buska z odzyskanej niepodległości:

W nastrojach społeczeństwa i jego zachowaniu dawało się odczuć satysfakcję z odzyskania niepodległości, a każdy obywatel pełnił swoje obowiązki z pełnym poświęceniem.... Na fali tych patriotycznych nastrojów władze miasta postanowiły, by na kopcu umieścić figurę Tadeusza Kościuszki. W tym celu przedstawiciele

magistratu nawiązali kontakt z rzeźbiarzem z Łodzi Władysławem Czaplińskim, z którym podpisano umowę na wykonanie stosownej figury. Wiele kłopotu sprawiło wykupienie figury. Szalejąca inflacja była powodem kilkakrotnego podwyższania ceny, na co miasto nie mogło sobie pozwolić. Dopiero po reformie monetarnej Władysława Grabskiego i wprowadzeniu złotówki, powstały warunki do zapłaty za figurę.



Rzeźba Naczelnika przed pracownią prof. Władysława Czaplińskiego w Łodzi



Pomnik Kościuszki obecnie

18 sierpnia 1925 roku odbyła się wielka manifestacja społeczeństwa Powiatu Stopnickiego (z siedzibą w Busku). Przedstawiciele władz, w asyście delegatów, dokonali odstonięcia pomnika. Licznie przybyli nie tylko mieszkańcy miasta, ale także członkowie organizacji politycznych i społecznych. Rolników najliczniej reprezentowali mieszkańcy wsi Szaniec i Zrecze. Teren wokół kopca został estetycznie urządzony. Do 1939 roku przed kopcem Kościuszki organizowano liczne państwowe i okolicznościowe uroczystości patriotyczno-religijne.

W czasie okupacji Niemcy zdecydowali o likwidacji kopca, w związku z zamiarem budowy w tym miejscu budynku mieszkalnego dla funkcjonariuszy okupacyjnej administracji. Figurę Naczelnika udało się uratować przed zniszczeniem, wojnę przetrwała w stodole jednego z rolników (według innej relacji figurę ukryto pod stertą słomy w stodole magistrackiej, położonej na zapleczu obecnego Zakładu Graficznego przy ul. Bohaterów Warszawy).

W 1946 roku przypadła dwusetna rocznica urodzin Tadeusza Kościuszki. Figurę Naczelnika wydobyto z ukrycia z zamiarem umieszczenia na pomniku, którego wybudowanie władze zatwierdziły. Autorem projektu pomnika był architekt Józef Szostakiewicz. Budowę zlecono znanemu budowniczemu Antoniemu Siemińskiemu (1884-1960), którego firma wybudowała m.in. przedwojenny budynek Liceum Ogólnokształcącego. Pomnik został zlokalizowany przy obecnej alei

Mickiewicza, przed frontonem budynku Liceum Ogólnokształcącego. Lokalizacja w poprzednim miejscu była niemożliwa, gdyż stał tam budynek mieszkalny, wzniesiony przez Niemców.

Pewne kontrowersje wśród mieszkańców, zwłaszcza pamiętających przedwojenną lokalizację, wzbudziło posadowienie figury Naczelnika na nowym pomniku w taki sposób, iż wyciągniętą prawą ręką wskazuje na zachód. Kościuszko, jak powszechnie wiadomo, walczył z Moskalami, a więc powinien wskazywać na wschód, jak na przedwojennym kopcu. W związku z tym władze zleciły „przemodelowanie” prawej ręki Naczelnika, w wyniku czego wyciąga on prawą rękę z wyprostowanymi dwoma palcami, jak do przysięgi, którą złożył Narodowi Polskiemu na Rynku Krakowskim 24 marca 1794 roku.

W miarę upływu lat pomnik uległ częściowemu uszkodzeniu i został przystosowany przez rozrastające się drzewa i krzewy. Zaistniała więc potrzeba jego renowacji i zadbania o odpowiednie wyeksponowanie. Zadania tego podjęło się Stronnictwo Demokratyczne w Busku-Zdroju, dla uczczenia 190 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Renowację pomnika przeprowadzono ze składek członków Stronnictwa Demokratycznego, zakładów pracy, organizacji społecznych i mieszkańców. Fakt ten upamiętnia marmurowa tablica, wmurowana w cokół pomnika, o treści:

„POMNIK ODRESTAUROWANY
Z INICJATYWY
STRONNICTWA
DEMOKRATYCZNEGO
STARANIEM
SPOŁECZEŃSTWA BUSKA
DLA UPAMIĘTNIEŃ
190-TEJ ROCZNICY
KONSTYTUCJI 3-GO MAJA
1981 – 1986 „

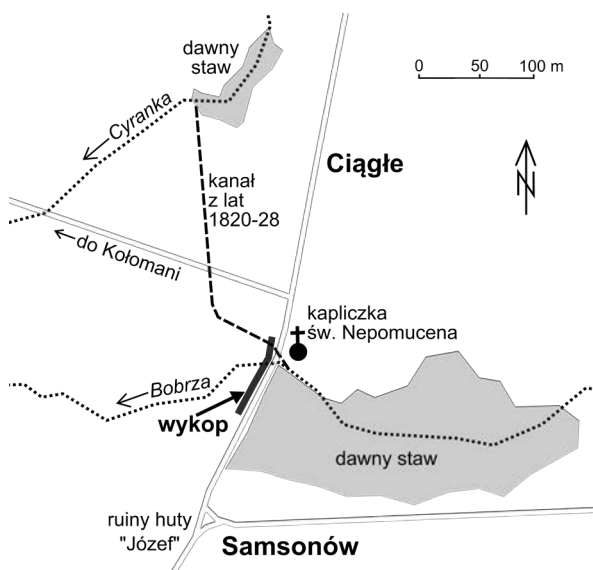
Od 1981 roku przed pomnikiem Tadeusza Kościuszki odbywają się oficjalne obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, a także rocznicy odzyskania niepodległości 11 Listopada, po przywróceniu tego dnia jako święta państwowego. W wyniku rewitalizacji alei Mickiewicza w 2012 roku, otoczenie pomnika zyskało, bardziej atrakcyjny wygląd, dostosowany do nowych potrzeb. W 2014 roku, z inicjatywy Urzędu Miasta i Gminy w Busku-Zdroju, nastąpiła kolejna renowacja pomnika, którą przeprowadził artysta rzeźbiarz Andrzej Kowalczyk.

Fotografie ze zbiorów autora

Relikty drewnianej konstrukcji z czasów Staropolskiego Okręgu Przemysłowego odkryte w Samsonowie

Dr Bartosz Kozak

Wyjeżdżając z Samsonowa w kierunku Szatasa tuż przed przysiółkiem Ciągłe z prawej strony szosy zauważyć można rozległą, podmokłą powierzchnię porośniętą szuwarami i pojedynczymi drzewami. Jest to pozostałość dawnego spiętrzenia wodnego na Bobrzy, powstałego zapewne jeszcze w XVII wieku¹ i powtórnie wykorzystanego dla pobliskiej huty żelaza „Józef” wybudowanej w latach 1818–1823.² Droga biegnie tutaj wzdłuż korony sztucznie usypanej grobli. W lipcu 2014 r. na odcinku prowadzone były prace ziemne związane z budową sieci kanalizacyjnej.



Lokalizacja opisywanego wykopaliska oraz przebieg kanału z lat 1820–1828

Wzdłuż jezdni, po jej zachodniej stronie wykonano wówczas kilkumetrowej głębokości wykop. W trakcie robót, na południe od współczesnego mostu drogowego nad Bobrzą (N: 50°59'36,87"; E: 20°37'1,33") robotnicy natrafili na liczne elementy dawnej konstrukcji drewnianej, z wyraźnie widocznymi śladami obróbki ciesielskiej. O zaistniałej sytuacji powiadomiono Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Kielcach³. Odkryte fragmenty miały zróżnicowane wymiary, o długości dochodzącej do 305 cm i średnicy do 55 cm. Większość z nich wykonana była z drewna dębowego. Należy przy tym zaznaczyć, iż był to tzw. czarny dąb⁴, co świadczyło

o przynajmniej 100-letnim wieku elementów⁵. O ile jednak zdołano określić górną granicę wieku znalezisk, o tyle granica dolna nadal pozostawała nieustalona, ze źródeł historycznych wiadomo bowiem, iż w odnośnej okolicy już w 2. połowie XVI w. istniał inny zakład metalurgiczny (kuźnica „Michałowska”): Dokładniejsze datowanie wykopalisk umożliwiła analiza dendrochronologiczna⁶ wybranych elementów drewnianych przeprowadzona przez dr. Szymona Bijaka z Samodzielnej Pracowni Dendrometrii i Nauki o Produkcyjności Lasu Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie. Z uwagi na brak odpowiedniego standardu dendrochronologicznego dla regionu kieleckiego analizę przeprowadzono w odniesieniu do wzorca opracowanego przez T. Ważnego (1990) dla okolic Krakowa⁷.

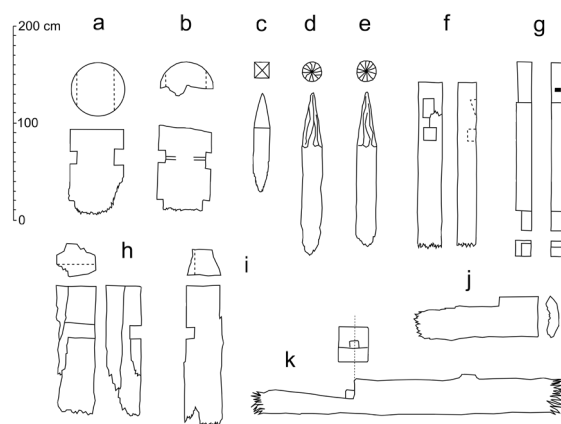


Fig.1a–k Wybrane elementy drewniane odkryte w Samsonowie

Badaniu poddano dwa fragmenty konstrukcji (Fig. 1a, i). Uwzględniając zmienną liczbę stojów drewna bielastego (dla obszaru Polski wahającą się w granicach 9–23 przyrostów) uzyskano następujące wyniki (daty ścięcia drzew): fragment „a” – lata 1875–1887, fragment „i” – lata 1846–1860. Znaczna różnica wieku może świadczyć, iż pochodzą one z dwóch odrębnych, czasowo odległych budowli, choć nie można wykluczyć ewentualności powtórnego wykorzystania materiału starszego⁸. O charakterze obiektu wnioskować możemy na podstawie kształtu zachowanych elementów. Większość

¹ korespondencja autora z dr. A. Czumchowskim

² Kmieć H. 2000. *Dzieje techniki zbrojeniowej nad rzeką Bobrzą i w jej okolicach od XVI do XIX wieku*. Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Kielcach, Kielce.

³ Pismo pp. P. Króla i J. Urbana do WUOZ w Kielcach z dn. 8.09.2014 r.

⁴ Czarny dąb (dąb kopalny, polski heban) – drewno dębowe przelegujące przez wiele lat w ziemi lub pod wodą, gdzie na skutek reakcji zawartych w nim

garbników z obecnymi w środowisku solami żelaza zmienia barwę na czarną.

⁵ korespondencja autora z dr. S. Bijakiem.

⁶ naukowa metoda datowania zabytków drewnianych na podstawie porównania sekwencji przyrostów rocznych z odpowiednim dla danego obszaru wzorcem.

⁷ Ważny T. 1990. *Aufbau und Anwendung der Dendrochronologie für Eichenholz in Polen*. Uniwersytet w Hamburgu, rozprawa doktorska.

⁸ korespondencja autora z dr. S. Bijakiem.



Wydobyte fragmenty zabytkowej konstrukcji złożone przy placu budowy. Fot. autor



Elementy drewnianej konstrukcji. Fot. autor

z nich sugeruje konstrukcję mostową, jak np. fragmenty pionowych, masywnych pali z wcięciami na poprzeczne belki usztywniające (Fig. 1 a, b, h, i), podłużny element przęsta z odpowiednio wyprofilowanym zakończeniem dla połączenia czołowego z kolejną belką (Fig. 1k), czy fragment poprzecznej nawierzchni mostu z wcięciami dla stupa poręczowego i przyległego doń zastrzału (Fig. 1f). Odcinki zastrzonych pali (Fig. 1c, d, e) mogą także stanowić pozostałość drewnianej konstrukcji samej grobli. Zastanawiające jest przy tym przeznaczenie elementu z zachowanym trzpieniem żelaznym (Fig. 1g). Dla właściwej interpretacji znalezisk wielce pomocna byłaby możliwość poznania ich położenia *in situ*, co niestety jest już niemożliwe – w wyniku przeprowadzonych prac ziemnych obiekty te zostały przemieszczone, a część stanowiska zlokalizowana w obrębie wykopu bezpowrotnie zniszczona.

Dziwi fakt braku odpowiedniego nadzoru archeologicznego, zwłaszcza że inwestycję prowadzono w obrębie zabytkowej grobli, gdzie występowania podobnych reliktyw można było się spodziewać. Po zakończeniu prac odkryte elementy zepchnięto na skraj placu, gdzie w większości zalegają do chwili obecnej; jedynie część z nich została zabezpieczona staraniem członków miejscowego Towarzystwa Ziemi Samsonowskiej⁹.

Warto odnotować, iż według relacji zatrudnionych tu robotników w trakcie prac ziemnych prowadzonych po północnej stronie Bobrzy (teren posesji nr 2) natrafiono na pozostałości kanału z zachowanymi fragmentami drewnianego szalunku. Prowadzenie robót utrudniał



Jeden z elementów (kartka o wym. 5x10 cm.). Fot. autor

wyptyw wody. Bardzo prawdopodobne, że był to ślad kanału z lat 1820–1828, jaki tąłczył staw samsonowski ze zbiornikiem rezerwowym na rzece Cyrance; jego przebieg w tym miejscu potwierdzają archiwalne materiały kartograficzne¹⁰.

Podsumowując: podczas odnośnych prac w Samsonowie natrafiono na relikty konstrukcji drewnianej; najprawdopodobniej XIX-wiecznego mostu oraz, co nie wykluczone – także innych obiektów. Roboty ziemne ujawniły ponadto domniemane ślady kanału z lat 20-tych XIX w. Niestety, skutkiem braku nadzoru archeologicznego stanowiska te nie zostały właściwie udokumentowane i zabezpieczone, ulegając bezpowrotnie zniszczeniu. W przyszłości celowym byłoby przeprowadzenie tu odrębnych badań, bądź przynajmniej zapewnienie właściwego nadzoru podczas kolejnych inwestycji mogących naruszyć ukrytą w ziemi substancję zabytkową.

Autor składa serdeczne podziękowania pp. dr. Szymonowi Bijakowi z Samodzielnej Pracowni Dendrometrii i Nauki o Produkcyjności Lasu WL SGGW w Warszawie, dr. Adamowi Czumowskiemu z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, mgr. Pawłowi Królowi z Muzeum Narodowego w Kielcach oraz dr. inż. Janowi Urbanowi z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie za pomoc okazaną podczas pracy nad niniejszym artykułem.

Źródła:

- Czumowski A. 1999. *Dzieje zakładów hutniczych w Samsonowie w Staropolskim Okręgu Przemysłowym*. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław.
Kmieć H. 2000. *Dzieje techniki zbrojeniowej nad rzeką Bobrą i w jej okolicach od XVI do XIX wieku*. Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Kielcach, Kielce.
Miczulski S. 1970. *Warunki lokalizacji pierwszego zespołu wielkopiecowego na ziemiach polskich w 1610 r.* Prace Muzeum Ziemi, nr 15, cz. I, Warszawa, s.: 243–272.
Putowska L. 2015. *Sprawozdanie z działalności TZS w roku 2014 r.* (sic!) Głos Samsonowa, nr 20 (89), s. 1–2.
Ważny T. 1990. *Aufbau und Anwendung der Dendrochronologie für Eichenholz in Polen*. Uniwersytet w Hamburgu, rozprawa doktorska.
Pismo pp. P. Króla i J. Urbana do WUOZ w Kielcach z dn. 8.09.2014 r.

⁹ W listopadzie 2014 r. 10 wybranych elementów zdeponowano w budynku Punktu Informacji Turystycznej w Samsonowie; Putowska L. 2015. *Sprawozdanie z działalności TZS w roku 2014 r.* (sic!) Głos Samsonowa, nr 20 (89), s. 1–2.

¹⁰ korespondencja autora z dr. A. Czumowskim; Czumowski A. 1999. *Dzieje zakładów hutniczych w Samsonowie w Staropolskim Okręgu Przemysłowym*. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław; Miczulski S. 1970. *Warunki lokalizacji pierwszego zespołu wielkopiecowego na ziemiach polskich w 1610 r.* Prace Muzeum Ziemi, nr 15, cz. I, Warszawa, s.: 243–272.

Drewniane budownictwo ludowe nieodwracalnie ustępuje z krajobrazu polskiej wsi. Nie inaczej jest w naszym regionie, gdzie, mimo iż dość jeszcze liczne, stopniowo ginie we współczesnej, brzydkiej, „kostkowej” zabudowie wznoszonej z prefabrykatów. Metryka zachowanych drewnianych obiektów mieszkalnych nie jest przy tym najczęściej zbyt odległa – z reguły jeszcze dwudziestowieczna. Dużą rzadkością są natomiast chałupy starsze; zwłaszcza takie, które na przestrzeni czasu nie ulegały poważniejszym przekształceniom, zachowując możliwie oryginalną formę. Obiekty te, będąc relikami kultury materialnej dawnej wsi podkieleckiej winny być dziś przedmiotem zainteresowania i opieki odpowiednich urzędów, instytucji naukowych oraz placówek muzealnych.



Obiekt od strony zachodniej

Jednym z najstarszych drewnianych budynków mieszkalnych zachowanych na terenie Gminy Zagnańsk jest blisko 140-letnia chałupa w Kołomani.

Dokładna data założenia wsi pozostaje nieznaną; nazwę miejscowości (*Kolomanya*) odnotowano po raz pierwszy pod rokiem 1540.¹ Pierwotnie zabudowa zlokalizowana była nad zachodnim brzegiem Bobrzy,

w sąsiedztwie ujścia Cyranki². W 1543 roku na gruntach wsi istniał młyn wodny (własność biskupia), zaś w 1570 powstała kuźnica (należąca do rodziny Niedźwiedziów). Początkowo Kołomani miała układ ulicowo – niwowy³ o zabudowie częściowo rozproszonej⁴. W latach 1839–1843 wieś została urządzona (zreorganizowana), przy czym zabudowę przeniesiono na nowe, obecne miejsce⁵. Zlokalizowane wzdłuż wytyczonej drogi zagrody początkowo usytuowane były naprzemiennie po obu jej stronach⁶; w późniejszym czasie układ ten uległ zatarciu.

Zabytkowy obiekt (dom numer 79) znajduje się w północnej części wsi (N: 51°0'16,54"; E: 20°36'13,84"), po zachodniej stronie drogi. Jest to drewniany budynek szerokokfrontowy na planie prostokąta o wymiarach 6,7x13,5 m. Jego dłuższa oś zorientowana jest równolegle do wspomnianej drogi (azymut 18 stopni). Przyciesie osadzono bezpośrednio na podstawie ułożonej z kamieni. Ściany posiadają konstrukcję zrębową; na węglach belki łączone są w formie nakładki dwustronnej ukośnej („jaskółczy ogon”). Łatki stosowane jedynie pomocniczo (jedna z nich widoczna w elewacji zachodniej). Od strony drogi ściany budynku pokryto płytami pilśniowymi (obecnie już mocno podniszczonymi).

¹ Kopertowska D. 1984. *Nazwy miejscowe województwa kieleckiego. Nazwy miast i wsi, nazwy części miast i wsi oraz nazwy alei, placów, ulic i osiedli mieszkaniowych*. Kieleckie Towarzystwo Naukowe, PWN, Warszawa–Kraków.

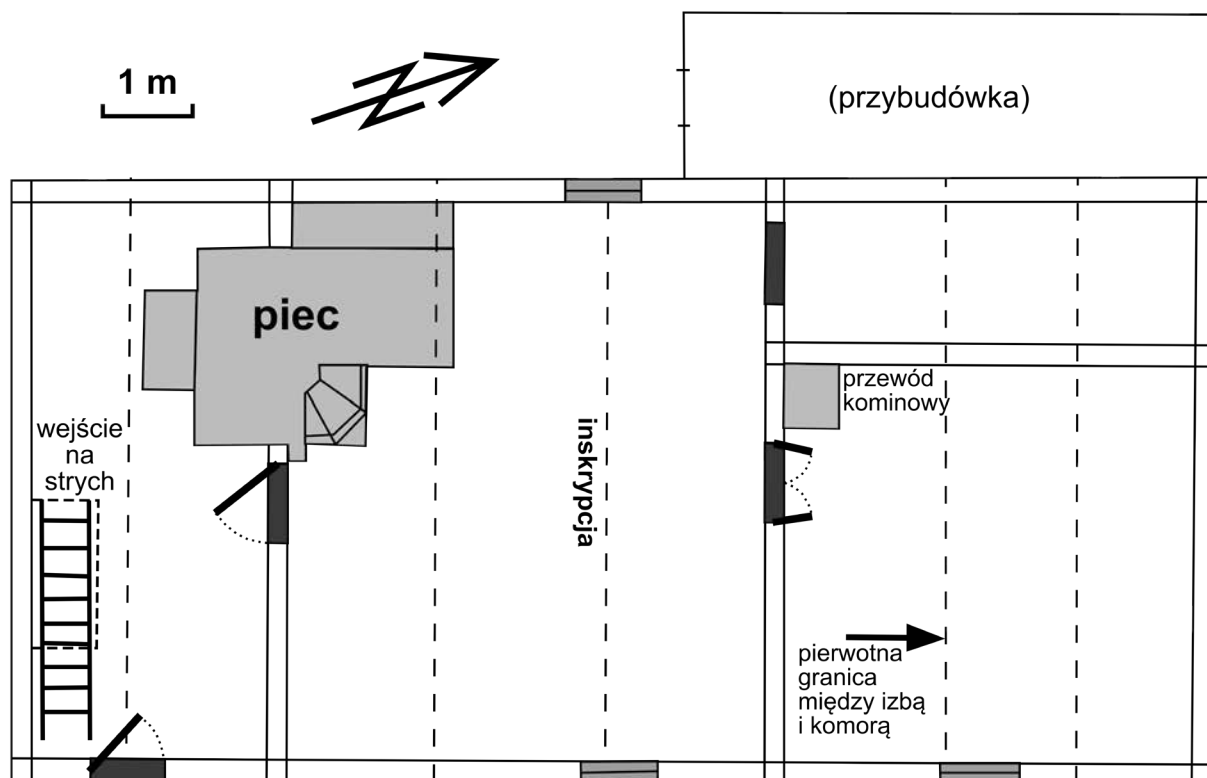
² Mapa topograficzna Królestwa Polskiego 1:126 000, kolumna 4, sektor 6 (Kielce), 1839 r.

³ Szurowa B. 1998. *Zmiany układu przestrzennego wsi kieleckiej od XIII do połowy XX wieku*. Muzeum Wsi Kieleckiej, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wsi Kieleckiej, Ludowe Towarzystwo Naukowo-Kulturalne Oddział Kielecki, Kielce.

⁴ Mapa topograficzna Królestwa Polskiego... (op. cit.)

⁵ Mapa topograficzna Królestwa Polskiego... (op. cit.); Szurowa B. 1995. *Przemiany osadnictwa wiejskiego na Kielecczyźnie w dobie przedwłaszczeniowej. Zmiany układu przestrzennego wsi*. Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wsi Kieleckiej, Muzeum Wsi Kieleckiej, Kielce.

⁶ Szurowa B. 1995. op. cit.



Plan chałupy



Wykładka w drzwiach wejściowych

Z północno-zachodniej strony znajduje się niewielka przybudówka gospodarcza z desek. Zabytkową chałupę przykrywa bardzo już rzadko spotykany w tych okolicach dach czterospadowy; niegdyś powszechny, w późniejszych czasach niemal zupełnie wyparty przez konstrukcje naczółkową i dwuspadową. Opisywany obiekt posiada dach konstrukcji krokwiowej, przy czym dolne odcinki krokwi opierają się na wysuniętych przed lico ścian płatwiach; wymienione elementy łączone są tu bez użycia żelaza – z wykorzystaniem drewnianych kołków. W górnej części pary krokwi usztywniają jętki. Poszycie dachu stanowi dobrze zachowany gont, współcześnie przykryty papą.

Pierwotnie obiekt posiadał typowy dla regionu kieleckiego układ jednotraktowy z sienią czołową⁷, w wyniku późniejszej przebudowy zamieniony na półtoraktaktowy. Wejście usytuowane jest od strony drogi; zabezpieczają je drzwi jednoskrzydłowe, otwierane do wewnątrz, z zachowaną wykładką (klamką) kowalskiej roboty.

Pierwsze pomieszczenie stanowi sień o wymiarach 268x663 cm (z wyłączeniem części zajętej przez piec powierzchnia jej wynosi 15,3 m²). Zaraz przy wejściu, po lewej stronie znajdują się drewniane schody wiodące na strych. Nieco dalej, po prawej widoczne jednoskrzydłowe drzwi prowadzące do izby (otwierane w stronę sieni). Obszerna izba posiadała pierwotnie wymiary 694x633 cm (powierzchnia z wyłączeniem pieca 39,9 m²). W dalszej części domu znajdowała się komora (według rodzinnej tradycji: „kumora”) o wy-

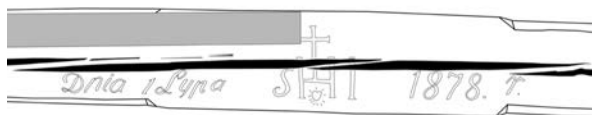
⁷ Tłoczek I. 1958. *Chałupy polskie*. Katedra Architektury i Planowania Wsi Politechniki Warszawskiej, wyd. Arkady, Warszawa.



Urządzenia ogniowe w głównej izbie

miarach 309x663 cm (20,5 m²). W późniejszym czasie komorę przebudowano; ścianę oddzielającą ją od izby przesunięto o 164 cm w stronę wnętrza obiektu, dostawiając przy tym dodatkową, prostopadłą ścianę – wydzielono w ten sposób od zachodu niewielkie pomieszczenie gospodarcze (wejście z izby). Pozostałą część dawnej komory zaadaptowano na dodatkowy pokój (drzwi dwuskrzydłowe otwierane do wewnątrz). Pomieszczenie to zaopatrzone jest w pojedyncze okno od strony wschodniej. Dwa otwory okienne doświetlają również wnętrze izby; okno od strony zachodniej ma zachowany archaiczny układ: jest dwuskrzydłowe, o 3 szybkach w skrzydle (pozostałe okna są również dwuskrzydłowe, lecz o dwóch szybkach w każdym ze skrzydeł). Podłogi wykonane są z szerokich desek. W budynku zachowały się dawne urządzenia ogniowe; w obrębie izby znajduje się trzon kuchenny z kapą, piec chlebowy oraz piec ogrzewczy z zapiecem (jest tu niewielka wnęka do suszenia zwana „framugą”), zaś w sieni – część pieca wraz z dodatkowym trzonem kuchennym i wnęką.

Całość wzniesiono z kamienia, jedynie trzon kuchenny w izbie w późniejszym czasie wymieniono na kaflowy. Po wspomnianej przebudowie w narożniku nowego pokoju (na lewo od drzwi) dostawiono dodatkowy przewód kominowy z cegieł. Wnętrze środkowej izby łącznie z piecem pokryto tynkiem



Pamiątkowa inskrypcja na belce stropowej w izbie

o barwie jasnoniebieskiej (według właściciela barwa ta miała odstraszać muchy). W pomieszczeniu tym, na jednej z belek stropowych zachowała się inskrypcja z czasów budowy domu: „Dnia 1 Lipca SHI 1878. r.” (litera „H” z krzyżem u góry oraz sercem otoczonym promieniami u podstawy). Błąd w słowie „lipca” (arch. „lypca”; brak litery „c”) oraz odwrócony układ liter

w chrystogramie świadczą o słabym opanowaniu przez snycerza umiejętności pisania (bądź wręcz o jego analfabetyzmie).

Opisywany obiekt wzniesiony został przez Aleksandra Chyba, antenata obecnych właścicieli. Do roku 2000 był on stale zamieszkały przez Stanisława Chyba⁸. Obecnie budynek jest w dość dobrej kondycji, jednak prymitywne warunki mieszkaniowe sprawiają, iż wykorzystywany jest jedynie jako dom letniskowy. Niestety, brak środków na dalszą konserwację tego cennego zabytku jest powodem, dla którego właściciele planują w niedalekiej przyszłości jego rozbiórkę.

Uważam, że obiekt ten ze wszelkich miar zasługuje na zachowanie i nie wolno dopuścić do jego likwidacji. Najlepszym rozwiązaniem byłoby objęcie go opieką przez Muzeum Wsi Kieleckiej i pozostawienie *in situ* jako punktu etnograficznego (analogicznie do zagrody Czernikiewiczów w Bodzentynie). Jeśli jednak ten wariant okazałby się niemożliwym do realizacji, zabytkowa chałupa powinna zostać przeniesiona do skansenu w Tokarni, gdzie z pewnością wzbogaciłaby ekspozycje plenerową sektora świętokrzyskiego.

Fot. autor

Autor składa serdeczne podziękowania za okazaną pomoc pp. Chybom oraz p. Aleksandrze Kwiatek.

Źródła:

Chyb Bronisław – relacja z dn. 8.VIII.2015 r.

Kmieć H. 2000. *Dzieje techniki zbrojeniowej nad rzeką Bobrzą i w jej okolicach od XVI do XIX wieku*. Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Kielcach, Kielce.

Kopertowska D. 1984. *Nazwy miejscowe województwa kieleckiego. Nazwy miast i wsi, nazwy części miast i wsi oraz nazwy alei, placów, ulic i osiedli mieszkaniowych*. Kieleckie Towarzystwo Naukowe, PWN, Warszawa – Kraków.

Mapa topograficzna Królestwa Polskiego 1:126 000, kolumna 4, sektor 6 (Kielce), 1839 r.

Szurowa B. 1995. *Przemiany osadnictwa wiejskiego na Kielecczyźnie w dobie przeduwłaszczeniowej*. Zmiany układu przestrzennego wsi. Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wsi Kieleckiej, Muzeum Wsi Kieleckiej, Kielce.

Szurowa B. 1998. *Zmiany układu przestrzennego wsi kieleckiej od XIII do połowy XX wieku*. Muzeum Wsi Kieleckiej, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wsi Kieleckiej, Ludowe Towarzystwo Naukowe – Kulturalne Oddział Kielecki, Kielce.

Tłoczek I. 1958. *Chałupy polskie*. Katedra Architektury i Planowania Wsi Politechniki Warszawskiej, wyd. Arkady, Warszawa.

⁸ wg relacji Bronisława Chyba (syna).

Pamiętkowa tablica

poświęcona twórcom Zespołu Wielkopieczowego w Samsonowie

Dr Adam Czmuchowski

Samsonów, to miejsce szczególne dla dziejów historii polskiego przemysłu i to nie tylko za sprawą zachowanych tutaj obecnie w formie tzw. trwałej ruiny murów dawnego zespołu wielkopieczowego „Józef”. Chodzi tu oczywiście o wciąż jeszcze nie do końca przebadane i opisane pozostałości dwóch wcześniejszych zakładów hutniczych w tej miejscowości, kryjące się dokładniej w Samsonowie – Ciągłych, po lewej stronie dawnej grobli, pod nazwą „Skarbczyka”.

Udokumentowane początki przemysłu hutniczego w Samsonowie sięgają wieku XVI. Do dziś, po dawnym zakładzie wielkopieczowym z w. XVI i w. XVIII pozostały tutaj niewielkie i zniszczone zębem czasu ruiny zabudowań, wzniesionych w Samsonowie – Ciągłych z miejscowego czerwonego piaskowca, zlokalizowane około 300 metrów na północ od zachowanych ruin Huty „Józef”.

Dzisiejsze ruiny fabryczne w centrum Samsonowa stanowią pozostałość po zespole wielkopieczowym „Józef” – trzecim już w dziejach hutniczych tej miejscowości wielkim piecu. Huta „Józef” powstała w latach 1818–1823 za sprawą Stanisława Staszica. Kamień węgielny pod jej budowę został uroczystie wmurowany przez ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego – generała Józefa Zajączka, którego imię zakład przyjął. Kompleks budynków nowego zespołu wielkopieczowego powstał na wzór klasycystycznego pałacu z dziedzińcem pośrodku. Jego budowniczym był Bogumił Schmith, a pierwowzorem stała się huta w Pankach, koło Częstochowy. Wielki piec powstał przy udziale fachowców z Saksonii, a przebudowany został w roku 1835. Huta „Józef” pracowała głównie na potrzeby wojska. Prócz tego wytwarzano w niej szereg elementów budowlanych i ozdobnych. Zakład zmodernizowany był m.in. w latach 1829, 1835 oraz 1836. Mankamentem jego lokalizacji były okresowe braki wody, zasilającej maszynię fabryczną, które powodowały przestoje w produkcji.

W roku 1844 i 1848 miały tu miejsce poważne pożary. Zakład zniszczony został ostatecznie przez pożar, który wybuchł w nim w roku 1866. W czasie I wojny światowej Austriacy zniszczyli część istniejących wówczas zabudowań fabrycznych. W roku 1922 dawna „przodująca huta Królestwa Polskiego” przeszła w ręce prywatne. Od roku 1926 potowa dawnego „Majątku Górniczego Samsonów” stała

się własnością Józefa i Marianny z Bolechowskich Fert. Po nich ruiny zakładu odziedziczyła córka – Modesta z Fertów Czmuchowska. To dzięki ich wieloletniej opiece mury dawnej fabryki ocalały i nie zostały rozebrane na materiał budowlany, jak miało to miejsce z wieloma podobnymi obiektami. W roku 1967 Huta „Józef” wpisana została do rejestru obiektów zabytkowych. Wówczas także zakończono inwentaryzację konserwatorską zakładu. W roku 1976 „zakład wielkiego pieca” w Samsonowie przeszedł na własność Skarbu Państwa.

Ocalała część zabudowań hutniczych została zabezpieczona w latach 1981–1983 w formie tzw. trwałej ruiny i udostępniona zwiedzającym, w tym m.in.: wielki piec, wieża gichtociągowa, dwa budynki fabryczne – dawnej kuźni i suszarni oraz modelarni (formiarni) i stolarni, pozostałości fundamentów odlewni i maszynowni, górny odcinek kanału fabrycznego.

W sobotnie słoneczne popołudnie 12 września 2015 r. na dawnym hutniczym placu w Samsonowie miało miejsce szczególne spotkanie. Licznie zgromadzili się zaproszeni goście, przedstawiciele kieleckiej nauki, kultury i sztuki, władze lokalne oraz rodzina ostatnich właścicieli dawnego zespołu wielkopieczowego.

Sam pomysł wykonania tej płyty powstał piętnaście lat temu w gronie osób tworzących wówczas „Komitet Organizacyjny”. Byli to: mgr inż. Heliodor Kmiec (NOT – Kielce), mgr inż. Feliks Wiśniewski (NOT – Wrocław), mgr Jacenty Frydrych (Zagnańsk) oraz autor tego artykułu. Postanowiono wykonanie i umieszczenie na murze Huty z okazji 180-lecia budowy trzeciego wielkiego pieca tablicy poświęconej ostatnim właścicielom i opiekunom tego zabytkowego obiektu w Samsonowie. Początkowo pojawił się zamiysł ustawienia na dziedzińcu sporego głazu z miejscowego piaskowca, ze ściętą ukośną płaszczyzną, z tekstem poświęconym dziejom huty. Jednak wówczas taka płyta nie powstała. Zabrakło właściwego głazu; te, które były dostępne, okazały się nazbyt zwietrzałe. Zabrakło też funduszy.

Ponownie, w roku bieżącym 2015, w związku z obchodami dwudziestolecia istnienia Towarzystwa Ziemi Samsonowskiej zaproponowałem Zarządowi TZS, aby wrócić do tej inicjatywy. Ostatecznie tablica powstała ze środków prywatnych autora oraz inż. Wiesława Ferta z Warszawy jako reprezentantów rodzin



Tablica z 1999 r. poświęcona ostatnim właścicielom i opiekunom hut „Józef”. Fot. autor

spadkobierców hutników samsonowskich. Technicznie wykonana została we Wrocławiu według projektu autora przez przedsiębiorstwo „Solvent” Jarosława Makucha oraz przez firmę kamieniarską Tomasza Janiszewskiego. Pamiątkową płytę na fabrycznym murze zamontował Janusz Guzik z Tumlina. Jest to płyta z czarnego granitu o wymiarach 80x70 cm, z szerokim surowym rantem imitującym dawne żeliwne tablice samsonowskich hutników, z których część znajduje się po dziś dzień na murze tumlińskiego kościoła parafialnego. Osadzona została na czterech dyblach o prostych rozetach. Zamontowana ją po uzyskaniu stosownej zgody ze strony Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Kielcach – mgr inż. arch. Janusza Cedro oraz Urzędu Gminy w Zagnańsku – na murze dawnej odlewni Hut „Józef” na wysokości pozwalającej turystom odwiedzającym samsonowski zakład swobodnie zapoznać się z jej treścią, bowiem taki to właśnie cel nadrzędny winna ona pełnić.

Uroczyste odświeżenie pamiątkowej płyty odbyło się według wcześniej przygotowanego scenariusza. Głos zabrali m.in. dr Andrzej Rembalski, Mieczysław Gębski, Szczepan Skorupski, Renata Janik, Lidia Putowska, Ryszard Pobocho oraz dr Adam Czmuchowski (jako organizator spotkania). Całość spotkania została uświetniona występem zespołu ludowego „Tumlinianki” z Tumlina pod kierunkiem p. Ewy Kity, który przygotował wiązanek pieśni patriotycznych. Po odświeżeniu pamiątkowej płyty mieszkańcy Samsonowa oraz zaproszeni goście przeszli na poczęstunek do sali w miejscowym Zespole Szkół w Samsonowie, zorganizowany dzięki uprzejmości dyrektorki szkoły mgr Doroty Chmielewskiej



Tablica poświęcona twórcom i dziejom hut. Fot. Bartosz Kozak

oraz p. Michała Dąbrowskiego z Zagnańska. Każdy z uczestników spotkania otrzymał pamiątkowy zestaw pocztówek, przybliżający przemysłową przeszłość Samsonowa oraz piękno Ziemi Samsonowskiej, wydanych nakładem autora artykułu.

W wypowiedziach zebranych pod murami hut przeżył się wątek znaczenia unikalności samsonowskiego zabytku, jakim są ruiny zespołu wielkopiecowego. Ze strony autora padła wyraźna sugestia, że tablica upamiętniająca postacie historyczne związane z budową i funkcjonowaniem Hut „Józef” oraz dzieje tego zakładu, kiedy trwała w nim produkcja, stanowi tylko przyczynek do zwrócenia baczniejszej uwagi na obecny stan zachowania zabytku oraz możliwości jego wykorzystania w przyszłości. W szczególności chodzi tu o etapową realizację projektu powstałego roku 2007, znanego pod nazwą „Otwarte Muzeum Przemysłu w Samsonowie” (OMP), którego autorami są dr Adam Czmuchowski, mgr inż. arch. Wojciech Świątek, mgr inż. arch. Anna Szewczyk. Koncepcja ta przewiduje rewitalizację wszystkich obiektów dawnej hut, w tym i tych, znajdujących się obecnie w rękach prywatnych, niszczących tutaj od roku 1976, a zlokalizowanych raptem kilkanaście metrów od ogrodzonego tzw. zakładu wielkopiecowego. Są to m.in. dawny magazyn wyrobów gotowych, tzw. kantorek, nadal zarośnięty kilkudziesięcioletnimi drzewami oraz zaniedbany i zupełnie niewykorzystany ze względu na swe walory – jedyny zachowany w całości z pożaru w roku 1866 – modrzewiowy dom zarządcy fryszerek. Celowym wydaje się przejęcie pozostałych trzech zabytkowych obiektów przez Gminę, ich stopniowe zabezpieczenie i wykorzystanie ich zgodnie z ich zabytkowym charakterem, to jest udostępnienie zwiedzającym, jako



Uczestnicy uroczystości w Samsonowie w dn. 12.09.2015 r. Fot. Radostaw Nowak

całego kompleksu wielkopieczowego, a nie tylko części głównej dawnej huty skupionej wokół wieży wyciągowej i wielkiego pieca. Z kolei usunięcie części dzikiego zadrzewienia w sąsiedztwie dolnego kanału hutniczego (aktualnie jest to teren praktycznie niedostępny dla zwiedzających) otworzy piękną panoramę krajobrazową z dziedzica Huty „Józef” w kierunku północno-zachodnim, podobnie jak na terenie zakładu w Sielpi Wielkiej. Konieczne również będzie zabezpieczenie murów fabrycznych przed dewastacją, m.in. poprzez założenie

monitoringu. Podobnie – zainteresowania i promocji (kwestia zorganizowania obozu archeologicznego oraz zabezpieczenia przed dewastacją) wymagają malownicze i jednocześnie zupełnie zapomniane kamienne mury „Skarbczyka” powstałego zapewne na przełomie XVII/XVIII w. a przebudowanego w roku 1778 przez bpa krakowskiego Kajetana Sottyka, jako miejsca lokalizacji pierwszego i drugiego z kolei wielkiego pieca w Samsonowie.

Miejmy nadzieję, że otwiera się lepszy okres dla samsonowskich ruin – tego cennego zabytku na szlaku Staropolskiego Okręgu Przemysłowego.

Na podstawie:

- Czmuchowski Adam, *Dzieje zakładów hutniczych w Samsonowie w Staropolskim Okręgu Przemysłowym*, monografia, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2000
- Fert Maciej, Czmuchowski Adam, *Spacer po dawnym Samsonowie. Samsonów wczoraj i dziś*, Wydawnictwo Towarzystwa Ziemi Samsonowskiej, Wrocław 1998



Projekt rewitalizacji ruin huty „Józef” według koncepcji „Otwartego Muzeum Przemysłu w Samsonowie” (OMP). Fot. Wojciech Świętek, Anna Szewczyk

W maju 1945 r. oddział Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych wyzwolił obóz koncentracyjny na terenie Czech. Prawda o niezłomnych żołnierzach, którzy przywrócili wolność blisko tysiącu kobiet przez wiele lat była zapomniana, a bohaterowie tamtych wydarzeń w Polsce mogli liczyć jedynie na represje i potępienie.

Jak to się zaczęło?

Narodowe Siły Zbrojne różniły się od innych organizacji niepodległościowych funkcjonujących na terenie okupowanej Polski. Organizacje podległe rządowi londyńskiemu musiały traktować wschodnich sąsiadów jako aliantów, z kolei dowództwo NSZ doskonale zdawało sobie sprawę z nieczystych zamiarów Stalina wobec Polski. Po bitwie stalingradzkiej, wobec nieuchronnej klęski III Rzeszy, wojska Armii Czerwonej przez narodowców traktowane były jako wróg numer jeden. Wtedy to powstał plan powołania trzech grup operacyjnych, które w chwili zbliżania się frontu wschodniego miały wycofywać się ku zachodnim aliantom. Plan ten miał na celu uchronienie żołnierzy NSZ przed późniejszymi represjami ze strony Sowietów, którzy od 1943 r. podejmowali działania zbrojne przeciwko partyzantce komunistycznej.

Nie udało się utworzyć trzech planowanych grup operacyjnych. Sformowano tylko jedną. Powstała ona

w dniu 10 sierpnia 1944 r. w Lasocinie i przyjęła nazwę Brygada Świętokrzyska. Jednostka została uformowana z 204 Pułku Piechoty Ziemi Kieleckiej i świeżo powstałego 202 Pułku Piechoty Ziemi Sandomierskiej, w którego skład wchodziły mniejsze oddziały przybyłe na miejsce koncentracji 8 sierpnia. Brygada zasilana była żołnierzami operującymi wcześniej na Kielecczyźnie i Lubelszczyźnie. Od początku do końca istnienia formacji jej stan osobowy wahał się między 850, a 1500 ludzi. Dowódcą Brygady został mianowany pułkownik Antoni Szacki ps. „Bohun”¹. Oba pułki podzielone były na dwa bataliony, z których każdy dzielił się na 3 kompanie.

Działalność na Kielecczyźnie do ruszenia frontu wschodniego

Do ruszenia ofensywy sowieckiej Brygada Świętokrzyska operowała na terenie Kielecczyzny. Dochodziło do starć zarówno z wojskami podległymi III Rzeszy jak i komunistycznymi partyzantami oraz skoczkami sowieckimi przerzuconymi za linię frontu. W kilku akcjach bojowych nawiązana została współpraca pomiędzy Brygadą, a stacjonującymi w pobliżu oddziałami Armii Krajowej. Znaczna część akcji zaczepnych przeprowadzana przez żołnierzy NSZ miała na celu zdobycie jak największej ilości broni i amunicji. Narodowcy będący uznawani w Londynie za „nielegalnych”, nie otrzymywali żadnych rzutów uzbrojenia, ani nie mogli liczyć na wsparcie pieniężne zza granicy.



Płk Antoni Szacki „Bohun”



Brygada Świętokrzyska w trakcie ćwiczeń

¹ Stopnie oficerskie zgodne z rozkazem Komendy Głównej NSZ – Zachód wydanym 25 grudnia 1944 r.

Największe bitwy w jakich wzięła udział Brygada, to starcia pod Zagnańskiem, Rzębcem, Cacowem, Pogwizdowem i Holiszowem na terenie Czech. Pozostałe potyczki, w jakich brała udział ta formacja, nie angażowały większości sił jednostki.

28 sierpnia pod Zagnańskiem doszło do jednego z największych starć Brygady z Niemcami. W niespełna trzy tygodnie po utworzeniu jednostki, musiała się ona bronić przed licznymi oddziałami piechoty i pociągiem pancernym. Wszystko rozegrało się we wsiach Kaniów, Jasiów oraz Belno. Tam został zarządzony postój po forsownym marszu. Z 204 pułku piechoty wystąnych zostało kilka patroli zwiadowczych, które miały rozpoznać tereny przyległe do pobliskiej szosy oraz torów. Okazało się to niebez zasadne, bowiem 202 pułk piechoty został zauważony przez liczny oddział własowców, który stacjonował w pobliżu. Przypuścił on szturm na miejsce postoju pułku. Do zażartej walki jaka wyniknęła między Polakami a Rosjanami, dołączył niemiecki pociąg pancerny, który nadjechał z kierunku Kielc. Ostrzeliwał on wioski, w których stacjonowali NSZ – owcy, a w szczególności Kaniów. Sytuacja zmusiła 202 pp do wycofania się do pobliskiego lasu. Teraz 204 pp musiał przejąć na siebie cały impet natarcia. Odeprzeć ataki kałmuków udało się dzięki żołnierzom kapitana Władysława Kotacińskiego „Żbika”, którzy dysponowali działkiem przeciwpancernym. W wyniku ostrzału z ciężkiego sprzętu rozproszono oddział własowców, a pociąg pancerny bez wsparcia musiał oddalić się w kierunku Skarżyska. Po odparciu ataku wojsk okupanta nastąpił ostrzał kierowany od strony Świniej Góry, prowadzony przez potężne oddziały Armii Ludowej i sowieckich spadochroniarzy. Atak został szybko przerwany przez zdecydowaną odpowiedź 204 pp. W dniu 28 sierpnia 1944 r. poległo trzech żołnierzy Brygady. Sanitariuszka „Celina”, która w trakcie bitwy opatrywała rannych, została nagrodzona za swoją postawę Krzyżem Walecznych.

Do największej walki z siłami komunistycznymi doszło 11 dni później, 8 września, kiedy to Brygada Świętokrzyska zmierzyła się nieopodal wsi Rzębiec z potężnymi oddziałami Armii Ludowej i grupą sowieckich dywersantów. Dzień przed przybyciem oddziałów „Bohuna” do Rzębca, w pobliskich lasach rozmieścili się żołnierze dowodzeni przez Tadeusza Grochala ps. „Tadek Biały” wspierani przez oddziały skoczków rosyjskich. O swojej obecności obie strony dowiedziały się w chwili, gdy kpt. „Step” wystąpił 5-osobowy (lub 12-osobowy²)

patrol pod dowództwem plut. podchor. Franciszka Bajcera ps. „Sanowski”. Patrol został pochwycony przez komunistów, a ci, gdy zorientowali się z kim mają do czynienia, wydali rozkaz rozstrzelania jeńców. „Sanowskiemu”, który podobno ślubował Bogu, że jeżeli uda mu się uniknąć śmierci, odda całe życie kapłaństwu (rzeczywiście przyjął śluby po zakończeniu wojny), udało się uciec z niewoli i powiadomić o wydarzeniach rozgrywających się w niedalekiej gajówce porucznika „Lamparta”. Chłop wcześniej powożący furmanką, która wyruszyła na patrol z partyzantami, niezauważony przez oddziały AL, udał się od razu do pułkownika Szackiego. Dzięki niezwłocznej akcji Brygady udało się uratować jeńców, gdy ci stali już nad wcześniej wykopanymi przez siebie grobami. W walce wzięł udział 202 pp i batalion dowodzony przez kapitana „Żbika” z 204 pp. Oddziały komunistyczne i sowieckie zaatakowane zostały ze wszystkich stron jednocześnie i pomimo o wiele lepszego uzbrojenia w ciężkie karabiny maszynowe oraz granatniki, poddali się po godzinnej walce. Zdobyto znaczne ilości broni i amunicji. Przeciwko Brygadzie Świętokrzyskiej komuniści wystąpili w sile oddziałów AL dowodzonych przez „Tadka Białego” i skoczków sowieckich pod dowództwem kapitana Iwana Iwanowicza Karajewa, łącznie licząc 300–330 ludzi. W starciu poległo dwóch, lub ośmiu żołnierzy NSZ, a rany poniosło czterech, bądź ośmiu³. Po stronie przeciwnej straty liczono w 16 zabitych i ok. 20 rannych. Partyzanci Szackiego wzięli do niewoli 107 jeńców, w tym 40 Polaków. 4 pojmanych z AL po procesie rozstrzelano, udowadniając im bandytyzm. 13 Polaków, którzy nie mieli większych przewinień na sumieniu zostało z własnej woli wcielonych do Brygady. Antoni Szacki podaje, że do byłych komunistycznych partyzantów należał m. in. jego ordynans. 8 września NSZ – owcy opuścili Rzębiec. W trakcie marszu doszło do ucieczki części jeńców, a ci którym nie udało się zbiec polegli pod ogniem prowadzącej ich eskorty.

Ostatnie duże starcie w jakim uczestniczyła Brygada przed ruszeniem frontu wschodniego miało miejsce pod Cacowem 20 września. Gdy brygada stacjonowała w Cacowie, zwiad konny zameldował dowództwu o tym, że od Nagłowic w kierunku ich lokalizacji zmierza oddział około 400 lotników, a z północnego zachodu nadciąga w kierunku wsi Popowice oddział żandarmów niemieckich w sile

² Antoni Szacki w swojej książce *„Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Pamiętnik dowódcy, wspomnienia żołnierzy, dokumenty”* informuje o 12 jeńcach, podobnie jak Janusz Kucharski w *„Brygadzie Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych”*, ale we wspomnieniach partyzantów zamieszczonych przez Jerzego Jaxa – Maderskiego w publikacji *„Na dwa fronty. Brygada Świętokrzyska NSZ Przeciwko Niemcom, Sowietom i komunistom”* pada informacja o 5 uwięzionych

członkach patrolu. Ponadto „Bohun” pisze, jakoby „Sanowski” został uwolniony wraz ze swoimi żołnierzami, podczas gdy por. „Gnat” u Maderskiego informuje o jego ucieczce, przy okazji wymieniając pseudonimy i stopnie jeńców (plut. podch. Franciszek Bajcar Sanowski, strz. „Nekja”, strz. „Sowa”, strz. „Kapiszon” i strz. „Prochowiec”).

³ Janusz Kucharski w swojej publikacji *„Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych”* informuje o 2 zabitych i 8 rannych, z kolei u Jerzego Jaxy – Maderskiego, możemy znaleźć informacje o 8 poległych i 4 rannych.

około 100 ludzi. Z racji dobrych warunków pogodowych i terenowych, umożliwiających obserwację terenu z zalesionego wzniesienia we wszystkich kierunkach, zdecydowano się na przyjęcie bitwy. Szybko rozdysponowano rozkazy. Major „Jaxa” dowodzący 202 pp miał zorganizować w pobliskim lesie zasadzkę na zbliżających się Niemców, a po ich rozbiciu miał wycofać się na wzgórze 274 i utrzymać się do zmroku. Szkolna kompania 204 pułku dowodzona przez majora „Jura” dostała zadanie obrony mostu na Nidzie i niedopuszczenia żandarmów do zajęcia Cacowa. 204 pp będący pod rozkazami kapitana „Wojskiego” miał pozostać w obwodzie i pilnować taboru, ewentualnie ruszyć z pomocą którejś z pozostałych grup. Jako miejsce dowodzenia zostały wybrane domki znajdujące się blisko odvodu. W razie silnego natarcia niemieckiego wszystkie oddziały dostały rozkaz wycofania się do lasu jędrzejowskiego. Cała walka miała odbywać się przy ubezpieczeniu skrzydeł przez stacjonujące w okolicy oddziały AK. O godzinie 10 rano nad Caców nadleciały samoloty nieprzyjaciela, które zbombardowały miejscowość pociskami zapalającymi. Ogień był nieskuteczny; w jego wyniku zapalił się jeden dom, który szybko ugaszono oraz zniszczonych zostało kilka wozów taborowych. Major „Jaxa” po przepuszczeniu ubezpieczenia przedniego przeciwnika, przypuścił wraz ze swoim pułkiem zdecydowany atak na zdezorientowanych Niemców. Wycofali się oni w popłochu zostawiając za sobą zabitych i rannych. Dzięki tej akcji 202pp zdobył duże ilości broni, butów i innych części umundurowania. Następnie oddział przeniósł się na wzgórze 274, gdzie do zmroku nie nieprzyjaciel się nie pojawił. W tym samym czasie rozpoczęła się wymiana ognia między kompanią szkolną 204 pp, a żandarmerią. Około trzeciej po południu siedem samolotów niemieckich zbombardowało kolumnę dywizji AK, która wcześniej porzuciła swoją pozycję na skrzydłach Brygady Świętokrzyskiej i teraz maszerowała lasem. Godzinę później pułkownik „Bohun” zdecydował się na przesunięcie taborów bliżej gajówki. Przez przypadek dostały się one pod ogień niemiecki. Po obozie krążyły przez pół godziny nieprawdziwe plotki o śmierci kapitana „Żbika”, który w rzeczywistości wykonał zadanie bez strat własnych. Po zmroku najpierw 202 pp, a następnie kompania szkolna majora „Jura” zaczęła się wycofywać w kierunku taborów. Caców na szczęście uniknął późniejszych konsekwencji pomagania partyzantom i żadnych represji nie doświadczył.

Do momentu ruszenia ofensywy sowieckiej Brygada Świętokrzyska uczestniczyła w wielu innych utarczkach z oboma wrogami, ale żadnej z nich nie można porównać do wyżej opisanych ze względu na użyte środki. Prawdziwa epopeja

jednostki rozpoczęła się dopiero 13 stycznia 1945 roku, kiedy to żołnierze NSZ wyruszyli w swój marsz na Zachód.

Między dwoma wrogami

13 stycznia w obliczu ruszenia frontu wschodniego Brygada wymaszerowała z okolic wsi Giebułtów, Maciejów i Boczkowice i ruszyła na zachód. 14 stycznia żołnierze przekroczyli tory kolejowe na trasie Kielce – Miechów i zatrzymali się w rejonie Kępie – Pogwizdów – Uniejów. Około godziny 13:00 w pobliżu Pogwizdowa miała miejsce bitwa stoczona między żołnierzami Wehrmachtu, mającymi wesprzeć odcinek obronny na Pilicy, a oddziałami II batalionu dowodzonymi przez kapitana „Rusina”. Pod silnym naporem wroga NSZ – owcy utracili pół zajmowanej przez siebie miejscowości. Cały impet natarcia przyjęły na siebie kompanie pod dowództwem por. „Boppa” i kpt. „Kazimierza”. Na odsiecz został wysłany 204 pp kapitana „Jerzego”. Niemcy Przygwoźdzeni przez ogień karabinów maszynowych zostali zaatakowani z flanki przez dodatkowe dwa bataliony. Żołnierze Wehrmachtu po krótkiej walce, w której ponieśli ciężkie straty, zostali zmuszeni do wycofania się. W starciu w Pogwizdowie Brygada Świętokrzyska NSZ zanotowała największe jednorazowe straty podczas całego swojego istnienia: zginęło 9 żołnierzy, a 10 zostało rannych⁴. Wszyscy polegli zostali pochowani we wspólnym grobie.

Brygada Świętokrzyska uporczywie maszerowała na Zachód nie bacząc na napotymane zagrożenia. Aby zrealizować postawione przed jednostką zadanie, czyli dotarcie do aliantów zachodnich, dowództwo musiało podjąć się trudnej misji negocjowania realizacji dalszego marszu bez ataków ze strony niemieckiej. Dzięki zastosowaniu licznych forteli udało się doprowadzić do zawieszenia broni. Bardzo często Brygada oskarżana jest o kolaborację z Niemcami. Do tego jednak nigdy nie doszło. Co prawda jednostka NSZ kilkakrotnie korzystała z zaopatrzenia niemieckiego, a z kolei dowództwo niemieckie zaakceptowało projekt skoków do Polski skoczków spadochronowych złożonych z żołnierzy Brygady, ale działania te nie miały charakteru antypolskiego. Dzięki wejściu w kontakty z Niemcami udało się ocalić ok. 1500 żołnierzy wchodzących w skład formacji. Skoczkowie spadochronowi, którzy wylądowali w Polsce, realizowali tylko i wyłącznie rozkazy wydane przez pułkownika „Bohuna” i mieli na celu prowadzenie działalności antykomunistycznej na terenie ponownie okupowanego kraju. Czas względnego zawieszenia broni między NSZ

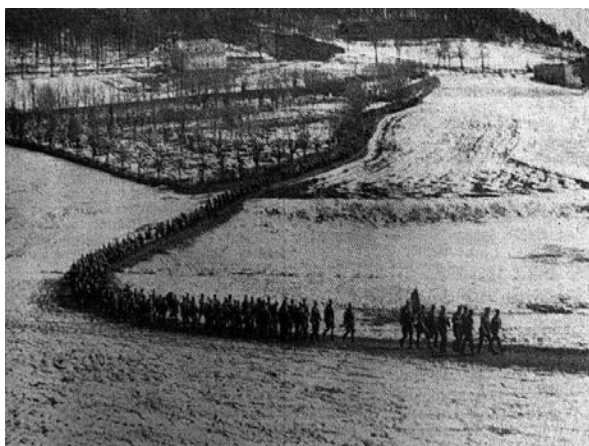
⁴ Szacki „Bohun”, „Dąbrowski” A., *Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Pamiętnik dowódcy, wspomnienia żołnierzy, dokumenty*, Warszawa – Kraków 2014, s. 181. W walce polegli: podporucznik „Boryna”, starszy strzelec „Gorczyński”, kapral podchorąży „Szmaga”, strzelcy „Jastrząb”, „Wiktor”, „Kosa”, „Huncwot”, „Kamień” i „Kacper”.

a Niemcami trwał od 28 stycznia do 28 kwietnia 1945 roku, gdy Brygada dotarła do czeskiej miejscowości Vshekary pod Holiszowem.

Wyzwolenie obozu koncentracyjnego w Holiszowie

W chwili osiągnięcia miejscowości Vshekary do armii amerykańskiej w dniu 30 maja został wysłany patrol składający się z żołnierzy Brygady, którzy mieli nawiązać tączność ze sprzymierzeńcami i przekazać list napisany przez podpułkownika „Żęba”. W piśmie podane zostały szczegółowe zamiary jednostki, czyli: rozpoczęcie działań bojowych przeciwko 13 Armii niemieckiej i przecięcie drogi prowadzącej z Pilzna do Bischofsteinitz; wyzwolenie obozu koncentracyjnego dla kobiet w Holiszowie; prośba o zbombardowanie przez lotnictwo składów amunicji znajdujących się w pobliskim lesie. Ponadto dowódca patrolu miał poprosić Amerykanów o jak najszybsze poinformowanie generała Andersa o stanie i obecnej sytuacji jednostki. Po 48 godzinach podróży wysłani żołnierze osiągnęli swój cel i dotarli do 2 Dywizji generała Robertsona.

Równoległe do czasu wymarszu patrolu podjęte zostały działania bojowe na osi szosy Holiszów – Stankow – Bischofsteinitz, trwające do przerwania frontu. Akcje te miały na celu utrudnienie transportu broni i żywności kierowanej przez Niemców pod Bischofsteinitz.



Marsz na Zachód

Dnia 3 maja blisko 60 bombowców amerykańskich przeprowadziło nalot dywanowy na skład amunicji znajdujący się w zlokalizowanym w liście lesie. W wyniku bombardowania skład został całkowicie zniszczony, a zlikwidowanie aktywności niemieckiej w tamtym rejonie umożliwiło przeprowadzenie akcji bojowej w celu opanowania obozu koncentracyjnego w Holiszowie. Dzień 4 maja został poświęcony na obserwację kompleksu. Dzięki dobrej współpracy z czeskim ruchem oporu udało się pozyskać dokładne informacje dotyczące składu załogi

pilnującej obozu, ich uzbrojenia i rozmieszczenia baraków. Po przeanalizowaniu otrzymanych informacji pułkownik Szacki zarządził przeprowadzenie akcji 5 maja o 12:00. Parę godzin przed rozpoczęciem natarcia do dowództwa Brygady zgłosiła się reprezentacja ludności czeskiej składająca się z mieszkańców Holiszowa. Prosilili o przełożenie akcji wyzwoleniczej na późniejszy termin. Sądzieli, że armia amerykańska dotrze do nich za parę tygodni, a oni sami poniosą skutki niemieckich represji jakie wynikną po przeprowadzonym ataku. Ich prośba została zignorowana.



Żołnierze Brygady z oswobodzonymi więźniarkami

Punktualnie o godzinie 11:30 wystrzelona została zielona flara oznaczająca rozpoczęcie natarcia. W akcji uczestniczyły wszystkie siły Brygady. Bataliony porucznika „Jaxy” i porucznika „Lecha” z 202 pp pozostawały w obwodzie jako ubezpieczenie, a reszta 202 i cały 204 pp ruszyły do ataku. Natarciem dowodził osobiście pułkownik „Bohun”. Wykonanie ataku w porze obiadowej skutkowało całkowitym zaskoczeniem, gdyż znaczna większość obsady nadzorującej obóz znajdowała się na stołówce. W błyskawicznym tempie na dziedziniec obozu i między baraki dostały się kompanie dowodzone przez majora „Rusina”. Po kilkuminutowej wymianie ognia esesmani znajdujący się w baraku przeznaczonym na stołówkę poddali się. Po przeprowadzeniu rewizji osobistej jeńcy zostali ustawieni w rzędzie pod murem obozu. W tym samym czasie I batalion 202 pp zlikwidował załogę dwóch bunkrów uzbrojonych w ciężkie karabiny maszynowe i ubezpieczał drogę od Pilzna. W wyniku przeprowadzonej akcji do niewoli wzięto ok. 200 esesmanów i 15 strażniczek. Zdobyto karabiny maszynowe, pistolety, granatniki, granaty i ogromną ilość amunicji. W trakcie przeprowadzania natarcia rannych zostało dwóch żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej.

Po rozbrojeniu załogi pilnującej obozu z baraków wyszło blisko 1000 więźniarek. Uwolniono 167 Polek, 400 Francuzek, 280 Żydówek i kilkadziesiąt więźniarek narodowości czeskiej, rumuńskiej i jugosłowiańskiej. Kobiety pochodzenia żydowskiego trzymane były osobno w dwóch otoczonych drutem kolczastym

pod napięciem i barytkami z benzyną barakach. W myśl rozkazu wydanego przez Hitlera miały one spłonąć żywcem w chwili, gdy wojska amerykańskie zbliżą się do obozu na odległość mniejszą niż 8 kilometrów. Żydówki przetrzymywane w nieludzkich warunkach zostały wypuszczone, ale wiele z nich nie było w stanie utrzymać się na własnych nogach. Gdy wszystkie kobiety znalazły się na wolności doszło do linczu na strażnikach, dokonany przez więźniarki. Sytuacja uspokoiła się dopiero, gdy kapitan „Gustaw” na wyraźne polecenie pułkownika „Bohuna” rozkazał swoim podkomendnym rozdzielić obie strony. Jeńcy zostali odprowadzeni do tymczasowego obozu zaaranżowanego przez kapitana „Gustawa” w stodole w Vshekarach. Więźniarki zakwaterowano w domostwach mieszkańców okolicznych wsi.



Uroczystości w Brygadzie Świętokrzyskiej z okazji zakończenia wojny

Następnego dnia po wyzwoleniu obozu Brygadzie udało się nawiązać bezpośredni kontakt z wojskami amerykańskimi. Wspólnie przystąpiono do ataku na miejscowość Hradistawy, gdzie mieściła się siedziba sztabu niemieckiej 13 Armii. Natarcie przeprowadzone przy osłonie czołgów zakończyło się szybką kapitulacją Niemców. Do niewoli wzięto

2 generałów, 70 oficerów wyższych stopniem oraz 500 żołnierzy Wehrmachtu. Po analizie zdobytych materiałów okazało się, że Brygada Świętokrzyska w wyniku swoich działań udaremniła stworzenie kolejnej linii obrony niemieckiej, którą planowano zorganizować w rejonie Stanków – Holiszów – Vshekary. Po akcji Brygada Świętokrzyska została uznana przez Amerykanów za oddział aliancki ze wszystkimi prawami kombatantów.



Powojenna odznaka Brygady Świętokrzyskiej

Po wojnie

Po zakończeniu II Wojny Światowej żołnierze Brygady Świętokrzyskiej nie mieli możliwości powrotu do ojczyzny, w której władzę przejęli komuniści. Dochodziło do rozmaitych prowokacji ze strony komunistów. Jedną z nich miała na celu ujęcie pułkownika Antoniego Szackiego „Bohuna”, ale dzięki szybkiej i przytomnej reakcji żołnierzy pełniących służbę patrolową, udało się zniweczyć próbę porwania oficera.

Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej weszli w skład służb wartowniczych przy armii amerykańskiej. Po zakończeniu służby tylko nieliczni wrócili do Polski, a ci, którzy się na to zdecydowali byli poddani represjom. W komunistycznej Polsce żołnierzy NSZ traktowano jako faszystowskich współpracowników III Rzeszy. Na oddanie im należnych honorów ze strony polskich władz musieli czekać blisko 50 lat.

Wielu warszawiaków po Powstaniu przeszło przez obóz przejściowy w Pruszkowie. Stąd po parodniowym pobycie wywożono ich do Rzeszy Niemieckiej do stalagów, obozów koncentracyjnych oraz do pracy na roli u baorów. Wielu wymordowano na terenie obozu „Dula 121” na terenie Pruszkowa. Byli to głównie żołnierze Armii Krajowej, uczestnicy Powstania. Ja wraz z ojcem i mamą, która spodziewała się dziecka, załadowani zostaliśmy do krytego wagonu towarowego, który przystosowany był do transportu koni. Niemcy upychali ludzi ściśniętych jeden obok drugiego: kobiety, mężczyzn, dzieci, starych, młodych, chorych. Niemożliwa była zmiana pozycji. Wagony zamykano i ryglowano drutami. W takim stanie pociąg wypchany po brzegi ruszył w nieznane.

Polaków nie opuszczała wiara przetrwania. Mój ojciec Jan, żołnierz wojny z bolszewikami, postanowił działać. Zaczął rozmontowywać w ścianie żelazne okucia do wiązania koni. Powstało prymitywne narzędzie do dłubania w deskach. Praca odbywała się na zmianę. Wreszcie wyłamano jedną deskę, następnie drugą. Wykonano otwór w podłodze, przez który można było prześlizgnąć się na zewnątrz. Ojciec instruował pasażerów, jak skurczyć ciało, aby można było opuścić się między toki szyn z wagonu. Gdy pociąg zwolnił lub zatrzymał się pod semaforem, ludzie kolejno uciekali. Na pytanie, dlaczego sam nie ucieka, wyjaśnił, że wraz nim jedzie żona w błogostawionym stanie i nie może jej opuścić. W pociągu było wielu ludzi starych i chorych. Koło nas był 84 – letni starzec chory na pęcherz. Nie trzymał moczu, załatwiał się w ubranie, na podłodze było mokro, panował straszny odór. Ktoś znalazł puszkę po konserwach, z której wszyscy korzystali. Puszka wędrowała ponad głowami aż do górnego okienka, przez które była opróżniana.

W mojej pamięci na zawsze pozostał obrazek, gdy pociąg zatrzymał się w Częstochowie. Wszyscy chcieli zobaczyć klasztor z wieżą na tle rozgwieżdżonego nieba. Przeciskano się po kolei do okienka. Wagonów nie otworzono, a pociąg otoczony został przez szpalier żołnierzy niemieckich z karabinami wycelowanymi w wagony. Mieszkańcy Częstochowy nie bali się mimo tego i usiłovali podawać wodę, chleb i kanapki. Pociąg następnie zatrzymał się dopiero na małej stacji w Niemczech. Zaczęto otwierać drzwi wagonów i pozwolono wyjść na zewnątrz. Usuwano zwłoki w obawie przed tyfusem, którego Niemcy panicznie się bali. Otoczeni kordonem wojska wszyscy zaczęli



Moje zdjęcie z 2007 r.

się załatwiać ku uciesze żołdaków. Krzyki i bicie towarzyszyło rozkazowi wchodzenia do wagonów. Nie wszyscy ruszyli w dalszą drogę i na zawsze zostali, zabici, na tym przystanku.

Dotarliśmy do stacyjki położonej wśród pól, to był Oranienburg. Tam otwierano kolejno wagony i dokonywano selekcji. Nasz ciężko chory stary współpasażer otrzymał strzał w tył głowy. Dokonał tego oficer niemiecki. Mężczyzn i chłopców usunięto z wagonów i poprowadzono kolumnami do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, kobiety pojechały dalej. Ostatni raz podałem ojcu rękę i ucałowałem go. W Sachsenhausen tata przebywał dosyć długo, a potem przeniesiono go do obozu Nowengamme, 13 km. od Hamburga, a następnie do obozu w Ravensbruck. Informacje te otrzymałem po wojnie od Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Arlossen. W aktach podano, że ojciec zmarł na gruźlicę. Wiadomości o nim uzupełnił dozorca naszego domu, pan Kotodziej. Z jego relacji wynikało, że ojciec, jak wielu innych, został zamordowany.

Mama przybyła z transportem do miasteczka Osterode, w którym znajdował się obóz Eulenburg i trafiła do jego filii o nazwie Greve Uhl. Za miasteczkiem wśród gór Harzu zlokalizowana była fabryka, w której tkano koce dla wojska. Dyrektorem zakładu był Niemiec, którego syn był przywódcą młodzieży, zrzeszonej w *Hitler Jugen*. Ta młodzież pałała nienawiścią do więźniów. Żoną dyrektora była pogodna Niemka, która pracowała w fabryce, a ich willa znajdowała się w pobliżu. Do willi tej przylegał rozległy sad owocowy, który pielęgowali więźniowie. Mnie przestano do obozu Eulenburg. Wkrótce rozeszła się tu wiadomość, że do obozu przybyła grupa

młodzieży z Powstania Warszawskiego. Pewnego dnia na naszą sztubę w baraku trafił więzień, który zapoznał się z paroma nazwiskami (jako podludzie w obozie byliśmy numerami). Więzień ten pracował jako woźnica i dowoził konwie z posłtkami. Wywołał cicho moje nazwisko. Ledwo usłyszałem, ale się zgłosiłem. Kazał mi czekać, aż ponownie się pokaże. Trwało to parę dni. Wreszcie pokazał się w baraku. Powiedział, że załatwił mi pracę pomocnika woźnicy. Udzielił mi instrukcji, jak należy obchodzić się z koniem. Pewnego dnia zabrał mnie do podobozu Greve Uhl. Zatrzymaliśmy wóz koto jednego z baraków. Zdjęliśmy pełne konwie z wozu, a puste załadowaliśmy. Woźnica podjechał na pobliski placik i tam się zatrzymał. Zsiadł z wozu i kazał czekać. Po paru minutach poszedłem za barak i stanąłem jak wryty. Myślałem, że śnię. Przede mną stała moja mama z drugą więźniarką. Rzuciłem się jej na szyję, ściskając i całując mocno. Mama usiłowała wręczyć mi kawałek chleba, tak jak czyniła to, odejmując sobie od ust, w Warszawie. Nie chciałem przyjąć tej pajdy. Powiedziałem, że ona bardziej potrzebuje i że będę jej pomagał. Pożegnaliśmy się. Wróciłem do obozu, dziękując wozakowi i całując go w policzek. Od tego dnia nie mogłem spać, myśląc nieustannie o mamie, o jej losie i mojej przyszłej siostrze lub bracie. Nie doczekałem się kolejnego widzenia, lecz dostałem wiadomość, że mam siostrzyczkę, która znajduje się w bezpiecznym miejscu.

Na niemieckim niebie coraz częściej pojawiały się samoloty. Pragnąłem, tak jak wszyscy, aby to piekło jak najszybciej się skończyło. Coraz częstsze naloty bardzo niepokoiły Niemców.. Wreszcie na teren obozu wjechały czołgi i samochody armii amerykańskiej i angielskiej. Zdobyłem od nich trochę żywności i pobiegłem co sił do podobozu Greve Uhl, gdzie przebywała moja mama. Ujrzałem ją z matką istotką na rękach. Moja siostra przeżyła dzięki żonie dyrektora fabryki, która skradła nowonarodzoną i zaniosta ją do swojej willi. Tam w obawie przed *Gestapo* umieściła ją przy domu w budzie swego psa. Pies był koloru beżowego z zawiniętym ogonem, podobny do bernardyna. Teraz, po naszym spotkaniu, Mama postanowiła podziękować Niemce. Ruszyliśmy w jej stronę. Po drodze od napotkanych więźniów usłyszałem, że moja siostra ocalała, gdyż spodobała jej się moja mama, która pomimo ciąży była bardzo pracowita. Opowiadali, że byli świadkami zdumiewającej sceny. Oto w czasie, gdy więźniowie pracowali w ogrodzie, grupa oficerów niemieckich stała na podwórzu. Nagle z budy wyszedł pies i zaczął wygrzewać się w słońcu. Jeden z Niemców zwrócił na niego uwagę. Zaczął psa wołać, postąpił ku niemu kilka kroków. Pies ujadł coraz bardziej, szarpiąc tańcuch. Rozwścieczony oficer wyjął pistolet. Żona dyrektora fabryki, która wyszła z domu i widząc zamiary żołnierza, krzyknęła z całej siły *ales raus!* Niemiec nie reagował, więc zdeterminowana kobieta zaczęła krzyczeć, żądając by wszyscy opuścili podwórko, w przeciwnym razie wezwie zaraz *gestapo*. Oficer schował pistolet do kabury i rozkazał strażnikom,



Moja Mama. Fot. z lat 30.

by wyprowadzili więźniów z terenu posesji. Dwóch więźniów znało tajemnicę dyrektowej. Obawiali się, że ewentualna kula może zabić lub zranić także dziecko.

Mama pokazała mi Niemkę i powiedziała, co tej pani zawdzięczamy. Dopadłem do niej i zacząłem całować jej dłoń. Nagle ruszyłem w kierunku psa, by go przytulić i ucałować. Przerażona Niemka zaczęła krzyczeć *nein halt!* Tymczasem ja klęknąłem przed psem, objąłem go za szyję i przytuliłem, a on lizał mnie po twarzy. Później żona dyrektora opowiadała, że do tego psa nikt nie mógł podejść, tym bardziej chwycić go za szyję. Był zły i mógł zagryźć. Całe zajście było dla niej niewiarygodne. Potem zaczęła opowiadać o swojej opiece nad moją siostrą. Co ranka, wieczorem, a często także w dzień, donosiła jej pożywienie. Musiała działać z dużą ostrożnością, gdyż w przypadku dekonspiracji, groził jej obóz lub rozstrzelanie. W rewanżu za tę opiekę udało nam się wybronić jej syna przed linczem ze strony więźniów, złożyliśmy także stosowne zeznanie przed amerykańską żandarmerią wojskową.

Wróciliśmy do Warszawy. Moja mama pracowała w służbie zdrowia, tu zmarła w 2000 r. Moja siostra Elżbieta – była pracownicą Straży Pożarnej na Polnej w Warszawie. Zachorowała na nowotwór i zmarła w 2008 r.

Pomimo upływu czasu, obrazy z II wojny stają mi przed oczami, jak kadry z koszmarnego filmu. Jeżeli słyszę w telewizji o szczęściu kogoś, kto wygrał miliony w totolotku, to myślę sobie: Boże – skoro to jest szczęście, to jak mam nazwać przeżycie roku 1939 w Warszawie, Powstanie Warszawskie, trzy niemieckie obozy, a na dodatek internowanie na Piaskach, które zafundował mi pan Jaruzelski w 1981 r.?

Porucznik Jerzy Zawadzki urodził się w Warszawie w 1936 r. Jako mały chłopiec był świadkiem i uczestnikiem dramatycznych wojennych wydarzeń. Od 1955 r. mieszka w Kielcach. Był współtwórcą kolejowej „Solidarności”, w 1981 r. został internowany. Wieloletni wiceprezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej kół nr 1 w Kielcach. Współautor tablic upamiętniających historyczne wydarzenia w regionie świętokrzyskim. Inicjator powołania Komitetu Odbudowy Pomnika Niepodległości w Kielcach.

28 grudnia 1895 w *Grand Café* w Paryżu odbyła się pierwsza w świecie projekcja filmowa przeznaczona dla publiczności. Bracia Lumiere pokazali widowni dziewięć filmów o łącznej długości 20 minut. Były to różnego rodzaju scenki przedstawiające na przykład wyjście robotników z fabryki czy pędzący pociąg – wywarły na publiczności tak ogromne wrażenie, że bracia Lumiere zostali po latach okrzyknięci pionierami kina. Nie wszyscy chcieli się pogodzić z nowym zjawiskiem, jakim był film – do jego oponentów należał m.in. wybitny krytyk literacki i satyryk Tadeusz Boy-Żeleński. Z czasem kino zagarnęło w swoje posiadanie wszystkie dotychczas znane obszary artystycznej działalności człowieka, wraz z rozwojem techniki anektuje następne. Kolej dzielnie mu w tym wszystkim sekunduje, motywów kolejowych jest w filmach bez liku, nie sposób tutaj omówić wszystkich, skupię się na tych dla mnie najważniejszych.



Stacja Mirsk

Opuszczone stacje kolejowe, w których nie ma nawet kas, to w Polsce częste zjawisko, zwłaszcza na Dolnym Śląsku. O takiej zapomnianej stacyjce zrobiłem w 2005 roku film „Stacja Mirsk”. To był mój prywatny hołd oddany kolejom. Żeby go nakręcić, wdałem się w ciemne interesy, które praktycznie skończyły się dla mnie kryminatem. Czekająca na mnie już cela w Pińczowie, gdybym nie zapłacił sporej grzywny, na którą solidarnie rzucili się filmowcy i literaci. Reżyser Andrzej Barański załował co prawda potem, że mi pomógł, bo stwierdził, że pewnie bym coś ciekawego w więzieniu napisał. To był kosztowny hołd, który na zawsze odnotowany będzie w moich papierach, nie tylko artystycznych.



Pozostając w klimatach gangsterskich – moim ulubionym filmem, który kojarzył się z klimatami kolejowymi był „15:10 do Yumy” (ang. *3:10 to Yuma*) – amerykański western w reżyserii Delmera Davesa z 1957 roku. Był to mój ulubiony western, dopóki... w 2007 roku nie powstał jego remake pt. *3:10 do Yumy*, w reżyserii Jamesa Mangolda. Rzadko się zdarza, żeby remake był lepszy od pierwowzoru, jednak tak się stało w tym przypadku. Ubogi farmer Dan Evans (gra go Christian Bale) próbował utrzymać swoją rodzinę: żonę Alice (Gretchen Mol) oraz dwóch synów, nastoletniego Williama i młodszego Marka. Niestety, okres suszy się przedłużał, zabrakło im gotówki, w związku z czym popadli w długi. Dan zgłosił się zatem jako ochotnik, aby pomóc kilku innym mężczyznom transportować niedawno złapanego, przebiegłego i okrutnego gangstera Bena Wade’a, granego przez Russella Crowe. W zamian za to obiecano mu znaczne wynagrodzenie. Bandyta zostaje wsadzony do pociągu do Yumy, dokładnie o 3:10 po południu. Tymczasem reszta bandy na czele z bezlitosnym Charlie’em Prince’em (Ben Foster) zawzięcie ich ścigała, próbując uwolnić swojego szefa. Wade starał się przechytryć konwojentów. Zamierzał m.in. przekupić Dana. „3:10 do Yumy” cechuje się wartką akcją – interesująca

fabuła trzyma w napięciu do ostatniej minuty. Film wywołuje dużo emocji: smuci, zadziwia, rozbawia. Sceny pojedynków i ucieczek zostały znakomicie zmontowane i naprawdę robią wrażenie. Zakończenie bardzo zaskakujące, przemiana jednego z głównych bohaterów została ukazana w intrygujący sposób. Jak na każdy porządny western przystało, można w tutaj znaleźć perfekcyjne kostiumy, imponującą scenografię i świetne zdjęcia. Ścieżka dźwiękowa nadaje szybsze tempo wydarzeniom i staje się idealnym uzupełnieniem dla całego filmu. Oba westerny – ten z 1957 r. i jego remake są wzorem, w jaki ograniczona przestrzeń pociągu może zostać wykorzystana do stworzenia scenografii dla wciągających opowieści.

Do moich ulubionych przewoźników należą Českie Drahy. Wracając z festiwalu filmowego w Karlowych Warach, gdzie pokazywano zrealizowany na podstawie mojej prozy film „Księżstwo”, postanowiliśmy się wybrać z żoną do Adrspaskiego Skalnego Miasta. Czeskie koleje mają w sobie coś bardziej przyjaznego od polskich, może po prostu Czesi są sympatyczniejsi. Wysiedliśmy z małego pociągu pośród majestatycznych skał Ardszpachu. Ku naszemu zdziwieniu skały tylko na zdjęciach wyglądały na niedostępne – w rzeczywistości między labiryntami form skalnych przebiegała trasa turystyczna składająca się z wygodnych schodków i poręczy, a niekiedy specjalnie wybudowanych chodników i platform. Podobno na szczycie jednej ze skał istniał kiedyś zamek. W Czechach prawie każde miasteczko posiada jakiś zamek lub kościół, który służy jako atrakcja turystyczna. Jeżeli dodamy do tego jeszcze niewielki lokalny browar z dobrym piwem, mamy pełnię wycieczkowego szczęścia. Dlaczego w Polsce tak być nie może? Niestety, kościoły u nas zburzone, zamki w ruinie, tradycji małych browarów praktycznie nie ma.

Z Ardszpachu dotarliśmy do Nachodu późnym wieczorem, na ostatni autobus do Polski trzeba było czekać 2 godziny. Robiło się nieciekawie – oto miałem odpowiedź, kto rządzi miastem w nocy – całe grupy nastoletnich Cyganek i Cyganów. Widziałem w Karlowych Warach film Martina Šulíka – „Cygan”, o problemach adaptacyjnych Romów. Przedstawia historię współczesnego Hamleta z biednej romskiej wioski. Tytułowego Cygana, czyli czternastoletniego Adama, poznajemy w chwili, gdy dowiaduje się o śmierci ojca, w niejasnych okolicznościach. Matka chłopca wkrótce wychodzi za mąż za jego podejrzanego wujka. Ojczym oczekuje od Adama absolutnego postuszeństwa, co wywołuje bunt chłopaka. Czesi nie bali się, że z tego filmu ludzie na świecie dowiedzą się o ich problemach. A „Księżstwo” pokazujące brutalną polską prowincję usiłowano wycofać z konkursu, dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Pradze wnosił protesty.

Młode ładne dziewczyny spoglądały na nas z ciekawością. Chłopcy siedzieli w krzakach i patrzyli na nas podejrzliwie przez szyby. Kursowały pociągi – do Hradec Kralove, Pragi. Co kilka minut jakiś

vlak. Myślałem o „Sztuczkach” (2007 r.) Andrzeja Jakimowskiego. Stefkowi została po ojcu tylko mocno zniszczona fotografia, dająca dość mgliste wyobrażenie o wyglądzie rodzica. Któregoś dnia chłopiec ujrzał na peronie mężczyznę w garniturze i z teczką, który wydał mu się podobny do postaci z fotki. Chłopiec odtąd regularnie bywał na dworcu, gdzie obserwowany przez niego mężczyzna codziennie przesiadał się w drodze do pracy. Niekiedy dzieciakowi udało się zamienić z nim parę słów dzięki prostej sztuczce – rzucał na tory garść monet, żeby opóźnić odjazd pociągu. W końcu mężczyzna w ogóle nie zdążył wsiąść do pociągu i został na peronie. Stefek miał w sobie więcej pomysłowości i odwagi od tych młodych Cyganów – żadne z nich nigdy stąd nigdzie nie wyruszy. Będą tak spoglądać na vlaki co roku – stacja kolejowa może być początkiem, może być końcem.



Letnia akademia filmowa w Zwierzyni

Wracaliśmy przez Wrocław. Wyszliśmy na trzecim peronie. Wspominałem Zbigniewa Cybulskiego. 8 stycznia 1967 aktor znalazł się na terenie wrocławskiego dworca kolejowego, wracając z planu zdjęciowego filmu *Morderca zostawia ślad*. Pożegnawszy się z przyjaciółką, Marleną Dietrich, która wyruszała w podróż do Warszawy, usiłował wskoczyć do pociągu odjeżdżającego z trzeciego peronu. Niestety, wpadł pod jego koła i doznał tak poważnych obrażeń ciała, że godzinę później zmarł w szpitalnym łóżku. Przypominałem sobie czarno-biały polski film w reżyserii Jerzego Kawalerowicza z 1959 roku, pod tytułem „Pociąg”, z Cybulskim w obsadzie. Oprócz Cybulskiego, czyli Staszka, ważne role zagrali także Lucyna Winnicka (Marta), Leon Niemczyk (Jerzy), oraz Helena Dąbrowska – konduktorka. Marta i Jerzy przypadkowo kupili bilety do tego samego przedziału sypialnego pociągu z Łodzi nad morze. Jerzy zapomniał miejscówki do wagonu sypialnego, więc przekupił konduktorkę, by znalazła mu wolne miejsce. Kobieta zaprowadziła go do przedziału, w którym podróżowała Marta – dziewczyna właśnie rozstała się z chłopakiem Staszkiem, a bilet do męskiego przedziału nabyła od przypadkowego podróżnego. W przedziale zajęli miejsca inaczej niż to było określone na biletach,

co wywołało potem nieporozumienie. Jerzego i Martę połączyły przykre przeżycia. Staszek przekazał przez konduktorkę list, w którym zagroził, że wykolei pociąg. Stało się inaczej – skład zatrzymał się na małej stacyjce i wsiadli do niego funkcjonariusze milicji, którzy poszukiwali zbiegłego mordercy. Udali się do przedziału Marty i Jerzego. Kobieta przypadkowo zajęła miejsce mordercy i wiedziała, kto nim jest. Jednakże na początku milicjanci uznali, że mordercą jest Jerzy – spał na miejscu, na którym miał być morderca. Ostatecznie wszystko się wyjaśniło.

Podobno film powstał na podstawie autentycznej przygody Jerzego Kawalerowicza, który podróżując pociągiem ze stolicy do Szczecina, przez pomyłkę znalazł się w jednym przedziale z obcą kobietą. W czasie podróży pasażerka opowiedziała Kawalerowiczowi o doznanym zawodzie miłosnym. Reżyser Martin Scorsese uznał film za arcydzieło polskiej kinematografii – w 2014 roku został wytypowany przez niego do prezentacji w USA oraz Kanadzie, w ramach festiwalu polskich filmów.

Zajmując się kinem, nie sposób nie trafiać na festiwale filmowe. Nie wszystkie są udane, mimo starań organizatorów. Na I Festiwal Filmowy w Kargowej, czyli KozziGangstaFilm, także wybraliśmy się z żoną pociągiem. Zdotaliśmy jednak dotrzeć tylko do Sulechowa – stąd odebrał nas ktoś z obsługi festiwalu, bo do Kargowej już dawno zawieszono połączenia. A stacja tam była, jeszcze poniemiecka. Została zaadaptowana na potrzeby festiwalu. Miał w niej dać koncert aktor Lech Dyblik. Spod obecnych napisów przezierały stare, poniemieckie. Nad wejściem do wychodka niedawno jeszcze widniał napis „WC”. Pod spodem, pewnie zaraz po wojnie, napisano „Ustęp”. A spod niego przebijał napis po niemiecku. Trzy różne kultury nakładały się na siebie.

Festiwal średnio się rozkręcał. Dwa światy – warszawski (salonowy) i drobnomieszczański niezbyt do siebie przystawały. Dzięki Agnieszce Kowalskiej, żonie zmarłego aktora, z Warszawy przyjechało wiele gwiazd, na przykład reżyser Maciej Wojtyszko z synem Adamem, scenarzystą (m.in. „Święty interes”). Goście festiwalu siedzieli na rynku przy jednych stolikach, lokalsi przy stolikach drugiej restauracji. Wszyscy się na siebie boczyli. Dwa światy, nieprzenikające się. Może potrzeba na to więcej czasu? To się udało w Kazimierzu Dolnym, Zwierzyńcu, w wielu małych miasteczkach na zachodzie Europy. Miejscowi uważali festiwal za fanaberię burmistrza. Wchodzimy z Renią do drogerii. Sklepową narzeka do innej klientki: „Po co tyle kasy wydawać na niewiedomo co?”. W końcu obsługuje Renię, która kupuje sporo rzeczy, bo spieszyliśmy się na pociąg i niewiele ze sobą zabraliśmy. Płacę rachunek i mówię: „Właśnie po to ten festiwal. Żeby pani zarobiła, a my żebyśmy wrócili turystycznie, jak się nam tutaj spodoba”.

Wieczorem nadciągnął huragan i zerwał dach z budynku stacji kolejowej. Spoglądając na oskałpowaną

stację, rozmyślałem o drugim samodzielnym filmie fabularnym Piotra Wereśniaka – „Stacja” (2001 r.). Zagrało w nim wielu wybitnych polskich aktorów, film powstał na podstawie świetnego scenariusza, za który Wereśniak otrzymał Nagrodę Hartley-Merrill. Film opowiada historię grupki ludzi, których połączyły wydarzenia na stacji... benzynowej. Gdyby umiejscowić wydarzenia na dworcu PKP, chyba byłoby ciekawiej.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, a był to jedyny tego typu przybytek w miasteczku, trwała tam jakaś imprezka lokalsów. Obsługa wydała nam się lekko podejrzana – tacy cwaniacy, jak z filmu Wereśniaka. Prym wiodł tysięcący kelner, o przepitej gębie byłego cinkciarza. Opowiadał o Wodeckim, że kiedyś tutaj spał, „taki niski chłopak, który w telewizji wygląda na wyższego”. Sprzedał mi butelkę mineralnej z taniego marketu za 10 zł. A potem namawiał nas na grę w bilard na pieniądze. Adam Wojtyszko, który bez przerwy opowiadał o tym, że właśnie się rozwodzi, wszedł w to. Miejscowi żule tylko jakby na to czekali. Adam wbija ostatnią kulę, ale biała też wpada. Przegrywa kilka stów. Chce się odegrać. Żule się denerwują. Zamierzają go pobić. Jeden z nich coś do mnie gada, że jutro jedzie pod Warszawę, do jakiegoś guru. Pewnie mówi tak wszystkim od wielu lat i nigdzie nie wyruszy, z Kargowej trudno gdziekolwiek wyruszyć, bo pociągi już stąd nie kursują. Może nawet o tym nie wie. Przekonuję go, że młody Wojtyszko to też trochę taki guru, więc menele dają scenarzyście spokój.

Festiwal w Kargowej miał chyba tylko dwie czy trzy edycje, i gdzieś się zwinął. Problem był jeden, ale ważny – w Kargowej strasznie śmierdziało krowim łajnem. Na obrzeżu miasteczka jakiś rolnik miał wielką hodowlę krów i jak powiał wiatr, cały fetor nadciągał nad Kargową. Aktorom i aktoreczkom z Warszawy wykręcało nosy.

Zamiast „Księstwa”, które widziałem już wiele razy, obejrzałem w Kargowej film „Wymyk” (2011) Grega Zglińskiego. Rodzinna historia, której towarzyszy miłość i, nienawiść. W tym filmie główne role należały do dwóch braci. Młodszy, grany przez utalentowanego Łukasza Simlata, i starszy, którego grał równie zdolny Robert Więckiewicz. Byli ciągle skonfliktowani. Nie wiadomo, jakby ten konflikt ewoluował, gdyby nie pewno dramatyczne zdarzenie – bracia Alfred i Jerzy zostali świadkami brutalnego incydentu w podmiejskiej kolejce. Kilku chuliganów napastowało dziewczynę. Jeden z braci, Jerzy stanął w jej obronie. Natomiast drugi brat, Alfred – stał się biernym świadkiem tragedii młodszego brata, wyrzuconego z rozpędzonego pociągu. Fabuła została osnuta wokół tego właśnie wypadku – uwagę widzów skierowano na dramat wewnętrzny. „Wymyk” jest filmem o zagłuszaniu w sobie lęku przed ujawnieniem upokarzającej prawdy. Nietrudno odnaleźć biblijne korzenie tej przypowieści o zazdrości i rodzinnej rywalizacji.



W drodze na warsztaty filmowe w Chełmie z synem

Zgliński zdaje się pytać o coś jeszcze: czy da się żyć z wiecznym poczuciem winy?

Czeremcha to duża wieś w powiecie hajnowskim, tuż przy granicy z Białorusią (nie mylić z Czeremchą leżącą przy granicy ze Słowacją, opodal przejścia granicznego w Barwinku). Czeremcha zawdzięcza swą rozbudowę carowi Rosji, który uczynił w tym miejscu duży węzeł kolejowy. Do jego obsługi ściągnięto tutaj ludzi z całej okolicy, dojeżdżali nawet z odległego o półtorej godziny drogi Białegostoku. W najlepszym dla stacji momencie pracowało tutaj 2000 ludzi. „Car założył kolej w Czeremsze, wszystko rozbudował, a Polska kapitalistyczna zniszczyła” – powiedział przez telefon Mirek Samosiuk, który nas tutaj zaprosił.

Z Puław do Czeremchy okazało się całkiem blisko. Myślałem, że trzeba jechać przez Warszawę, Białystok i Hajnowkę, a tymczasem znalazłem znacznie krótszą drogę – pociągami przez Łuków i Siedlce. Po drodze mijam takie egzotyczne nazwy jak Mordy, Niemojki, Nurzec. Kiedy byłem po raz pierwszy na Podlasiu, w 2011 roku, w Sokółce, też tak się zachwycam nazwami tutejszych miejscowości. Choćby Krynki, sama poezja. Żył tutaj wybitny białoruski pisarz, zmarły niedawno Sokrat Janowicz.

Do Czeremchy dotarłem w mroźną mroźną noc. Dworzec jest imponujący, chociaż wygląda na opuszczony. Pociąg dalej nie pojedzie. Kiedyś jechał na Białoruś, ale Białorusini rozebrali tory. Prawdziwy koniec Europy. Idę gigantycznym pomostem nad torami. Z góry, w dół, widać wiele wagonów. W większości zardzewiałych, zniszczonych. Kieruję się do Gminnego Ośrodka Kultury, na zaproszenie którego tutaj przyjechałem. GOK leży w samym centrum osady i stanowi tutaj ważny punkt odniesienia, nie mniej ważny niż pobliskie kościół i cerkiew.

Rankiem następnego dnia prowadzę tutaj warsztaty scenariuszowe – przychodzi na nie sześćcioro dzieciaków. Opowiedziałem im trochę o swojej drodze w świat z małej świętokrzyskiej wsi, jeszcze mniejszej, niż ich wioska, a potem – o sztuce pisania scenariuszy. Następnie kazałem napisać swój pomysł na scenariusz filmu, którego akcja rozgrywałaby się w Czeremsze bądź okolicach. Jeden chłopak nazywa się Navarro. Jego ojciec jest rodowitym Włochem. „Matka pojechała tam do pracy i wróciła ze mną”, wyjaśnia. Zajmuje się hip-hopem. Wyróżniam jego tekst, o wojnie gangów. Wręczam dzieciakom dyplomy za udział

i zbieram się szybko, bo za pół godziny mam trening w miejscowym Kolejarzu Czeremcha. Przyjeżdża Mirek, który jest jego piłkarzem, a także prezesem. Opowiada o swojej przygodzie z piłką. Uczył się w technikum w Warszawie. Przez półtora roku grał w Polonii Warszawa, w juniorach. Chcieli, żeby poszedł do seniorskiej drużyny. Wtedy stwierdził, że woli grać w Kolejarzu. Teraz wie, że po prostu to była wymówka, strach, że sobie nie poradzi. Szatnia Kolejarza mieści się – a jakże by inaczej, w przypadku klubu kolejowego – w wagonie, zaadaptowanym na potrzeby zawodników. Jest podniszczony, ale jeszcze w dobrym stanie. Brakuje WC i pryszniców. W środku siedzi kilkunastu młodych chłopaków i około 50—letni mężczyzna, trener. Na dworze kilkunastostopniowy mróz. Boisko jest duże, są trybuny, pamiętające znacznie lepsze czasy. Przypomina mi się mój OKS Opatów. „Kiedyś mieliśmy tutaj IV ligę, obecnie byłaby to III liga... – mówi Samosiuk. – Przeszedłem z tą drużyną od B-klasy, wszystkie szczeble. Dwa lata temu zostałem grającym prezesem. Załatwiłem chłopakom nowe dresy, mamy nawet torby treningowe z logo drużyny.” Mirek przedstawia mnie kolegom – że gram w Reprezentacji Polskich Pisarzy. Patrzą nieco podejrzliwie, jak niedawno patrzyli na mnie koledzy w Puławianku Puławy. Podczas rozgrzewki ucinam sobie z kilkoma z nich pogawędkę. Że kiedyś dla mnie piłka była szansą na ucieczkę ze wsi. Trochę niepokoję się o swoją formę, bo w tym roku mało trenowałem. Przegrywamy 10:7, ale zdobywam 4 gole, biorę udział w każdej akcji. Miejskowy portal zamieszcza potem info ze sparingu – „Masternak sprawdzany przez kolejarza Czeremcha”.

W drodze do Jasta, a właściwie – do Trzcinicy, jedziemy zobaczyć Karpacką Troję. W Rzeszowie linia się urywa. Wsiadamy w komunikację zastępczą. Do autobusu, który

udaje pociąg. Grzejemy ostro przez zakręty i pagórki. Myślę o Piotrze Mareckim, który stąd pochodzi. Kiedyś nie chciał się przyznać, że pochodzi z małej wsi spod Jasła – Trzcinicy. Jak ja bym pochodził z tej wsi, wypisałbym to sobie na czole. To słynna Karpacka Troja. Miejsce ważniejsze od Biskupina, mimo że tamten bardziej znany. Jest to obiekt, o szczególnej wartości historycznej i kulturowej. Naturalna niedostępność chroniła go przed zniszczeniem. Odkryto tu najstarsze osady obronne z dotąd znanych w Polsce i stwierdzono pierwsze ślady oddziaływania cywilizacji anatolijsko-bałkańskiej na tereny ziem polskich. Jest to też jedno z najstarszych i najlepiej zachowanych grodzisk słowiańskich. Wały obronne licząc od podstawy nasypów dochodzą jeszcze dzisiaj do 10 m. wysokości. W początkach epoki brązu zbudowano tu osadę warowną. Broniona była ona wałami drewniano-ziemnymi z palisadą, palisadą, fosą i samą stromizną stoków. Mieszkała w niej ludność grupy pleszowskiej kultury mierzanowickiej (2100-1650 p.n.Ch.) pozostająca pod silnymi wpływami zakarpaccimi. Potem w latach 1650-1350 p.n.Ch. żyła tu zakarpacca ludność kultury Otomani-Füzesabony – zbudowała ona drogę i bramę wjazdową do grodu, wzmocniła obwarowania, a po ich pożarze odbudowała fortyfikacje i powiększyła osadę do powierzchni 2 ha, zabezpieczając ją palisadą i fosą od strony najłatwiejszego dostępu. W tym czasie spotykamy tu oddziaływania kulturowe idące od strony wielkich cywilizacji basenu Morza Śródziemnego, ale także od północy docierały tu wpływy kultury trzcinieckiej. Było tu znaczące pradziejowe centrum kulturotwórcze. W okresie wczesnego średniowiecza (780-1031 r. n. e.) znajdował się tu ośrodek lokalnej władzy, a potężny, wieloczołowy gród zajmujący ponad 3 ha powierzchni opasanej wałami o łącznej długości 1250 m. Umocnienia grodu w Trzcinicy były wielkimi konstrukcjami inżynierskimi naszych przodków.

Tego wszystkiego dowiaduję się z filmu dokumentalnego pt. „Karpacka Troja”, który puścił kierowca na DVD.

W związku z licznymi spotkaniami autorskimi pociągi stały się moim trzecim domem (obok hoteli). Jadąc pociągiem mogę odpoczywać, ale też sporządzać notatki, nawiązywać nowe znajomości, podstuchiwać ludzi – potem to wszystko przydaje się w powieściach lub scenariuszach.

Konduktor sprawdza bilety. Wygląda to komicznie. Kierowca też w kolejarskim stroju. Pod Jasłem kończy nam się benzyna. Zajeżdżamy na stację kolejową i tankujemy nasz pociąg do pełna.

Jedziemy szynobusem do Chełma – prosto z Puław, z festiwalu w Kazimierzu Dolnym, gdzie poprzedniego dnia grałem w meczu: Goście Festiwalu – Orły Kazimierz Dolny. Zdołałem pięknego gola głową na 1:1, niestety przegraliśmy w ostatniej minucie 2:1, po błędzie bramkarza. Piłkarze Orłów kojarzyli mnie z czasów gry w Puławianku Puławy. Wchodzę na boisko i się witam, a jeden pyta: „Co ty tutaj robisz?”. Ja na to,

że kręcę filmy, a ten na mnie patrzy ze zdziwieniem. Chyba nie uwierzył, bo cały czas mnie pilnował, prawie się pobiliśmy. Dotąd filmowcy przegrywali wysoko, nawet 11:0... W grudniu 2012, podczas festiwalu „Ale kino!” w Poznaniu też grałem w ekipie filmowców przeciw... literatom. Przegraliśmy 12:7, zdobyłem 5 goli. Szkoda, że ostatnio na festiwalach filmowych zdobywam gole zamiast nagród filmowych.

Myślę o tym, gdy prowadzę warsztaty filmowe w MDK. Przychodzi kilka młodych osób. Wypytuje młodzież, jak się żyje w Chełmie, co jest ważne dla tego miasta. Piszemy historię młodej dziewczyny, która wyrusza na studia aktorskie do Warszawy, co zawsze było jej marzeniem. Wraca pokonana – studia kończy, ale nie dostaje angażu. Następnego dnia kręcimy film na podupadłej stacji kolejowej Chełm – Miasto. Film będzie się nazywał „Debiutantka”.

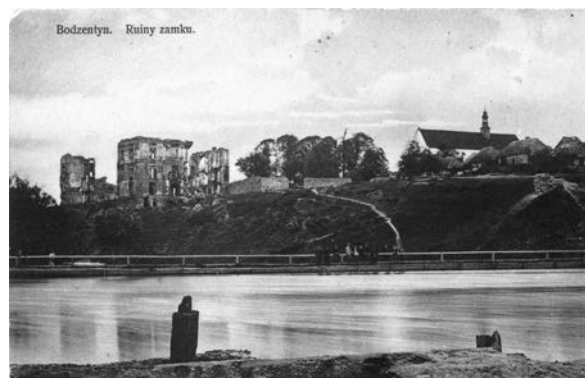
Podczas kręcenia kolejnych scen w rozwalającej się poczekalni, wspominam inne filmy, które zawierały motywy kolejowe. Taki „Amator” (1979) Kieślowskiego. Jeden z najwybitniejszych filmów, zaliczanych do tzw. kina moralnego niepokoju. Część scen kolejowych zrealizowano przed katowickim dworcem, druga pojawiająca się w filmie stacja kolejowa to Rabka – Zdrój. Kieślowski nakręcił jeszcze sceny kolejowe w „Przypadku”. Kluczowa scena filmu rozgrywała się na dworcu Fabrycznym w Łodzi. Widziałem w telewizji Kino Polska film „Cień”, a w Pulsie „Człowieka na torze”, obydwie z 1956 r. O „Człowieku...” słyszał chyba każdy. O „Cieniu” już niewiele. Obydwie filmy mają wiele pięknych scen z udziałem kolei i polecam je do oglądania. „Celuloza” – 1953. „Życie raz jeszcze” – 1964. Sporo motywów kolejowych było w serialach „Daleko od szosy” (Śląsk i Łódź) oraz „Ballada o Januszku” (głównie WKD). Jeszcze „Korowód” (2007) w reżyserii Jerzego Stuhr – plenery kolejowe do tego filmu to przede wszystkim Kraków Główny oraz Warszawa Wschodnia. Przez chwilę pojawia się również stacja Tunel oraz Warszawa Centralna. „O rany, nic się nie stało” (1987) reż. Waldemar Szarek. Akcja rozgrywa się w latach 60 XX w. W soundtracku wiele kawałków z tych lat, a w drugoplanowej obsadzie aktorskiej... Anja Orthodox. Sceny kolejowe realizowano na stacji Raciąż w powiecie Płońskim. W „Edim” (2002) Piotra Trzaskalskiego sceny kolejowe zrealizowano na terenie aglomeracji łódzkiej.

„Debiutantka” średnio się udaje – może dlatego, że dostałem żenująco niskie honorarium. Z Chełma jadę na Letnią Akademię Filmową w Zwierzyńcu – w czasie wakacji można tutaj dojechać pociągiem. Jedzie wielu ludzi z rowerami. Rozmawiają o filmach. Ale też – o pięknie okolicy, po której będą jeździć na rowerach. W ten oto sposób film, a zatem kultura, pomogła w promocji regionu.

Kiedy zasypiam w klimatyzowanym szynobusie, śnią mi się sceny kolejowe z filmu braci Lumiere.

Wystawa „Miasta i miasteczka Ziemi Kieleckiej 100 lat temu” zorganizowana została w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa 2015 przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Zarząd Okręgu i Wojewódzką Bibliotekę Publiczną im. Witolda Gombrowicza w Kielcach. Wystawa współfinansowana ze środków Województwa Świętokrzyskiego. Ekspozycję opracowano na podstawie materiałów pochodzących z prywatnej kolekcji Krzysztofa Lorka oraz ze zbiorów Biblioteki. Składa się z 27 plasz przedstawiających zanikającą architekturę miast i miasteczek sprzed wieku. Uzupełnieniem wystawy są cytaty z „Gazety Kieleckiej” i „Ziemi Kieleckiej”.

Obraz naszych miast i miasteczek zmienia się nieustannie, szczególne przeobrażenia nastąpiły w ostatnich latach. Nowe domy i ulice, odnowione place i budynki. Prawie każde miasto, a nawet mała miejscowość przeszła metamorfozę. Sprawia to m.in. współczesna architektura nowych obiektów, które wkomponowują się w starą zabudowę ulic i placów. Nie istnieje już krajobraz miasta, który znali nasi przodkowie sprzed stu lat. Jest on bezpowrotnie utracony. Ekspozycja pocztówek jest przypomnieniem tamtych czasów, miejsc, które czasami rozpoznajemy jedynie po podpisie lub nielicznych charakterystycznych dla miasta szczegółach. W Kielcach są to m.in. kościoły, kamienice w centrum miasta, kompleks budynków dawnego Pałacu Biskupiego. Rozpoznajemy również na starych zdjęciach Karczówkę i dwa kieleckie place – Rynek i plac Wolności. Nie istnieją jednak już budynki dawnego dworca kolejowego, cerkiew prawosławna, która stała na dzisiejszym skwerze im. Stefana Żeromskiego. Zupełnie inaczej wygląda park oraz budynki synagogi i kościoła ewangelickiego. Podobnie jest w innych miastach naszego Regionu. Niektóre z nich dzięki rozwojowi przemysłu i powstaniu COP w okresie międzywojennym rozbudowały się i nie są już małymi osadami. Tak się stało ze Skarżyskiem, Ostrowcem i Starachowicami, które w 1939 roku potoczyły się z Wierzbnikiem. Oprócz widoków miast zobaczyć można utrwalone na kartach wydarzenia sprzed stu lat, m.in. zgromadzenia ludności w Kielcach z maja z lat 1916–1917, zniszczone punkty strategiczne Kielc i Sędziszowa – dworce i wodociągi, jako efekt działań wojennych z lat 1914–1915. Na innej pocztówce pokazano również spalony klasztor



w Jędrzejowie. Są także zdjęcia z budowy tunelu pod Miechowem i pracy geodetów na Kadzielni. Pokazano uroczystości religijne: mszę polową na Karczówce i poświęcenie krzyża ku czci poległych 1863 roku oraz procesję w Miechowie. Pocztówki to doskonałe źródło historyczne – dzięki nim możemy powrócić do nieistniejących już obrazów miast i miasteczek – kamienic, domów, ludzi oraz wydarzeń, jakie miały miejsce sto lat temu.

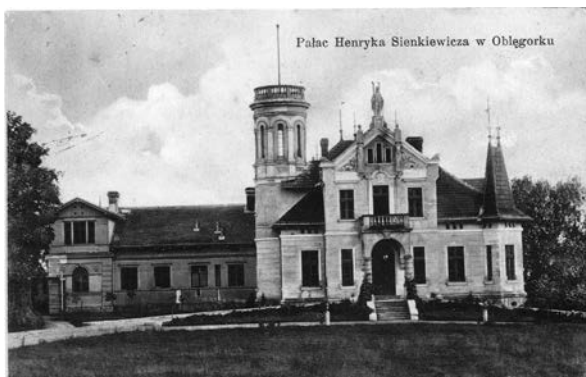
Karta pocztowa narodziła się pod koniec XIX wieku, ale jej rozkwit przypadł na początek wieku XX. Ten czas był złotym okresem w dziejach pocztówek. To lata I wojny światowej, a więc zwiększona migracja ludności. Pojawiło się zapotrzebowanie na tanie formy przekazywania informacji. Takie zadanie spełniały pocztówki. Kupowali je żołnierze stacjonujący w różnych miejscowościach oraz ludzie zmieniający miejsce pobytu podczas wojny. Wiele firm zajęło się wydawaniem pocztówek czarno-białych i kolorowych. Pojawiły się pocztówki panoramiczne oraz składanki. Były na dobrym papierze, niektóre z nich wydawane z dużą starannością, dbałością o szczegóły. Na wystawie znalazły się karty pocztowe wydawców i nakładców kieleckich, m.in. Adama Badziana, Gustawa Goldwassera, Witolda Kalinowskiego, kieleckiego oddziału PTK, M. Perelmana, Leona i s-ki, Szymona Kajzera (Sz.K.K.) i Stanisława Saneckiego. Są również karty pochodzące z wydawnictw krakowskich, warszawskich, poznańskich i łódzkich (Salonu Malarzy Polskich w Krakowie, Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, B. Wierzbickiego i s-ki w Warszawie, B. Wilkoszewskiego z Łodzi, J. Ślusarskiego z Warszawy, Drukarni św. Wojciecha z Poznania). W miastach naszego Regionu działały też miejscowe firmy, które wydawały pocztówki m.in. z widokami własnych miejscowości.

Na ekspozycji są kartki wydawane przez m.in. M. Piaseckiego z Pińczowa, Józefa Jendrycha i A. Borowica z Końskich, F. Bykowskiego z Ostrowca, sygnowane jedynie inicjałami – A.M. z Opatowa oraz M.H. z Buska. Nakładcami i wydawcami byli też właściciele miejscowych księgarni, m.in.: Polskiej i H. Janowskiej mieszczących się w Jędrzejowie, B. Tochtermanna ze Staszowa, Polskiej Heleny Grabowskiej z Wierzbnika, Wiktora Troppa z Iłży, St. Łuszcza z Buska, „Jednością Silni” oraz Kormanana z Opatowa.

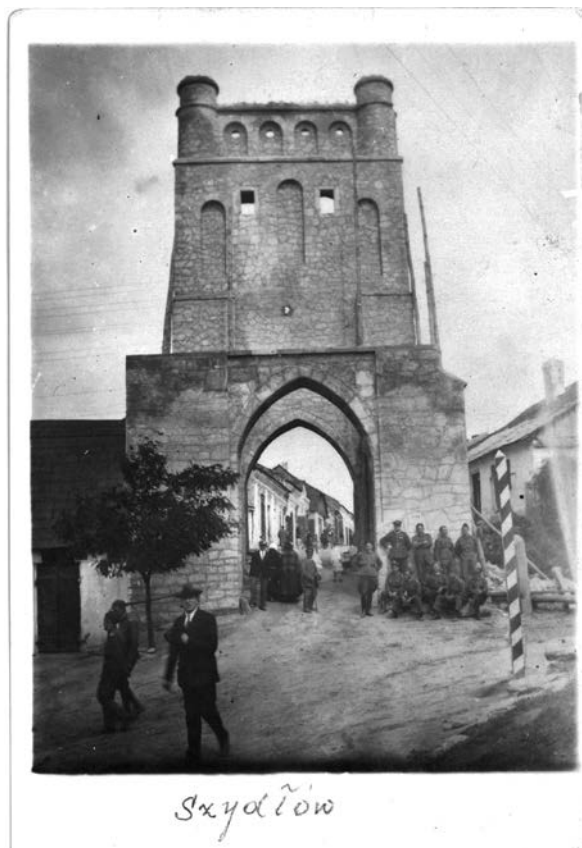


Wystawie towarzyszą cytaty z dwóch kieleckich czasopism, które w 2015 roku obchodzą swoje rocznice.

Sto lat temu, 20 października 1915 roku wyszedł pierwszy numer „Ziemi Kieleckiej”, także w październiku, ale 45 lat wcześniej, pojawił się pierwszy dziennik naszego Regionu „Gazeta Kielecka”. Wzmianki, które zamieszczono pokazują atmosferę i problemy, jakimi żyli ludzie. Był to czas wojny i ogromnej biedy ale również budzenia się świadomości patriotycznej wśród mieszkańców i to odzwierciedlają m.in. relacje publikowane na łamach tych dwóch pism kieleckich.



„Gazeta Kielecka” to najdłużej istniejąca gazeta w Kielcach. Wychodząca przed wydarzeniami wojennymi miała charakter popularny, mnóstwo w niej jest ogłoszeń i krótkich informacji tekstowych. Powieści w odcinkach, wypadki losowe, wydarzenia kryminalne, informacje o programie teatralnym, uroczystościach kościelnych i szkol-



nych – to głównie zapępniało szpalty gazety. Okres wojenny i późniejszy zmieniły charakter czasopisma. Pojawiły się artykuły o działaniach wojennych, komunikaty o zaciągu do Legionów walczących u boku państw centralnych, na bieżąco informowano o wydarzeniach politycznych. Były tu również zamieszczane komunikaty urzędowe.

„Ziemia Kielecka” to czasopismo polityczno-społeczne i literackie. Był to tygodnik, półoficjalny organ legionowy. Wydawcą „Ziemi Kieleckiej” był Edmund Massalski, później Franciszek Loeffler. Tematyka legionowa oraz niepodległościowa zdominowała łamy czasopisma, znalazło się jednak miejsce na opisy i informacje z większych i mniejszych miejscowości Regionu. Pismo istniało jedynie dwa lata – ostatni numer wyszedł w marcu 1917 roku.

Tętem pocztówek i tekstów z gazet są historyczne mapy topograficzne udostępniane bezpłatnie przez Wojskowy Instytut Geograficzny w Warszawie.



My z pałacu to obszerny reportaż znanego świętokrzyskiego dziennikarza, Andrzeja Nowaka – Arczewskiego, o posiadłości Karskich we Włostowie pod Sandomierzem, wydany jako książka przez Wydawnictwo Bellona (2014). Już sam tytuł kojarzy się z twórczością Wiesława Myśliwskiego – chodzi oczywiście o powieść *Pałac* z 1970 r. Skojarzenie to potęguje fakt, że pałac we Włostowie, opisany przez Nowaka – Arczewskiego, znajduje się niecałe dwadzieścia kilometrów od miejscowości Dwikozy, gdzie urodził się dwukrotny laureat Nagrody Literackiej Nike. Bez wątpienia Myśliwski znał pałac Karskich, bywał we Włostowie (wspomina tę miejscowość w powieści *Widnokrąg*), wielokrotnie przejeżdżał tędy trasą Sandomierz – Opatów. Kto wie, może wydarzenia związane z pałacem we Włostowie w jakimś stopniu zainspirowały pisarza?

Jak jest u Myśliwskiego? Do wioski nadciąga front II wojny światowej. Obserwujący miejscowy pałac chłop Jakub jest świadkiem rejerady dziedzica i służby. Wchodzi do opustoszałego budynku i kiedy zaczyna się szwendać po komnatach, wyobraża sobie, że jest dziedzicem, następuje swoista przemiana chłopu w pana, postępująca wraz z przekraczaniem progów kolejnych pomieszczeń. W swoich rojeniach Jakub utożsamia się z postaciami przodków na portretach. Ostatecznie ginie w pożarze, spowodowanym przez pociski. Można odczytać powieść jako psychologiczne studium zwyrodnienia chłopskich marzeń i ambicji. Chłop przez lata wyzyskiwany i upokarzany przez posiadaczy ziemskich sam w głębi duszy pragnie być wyzyskiwaczem, chce upokarzać. W ten oto sposób wyrównują się rachunki pomiędzy dwiema klasami społecznymi. W reportażu Nowaka – Arczewskiego mamy do czynienia z sytuacją niemalże identyczną. Tyle, że prawdziwą. Chłopi z Włostowa anektowali w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu dwór Karskich dla siebie, rozkradli go krzesło po krześle, cegła po cegle. Zbudowali i urządzili swoje domy kosztem Karskich, dla których jeszcze niedawno pracowali oni i ich przodkowie, na przestrzeni wielu lat. Czy była to zwykła kradzież, czy też akt zemsty za lata wyzysku i upokorzeń?

Nowak – Arczewski wykonuje w swojej książce mrówczą robotę faktograficzną. Rozmawia z wieloma żyjącymi ciągle świadkami wydarzeń, które doprowadziły do ruiny pałacu. Najważniejszym atutem tej książki jest jej wielogłosowość. Historia pałacu

została tutaj opowiedziana przez wielu bohaterów, każdy ma własną wersję zdarzeń, interesują go inne szczegóły. Dzięki temu powstaje obraz bezstronny, a jednocześnie – pełny. Nie dostajemy jednoznacznej odpowiedzi, po czyjej stronie leży racja. A może obie strony są na swój sposób winne?

Mało które ruiny mają tyle szczęścia, by trafić na tak wnikliwego opisywacza, jak Nowak – Arczewski. Reporter korzysta podczas tworzenia tego obszernego tekstu ze wszystkich tajemnic i technik swego rzemiosła, szlifowanego przez lata w redakcjach dzienników o znaczeniu lokalnym („Echo Dnia”) albo tygodników ogólnopolskich („Przegląd”). Reportaż jest gatunkiem pośrednim między dziennikarstwem a literaturą. Gatunkiem bardzo przez to trudnym. Reporter nie znaczy wcale reportażyście. W książce *My z pałacu* reporter Nowak – Arczewski staje się reportażyście Nowakiem – Arczewskim. To swoiste przeistoczenie ma swój głęboki sens. Powstaje tekst, który nie jest dziennikarską bieżączką, ważną dla mieszkańców świętokrzyskiego i opłotków – mamy do czynienia z opowieścią uniwersalną, pozwalającą lepiej zrozumieć historię naszego kraju. *My z pałacu*, to nie jest zwykły reportaż – to już prawdziwa literatura. Tekst jest gęsto ilustrowany czarno-białymi fotografiami, które podkreślają klimat opisywanej, nie tak dawno przecież minionej epoki. Nowak – Arczewski dołącza do liczego grona wybitnych polskich reportażyście, reportaże obok poezji stanowią siłę polskiej literatury.

Od redakcji: fragmenty frapującej książki „My z pałacu” Andrzeja Nowaka – Arczewskiego drukowaliśmy w naszym piśmie.



Pałac-Karskich Elewja wsch. przed rozbudową w XX wieku. Repr. Janusz Marchlewicz, PKZ, 1981

We wrześniu 1888 r. powstaje w Kielcach kolejny zakład fotograficzny. Jego właścicielem był Stanisław Rachalewski s. Bolestawa (burmistrza Zamościa), który zakład wraz z filią w Busku odkupuje od wyjeżdżającego do Łodzi Bronisława Wilkoszewskiego za kwotę 2650 rubli. Rachalewski 16 września 1888 r. uzyskuje urzędowe zezwolenie na jego otwarcie.¹ W latach 80-tych XIX w. prowadził zakład w Zamościu.



Stanisław Rachalewski (pierwszy z prawej) – fotografia z kolekcji Lecha Sulimierskiego

Stanisław Rachalewski zdobył w Warszawie staranne wykształcenie fotograficzne najprawdopodobniej w atelier Aleksandra Karolieg i Maurycego Puscha przy ul. Miodowej 4² lub w Zakładzie Kostki i Mulerta w Warszawie. Za naukę zapłacił 1000 rubli. Rachalewski przed podjęciem nauki w zawodzie fotografa rozważał studia malarskie w Monachium.³ Po zakończeniu edu-

kacji fotograficznej w Warszawie wraca do rodzinnego Zamościa i otwiera tu po 30 listopada 1885 r. swój pierwszy zakład fotograficzny.⁴

W Kielcach fotograf, podobnie jak Wilkoszewski, profiluje swoje atelier na zdjęcia portretowe, grupowe, widokowe oraz ozdobne tableau. Przy tych ostatnich wykorzystuje swoje malarskie talenty. Ze swoją działalnością rusza do innych miejscowości guberni. W roku 1890 wykonuje (dopuszczając do spótki na krótki okres Bolestawa Różyńskiego) zdjęcia w Miechowie.

Od dwóch miesięcy rogi ulic i zakładów restauracyjnych w Kielcach zdobią wystawy fotograficzne nowej firmy Rachalewski i Różyński (po Wilkoszewskim) i przynależą, iż wiele portretów odznacza się starannem odbiciem i wykończeniem, świadczącymi o postępie sztuki fotograficznej. Jeżeli wspólnicy zakładu w dalszej pracy nieustaną i stopniowo przyswajając sobie będą zdobycze gdzieindziej już zastosowane w sztuce, zapewnią zakładowi trwałe powodzenie, które, wnosząc z grubego albumu wykonanych w zakładzie obstatunków, dotąd im sprzyja. Zakład p. p. Rachalewskiego i Różyńskiego wykończył obecnie efektowną grupę osób przyjmujących udział w ostatnim balu kostiumowym w Kielcach. – (informowała GK 27 marca 1889 r.)

Fotografowie wykazywali dużą aktywność zawodową – i tak od września 1889 r. świadczyli swoje usługi w terenie: Busku, Stopnicy, Staszowie i Rytwianach.

W następnym roku świadczą usługi w Miechowie: „Zakład fotograficzny pod firmą Rachalewski i Różyński (dawniej Wilkoszewski). Mamy zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że od dnia 6 do 12 Czerwca b. r. skutecznie się będą zdjęcia fotograficzne w mieście Miechowie.”⁵

W 1892 r. już sam Stanisław Rachalewski aż 8 razy anonsuje w „Gazecie Kieleckiej” swój zakład: „Zakład Artystyczno-Fotograficzny St. Rachalewskiego otworzył filię na sezon letni w Busku”.⁶

„ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY St. Rachalewskiego w Busku otwarty będzie od 20 Czerwca.”⁷

Na Wystawie rolniczo-przemysłowej w Kielcach w dn. 1-4 września 1898 r. Stanisław Rachalewski

¹ AP Kielce, K.G.K., sygn. 892

² Joanna Białynicka-Birula, Pusch Maurycy [w:] Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających (zmartych przed 1966 r.), t. VIII, Warszawa 2007

³ Janik M., Fotografia w guberniach kieleckiej i radomskiej w latach 1839-1918, w: Rocznik Muzeum Narodowego w Kielcach, Tom XV, Kraków 1989, s. 96

⁴ AP Kielce, K.G.K., sygn. 477

⁵ GK, 1890, nr 43, 44, 45, s. 4

⁶ GK, 1892, nr 53, 54, 56, 58, 59, 62, 64, 66, s. 4

⁷ GK, 1894, nr 47, s. 4



Zakład Stanisława Rachalewskiego 1892-1907 Fot. ze zbioru Jana Lesiaka



otrzymał brązowy medal, z wizerunkiem cara Mikołaja II (który umieszcza na ozdobnych winietach swych fotografii), w „Dziale maszyn rolniczych – za fabrykację wyrobów ręcznych i przemysłu domowego”. W tej kategorii przyznano 1 list uznania, medal srebrny i 30 rubli nagrody oraz trzy medale brązowe: „Adamowi Kubickiemu z Kielc za wyroby ślusarskie (ze szczególnym uznaniem, Rachalewskiemu z Kielc za fotografię, Lebedzkiemu z Kielc za wyroby blacharskie. 4 Listy pochwalne.”⁸

Fotografie Stanisława Rachalewskiego znalazły się w wydawnictwie Konstantego Woźniaka: *Kraj w obrazach. Zbiór fotografii [...] Seria I: Królestwo Polskie z 1898 r.*

W wydany w 1901 r. *Pamiętniku Kieleckim* – zbiorze prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza 1798-1898” znalazło się sześć zdjęć Rachalewskiego: z Kielc katedra i kościół św. Wojciecha, widok i wnętrze kolegiaty Najświętszej Marii Panny w Wiślicy oraz wnętrza kościoła pod wezwaniem św. Teresy w Jurkowie i katedry w Kielcach.

Swoje fotografie Rachalewski często eksponuje w witrynach swojego zakładu – informacje znajdujemy

⁸ GK, 1898, nr 70, s. 2

w „Gazecie kieleckiej”: *Wystawa. Tutejszy zakład fotograficzny p. St. Rachalewskiego, nagrodzony medalem na wystawie kieleckiej w 1898 r., bardzo efektowną urządził wystawę swoich prac, w witrynach na rogach ulic rozmieszczonych. Zdjęcia fotograficzne wykonane są nowym udoskonalonym sposobem, nadającym fotografiom wygląd matowych portretów ręcznie wykonywanych. Modny to obecnie sposób utrwalania ludzkich postaci.*⁹

*Oblęgorek. Zakład fotograficzny p. Stanisława Rachalewskiego dokonał kilku zdjęć świeżo wykonanego pałacu w Oblęgorku. Starannie wykonane powyższe widoki oglądać można na wystawie przy ul. Dużej. Fotografije p. Rachalewskiego, jak dotąd są pierwszymi reprodukcjami dworu oblęgorskiego, po usunięciu rusztowań przed dwoma tygodniami i zapewne posłużą do reprodukcji drzeworytniczych dla naszych pism obrazkowych. Niemniej powinny one posłużyć jako wzór do widoczków na kartach pocztowych, pośpiesznie bowiem wydane przez nasze księgarnie, przedstawiają dawniejszy dworek, z bardzo niefortunnego punktu odfotografowany i zupełnie niepodobny do obecnie wykonanych budowli.*¹⁰

⁹ GK, 1900, nr 26, s. 2

¹⁰ GK, 1901, nr 84, s. 2



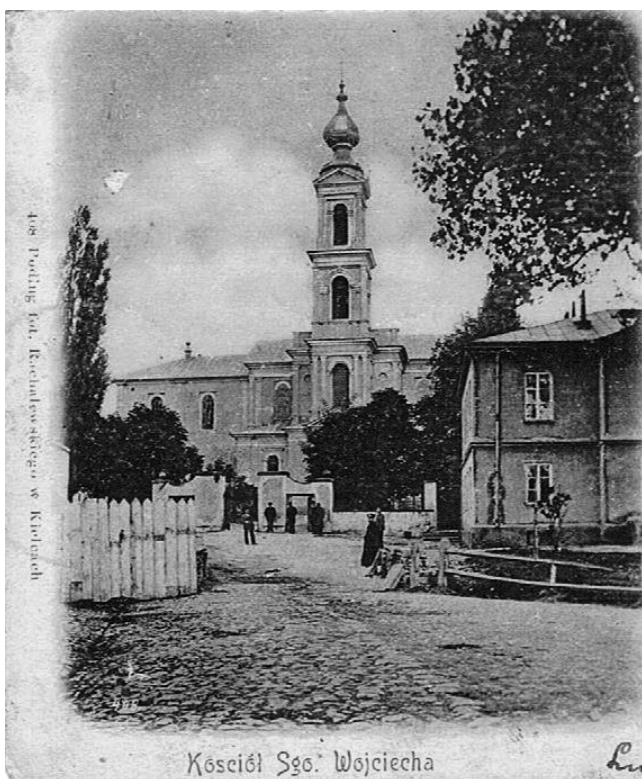
Kielce.—Klasztor na Karczówce.

Kielce – Klasztor na Karczówce. Fot. Stanisław Rachalewski (fot. ze zbioru autora)



Kielce.—Katedra.

Kielce – Katedra. Fot. Stanisław Rachalewski (fot. ze zbioru autora)



Kościół Sgo. Wojciecha

Pocztówka z fotografią Stanisława Rachalewskiego (pocztówka ze zbioru autora)

Kielce dnia 8-V-1914 roku
 Lud. Wojciech. jeden z głównych
 Kościoła Polskiego Patroński,
 odem z Kościół przyszedł na wieś,
 około roku Panickiego 956—
 Gdy podał rodzinie oddali
 do na nauki do Biskupa
 Mogdeburzkiego imieniem
 Adalbertus. Przeprowadził tam
 lat 9. wielki w naukach
 wzniesienia postępow. wrócił do
 Kościół na Terno swojej Rodziny.
 Tu wstąpił do stann duchowni
 i około roku 981. wywieziony
 został na kapłana—
 Wkrótce po jego wywieceniu
 Lud i duchowieństwo nam Biskup

Fotografie Rachalewskiego znalazły się na pocztówkach, których nakładcami lub wydawcami byli: Stanisław Rachalewski; Księgarnia Gustawa Goldwassera w Kielcach; Księgarnia Leon i S-ka (Leona Grostała) w Kielcach; Księgarnia Miny Perelman w Kielcach; Imperiat (brak bliższych danych); księgarnię Witolda Kalinowskiego w Kielcach.

W 1905 r. Rachalewski publikuje następujące ogłoszenie: *Ogłoszenie. Wskutek krążących pogłosek, że mój zakład fotograficzny w Kielcach został sprzedany, mam zaszczyt zawiadomić niniejszym Szanowną Klientelę, że takowego nie sprzedałem i sprzedać nie mam zamiaru, lecz prowadzić go będę*

*nadal ze zdwojoną energią i sumiennością, w celu zastąpienia sobie na takie zaufanie i zadowolenie Szanownych moich odbiorców. Z szacunkiem Stanisław Rachalewski.*¹¹

*Sprostowanie. Panowie Stefan Dąbrowski i Stanisław Czernichowski, czytając ogłoszenie moje, przeoczyli, że wyraz zamierzać był użyty nie w czasie przeszłym lecz w teraźniejszym. W ogłoszeniu napisałem: zakładu swego nie sprzedałem i sprzedać nie mam zamiaru, a nie jak brzmiało w wyjaśnieniu: zakładu swego wcale sprzedawać nie zamierzałem. Stanisław Rachalewski.*¹²

¹¹ GK, 1905, nr 59, s. 1

¹² GK, 1905, nr 66, s. 4



Kamienica rodziny Rachalewskich w Kielcach (fot. Małgorzata Chmiel)

Atelier Stanisława Rachalewskiego kończy swą działalność w 1907 r. (kolejnym właścicielem został Adam Badzian) pozostawiając po sobie ogromną liczbę materiału zdjęciowego zachowanego dość licznie w zbiorach. Dwa lata później Rachalewski buduje okazałą kamienicę (wg. własnego projektu), przy ul. Śniadeckich, i staje się aktywnym społecznikiem i malarzem amatorem – co stanowiło nadal jego cichą pasję.



Obraz autorstwa Stanisława Rachalewskiego – z kolekcji Lecha Sulimierskiego

Wpłacił na budowę kościoła Św. Krzyża w Kielcach 2 ruble i 35 kopiejek.¹³ 15 marca 1908 r. Stanisław Rachalewski został współzałożycielem i członkiem zarządu Kieleckiego Oddziału Towarzystwa Krajoznawczego.¹⁴



Fotografia wykonana przed 1889 r. – (ze zbioru autora)



¹³ GK, 1905, nr 93, s. 3

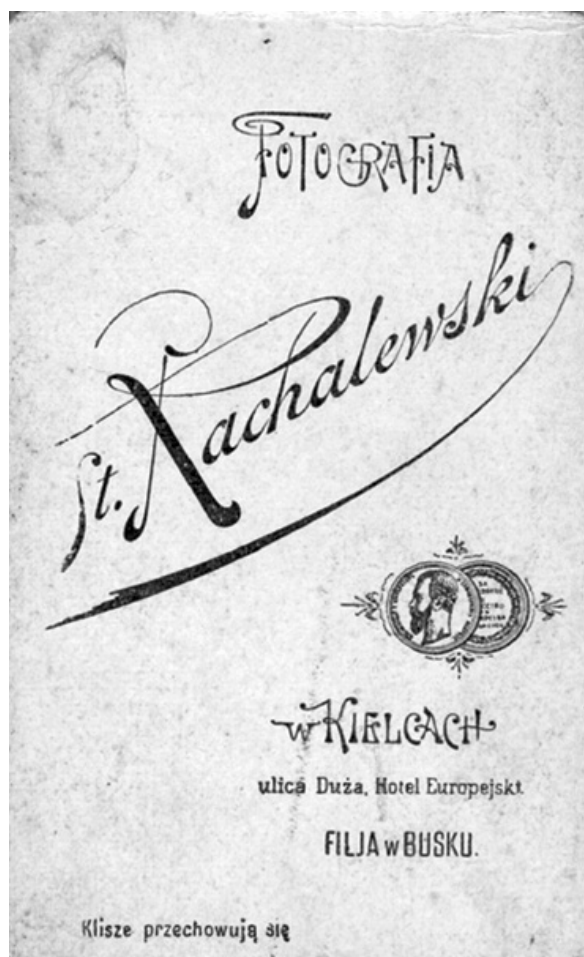
¹⁴ GK, 1908, nr 23, s. 2



Fotografia wykonana w latach 1892 – 1898 – (ze zbioru autora)



Fotografia wykonana po 1898 r. – (ze zbioru autora)

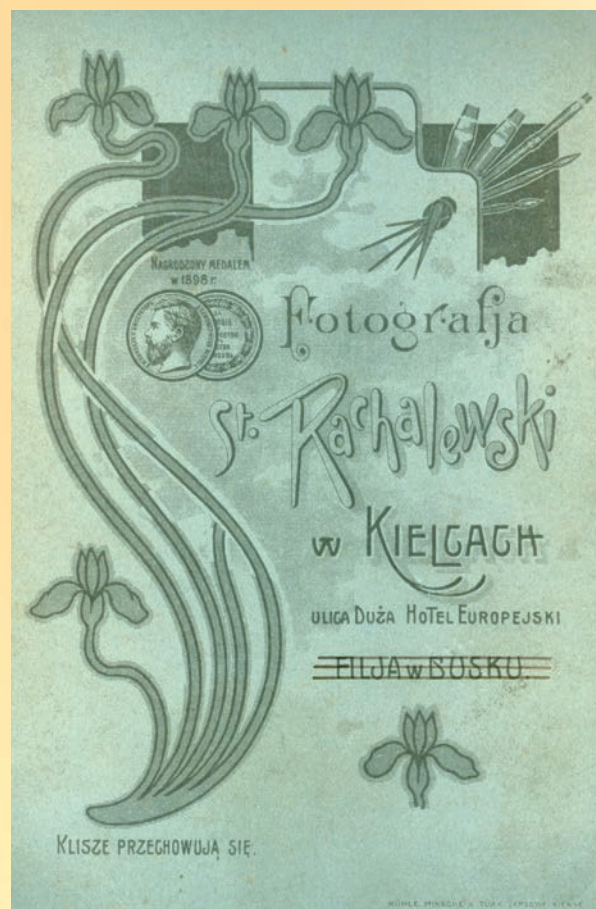




Fotografia wykonana po 1898 r. - (ze zbioru autora)



Fotografia wykonana po 1898 r. - (ze zbioru autora)





*"Świętokrzyskie" dostępne jest na portalu
Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej
www.sbc.wbp.kielce.pl*